



*Oszalamiająca opowieść o chciwości,
miłości, sławie i pieniądzu.*

HEAT

DAISY
WAUGH

*Na
Hester
Street
topnieje śnieg*

Prószyński i S-ka

DAISY WAUGH

*Na
Hester
Street
topnieje śnieg*

Przełożyła
Paulina Błaszczkiewicz

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
MELTING THE SNOW ON HESTER STREET

Copyright © 2013 by Daisy Waugh

Originally published in the English language
by HarperCollins Ltd.
All rights reserved

Projekt okładki
Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce
© Ilina Simeonova / Trevillion Images

Redaktor prowadzący
Anna Czech

Redakcja
Renata Bubrowiecka

Korekta
Marta Olejnik

ISBN 978-83-7961-817-0

Warszawa 2014

Wydawca
Prószynski Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

Droga Bashie,
przyszła (być może) gwiazdo filmu
– ta książka jest dla Ciebie

PAŹDZIERNIKOWE PRZYJĘCIE U MAKSA
I ELEANOR BEECHAMÓW

Santa Monica, 17 października 1929 roku

– I co on powiedział, Charlie? Powiedział, że wszystko będzie d-dobrze? Powiedział, że jest okej?

Siedziała na blacie swojej toaletki i przyglądała się Charliemu z lękiem w oczach niebieskich jak sznur szafirów oplatających jej szyję. Charlie nie odpowiedział od razu. Myślał o tym, jak pełna wdzięku jest linia jej szyi – kark, tak to się chyba nazywa... Powolnym krokiem zmierzał w jej kierunku przez prawdopodobnie jedną z najelegantszych sypialni w całej Ameryce. Odgłos uderzających o brzeg fal dobiegał przez otwarte okna, wychodzące na długą białą i lśniąca we wczesnowieczornym blasku księżyca plażę. Nieźle, pomyślał, jak miał to w zwyczaju. Całkiem nieźle jak na chłopaka z przytułku. Tylko ta tu rewiowa tancerka nie jest tak młoda, za jaką chce uchodzić.

Przez słodkie wonie niezliczonych kosmetyków oraz perfum, sprowadzonych tu aż ze wzgórz Toskanii, przebijał lekki zapach nowości – nowych tkanin i farb, bibelotów i mebli... Plażowy dom (jeśli można to było nazwać domem) Marion dopiero niedawno został ukończony. W sumie sto osiemnaście pokoi, które jej kochanek wybudował dla niej. Trzydzieści pięć sypialni, pięćdziesiąt pięć łazienek, kilka basenów, własny kinoteatr... Wszystko, naprawdę wszystko, czego mogło pragnąć serce kobiety, jak wierzył, a raczej chciał wierzyć. Marion jednak w jakiś sposób zdołała zmienić tego niedorzecznego białego słonia w... może nie do końca w dom, ale w miejsce pełne radości i ciepła. Miejsce, w którym mimo marmurów, złota, wysokich sufitów i wijących się wielkich schodów ludzie mogli poczuć się dobrze. W którym mogli się odprężyć. Charlie Chaplin czuł się w plażowym pałacu Marion Davies swobodnie. Może nawet bardziej swobodnie, niż chciałby tego długoletni kochanek Marion. Cóż jednak można było na to poradzić?

Charlie zatrzymał się obok Marion i, wdychając znajomy zapach, w roztergnięciu złożył

pocałunek na tej części jej... – na karku? – która go tak bardzo rozpraszała.

– Nie zapytałem – odpowiedział w końcu.

– Nie zapytałeś? Charlie! Dlaczego nie?

Pocałował ją znów i znów poczuł woń jej skóry.

– Jesteś naprawdę bardzo... urocza – wymamrotał.

– Dlaczego go nie spytałeś, Charlie? Myślałam, że to zrobisz. Ja się już p-przebiec p-przebrałam i jestem g-gotowa do wyjścia, ale sam zobacz! Myślałam, że go zapytasz!

– Nie zapytałem, ale go poinformowałem. Powiedziałem, że przyjdiesz ze mną.

– O nie!

– Chociaż w zasadzie, kiedy teraz o tym myślę, wydaje mi się, że nie zrobiłem nawet tego... Poinformowałem osobę, która odebrała telefon. To była pokojówka, jak sądzę.

– Charlie, na litość boską!

– Kochanie, to jest małe przyjęcie. Max i Eleanor Beechamowie to naprawdę wspaniali ludzie... z klasą. Znasz ich sama wystarczająco dobrze. Cóż będą mogli powiedzieć? Największa gwiazda w historii kina chce przyprzewodzić na ich bankiet obecną królową Holly wood...

– To wcale nie jest śmieszne!

– ...najlepszą z gospodyń, najbardziej utalentowaną i najpiękniejszą aktorkę...

– Nie śmieję się, Charlie, bo wcale nie jesteś zabawny. Dlaczego dla ciebie wszystko musi być żartem?

– ...i gwiazdę filmową, rzecz jasna, która własnymi siłami...

– Ha! Jeśli nie liczyć W. R., który płaci za te wszystkie filmy.

– ...oraz, nie oszukujmy się, uwielbianą kochankę najpotężniejszego człowieka w najpotężniejszym narodzie... świata...

– Och, Charlie, wcale nie!

– Cóż, może ty tak nie sądzisz...

– On jest d-drugim n-najpotężniejszym człowiekiem. Tak przynajmniej mówi. Zaraz po prezydencie Hooverze. W. R. mówi, że...

– Ha! Mówi tak o sobie. Prawda, że mówi?

– To dlatego, że jest skromniejszy niż pan, panie Chaplin. Nie ma się z czego śmiać. Nie lubię, kiedy mówisz w taki sposób. Jesteś wtedy ordynarny i wcale mi się to nie podoba. A zresztą kto niby powiedział, że jesteś największą gwiazdą Ameryki? – rzuciła mu prowokacyjny uśmiešek – Twój stary przyjaciel Douglas Fairbanks z pewnością nie zgodziłby się z tobą...

– Bo mój stary przyjaciel Dougie jest głupcem...

– Mary Pickford też by się nie zgodziła.

– To lafirynda.

– Jack Gilbert, John Barrymore, Gary Cooper, Thomas Mix...

Charlie roześmiał się w głos:

– Słonko, ty mi ubliżasz!

– ...Rudolph Valentino...

– Ach, ależ jesteś złośliwa, Marion. Bezlitosna. Okrutna. Rudy'ego może i kiedyś bardziej wielbiono niż mnie, ale jeśli o tym zapomniłaś, kochanie, to przypominam: Rudy nie żyje!

Marion westchnęła zmęczona już tą grą.

– Domyślam się, że skoro nie zapytałeś, czy mogę przyjść, to powinnam już zdjąć te

wyjściowe ubrania, a ty pójdiesz na przyjęcie sam. Wcale mi nie zależy...

Ale Marion zależało. Zależało jej bardziej, niż odważyłaby się przyznać czy to swojemu starszemu się kochankowi – magnatowi prasowemu, multimilionerowi i prawdopodobnie drugiemu najpotężniejszemu człowiekowi w Ameryce Williamowi Randolphowi Hearstowi – czy nawet Charliemu Chaplinowi, który potrafił utrzymać tajemnicę, nawet własną, i był jej najlepszym przyjacielem. Nie. Nie cierpiała się skarżyć i nigdy tego nie robiła. Była ostrożna. Nawet w tym wariackim mieście nie było wiadomo, kto co sobie myśli o sprawach innych. Obecność Marion w społeczności Hollywood – jakkolwiek ona była, bo, nie ukrywajmy tego, jej zła sława obiegała cały świat – narażała ją stale na ryzyko, dlatego wołała raczej nie pojawiać się tam, gdzie mogły zdarzyć się jakieś awantury. Rzadko więc bywała na cudzych przyjęciach, a ponieważ jej były, jak o nich mówiono, najdziwsze, najbardziej ekstrawaganckie i olśniewające, nie miała wcale wrażenia, że coś z tego powodu traci. Ale coroczna balanga u Maksa i Eleanor Beechamów miała świetną opinię, a Marion nigdy jeszcze na niej nie była. Para wydawała przyjęcie każdego siedemnastego października w swoim domu, odkąd osiem długich lat temu skończono jego budowę. Hollywood widziało w tej imprezie niemal tradycję i dlatego przywiązywało do niej wielką wagę.

Nikt nie mógł konkurować z Marion, jeśli idzie o skalę przyjęć, i Beechamowie nawet nie próbowali. Ich bankiety były wyrefinowane i ekskluzywne – nigdy więcej niż pięćdziesiąt osób, ale zawsze tylko najlepsi z gości: grube ryby i gwiazdy filmowe, czasem kilku przedstawicieli europejskich rodzin królewskich. Jednego roku udało im się nawet w jakiś sposób ściągnąć Alberta Einsteina z żoną.

Marion Davies wyobrażała sobie, że będzie znała wszystkie z zaproszonych osób. Poza tym W. R. wyjechał, a ona była już zmęczona siedzeniem w domu. Miała ochotę się wystroić, a potem upić w dobrym towarzystwie. Ale żaden z tych powodów nie był jeszcze wystarczającym wytłumaczeniem dla tego, że Marion tak zależało na przyjęciu.

W zeszłym tygodniu przeczytała coś, co zainteresowało ją do tego stopnia, że zapragnęła dowiedzieć się jeszcze więcej.

Większość gwiazd nawet nie tyka listów od fanów. Marion Davies, co było powszechnie wiadomo i o czym dużo się mówiło, czytała i odpowiadała na każdy z nich. Ten konkretny dostarczono jak zwykle z cotygodniową pocztą do jej domku na terenie studia MGM. Marion czekała właśnie, aż wezwą ją na plan, a list leżał na samym szczycie sporej kupki kopert, piętrzącej się na biurku jej asystentki. „Droga Panno Davies” – stało w nagłówku – „mam szczerą nadzieję, że wybaczy mi Pani, że zabieram jej cenny czas... Od dawna już jestem wielbicielką Pani filmów, uwielbiam zwłaszcza *Tillie the Toiler*”... Zaczynało się niewinnie, może trochę szalenie – bo przecież każdy, kto pisał, musiał być szaleńcem – ale wystarczająco grzecznie, by chciała czytać dalej. „...Jednakowoż nie dlatego pozwałam sobie pisać. Mam do Pani bardzo niezwykłą prośbę...”

Gdy Marion skończyła lekturę, zaczęła się zastanawiać, czy to zwykły przypadek czy też jakieś złowieszcze siły kazały nadawcy listu napisać właśnie do niej. Marion i Eleanor miały wspólne zdjęcia z kilku hollywoodzkich imprez i w zasadzie nawet się lubiły, były też w podobnym wieku – obie nieco starsze niż większość sławnych aktorek, ale ponieważ obie także kłamały na ten temat, trudno uznać, że to właśnie pokierowało autorką listu. Krążyły też oczywiście plotki, które mogłyby tłumaczyć wybór adresata, ale przecież ani słówko z nich nie mogło przedostać się

do publicznej wiadomości. Fani nie mieli prawa wiedzieć ani o niej, ani o Eleanor nic ponad to, co oficjalnie ujawniało ich studio. Oczywiście to możliwe, że setki podobnych nieprzeczytanych listów zalegały biurka asystentów gwiazd na całym mieście. Ale autorka tego nie mogła lepiej wybrać odbiorcy.

Czytając go, Marion czuła, jak słowa trafiają w jej czuły punkt, jak otwiera się zablźniona rana. I zrobiła coś, co nie zdarzało się jej często, a poza tym wyłącznie w samotności: rozplakała się. Nie ze swojego powodu. Płakała nad Beechamami. Gdy chwilę później wezwano ją na plan, schowała list w pudełku na biżuterię i postanowiła nie wspominać o nim nikomu.

– Co my właściwie wiemy o M-Maksie i Eleanor Beechamach, Charlie? – spytała nagle. – Na przykład, czy myślisz, że to jest ich prawdziwe nazwisko?

– Beecham? – roześmiał się Charlie. – Byłoby to jedyne prawdziwe nazwisko w całym mieście. Czemu ich dzisiaj sama o to nie spytasz?

– M-mogłabym...

Charlie nie ciągnął tematu. Wiedział, że Marion nie zrobi tego. Cokolwiek o niej mówiono – a ludzie naprawdę gadali – nigdy nie była celowo niegrzeczna lub nieuprzejma. Zauważył jednak, że dzisiaj jest wyraźnie nieswoja. Coś ją dręczyło.

– O co chodzi?

– O nic, Charlie. Mam przecież chyba prawo być czasem trochę ciekawska. To wszystko... Nie zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego każdy z nas chciałby czasami rzucić to miejsce i tę robotę? W-weźmy Beechamów. Są tutaj... sama już nie wiem jak długo. Pamiętasz, jak przyjechali? Gdy zobaczyłeś ich pierwszy raz? Oni tu zawsze byli. Piękni, mądrzy, królowie życia... No, ale skąd oni są tak naprawdę?

– Kiedy przyjechałem do Hollywood, Max pracował dla Keystone. Grał na pianinie na planie... Wszyscy go tam uwielbiali.

– No, ma się rozumieć.

– A potem Beechamowie spiknęli się chyba z Butchem Menkenem, prawda? I zrobili w trójkę kilka naprawdę świetnych filmów. Nie można powiedzieć, że nie mają talentu...

– N-nie miałam tego na myśli, Charlie. Oczywiście, że mają! Max jest świetny. Wiadomo przecież, że jest jednym z najlepszych na świecie...

– Żebyś się nie zapędziła!

– Ale naprawdę! Myślę, że jest wspaniałym reżyserem. I nawet jeśli ostatnio mu nie idzie, to „Beautiful Day” był najlepszym filmem... najlepszym dźwiękowym filmem zeszłego roku. Lepszym niż te, które ja zrobiłam. I niż twoje też, Charlie. I zwróć uwagę, że mówię o filmach dźwiękowych. Mogę chyba tak uważać?

– Oczywiście, kochanie.

– I uważam też, że Eleanor jest wspaniałą aktorką.

– Nie jest lepsza niż ty, Marion.

– No, ale skąd oni się tu wzięli? Kim oni, u licha, są? Wydają się tacy... zżyci. Wszyscy wiedzą, że się kochają. Są chyba najszczęśliwszą parą w całym Hollywood...

– Może tak być.

– Jak oni na siebie patrzą!

– Wydaje się... – Charlie szukał odpowiedniego wyrażenia. – Tak, wydaje się, że im na sobie naprawdę zależy.

– A nie sądzisz, że coś się za tym kryje? Jakaś tajemnica? – Zamilkła na chwilę. – Zastanawiałam się...

– Zastanawiałaś się nad Beechamami czy tak w ogóle?

– Nie rozumiem.

– Przecież wszyscy mamy sekrety.

– Hm, wydawało mi się, że akurat ty i ja jesteśmy z sobą blisko.

– Och, oczywiście, że jesteśmy, ale przecież nie wiemy o sobie wszystkiego.

– No mam nadzieję!

– Właśnie! Trochę ubarwiamy swoje historie. Bez tego byłoby nudno. Weźmy choćby von Stroheima! Jeden z największych reżyserów, to prawda. Ale myślisz, że naprawdę jest hrabią, jak twierdzi?

– Daj spokój. – Marion nagle posmutniała. – To i tak n-nie ma znaczenia.

– A czemu niby nie?

– Nie powinnam była w ogóle zaczynać tego tematu. Eleanor Beecham to wspaniała kobieta i tyle. Czy możemy się już zbierać? Zabierzesz mnie w końcu na to głupie przyjęcie czy nie?

Charlie zerknął na swój zegarek Złoty cartier, prezent od Marion. Całkiem niezły jak na chłopaka z przytułku.

– Jeszcze za wcześnie. Zresztą, kochana, w tym twoim dzisiejszym nastroju nie pójdziesz ze mną nigdzie. Jesteś dziś tak cholernie przybita, że w kilka sekund potopiłabyś wszystkich na tej imprezie w swoich łzach.

– Ha, wcale nie!

– Nikt nie chciałby z tobą rozmawiać.

– Bardzo śmieszne...

– Poza mną, oczywiście. Ja zawsze chcę z tobą rozmawiać.

– To akurat nie jest prawda. Och... Wiesz, Charlie, czego nam trzeba?! – wykrzyknęła nagle i od razu się rozpozodziła. – K-koktajli! Nie sądzisz, k-kotku? Napijemy się i na pewno nastroje będą lepsze.

2

Wysoko na wzgórzach Hollywood, w swojej wspaniałej willi Castillo del Mimosa Max i Eleanor Beechamowie byli już prawie gotowi na przyjęcie. Jak zawsze wszystko mieli pod kontrolą. Max dał łapówki, komu trzeba, żeby alkohol tej nocy mógł lać się wartkimi strumieniami. Skrzynki szampana, wódki, whisky i ginu oraz inne składniki, z których można było zrobić każdy znany w Hollywood drink, dostarczono dyskretnie wcześniej rano. Teraz więc dom był zastawiony najlepszym alkoholem, jaki tylko można było sobie wymarzyć. Nawet sam Al Capone musiałby się wysilić, żeby sprowadzić lepszy.

Eleanor zadbała, by wszystkie korytarze, basen i ogród ozdobiono pachnącym słodko bżem kalifornijskim, którego kolor – biały i lazurowy – miał się kojarzyć z wodą i przypominać wszystkim o najnowszym filmie Maksa *Zagubiony na morzu*. W najdalszym pokoju jazz-band ćwiczył repertuar na wieczór. Zwinęto dywany, rozsunięto meble. Przed domem, na tarasie urządzonym w stylu włoskim, pod jedwabnymi flagami w marynistycznych barwach ustawiono długi stół bankietowy nakryty przetykanym srebrną nitką obrusem. Girlandy uplecione z błękitnych dzwoneczków wiły się między srebrnymi kandelabrami. Stół lśnił od rzędów świec i od wymyślnej, zasilanej prądem instalacji przygotowanej przez głównego oświetleniowca Maksa – najbardziej rozchwytywanego technika w branży, który właśnie skończył pracę na planie jego najnowszego filmu.

Eleanor marzyła o szklance czegoś mocniejszego, wiedziała jednak dobrze, że w jej wieku – po trzydzieście, a w zasadzie bliżej czterdziestki – z każdym drinkiem twarz odrobinę się starzeje. Jako zawodowa aktorka była doskonale świadoma konsekwencji. Postanowiła więc poczełać z pićciem, aż pojawią się goście i będzie mogła ich zabrać na artystycznie oświetlony taras.

Nie przebrała się też jeszcze w wieczorową suknię. Bała się, że wygniecie to cholerstwo. Ciągle więc jeszcze – mimo że jej ciemne, obcięte na chłopczycę włosy były już idealnie ułożone, brwi miały doskonały kształt, a pełne szerokie usta i zielone oczy były starannie umalowane – krzątała się w starym jedwabnym szlafroku. Zrobiła za to ostatni, zupełnie zbędny obchód po domu, by mieć pewność, że wszystko jest dopięte na ostatni guzik Szpalery służby

zameldowały się w korytarzu i w pełnej gotowości oczekiwały na rozkazy gospodyni, która – nie mając niczego do roboty – stanęła na włoskim tarasie i przypatrywała się jedwabnym porporcom trzepocącym niespokojnie w sztucznym świetle. To był pomysł Makska. Wszystko z powodu filmu. Czy już je widział? Pewnie nie. Kiedy projektant wystroju opisywał je podczas przygotowań, Eleanor nie przeszło nawet przez myśl, że będą wisiały tak nisko i że tak bardzo przypominają będą... Do licha, były naprawdę okropne. Ale było już za późno. Trudno. Max zdecydował, że zawisną. Ciekawe, czy choć on przewidział, że...

Eleanor nie miała nic więcej do załatwienia. Ostatnie homary dogotowywały się w kuchni – z tarasu słyszała ich piski, od których przeszedł ją dreszcz. Kucharz skończył właśnie przygotowywać sos holenderski do ostryg w auszpiku. Wszystko było gotowe. Eleanor westchnęła. Denerwowała się jak diabli. Jak zwykle, chociaż bardziej niż zwykle. Tym razem w jej zdenerwowaniu nie było ani trochę ekscytacji. Myślała o tym, kiedy nastąpił ten moment, gdy jej przyjęcia – główna atrakcja hollywoodzkiego kalendarza, a jednocześnie manifestacja sukcesu, jaki razem z Makssem odnieśli – straciły swój czar i zmieniły się w nieprzyjemny obowiązek. Przez jedną krótką chwilę zastanowiła się gorzko nad tym, czy dla Makska także stały się przykrą służbą. Kto, u licha, miałby to wiedzieć?

Zostawiła go na piętrze, żeby mógł się przebrać, ale musiała z nim jeszcze przedyskutować kilka spraw. Powinna go poinformować o problemie z lodowymi rzeźbami w głównym hallu i poruszyć kwestię lampy łukowej, tej obok mimozy we wschodniej części tarasu, która chyba się... Eleanor ruszyła odnaleźć męża.

Max zdążył się już wykąpać i przebrać. Teraz w dziwny sposób wyginał się przed lustrem stojącym na toalecie Eleanor, przyglądając ciemne włosy jedną ręką, a w drugiej trzymając papierosa. Miał na sobie białą wieczorową marynarkę i pasujące do niej luźne spodnie. Był przystojny jak nigdy. To zawsze ścinało ją z nóg. Nawet teraz, mimo wszystko, uderzyło ją, jak bardzo był wysportowany, szczupły, dobrze zbudowany, smagły i elegancki. Gdyby tylko chciał, mógłby bez trudu sam zostać gwiazdorem filmowym. Eleanor ciągle kochała ten jego wygląd. I ciągle ją to zaskakiwało.

– Cześć, przystojniaku – rzuciła, obejmując jego biodra. Poczwała, jak jego ciało się napina. Nienawidziła go za to. I nienawidziła siebie, że znów zapomniała, jak bardzo bolesne były te próby ogrzania ciepłym oddechem jego chłodu. – Ładna marynarka. Nie widziałam jej wcześniej, prawda?

Max spoglądał na nią ze swojego odbicia w lustrze. Patrzył w jej zielone oczy, które nie uśmiechały się do niego. Odwrócił się i musnął wargami koniuszek jej nosa.

– Widziałas ją wiele razy – powiedział łagodnie, odsuwając jej dłoń. – A tak przy okazji, czy Teresa już ci powiedziała, że dzwonił Chaplin?

– Naprawdę? – Eleanor westchnęła rozdrażniona. – Kiedy? Dziś? Mógł nas wcześniej poinformować, że nie przychodzi.

– Oczywiście, że przychodzi! Dzwonił, żeby dać znać, że przyprowdzi Marion.

– Och, Marion Davies?

– Oczywiście, że Marion Davies! Z jaką inną Marion miałby przyjść?

– Cóż... to jest trochę dziwne...

– Niby czemu? Marion jest w porządku.

– Nie mówię, że nie.

Eleanor odwróciła się od męża i przysiadła na skraju ich nakrytego kapą wspólnego łóżka, tak szerokiego, że każde z nich mogłoby spać w nim z kochankiem i nawet by sobie wzajemnie nie przeszkadzali. Znowu westchnęła. Koło kogo posadzić Marion na kolacji?

– Pomyślałem, że to nam nawet pochlebia – powiedział Max z lekkim uśmiechem, odrobinę zawstydzony. – Może jak pojawi się na naszym przyjęciu bez zaproszenia, ona i pan Hearst w końcu zaproszą nas do San Simeon.

– Ha! – Eleanor obdarzyła go łagodnym uśmiechem. – Na pewno. To byłoby coś!

Piękno San Simeon było owiane legendą, podobnie jak luksus panujący w tym bajkowym, położonym dwieście mil na północ od Los Angeles, nad zatoką San Simeon, zamku Randolpha Hearsta. Przyjęcia, które w nim urządzano, budowały tę legendę nie tylko w Hollywood, ale i na całym świecie. Zaproszenia na nie wynajęty do tego celu szofer przywoził w kopertach tak cienkich, tak delikatnych i pachnących, że z pewnością musiały wcześniej leżeć w szufladzie Marion Davies zaraz obok jej bielizny. Nie słyszano, by ktokolwiek kiedykolwiek wyrzucił którąś z tych kopert do śmieci.

– Tymczasem – dodała – będę musiała zmienić ten cały cholerny rozkład gości przy stole...

Max spojrział na żonę, gdy bezwiednym ruchem zagarnęła fałdy jedwabnego peniuaru, krzyżując zgrabne opalone nogi. Za każdym razem ten widok go porażał. Mimo upływu czasu ciągle dostrzegał powab Eleanor.

– Co ty masz na sobie? To szlafrok?

Spojrziała na swój strój. Nie chciało jej się odpowiadać. Widział ją taką już ze sto razy. Ale wtedy ją zaskoczył. Nagle pochylił się, by ją pocałować. Odwróciła twarz, zanim mu się to udało, tak że jego usta dotknęły tylko kawałka jej policzka.

– Wszyscy mężczyźni na tym przyjęciu straciliby głowę, gdybyś przyszła tak ubrana – powiedział i zabrzmiało to czule. Zabrzmiało, jakby naprawdę tak uważał.

Uśmiechnęła się, ale unikała jego spojrzenia. Bała się, że da po sobie poznać, jak bardzo ucieszyła się z jego słów, jak desperacko ich pragnęła. Odrzuciła go.

– To będzie trudne – ciągnęła, jakby nigdy nic. – Zostało mało czasu. Nigdy nie wiadomo, kto może się okazać twardogłowym sztywniakiem. Ale w zasadzie przy Marion... i po kilku drinkach nawet największe dziwadła robią się zabawne. Nie chciałabym, żeby ktoś ją w naszym domu obrażał.

– Nikt jej nie będzie obrażał – rzucił Max, odwracając się znów w stronę lustra.

– Oby! Biedna dziewczyna. – Eleanor wstała, rozejrzała się i znów cicho westchnęła. – Lepiej zajmę się sadzaniem gości. Zejdź na dół, proszę. Zejdź i sam zobacz. Skończyli dekorowanie tarasu. Wygląda... – urwała, nie wiedząc, co powiedzieć. – Widziałeś go już? – zapytała zamiast tego. – Widziałeś te flagi?

– Widziałem – odpowiedział i zamilkł na moment. – Bardzo marynistyczne – uznał z lekkim uśmiechem.

– Tak marynistyczne... Śliczne, nie sądzisz?

Nic nie odpowiedział. Poinformowała go zatem szybko o problemie z rzeźbami i chwiejącej się lampie we wschodnim krańcu tarasu, ale on już nie słuchał.

– A tak przy okazji, El! – krzyknął za nią. – Na litość boską, tylko nie sadzaj Marion koło von Stroheima. On zupełnie powariował. Pewnie nie zniósłby jej widoku...

3

Trzy godziny później słynne przyjęcie siedemnastego października w domu państwa Beechamów było już w pełnym rozkwicie. Akwamarynowa, obszyta satyną sukienka Eleanor, która w magiczny sposób uwydatniała zieleń jej oczu, była już rzeczywiście dość wygnieciona. Eleanor wiedziała też dobrze, że po trzecim kieliszku szampana – a może to był już czwarty? – jej twarz przestała wglądać świeżo. Ale było jej to obojętne. Na delikatnie oświetlonym tarasie, przy lejącym się wartkimi strumieniem alkoholu nikt i tak tego nie zauważył. Setny raz tego wieczoru kazała więc sobie zachować spokój.

Zanim jednak pojawili się pierwsi goście, wydarzył się pewien incydent, który wcale nie poprawił jej nastroju. Choć powinna już przestać o tym myśleć, takie rzeczy zdarzały się gwiazdom filmowym co chwila. Thomas Mix znalazł raz obcą osobę we własnej wannie, do Gary'ego Coopera, który mieszkał po sąsiedzku, stale wdzierali się jacyś ludzie na posesję, a Mary Pickford widziała kogoś pluskającego się w jej basenie. Taki już urok tego miejsca. Ciągłe słyszało się opowieści o zbłąkanych fanach, prześlizgujących się przez wymyślne zasieki budowane przez gwiazdy. Eleanor również taka historia przydarzyła się już wcześniej. I może gdyby ta nieszczęsna dziewczyna została znaleziona gdzie indziej, gdyby co innego trzymała w ręku, a rzecz stałaby się w jakkolwiek inną noc, nie byłoby to tak przerażające – ot, kolejna anegdota, którą można zabłysnąć w towarzystwie. Ale Eleanor przyłapała ją w sypialni, na gorącym uczynku, stojącą przy tej samej toalecie, przy której ona zostawiła Maksą zaledwie pół godziny wcześniej. Dziewczyna trzymała w ręku ciężką złoconą ramkę z fotografią. Jej oczy – Eleanor zadrżała na samą myśl – wyglądały jak dwa czarne jeziora uczuci i strachu. Było w nich całe szaleństwo pogrążonego w obsesji fana. Przerażona Eleanor zaczęła wzywać pomocy i już za chwilę Joseph, dozorca, stał za nią. Potem przybiegł też Max. A biedaczka wybuchnęła histerycznym płaczem, ściskając zdjęcie w cennej złotej ramce, póki go jej nie odebrano i nie odprowadzono jej do wyjścia.

To przecież drobnostka. Ryzyko zawodowe...

Max szybko się otrząsnął i polecił Eleanor nie robić zamieszania wokół sprawy. Powinna się

cieszyć, droczył się z nią, biorąc pod uwagę recenzje jej ostatniego filmu, że ciągle ma jeszcze fanów, którym na niej zależy. Oczywiście miał rację. Takie rzeczy się zdarzają.

Tymczasem siedziała przy stole – królowa we własnej bajce – i powinna czerpać z tego przyjemność. Przed sobą widziała pogrążonych w rozmowach gości, którzy wyglądali na zadowolonych z faktu, że są właśnie tu. Homary już zjedzono. Z blatu posprzątało wszystkie reszki uznanej za wyśmienitą i ogromnie wytwornej październikowej kolacji u Beechamów. Eleanor słyszała dźwięki jazzu wdzierające się przez otwarte okna. Już niedługo, po kawie i kolejnym kieliszku, wymknie się i poprosi band, żeby trochę podkręcił tempo, i zaczną się tańce. Wszystko szło zgodnie z planem. Wszystko było cudownie.

Zdecydowała ostatecznie, że posadzi Marion na honorowym miejscu, obok bystrego i łagodnego Irvinga Thalberga, którego ta dobrze знаła. Sama usiadła z drugiej strony mężczyzny. Nie dlatego że go lubiła – choć i tak było – ale dlatego, że jako główny producent w MGM, największym i przynoszącym największe zyski w Hollywood studiu, Irving był najpotężniejszym człowiekiem przy stole, jeśli nie w całej branży. A ponieważ siedmioletni kontrakt Eleanor z prawie tak samo dużym, ale zdecydowanie mniej świetnym studium Lionsfiel Pictures miał niebawem wygasnąć, chwila wydawała się odpowiednia, by pogłębić relacje z konkurencją.

Po swojej prawej posadziła Douglasa Fairbanka, który był męczący na wszystkie możliwe sposoby, ale był wielką gwiazdą i obraziłby się, nie siedząc obok pani domu. Max, daleko w drugim końcu stołu, z tego samego powodu miał po swojej prawej stronie Głorię Swanson. Musiał jednak chyba zamienić bilecik przy nakryciu po swojej lewej, bo na miejscu żony Irvinga, Normy, siedziała sama Blanche Williams, główna reporterka magazynu „Photoplay”.

Eleanor wiedziała – powiedział jej Butch Menken. Butch zaś wiedział, bo... Butch żył z wiedzy o życiu innych. Poza tym znał niemiecką aktorkę, która mieszkała w tym samym apartamentowcu co Blanche i zauważyła Maksa wchodzącego i wychodzącego z mieszkania dziennikarki przy różnych, dość licznych, okazjach. Tak więc Eleanor wiedziała. A w zasadzie prawie wiedziała. Takbyło już od dobrych kilku lat.

Czy Max miał świadomość, że ona wie? Czy go to w ogóle obchodziło? Niczego nie mogła być już pewna... Chryste! Oczywiście mogła go zostawić. I może nawet kiedyś to zrobi. Ale jeszcze nie dziś. Poczula, że musi zająć myśli czymś innym.

Zastanawiała się, czy Thalberg orientował się, że jej kontrakt z Lionsfiel niebawem się skończy. Pewnie nie. Czy powinna mu powiedzieć? A może byłoby to nie na miejscu? A jeśli się dowie, czy zaproponuje jej przejście do MGM? Oczywiście, że nie. Dlaczego miałby to zrobić? Dlaczego? A może powinna opowiedzieć mu o fance, którą dziś zdybała w swojej sypialni? Może to zrobiłoby na nim wrażenie? Może nawet pomyślałby sobie... Uszczypliła się. Była pijana. Poczula, że jeszcze chwila i wybuchnie płaczem.

Kelner, przechodząc, uzupełnił jej kieliszek. Połknęła jego zawartość, nie czując smaku, ułożyła piękne pełne usta w pozbawiony wyrazu uśmiech i pozwoliła spojrzaniu błądzić wzdłuż stołu. Gwiazdy, gwiazdy, same gwiazdy... Buster Keaton i Natalie Talmadge... Gary Cooper, sąsiad, John Gilbert, Greta Garbo, Charlie Chaplin, Cecil DeMille... i Mary Pickford, rzecz jasna, z mężem Douglasem Fairbanksem, który bez Mary byłby już całkiem nie do zniesienia. Między gwiazdami ekranu siedzieli inni: kierownicy wytwórni filmowych, producenci, pisarze – same grube ryby, które uczyniły z Hollywood fabrykę pieniędzy. Tak, Eleanor pomyślała po raz kolejny, całkiem spory tłum. Razem z Maksem mogliby pewnie wciągnąć ich w...

Wszystko było w najlepszym porządku. ...Gdzież te flagi powieszono! Za nisko, za blisko świeczników...

Skup się.

Max. Gdzie on jest? Dotyka właśnie policzka Blanche Williams? Niech przestanie! Ona powinna to powstrzymać...

Skup się.

Douglas Fairbanks coś do niej mówi, najwyraźniej przekonany, że to fascynujące... Czyjś szofer zbił majątek grając na giełdzie... Nie musiała bardzo się wsłuchiwać. Ostatnio każdy znał kogoś, kto znał szofera, który się dorobił. Rozmowy toczone przy obsadzonym gwiazdami stole w istocie niewiele się różniły od tych, które tej nocy prowadzono przy milionach stołów w całej Ameryce. Jakby wszyscy rozmawiali tylko o jednym: kto zarobił, ile, na czym i z jaką marzą, o wroście wartości Bethlehem Steel i stracie General Motors, National Waterworks czy United Founders... Giełda stała się powszechną obsesją.

17 października 1929 roku, dzień przyjęcia u Beechamów, był uspokajająco dobrym dniem na Wall Street, wręcz świetnym dniem po niepokojąco złym, kończącym rekordowe lato. Było kilka poważnych zachwiała na początku miesiąca, „żeby nie było nudno”, jak orzekł Max i jego przyjaciele, ale tego ranka gazety wypełniły się pocieszającymi wypowiedziami ekspertów: „Wydaje się, że ceny akcji – oświadczał profesor Fisher z Uniwersytetu w Yale – osiągnęły stabilny wysoki poziom”, a jego szacowny głos był jednym z wielu w chórze gównianych ekspertów – naukowców, biznesmenów, szych z finansjery – którzy przynosili rynkowi otuchę. W górę, w górę znów szły ceny akcji, wracając na swój najwyraźniej pewny kurs. Oznaczało to, że kto zadzwonił do swojego maklera, zanim usiadł do stołu, jak zrobiła to większość gości Eleanor oraz jej mąż, mógł spokojnie oczekiwać sukcesu.

Ale nie Eleanor. Tej wyjątkowej nocy, gdy miała na głowie pięćdziesięciu jeden gości, przewracając się lampę, Marion Davies i flagi, i cholernego Maksa całującego ją tak, że na minutę jej serce napełniło się nadzieją, a za chwilę rozmawiającego z ożywieniem z Blanche Williams, Eleanor uznała ten popularny temat za zupełnie niezajmujący.

– Och, to wspaniale, Dougie – powiedziała uprzejmie. – Twój znajomy musi być teraz bardzo szczęśliwym szoferem.

– Czyż to nie wspaniale?! – Douglas Fairbanks krzyczał. Zawsze krzyczał. Krzyczał, bo nie cierpiał nie być w centrum uwagi. – Czyż to nie jest wspaniałe uczucie?! – Odwrócił się do reszty gości. – Co sądzicie? Nie wspaniale? Co ty uważasz, von Stroheim? Czyż nie jest wspaniałe wiedzieć, że żyjemy w kraju, w którym jakiś zwykły Joe może nagle stać się milionerem tylko dzięki temu, że... wiedział, jak to zrobić? Pan Iksiński z byle dziury może zbić fortunę ot tak! I to dotyczy nas wszystkich! Dlatego kocham Amerykę! – Uderzył w stół z taką siłą, że Eleanor aż podskoczyła na krześle. – Dlatego jestem dumny z tego, że jestem Amerykaninem! Charlie, chłopcze, daj spokój. Musisz się zgodzić! – krzyczał. – Słyszałeś profesora jakiegoś tam we wtorek. Słyszałeś, co gość mówił. I ty mi mówisz, że wiesz lepiej od profesora z Yale?

Douglas jednak dobrze wiedział, że w tej kwestii Charlie Chaplin nigdy nie zgodzi się ani z nim, ani nawet z żadnym profesorem. Jako Anglik był jedynym ostrożnym głosem w całym towarzystwie.

– Dobrze wiesz, co myślę, Dougie – powiedział powoli. I mówił to już wielokrotnie wcześniej. – Ludzie robią pieniądze na pieniądzech. Coś takiego nigdy wcześniej się nie działo! To jest sztuczka,

złudzenie optyczne. To jest ogromne nic ustawione na wielkiej stercie figi z makiem. To się nie może udać!

– Ach, Charlie – jęknęła Marion. – Nie zaczynaj znowu. N-nikt nie chce tego słuchać!

Charlie uśmiechnął się do niej i wzruszył ramionami.

– To Dougie zaczął. Zresztą ja tylko powtarzam to, czego dowiedziałem się od ekspertów...

– Od jednego eksperta! – Douglas Fairbanks znów krzyczał. – Przyczepiłeś się do tego swojego „specjalisty”, jakby był jakąś wyrocznią... A to jest tylko pojedynczy odosobniony głos, Charlie, chłopcze. Nikt już nie stoi po jego stronie...

– Przyjdzie załamanie. – Charlie znów wzruszył ramionami. – On tak uważa. I uważa też, że ten krach będzie katastrofalny. Pytanie tylko: kiedy? Ja sam, jak wiesz, Dougie, już się z tego wykręciłem. – Spojrzał na siedzących przy stole. – I chyba jestem jedyną tu osobą, która nie ma kapitału w akcjach. Ha! Może nawet jestem jedyny w całym Hollywood!

– Butch Menken też wszystko sprzedał – powiedział ktoś i nie była to Eleanor.

– Butch się wyprzedał, naprawdę? – Charlie spojrział na Mary Pickford. – Kiedy?

– Och, kilka tygodni temu – wyjaśniła Mary. – Zastanawiam się, czy nie zrobić tego samego.

– Uśmiechnęła się. – Jeśli Butch Menken tak zrobił, to...

– ...wszyscy powinniśmy zrobić to samo! – dokończył Charlie, powodując grymas na twarzy Mary. – Zresztą to bystry facet.

Eleanor milczała. Przyglądała się uważnie posrebrzanemu widelcykowi deserowemu, który trzymała w ręku. Nawet nie spojrzała na rozmawiających. Na ledwo zauważalną chwilę zapadła głucha cisza. To pewnie z powodu ich historii – Butch, Max i Eleanor byli nierozłączni. Marion szybko i taktownie przerwała milczenie:

– No, ale z-zarobiłeś, co nie, Charlie?! – zawołała. – Wszystkie akcje, które Charlie w życiu kupił, szły do góry! Wszystko sprzedałeś. K-kupa forsy, nie? I teraz masz się z pyszna, bo gdybyś został na g-giełdzie dzień czy dwa dłużej, p-pewnie znów byś się wzbogacił jak my wszyscy. Nieprawdaż, Charlie?

– Ja tylko mówię, że... – Charlie zamilkł, westchnął i chyba przemyślał zakończenie swojej kwestii, bo powiedział tylko: – Po prostu nie przychodźcie do mnie z płaczem, jak nie będziecie mieć forsy.

– Ha! Na p-pewno nie z p-płaczem p-przyjdzie do ciebie M-Marion, Charlie, chłopcze! – oświadczył Douglas i rozejrzał się, żeby zobaczyć, jaką wesołość wzbudził, ale w odpowiedzi dostał tylko ciszę i zniesmaczenie.

Siedząca obok niego żona w geście pocieszenia ścisnęła jego ramię.

– Nie mam racji, Mary? – zapytał słabo.

Był pijany i był głupcem, wszyscy o tym wiedzieli. Mimo to Eleanor spoglądała nerwowo na Marion.

– Jakie piękne kandelabry! – zauważyła Mary Pickford swoim słodkim, dźwięcznym głosem.

– Powiedz, Eleanor, przywieźliście je z Europy?

Eleanor odwróciła się ku niej z wdzięcznością i rzuciła się opowiadać Mary tę wzruszającą historię o tym, jak je znaleźli, wszystkie osiemnaście, pokryte grubą warstwą kurzu w małym antykwariacie w jednej z bocznych uliczek Rzymu.

– Och, te wspaniałe małe sklepy z rupieciami! – wciął się Douglas. – To mi przypomina takie śmieszne zdarzenie sprzed kilku lat...

Eleanor myślała tylko o tym, żeby przechylić się przez stół i przeprosić Marion, ale póki ten bubek nie przestanie kłapać dziobem, póty było to niewykonalne.

– ...w jednej ręce trzymałem świecznik i wisiałem – ryczał Fairbanks – sto stóp nad ziemią na olinowaniu, a wszystko się kołysało. I zaraz szuuuuu! Całe stoi w płomieniach, a ja myślę sobie – bez żartów – zaraz umrę! Właśnie teraz. A byłem w stroju Robin Hooda z Sherwood!

Eleanor, nie słuchając, posłała mu najbledszy ze swoich uśmiechów.

– Wyobraź mnie sobie, El! – krzyczał uparcie, próbując wymusić na niej jakąś lepszą reakcję. – Sto stóp nad ziemią!

Wstał, chwycił stojący najbliżej kandelabr i wybuchnął tym swoim denerwującym aktorskim śmiechem. Podniósł świeczniki i wywijał nim w powietrzu.

– Trzymam tę linę i uciekam śmierci...

Eleanor obserwowała go. Czuła, jak zimny pot zaczyna spływać jej po plecach. Czuła, jak ze strachu ścisną się jej płuca, jak traci oddech. Widziała tylko zapalone knoty świec i końcówki powiewających flag.

– A potem znowu szszszszuuuuu! – wrzeszczał Douglas.

Siedziała nieruchomo, a ogień kołysał się to tu, to tam, w jedną, a potem w drugą stronę, zbliżając się i oddalając od delikatnych, a przecież stanowiących ogromne niebezpieczeństwo jedwabnych proporców. Otworzyła usta, żeby zaprotestować...

– Ha, ha, ha! Potrafisz sobie to wyobrazić, El?

El jednak już go nie słyszała.

– To ja, facet w pończochach!

Jej płuca całkiem się zacisnęły.

– W pończochach, daję słowo! – krzyczał Douglas, śmiejąc się i chwiejąc.

Eleanor straciła oddech...

– Facet w pończochach, ha, ha, ha!

Poczuła w ustach smak spalenizny. Czuła go też w gardle, w klatce piersiowej. Czuła, jak wypełnia ją, pali, roztopia i dusi.

– Szszszszuuuuuuu! Ogień! Ha, ha, ha!

W tej chwili stanął obok niej Max. Najpierw odebrał Douglasowi świecznik i postawił go w końcu stołu, potem przemówił do niej głośno i wyraźnie:

– Eleanor! – Jego ciężka, mocna dłoń spoczęła na jej ramieniu. – Kochanie, myślę, że już czas, żebyśmy ruszyli na parkiet! Grają właśnie najlepszego charlestona, słyszysz? Nogi same mi się rwą do tańca...

Eleanor uśmiechnęła się z wdzięcznością, czując jego dotyk. Chciała się otrząsnąć.

– Słyszę – powiedziała najśłodszy głosem, jaki potrafiła z siebie wydobyć. – Jest po prostu doskonały! Nie czekajmy już ani chwili!

Max czuł, że cała drży. Czuł wstrząsy przechodzące przez jej ramię pod jego dłonią. Nachylił się i pocałował ją. Tak po prostu, przy wszystkich. Ktoś, pewnie Marion, westchnął:

– Aaaach...

Pocałunek trwał sekundę lub dwie dłużej niż zwykle – dwie sekundy dla Eleanor na dojście do siebie. Douglas Fairbanks, niepokieszony tym, co widzi, przysunął się do żony i też pocałował ją w usta.

– Mary, moja kochana żono, uwielbiam cię! – krzyknął.

– Och, nie d-drzyj się już, Dougie! – rzuciła Marion. – Raz w ży ciu m-mógłbyś się zamknąć, co nie?

Max odsunął się od Eleanor. Ona posłała mu uśmiech. Wstała.

– Aż się boję pomyśleć, o czym rozmawialiście po tej stronie stołu – powiedział Max do wszy stkich, patrząc tylko na żonę.

– Muszę cię rozczarować. Dy skusja doty czyła tylko funduszy inwestyc yjnych...

– Eleanor, kochana, nawet sobie nie wyobrażasz, jak myśmy się wynudzili tam, w naszym końcu stołu! – wtrąciła się Gloria Swanson.

– Och, najuniżeniej przepraszam, Glorio. – Max rzucił jej uśmiech. – W przyszłym roku będzie lepiej, obiecuję.

– Jeśli wierzyć Charliemu Chaplinowi – powiedziała Eleanor miękko i z tym swoim czarującym uśmiechem, z którym flirtowała i rozbawiała wszystkich wokół – w przyszłym roku wszyscy spotkamy się w przytułku dla biedaków. Tam nie będzie imprez!

Goście odpowiedzieli gromkim śmiechem i szuraniem krzesłami. Krzesłami, które – co zauważyłyby Douglas, gdyby widział coś poza czubkiem własnego nosa – powinny być mu dobrze znane, tak samo jak wspaniałe kandelabry i wspaniałe stół bankietowy. Każde bowiem z nich z samego rana miało wrócić do magazynu rekwizytów wytwórni filmowej, dla której Dougie pracował.

– Koniec z nudziarstwem albo Gloria Swanson wróci do domu obrażona! – ogłosił Max. – Tego przecież nie chcemy! To jest impreza, u licha. A poza tym wszyscy poza Charliem rzecz jasna, zbiliśmy dziś fortuny!

– Boże błogosław Amerykę! – wrzasnął Fairbanks.

Max udał, że go nie słyszy.

– Chodźmy tańczyć! – rozkazał.

Na krótką chwilę błyskotliwy i przystojny jak sam diabeł reżyser oraz jego olśniewająca małżonka znów byli parą i byli szczęśliwi. Ścisnął jej dłoń i poprowadził ją przez marynistycznie przystrojony taras w stylu włoskim, przez pachnący hall ozdobiony niebiesko-białym bzem, aż na sam środek parkietu... I mimo że żadne z nich, skupionych tylko na sobie, tego nie zauważyło, śmietanka amerykańskich sław i piękności podążyła ich śladem.

Nikt przez resztę wieczoru nie wspomniał o giełdzie. A tańce trwały do piątej rano.

4

Zbyt często w mających się ku końcowi małżeństwach takie chwilowe wzloty powodują więcej złego niż dobrego. Upadek z większej wysokości boli przecież bardziej.

Kiedy pokojowa przyniosła Eleanor poranną herbatę, Maksą już nie było. Filiżankę przyniesiono o jedenastej trzydzieści – na tacy, jak zwykle ze szklanką świeżo wyciśniętego soku z cytryny, niesłodzonego, i tradycyjną paczką wcześniej wyselekcjonowanej poczy oraz kwadratowym skórzanym pudełeczkiem na biżuterię. Eleanor wypila łyk soku. Wzdrygnęła się, po czym otworzyła podarek.

Co roku rankiem po przyjęciu Max dawał jej jakąś błyskotkę. Tegoroczna – duży wisior z rubinu w kształcie serca – była większa i zdecydowanie cenniejsza niż prezent sprzed roku. Eleanor pomyślała, że to z powodu dobrej passy na giełdzie. Była też bardzo piękna – co do tego nie miała wątpliwości. Max miał doskonałe wyczucie smaku. Skrzywiła się, przełykając resztkę soku, włożyła wisior z powrotem do pudełka i odłożyła na bok. Nie chciała go dłużej oglądać. Dlaczego ze wszystkich możliwych kształtów wybrał właśnie serce? Serce! Co za absurd! Zastanawiała się, co w takim razie podarował Blanche. Może rubinowy wisiołek w kształcie fiutka?

Zaśmiała się sama do siebie, choć to wcale nie było śmieszne, i poszukała wzrokiem dołączonego do prezentu liściku. Zawsze był jakiś liścik. Chciałaby po prostu go zignorować, nie otwierać. Zresztą Max nie mógłby napisać nic, co sprawiłoby, że wszystko znów będzie dobrze. Czy mógłby napisać coś, co by jej nie zabolęło?

Kochanie!

Kolejna wspaniała noc za nami!

Miej przyjemny ranek – zasłużyłaś na niego.

Twój zawsze kochający

Odłożyła list „Zawsze kochający”. W rzeczy samej. Czy już zapomniał, po co wydawali przyjęcie? Co roku tej właśnie nocy? Nigdy nie wspominał o tym nawet słowem. Cholera, skronie jej pulsowały. Chyba jednak wypiła wczoraj więcej, niż jej się wydawało.

Eleanor słyszała ludzi, którzy na dole sprząтали po przyjęciu. Jeśli zostanie u siebie wystarczająco długo, jak planowała, nie zobaczy na dole już ani śladu po imprezie. Proporce, kwiaty, osiemnaście świeczników, przetykany srebrną nitką obrus, stół – wszystko było wypożyczone i już zniknęło. Mogła o tym zapomnieć aż do przyszłego roku, jeśli w ogóle nadejdzie.

Poleżała jeszcze trochę w łóżku, napawając się tym, że nie musi wstawać. Najnowsza produkcja z jej udziałem skończyła się właśnie w miniony weekend, więc miała kilka dni dla siebie. Wiedziała, jak wykorzystać ten cenny czas. Rzuciła okiem na korespondencję leżącą na tacy i ze znanym sobie dobrze ukłuciem niepokoju na pakunek, jakich widziała już wiele.

Tak szybko. Szkoda...

W kopercie będzie na wierzchu jednostronicowe streszczenie, opis fabuły i charakterystyka postaci, a potem na osiemdziesięciu kartkach scenariusza, tak jak dotychczas przy każdym filmie, w którym grała, znajdzie swoje kwestie podkreślone kolorowym ołówkiem. Tak było zawsze i nie podlegało to dyskusji. Rola była po prostu kolejnymi linijkami tekstu do nauczenia. Miało jej to przypominać, że chociaż była gwiazdą całej Ameryki, dla Lionsfiel Pictures była tylko szeregowym pracownikiem – błyszczącym trybikiem w bardzo wielkiej i bardzo błyszczącej maszynie. Tak działał ten system. Miała robić to, co jej kazano. Za to jej płacono – dobrze płacono. Eleanor już dawno zrozumiała, że nie będzie w stanie wygrać z potęgą studia.

Nie miało znaczenia, jak dobrą aktorką była – pewnego dnia musiało ją to spotkać i na pewno ją spotka, tak jak spotyka wszystkich; kobiety wcześniej niż mężczyzn. Pewnego dnia Eleanor otworzy znajomo wyglądającą kopertę, którą przyniesie jej pokojówka razem ze śniadaniem, i odkryje, że już nie stoi w świetle reflektorów. Główna rola w scenariuszu będzie podkreślona dla kogoś innego – młodszego, świeższego, piękniejszego, jaśniejącego większym blaskiem, dla kogoś lepszego... Na myśl o tej chwili drżały wszystkie gwiazdy filmowe.

Eleanor miała... No właśnie, ile lat? Kłamała na ten temat tak często, że sama już nie wiedziała. Czy to zresztą miało jakiegokolwiek znaczenie? Ciągłe przecież wyglądała młodo. Łatwo było ją odmłodzić jeszcze bardziej – w dobrze ustawionym matowym świetle nie wyglądała na więcej niż dwadzieścia pięć lat. Nie miała więc powodu do obaw. Mimo to postanowiła nie otwierać na razie koperty. Jeszcze nie teraz. Położyła się znów na miękkich poduszkach, na swoim wspaniałym gigantycznym łóżku, w pięknej, wypełnionej słońcem sypialni. Sączyła herbatę i przypominała sobie wczorajszą wieczór.

Max miał rację, przyjęcie się udało. Gdyby nie ten nieprzyjemny wyskok Dougiego, ten straszny moment, kiedy wymachiwał świecznikami, można by nawet powiedzieć, że było doskonałe, lepsze niż wszystkie poprzednie z różnych powodów, w tym z powodu obecności Marion Davies. To był niezły traf. Zresztą nie tylko, bo również przyjemność.

Marion odciągnęła Eleanor na bok zaraz po kolacji, dosłownie sprowadziła ją z parkietu,

wsunęła jej w rękę koktajl, stuknęła się z nią kieliszkiem i mrugnęła porozumiewawczo. Potem na raz osuszyła kieliszek i wytarłszy usta wierzchem dłoni, powiedziała:

– D-dobrze to rozegrałaś.

– To? – Eleanor zmieszła się, bo nic przecież nie zrobiła.

– D-dobrze odpowiedziałaś D-Dougiemu...

– Ale przecież ja nic nie powiedziałam!

– Chodzi mi o to, jak na niego spojrziałaś, jak się nie zaśmiałaś.

– Och, miałam ochotę zrobić znacznie więcej! Nie wiedziałam tylko, czy miałaś z nim wcześniej do czynienia, i pomyślałam, że lepiej nie rozdmuchiwać sprawy. Bardzo mi przykro, Marion, naprawdę, nie wiem, jak cię przeproszać...

– Rozłożyłaś go na łopatki.

– Tak myślisz?

– No, proszę cię!

Zapadła cisza, dziwna cisza. Wydawało się, że Marion chciała powiedzieć coś jeszcze i że to miało być bardzo ważne. W ostatniej chwili jednak się rozmyśliła i powiedziała tylko:

– Chciałam ci po p-prostu p-podziękować. To wszystko. I chciałam też, i tak miałam to zrobić, zaprosić cię do San Simeon. Przyjechałabyś?

– Oczywiście! – odpowiedziała Eleanor. – Bardzo chętnie!

– W przysłym tygodniu czy jakoś tak – wymamrotała. – W każdym razie jak najszybciej. Może w następny weekend? Pasuje ci?

– Cóż... – Eleanor się zaśmiała. – Oczywiście. Jesteśmy wolni. Oboje dopiero co skończyliśmy film.

– Wiem o tym. – Marion puściła oko. – Czyż to nie p-pięknie się składa? W takim razie p-przysły p-poniedziałek może być? Sproszę dobre towarzystwo, obiecuję. P-poślę wam wszystkie potrzebne rzeczy. Bilety i tak dalej... O nic się nie martwcie.

– Przysły poniedziałek... Max będzie zachwycony.

I wtedy nagle, z cichym jakby cknieniem, Marion przysunęła się do Eleanor i przytuliła ją w mocnym i ciepłym uścisku. Trwało to kilka dobrych sekund. Położyła głowę na ramieniu Eleanor, ściskając ją i tuląc. Nagle odskoczyła, puściła ją i, nie spojrzawszy nawet, odeszła.

To był, pomyślała Eleanor, najdziwniejszy i z powodu tej serdeczności najlepszy moment wczorajszego przyjęcia. Marion wspomniała o San Simeon jeszcze raz, kiedy wychodziła. Miała przysłać szofera z biletami na pociąg jeszcze w tym tygodniu. Może zatem, miała nadzieję Eleanor, nie blefowała... Poza tym Marion sporo się udzielała podczas całego przyjęcia. Przez pół nocy obściskiwiała się z Charliem Chaplinem, potem Charlie przydybał małą protegowaną von Stroheima, prawie jeszcze nastolatkę – biedactwo... Marion trochę tańczyła z Garym Cooperem, ale ten opuścił ich wcześniej, bo właśnie kręci film. Wyszedł chwiejnym krokiem przez rozświetlony blaskiem księżycy ogród, żeby uniknąć spotkania z fanami wystającymi pod jego bramą. Marion zaś przerzuciła się na Johna Gilberta. Tu szło jej całkiem nieźle, gdyby nie La Garbo, która jak zwykle zaczęła robić aferę, co było całkiem bez sensu, biorąc pod uwagę, że Greta nie przyszła na to przyjęcie z Johnem. Tak naprawdę Greta spędziła większą część imprezy w gorącym, ciemnym zaułku z panną Lilyan Tashman... Eleanor uśmiechnęła się pod nosem. Do licha, gdyby tylko jej publiczność to widziała! Gdyby Irving to widział! Szkoda, że wyszedł wcześniej... Ta dziewczyna miała na koncie ledwie kilka filmów, w tym żadnego dźwiękowego,

a zachowywała się jak królowa Saby.

Wzrok Eleanor znów padł na kopertę ze scenariuszem. Greta była od niej o dziesięć lat młodsza, tego nie dało się ukryć. Była też piękna. Tak cholernie piękna. Nikt pod tym względem nie mógł się z nią równać. Nikt, do cholery, nie miał nawet szansy...

Nie otworzy koperty, jeszcze nie teraz. I wtedy, zanim zdążyła się zorientować, jej myśli popłynęły do panny Blanche Williams, głównej reporterki.

Lepiej już rozpakować ten scenariusz.

Leżał tam, gdzie go zostawiła. Co ją powstrzymało? *Syreny* zarobiły ponad milion trzysta tysięcy dolarów. W tym czasie Greta nie zdążyła się nawet przerzucić na kino dźwiękowe. Ponad milion trzysta! Od tamtej pory Eleanor zagrała jeszcze w trzech produkcjach. Każda zarobiła mniej niż poprzednia. No i w końcu przyszła prawdziwa kłapa, wybuczana i przez krytyków, i przez widzów. „Co się stało z tą ekscytującą aktorką?” – pisał recenzent w „*American Mercury*”. „Rola Eleanor Beecham jest tak nijaka i pozbawiona życia, jak to tylko możliwe. Może już czas, by dobrzy ludzie z Lionsfiel spuścili przed nią kurtynę, zanim *La Beecham* stanie się zastępczym tytułem dla wszystkich filmów, których nie chcecie oglądać”.

Kurwa. Pieprzyć to.

Eleanor zrobiło się niedobrze. Dlaczego Blanche Williams siedziała na honorowym miejscu? Po co w ogóle przyszła?

To jasne, przyszła, bo Max na to nalegał. Powiedział Eleanor, że jest to winny Blanche po tym, co napisała o jego ostatnim filmie. Może rzeczywiście był jej coś winien. Ciągłe był komuś coś winien. Ale nie wszystkich zapraszał na przyjęcie, więc z pewnością nie o to chodziło z Blanche. Zaprosił ją, bo się z nią pieprzył. I pewnie dlatego, że ona naciskała. I dlatego że miała nad nim tę władzę, jaką kobieta ma nad mężczyzną, który szczególnie lubi się z nią pieprzyć.

Eleanor nie chciała o tym myśleć. Nie dziś, nie tego ranka. Nie chciała rozmyślać o Maksie. Nie chciała rozmyślać o studiu. Nie chciała pamiętać o swojej kończącej się karierze, gasnącej urodzie i romansie męża. Postanowiła pomyśleć o Butchu.

Czasem jej to pomagało, ale nie dziś. Dziś jego imię wywoływało w niej jedynie poczucie winy, smutek i lekką przypiły w pożądania. Lecz poza tym nic...

I wtedy pojawiła się też w jej myślach – nieodłączna i niemożliwa do wymazania, towarzysząca jej ciągle i tylko czekająca, żeby się pokazać – twarz trzyletniej Ishy, woskowata od gorączki i łkająca.

Na tacę ze śniadaniem trafiały z zasady tylko miłe listy. Dopuszczalne były też zaproszenia i korespondencja od bliskich (no i oczywiście scenariusze, tego nie dało się uniknąć). I czasami, raz na kilka miesięcy, zresztą coraz rzadziej, to.

Serce Eleanor zamarło.

5

Eleanor wpatrywała się w list. Wysłany w Reno, jak zwykle. W takiej samej zwyczajnej brązowej kopercie, bez nazwiska i adresu nadawcy.

*Droga Panno Kappelman,
jako że jest Pani jedną z naszych najważniejszych klientek, spieszę poinformować Panią o ostatnich smutnych zajściach.*

Mój najukochańszy ojciec po dwudziestu pięciu latach ofiarnej pracy dla biura, które – jak Pani z pewnością wie – sam założył, odszedł w zeszłym miesiącu. W związku z tym i zgodnie z wcześniejszym z ojcem moim ustaleniem porzuciłem mą posadę w policji miejskiej w Reno i zajęłem się sprawami biura. To dla mnie trudny i smutny okres, ale jednocześnie czas, którego dawno oczekiwałem. Czekam z nadzieją i niecierpliwością na zmiany, które niebawem nastąpią...

Eleanor przeskoczyła dalszy fragment.

Proszę, by zapoznała się Pani z załącznikiem, w którym informuję Panią, iż ceny usług wzrosły...

Oho.

...Zdaję sobie sprawę, że postępy w Pani sprawie były jak dotąd raczej mierne. Nie bez wpływu

na to pozostają bardzo skromne informacje, jakie nam Pani przekazała. Mimo to proszę być pewną, że jesteśmy w pełni oddani Pani sprawie i dojszciu do prawdy i nie spoczniemy w poszukiwaniach, póki nie przetrząśniemy nieba i ziemi. Już w tej chwili mogę Pani zdradzić, że bardzo posunęliśmy się w pracach.

Proszę kontaktować się ze mną, jeśli tylko będzie Pani miała takie życzenie lub gdyby pragnęła Pani o coś zapytać czy przekazać nieujawnione dotąd informacje dotyczące sprawy. Gdyby zechciała Pani złożyć nam wizytę w naszym biurze w Reno, zapewniam, że będzie Pani najmilej widzianym gościem. Rozumiem jednak, że tak daleka podróż mogłaby być dla Pani niedogodnością, dlatego ze swojej strony dołożę wszelkich starań, by na bieżąco informować Panią o rozwoju sytuacji drogą korespondencyjną.

Byłbym wdzięczny, gdyby przy najbliższej sposobności zechciała Pani zapoznać się z załączonym cennikiem.

Z wyrazami głębokiego szacunku

Matthew Gregory

Eleanor przeczytała list ponownie, a potem jeszcze raz, desperacko próbując wyczytać między wierszami jakąś ukrytą wiadomość. Im dłużej jednak go czytała, tym list wydawał się jej bardziej tajemniczy. Zatem Gregory senior umarł... Nigdy go nie spotkała, więc wiadomość o jego śmierci niespecjalnie ją dotknęła. Może ten nowy człowiek będzie bardziej przydatny? Z listu wynika, że to możliwe. W każdym razie brzmią przy najmniej optymistycznie. Tak optymistycznie. Czyż to nie jest wspaniałe?

Może nowa para oczu zdoła zobaczyć coś nowego, coś, co wszyscy do tej pory przeoczyli? Może rzeczywiście udało mu się już czegoś dowiedzieć. Może, może... W końcu to nowa para oczu... I może też wizyta w Reno zrobiłaby jej dobrze?

Zaśmiała się na tę myśl. Był jeden powód, dla którego nie mogła tego zrobić: nadawca listu dowiedziałby się, kim Eleanor jest naprawdę, a wtedy zaczęłyby się pytania i zrobiłoby się niebezpiecznie. Chociaż udałoby się jej przecież jakoś z tego wybrnąć, skoro udawało się przez wszystkie te lata.

Zatem czemu nie? Jeszcze minutę temu pomysł wydawał się czystym szaleństwem, teraz nagle był nie tylko możliwością, ale i koniecznością.

Eleanor poczuła, że zatliła się w niej nadzieja – uczucie, na które nie pozwalała sobie przez tak wiele już lat. Musiała porozmawiać z Maksem. Musiała wszystko mu wyjaśnić, bo przecież on nie wiedział nic o panu Gregorym – ani o juniorze, ani o seniorze. Powie mu wszystko. Teraz. Tego ranka. Powie mu, że nigdy się nie poddała, mimo że on zrobił to już dawno. Pojedzie z nią albo nie. Chciała, żeby się zgodził, najbardziej na świecie. Jeśli nie, pojedzie sama. Wystarczająco długo już czekała. Teraz nie miała ani chwili do stracenia.

Zadzwoiła do jego biura, choć nie lubiła tego, bo musiała najpierw przebić się przez sekretarkę.

– O! Pani Beecham! – krzyknęła kobieta, gdy tylko usłyszała głos Eleanor. – Marzyłam o tym, że pani w końcu do nas zadzwoni i że będę mogła sama pani powiedzieć, jak bardzo mi się podobał ostatni film. Wiem, bo pan Beecham mówił, że innym się mniej podoba niż poprzednie

filmy. A my tu oczywiście wszystko sprawdzamy. Taką mamy pracę, nieprawda? Co, kto, gdzie. Szaleństwo, mówię pani. Ale daję słowo, dla mnie to cudowny film! Cały przeplakałam.

– Biedactwo. Dziękuję – powiedziała Eleanor taktownie. – Miło z pani strony. Dobrze usłyszeć, że się komuś podobało. A teraz czy mogłaby pani...

– A ta liliowa sukienka w ostatniej scenie! Nigdy nie widziałam nic piękniejszego!

– Tak, to rzeczywiście śliczna sukienka...

– A jak się udało wczorajsze przyjęcie? To było wczoraj, prawda? Pan Beecham był bardzo zadowolony ze swojej nowej marynarki. Dziewczyny od kostiumów zrobiły ostatnie poprawki wczoraj rano. Powinna pani to widzieć – uwijały się przy nim jakszalone. „Tak, panie Beecham”, „Nie, panie Beecham”, „Oczywiście, panie Beecham”.

– Panno Monroe, czy zastałam mojego męża?

– Czy pani zastała męża? – usłyszała zmieszany głos.

– Muszę z nim porozmawiać. Sprawa jest raczej pilna. Czy mogłaby pani... czy byłaby pani tak uprzejma i poprosiła go do telefonu?

– Mogę spróbować, rzecz jasna...

– Miło z pani strony.

– Ale wie pani, że go dziś nie ma.

– Nie ma go w biurze?

– No a jak Ma dziś wolne. Myślałam, że jest z panią.

– Ze mną?

Panna Monroe za późno zorientowała się, że popełniła błąd.

– Och, co ja wygaduję! Straszna ze mnie idiotka, panie Beecham! Pan Beecham jest pewnie z... pewnie siedzi u pana Silvermana w jego pokoju, jak zwykle! Czy chce pani, żebym poszła po niego? Jeśli pani chwilkę zaczeka...

– Nie, panno Monroe – powiedziała Eleanor szybko. – Dziękuję pani bardzo. To nic ważnego, później z nim porozmawiam.

Rozłączyła się. Dwa razy głęboko odetchnęła. Czego się spodziewała? Przecież już dawno o wszystkim wiedziała.

Wstała z łóżka, nie pozwoliła sobie na dalsze leniuchowanie. Nigdy nie pozwalała sobie na leniuchowanie. Ubrała się i spałowała. Na arkusiku ze specjalnie dla niej zaprojektowanej papeterii pod tłoczony mi na złoto połączony mi inicjałami Maksa i własny mi napisała:

Kochanie,

dzwoniłam do studia, ale byłeś bardzo, bardzo zajęty! Pani Monroe zaproponowała, że Cię znajdzie, ale potem zasugerowała, że może pojechałeś do miasta na rekonesans, więc już nie mogłam czekać. Kochany, pamiętasz list od tego detektywa z Reno, który Ci kiedyś pokazałam i który tak Ci się nie podobał? Nie wspominałam Ci o nim więcej, żeby Cię nie denerwować, ale zatrudniłam go, bo... sam wiesz dlaczego. On umarł, Matz. Napisał do mnie jego syn i wydaje mi się, że ma dla nas jakąś ważną wiadomość. Poprosił mnie, żebym spotkała się z nim w Reno, i sam rozumiesz, że muszę jechać. Zadzwoń, jak tylko się dowiem, o co chodzi.

Twoja zawsze kochająca żona

Położyła list ostrożnie w widocznym miejscu na oświetlonej teraz promieniami słońca toaletce i jeszcze raz spojrzała na niego. Patrzyła długo.

Kiedy ostatnio mówiła do niego Matz? To imię napisane jej ręką spowodowało nieoczekiwane ukłucie bólu. Sama nie wiedziała, czemu go użyła. Zgniotła arkusiki porwała na strzępy. Wyjęła z szuflady inną kartkę i zaczęła na nowo:

*M,
wyjeżdżam na kilka dni. Myślę, że już czas, żebyśmy porozmawiali, nie sądzisz?*

E

Położyła list ostrożnie w mniej widocznym miejscu na oświetlonej teraz promieniami słońca toaletce, obok oprawionej w złotą ramkę fotografii. Wzięła torbę, zostawiła nieotwarte koperty, również tę ze scenariuszem. Tegoroczny prezent, cenniejszy niż ostatni, został zapomniany na tacy, przykryty zimną już grzanką. Eleanor, nie zastanawiając się dłużej, wyszła z domu.

6

– To pewnie zabrzmia śmiesznie – mówiła w tym czasie Blanche Williams kilka mil dalej – ale mam wiele uznania dla twojej żony. Bardzo ją szanuję. Kiedy ją zobaczyłam wczoraj na przyjęciu w tej szmaragdowej sukni, pomyślałam, że nikt nie ma tyle klasy i wdzięku co ona.

Twarz Maksa znajdowała się właśnie między jej udami, a jego język wewnątrz jej słodkiej, soczystej *knish*... Jeszcze kilka sekund temu Blanche mruzczała jak kociak... Do licha. Położył dłoń na jej brzuchu, a potem lekko uszczypnął ją w pupę, ale nie zmienił pozycji. Udawał, że nie słyszał, co powiedziała. Kiedy jednak Blanche zaczęła mówić – wiedział o tym bardzo dobrze – nie było już szansy na to, że ucichnie.

– Jest piękna – ciągnęła panna Williams. – Jest tajemnicza. Boże! Jest wspaniałą aktorką... Przynajmniej wtedy, kiedy się postara. I wiesz co? Czasem myślę sobie: „Czemu on, do diabła, spędza czas z taką panną? Nikt jak ja?”

Max się zatrzymał. Spojrzał na nią.

– Co mówisz, kochanie?

– Mówiłam, że...

Odpuścił. Wyciągnął się nad jej nagim ciałem, sięgając po paczkę papierosów. Zapalił dwa, jednego dla Blanche, i upadł na poduszkę.

– Słyszałem, co mówiłaś, kotku.

– I?

Ukrył westchnienie w wydychanym dymie.

– Co „i”?

– Po co się zadajesz z taką niemrawą grubaską jak ja, skoro w domu czeka na ciebie taka rasowa kobieta jak Eleanor Beecham?

Minęła spora chwila, zanim Max odpowiedział. Blanche to zauważyła.

– Dziecinko – wyznał. – Kocham się z tobą „zadawać”. – Roześmiał się. – I trudno byłoby cię nazwać niemrawą grubaską.

– No, ale ty nigdy o niej nie mówisz.

– A czemu miałbym o niej mówić?

– Temu, że jest twoją żoną. Jest nią. A ja jestem twoją kochanką. I temu, że wszyscy wiedzą, jak bardzo się uwielbiacie. I temu, jak ją pocałowałeś wczoraj. I temu, jak na siebie patrzyliście. I temu, że jestem zazdrosna jak cholera. Właśnie temu!

Max uśmiechnął się do jej ładnych szczerych oczu i zostawił całusa na jej zgrabnym ramieniu.

– Nie masz o co być zazdrosna, kochanie. Gdybyś miała powody, nie byłoby mnie tutaj.

Jego ręka wróciła na jej szczupły brzuch i powoli przesuwiała się niżej. Zatrzymała ją i z niechęcią odepchnęła.

– Nie jesteś uczciwy, Max.

– Dziecinko – wymamrotał, gładząc nosem jej szyję, a potem ramię. – Ty też nie jesteś uczciwa. I czym tu się przejmować? Nie masz powodu do zmartwień... Po prostu miej z tego frajdę...

Znowu go odepchnęła, tym razem bardziej stanowczo, i wstała. Zresztą i tak całe rano zabawiali się w łóżku. Choć chciałyby spędzić w nim i resztę dnia, musiała jechać do pracy. Miała w planie wywiad z nową aktorką studia Columbia, jakąś „na pewno zrobi karierę” panną znikąd, której dopiero co wymyślono atrakcyjną historię. Wytwórnia liczyła, że artykuł Blanche pomoże dziewczynę wypromować. Zależało jej jednak na tym, żeby przed wyjściem odbyć z Maksymem choćby namiastkę rozmowy. W łóżku bowiem Blanche uwielbiała być traktowana przedmiotowo, jak seksmaszyna – świetnie się zresztą w tej roli sprawdzała – ale poza nim chciała poczuć, że ma ludzką godność.

Blanche była o dziesięć lat młodsza od Maksyma, miała więc jeszcze wystarczająco dużo czasu, by wyprodukować gromadkę dzieciaków. Tylko że ona tego nie chciała. Jej dopiero wywalczona niezależność była dla niej wartością niezbywalną. Blanche była typową kobietą swoich czasów i była z tego dumna. Szła przez życie własną drogą: mieszkała sama w modnie urządzonej małym apartamencie („bardzo modern”, jak mawiała jej zawiedziona rodzina pozostawiona w Oregonie) w nowoczesnym budynku niedaleko Sunset Boulevard. Byli z Maksymem kochankami – z dwiema krótkimi przerwami, podczas których Blanche postanowiła żyć własnym życiem – od pięciu lat, czyli od wywiadu, jaki przeprowadziła z nim do swojej gazety.

To musiał być rok dwudziesty czwarty albo coś koło tego. Rok po tym, jak dołączył do Silvermana. Spotkali się na lunchu w Musso & Frank, sami, bez speców od marketingu, bo tak chciał Max. Miał jej opowiedzieć o swoim pierwszym filmie, jaki nakręcił po odejściu z Lionsfiel, o *Dziewczynie, która nie mogła się uśmiechnąć*. Film zarobił dla Silverman Pictures więcej niż jakikolwiek dotychczas. Ale Blanche dostała od wydawcy polecenie, żeby nie drążyć zbyt tego tematu, bo to pewnie nie zainteresuje czytelników szczególnie. Miała za to skupić się na motywach przejścia z jednej wytwórni do drugiej.

To, że Max zostawił Lionsfiel na rzecz Silvermana poruszyło cały filmowy światek. Nie tylko dlatego, że Beecham porzucił producenta i przyjaciela Butcha Menkena, z którym pracował przez lata, ale przede wszystkim z powodu Eleanor, która nadal była związana z pierwszą wytwórnią. Wcześniej cała trójka – producent, reżyser i gwiazda – mieli na siebie wyłączność. Znaleźli drogę do sukcesu, a – o czym nikt nie wątpił – ich trio wydawało się nierozłączne.

Max opowiedział zatem pannie Williams o „rozłamie, który wstrząsnął Hollywood” (jak zatyłowano potem artykuł). Mimo że nie miał ze sobą człowieka z działu marketingu, trzymał się oficjalnej wersji wydarzeń, która – jeśli nie liczyć kilku znaczących przemilczeń – nie była wcale bardzo różna od prawdy. Blanche potrafiła słuchać – jej wywiady były bardzo dobre. Nad talerzem parującego słynnego makaronu Musso & Frank oraz butelką Château Margaux, które Max przyniósł i pod stołem rozlał do filiżanek, opowiadał z rozbijającą życzliwością i elokwencją o tym, jak to smutno jest nie móc pracować już z ukochaną żoną. Oboje jednak uznali, że nadszedł czas, żeby każde z nich rozwinęło skrzydła. Eleanor chciała popracować z innymi reżyserami, Max – z innymi aktorami i aktorkami. Nie wspomniał o Butchu Menkenie.

– A co z Butchem Menkenem?

– Butchem Menkenem? – Max z lekceważeniem machnął ręką. – Butch to fajny facet.

– Tak o nim mówią...

– Jeśli idzie o sprawy artystyczne, nasza wspólna droga się skończyła. Ale tak jak mówię: to świetny facet i bardzo go szanuję.

– Więc nie było wielkiego zerwania?

– Nie było. Zdecydowanie nie. Butch i ja nadal jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi.

– Zatem nie należy wierzyć plotkom, że...

Uśmiechnął się sztucznie i spojrzał pannie Williams prosto w oczy.

– A jakie plotki pani słyszała?

Blanche zaczęła się, co nie zdarzało jej się często. Jego spojrzenie wprawiało ją w zakłopotanie. Sprawiało, że miała ochotę zapaść się w swoim krześle. Gdy w końcu doszła do siebie, zdała sobie sprawę, że Max był najprzyjajniejszym mężczyzną, z jakim kiedykolwiek jadła lunch.

– Mówi się, że... Och, proszę dać spokój, panie Beecham. Jestem pewna, że wie pan, o czym mówię. Mówi się, że pan wystawił Menkna, chociaż to pana stary przyjaciel. Butch nie nadązał za panem artystycznie, więc go pan porzucił.

– A, te plotki – uśmiechnął się.

Nie spodziewała się takiej reakcji. Pod stołem Max dolał jej jeszcze czerwonego wina i poczuł, że serce znów zaczęło mu bić.

– Butch to dobry producent – powiedział, ostentacyjnie wymawiając każde słowo. – To powszechnie wiadome. Ale jako filmowcy wybraliśmy różne drogi. To wszystko. Każdy z nas chciał robić inne filmy, w związku z tym w wielu kwestiach nie mogliśmy się porozumieć...

Max wyjaśnił, kierując rozmowę na bezpieczną ścieżkę, jak wielką szansą była dla niego praca dla Silverman Pictures. Joel Silverman obiecał mu więcej autonomii twórczej, większe budżety, wolność przy wyborze scenariuszy – to wszystko było za bardzo ekscytujące, by odrzucić ofertę.

– I muszę pani powiedzieć, że Silverman dotrzymał słowa! Ha! Nieczęsto się dziś słyszy coś takiego, nieprawdaż? A już na pewno nie w tym mieście!

– Ale dlaczego pani Beecham nie zmieniła studia wraz z panem? – nalegała Blanche. – To taka świetna aktorka. Nie chciał pan już z nią pracować? A może to był jej pomysł? Może nie chciała zmienić wytwórni?

Max się wzdygnął.

– Oczywiście, że chciałem, żeby przeszła wraz ze mną. Oczywiście, że tak...

– A jednak... Może chciał pan dać wam obojgu trochę przestrzeni... Czy o to chodziło? – dopytywała Blanche świadoma, że w jej wywiadzie musi się znaleźć wyjaśnienie tej kwestii oraz że Beecham najpewniej go jej nie wyjawia. – O taki rozdział między sprawami zawodowymi i domowymi? – zanotowała tę myśl. – Tak, no rzeczywiście, to rozumiałe.

Max nie wiedział, co ta sugerowana odpowiedź miałyby znaczyć. Blanche po zastanowieniu też nie potrafiła wyjaśnić, co miała na myśli. Jaką przestrzeń między nimi. Przestrzeń, która ich dzieliła, była już wtedy nieskończona.

– Zgadza się – odpowiedział wymijająco. – W sensie artystycznym.

Zanotowała.

– Proszę mi jeszcze powiedzieć – dodała, ciągle notując – jak to wyglądało. Usiedliście przy stole i przedyskutowaliście to? Czy połały się łyzy? Czy też... zrobiliście to w cywilizowany sposób? Czy mógłby pan zdradzić, jak to przebiegło? Moi czytelnicy z pewnością chcieliby to wiedzieć.

Max spojrzał na Blanche, na jej szczerą, ładną twarz, która wyrażała pragnienie usłyszenia od niego czegoś jeszcze, nieważne czego. Problem polegał na tym, że nic nie pamiętał. Nie

przypominał sobie, żeby w ogóle odbył z Eleanor rozmowę na ten temat. Po prostu tworzyli trzy osobowy zespół, a za chwilę już nie. Zostawił ich oboje. Był teraz sam.

– Maxfiel zawsze był dla Eleanor jak rodzina – wymamrotał. – Moja żona nigdy nie zamierzała opuścić tego studia, ale... – dodał, spoglądając znów w te szczerze oczy i czując nagły, niewyjaśniony przy mus powiedzenia im czegoś, co rzeczywiście miałyby znaczenie – ...muszę pani powiedzieć – ciągnął i sam dziwił się nie tylko temu, co mówi, ale również temu, że mówi to właśnie jej – że tęskni za nią. Tęskni za tym, że była ze mną na planie. Brakuje mi pracy z nią. Było coś naprawdę niesamowitego w robieniu razem filmów... – Zamyślił się na chwilę, wspominając dawne czasy. Nieczęsto sobie na to pozwalał. Tamte czasy jednak wcale nie były takie wspaniałe. Oczywiście, że nie. Ale były też cudowne momenty i było ich bardzo wiele. – Nie jestem pewien, czy zdawałem sobie z tego sprawę, zanim się skończyło... No, ale takie jest życie, nieprawdaż?

– To prawda – odpowiedziała.

– Czasami – mówił dalej, bo nie chciał się jeszcze rozstawać ze wspomnieniami, a w jego głowie kłębiły się obrazy z dawnych czasów: stare kino na Hester Street, podróż na zachód i długa powolna droga na szczyt – kiedy myślę o filmach, które zrobię w przyszłości bez Eleanor... czuję się, jakbym w wymyślał świat... – zastanawiał się, co powiedzieć, szukał czegoś, co byłoby prawdą albo przy najmniej półprawdą nadającą się, by przedstawić ją Blanche – ...świat, w którym nie ma muzyki, nie ma śpiewu ptaków...

– Ślicznie powiedziane – westchnęła Blanche. – Do licha, chciałabym, żeby ktoś kiedyś powiedział coś takiego o mnie.

Max zaśmiał się, odchylił na krześle i spojrział na rozmówczynię z aprobatą.

– Dam głowę, że mężczyźni szepczą podobne rzeczy do pani ucha każdego dnia, panno Williams.

Naprawdę takuważał. Blanche była słodka, zwłaszcza teraz, kiedy się zaczerwieniła. I znów. Obserwował, jak próbuje się opanować i jak udaje, że coś zapisuje w tym swoim notesie... Nachylił się w jej kierunku nad stołem.

– Musisz to zrozumieć, Blanche... Mogę tak chyba do pani mówić, prawda? Mimo wszystko naprawdę musiałem przenieść się do Silvermana. Silverman Pictures robi obecnie najbardziej ekscytujące, najlepsze, jednym słowem, filmy w Hollywood. Naprawdę wierzę, że tak właśnie jest. A mnie o to właśnie chodzi. Jestem filmowcem, jestem reżyserem. To jest dla mnie najważniejsze... – Zamilkł, bo nagle zdał sobie sprawę, że powiedział już za dużo. Znów się uśmiechnął. – Tak czy owak, mam szczerą nadzieję, że kiedy skończymy pracę nad moim nowym filmem, zgodzi się pani ze mną, że sprawa była warta... zachodu. Nie miej mi za złe tego, co ci powiem, Blanche, ale myślę, że to mój najlepszy film w życiu. – To ostatnie zdanie powiedział bardziej do siebie niż do niej.

Podniosła wzrok znad swojego kajecika i spojrzała na niego takim zachwyconym ciepłym wzrokiem, że... upojony chwilą, w której rozmawiał o swoim ukochanym projekcie z taką śliczną, miłą, niewinną i inteligentną kobietą, zapytał ją, co robi po lunchu. Resztę tego gorącego sierpniowego popołudnia spędzili razem w łóżku.

Nie po raz pierwszy Max zdradził żonę. Nie w ścisłym znaczeniu tego słowa. Ale jeśli nie liczyć przenosin do Silverman Pictures, po raz pierwszy miał świadomość, że ją zdradza. Blanche nie była Eleanor. Mimo to była całkiem dobra. Max potrafił to docenić. Od samego początku

wiedział, że na jednym popołudniu się nie skończy.

Wtedy po raz ostatni rozmawiał z Blanche o swojej żonie. To było dla niej trudne – zawsze bardzo trudne. Eleanor była wielką gwiazdą. Mimo że nie była klasycznie piękna – jej rysy były nieregularne, wszystko miała za duże, zbyt wyrażone, zbyt dzikie – była olśniewająca. Ten blask bił z niej i na ekranie, i w życiu. Była wielką gwiazdą. Tak, Blanche miała rację. W tym mieście, w którym wszystko opierało się na pozorach i intrygach, piękno Eleanor, jej dobroć, jej doskonałe maniery sprawiały, że wyróżniała się klasą. Nikt nie powiedziałby o niej złego słowa.

Max przepadał za Blanche, a ona o tym wiedziała. W zasadzie ją kochał. O tym też wiedziała. I podczas gdy Max Beecham kochał Blanche Williams, Blanche Williams była zakochana w Maksie. To też było dla niej trudne.

8

– Wpadłam wczoraj na Butcha Menkena – powiedziała nagle Blanche.

Zmiana taktyki. Siedziała na łóżku i przyglądała się niewyraźnym wzrokiem swojemu ubraniu.

– Przykro mi – odparł Max.

– On wcale nie jest taki zły!

– Skoro tak uważasz, kochanie...

– I wiesz, co mi powiedział?

– No co?

– Nie wiesz?

– Nie wiem, czy wiem, bo nie wiem, co ci powiedział.

Popatrzyła na niego, tego przystojnego mężczyznę w jej łóżku, miłość swojego życia. Leżał koło niej i spoglądał na zegarek, myśląc już o jakimś kolejnym spotkaniu, kolejnej bitwie do wygrania, kolejnym... czymkolwiek, co miał do zrobienia, a co nie miało nic wspólnego z nią. Była szalenie zazdrosna – nie tylko o jego żonę, ale o wszystkie te piękne kobiety, które go otaczały. Wprawdzie Max nigdy nie dał jej najmniejszego powodu do obaw, ale zdradzał żonę, a to wystarczało. Skoro okłamywał Eleanor, dlaczego miałby nie okłamywać Blanche?

Próbowała pozbyć się tej myśli. Bez skutku. Sama się skłazała na porażkę.

– A zatem?

Max spojrzał na nią i zauważył jej zatroskanie. Położył kciuk między jej brwiami i delikatnie wygładził małą zmarszczkę, która się tam pojawiła.

– Kochanie? Jesteś tam? Co Butch ci powiedział?

– Powiedział... no, ale myślałam, że już wiesz, bo to dotyczy ciebie...

– Co?

– Powiedział, że przechodzi do Silvermana, tak jak ty.

Max odsunął rękę i spojrzał na Blanche ostro:

– Nonsens!

– Ale tak mi powiedział. Mówił, że to po części z powodu roli Eleanor w „Pocziarzu”, ale nie chce mi się w to wierzyć. Pewnie źle się czuje z tym, że Eleanor znowu została wystawiona, najpierw przez ciebie, a teraz przez niego. No, w każdym razie mówię ci, że Menken przechodzi do Silvermana.

Max zmierzył ją wzrokiem.

– Blanche – powiedział ponuro. – Nic nie rozumiem. Co to ma wspólnego z rolą Eleanor?

– Butch Menken dołącza do zespołu Silvermana, będzie dyrektorem wykonawczym, szefem produkcji – tłumaczyła cierpliwie, nie zważając na jego ton. – Przykro mi, Max. Powinni ci byli powiedzieć. Joel Silverman powinien był cię poinformować. Powinien był... jakos cię uwzględnić w swojej decyzji.

Pochyliła się i pocałowała Maksa jakby na przeprosiny za tę złą wiadomość i za to, że właśnie ona mu ją przekazała.

– Wychodzi na to, że Butch będzie twoim szefem. – Posłała mu dziarski, choć zakłopotany uśmiech.

Max bez słowa i nagi wyskoczył z łóżka.

– Hej, Max...

Zignorował ją. Ruszyła za nim przez małą bawialnię, w której na kanapie obitej szkarłatnym aksamitem, bardzo *modern* – była z tego mebla strasznie dumna – leżały ich porzucane ubrania.

– Max! Przecież to jeszcze nie koniec świata! Dajże spokój. Przecież dobrze się wam współpracowało, tobie, Eleanor i Butchowi. To był prawdziwy *tour de force*. Wybacz mój francuski. Do licha, może Eleanor przejdzie razem z nim? To by było coś!

– Nie robi tego.

– Butch mógłby ją namówić.

– Nie, nie mógłby.

– No, ale teraz, kiedy kontrakt Eleanor wygasa... I w związku z obsadą ról w „Pocziarzu”, kiedy grunt jest taki niepewny i tak dalej... No wiesz...

– Nie wiem, Blanche. Nic nie wiem. W przeciwieństwie do ciebie nie wiem wszystkiego o wszystkich w tym biznesie. Mam własne sprawy i nimi się zajmuję.

– Ale to jest właśnie moje zajęcie: wiedzieć wszystko o wszystkich. A ty na tym zyskujesz – odparowała urażona.

Max trochę się uspokoił.

– Przepraszam, kochanie. Oczywiście, że to twoje zajęcie. Niepotrzebnie to powiedziałem.

– W każdym razie – ciągnęła Blanche, ignorując przeprosiny – ty i Butch pracowaliście razem i dobrze wam szło, nieprawdaż? I teraz znów będziecie razem pracować i też będzie dobrze.

Uśmiechnął się ponuro.

– Jakos w to wątpię.

– Max, przykro mi to mówić, ale nie zrobiłeś przebojowego filmu od „Dziewczyny, która nie mogła”.

– Każdy mój film jest przebojem.

– No tak, wiem, ale rozumiesz, o czym mówię...

– Jeśli przez „przebojowy” rozumiesz „przebojowy przychód z biletów” – uniósł się honorem

jak dziecko, bo czyż w Hollywood słowo „przebojowy” mogło znaczyć coś innego – to powiedz mi to prosto w twarz, dziecinko.

– Tak właśnie zrobię.

– Tak się jednak składa, że miałem więcej cholernych przebojów kasowych niż jakikolwiek inny reżyser w tym mieście.

Blanche, zupełnie nieświadoma swojej nagości, obserwowała go, jak się ubiera, oparta o futrynę i zastanawiała się, co też takiego widziała w tym mężczyźnie. Westchnęła.

– To nie jest prawda, Max. Sam dobrze o tym wiesz. I wiesz, że ja też to wiem. Mogłabym podać nazwiska dziesięciu... a tam, do licha, dziesięciu... dwudziestu bardziej kasowych reżyserów z ostatnich dwóch lat. Nie jesteś nawet w czołówce.

Nic nie odpowiedział. Zaczęła łagodniej:

– No dobrze, w 1927 roku byłeś blisko, ale mamy już koniec 1929! To prawie trzy lata, Max. Nie udawaj, że tego nie widzisz. Staram się tylko powiedzieć, że może praca z Butchem wyjdzie ci na dobre. Czemu tak się unosisz?

Max ciągle milczał. Patrzyła, jak szarpie się ze spodniami, klnąc pod nosem – na nie, na nią... na wszystko. A przy tym nadal był tak cholernie przystojny... Czuliła, że złość z niej uchodzi – nie tylko z powodu urody Maksa. Również dlatego że mimo wybuchowego charakteru i dumy przede wszystkim zależało mu na filmach, które robił. To było bardzo szlachetne, ale też zupełnie głupie. I skazywało go na porażkę. Blanche domyślała się, że i on o tym wiedział i próbował tę świadomość ukryć pod samczą hardością. Miał talent, to prawda. Był uzdolnionym i oddanym swojej pracy filmowcem, którego prace pewnie zostaną zapomniane. Za to go kochała.

– A tak przy okazji. Zauważyłam, że włożyłeś tę białą marynarkę na przyjęcie. Myślałam, że tego nie zrobisz.

Max zachichotał mimo złego nastroju.

– Zrobiłaś takie cholerne zamieszanie wokół niej, że urwałabyś mi głowę, gdybym jej nie wybrał.

Dała mu tę marynarkę w prezencie urodzinowym dawno temu, w maju. Jeszcze nie zdążył jej odpakować, a ona już zaczęła rozmyślać o tym, że nigdy nie będzie mógł jej włożyć z obawy przed pytaniami i uniesionymi idealnymi łukami brwi jego żony. Jeśli nie może nawet włożyć marynarki, którą mu podarowała, jakie miejsce przypada jej, kochance, w jego pełnym obowiązków i skomplikowanym życiu? Podejrzewała, jak to się skończy, ale starała się nie tracić ducha. Choć trudno jej było przez cały ten czas spotykać się z nim ze świadomością, że ich związek zawsze pozostanie taki jak teraz.

– Wyglądałeś w niej bardzo przystojnie – powiedziała. – Eleanor pewnie też tak uważa, hm? Co jej powiedziałeś? Że sam ją kupiłeś?

– Kochanie, widziałeś mój portfel? Dałbym głowę, że tu go położyłem.

Wiedział, że jest dla niej niemity. Wiedział też, że niczym sobie na to nie zasłużyła. Nie potrafił jednak znieść tego, że mówiła o Eleanor. Zawsze wtedy czuł, jakby coś w nim umierało – z powodu tego związku, jego i Blanche, ale też z powodu Eleanor. W tej chwili zatem tylko resztki taktu powstrzymały go przed zatkaniem sobie uszu i wybiegnięciem z pokoju. Chciał już usiąść przy biurku i zadzwonić do Butcha Menkna, dowiedzieć się, o co, do cholery, chodzi. Zamiast tego jednak podszedł do swojej kochanki, spojrzał na jej ładną buzię, którą obejmowały teraz jego dłonie, i pocałował ją.

– Ze świecą szukać takiej dziewczyny jak ty. Blanche Williams, jesteś wyjątkowa, mówię ci... Muszę iść, rozumiesz to, prawda? Muszę wracać do biura. Może nie masz racji co do Butcha...

Ona jednak nigdy się nie myliła. Nie, jeśli chodziło o sprawy branży.

– ...może jeszcze uda mi się go powstrzymać...

Blanche zastanowiła się, co odpowiedzieć. Nie chciała być nieuprzejma i w zasadzie nie żyła do Eleanor wrogości. Wręcz przeciwnie, czuła przed nią respekt.

– Zanim zaczniesz tam robić sceny, powinieneś wiedzieć o „Pocziarzu” – oświadczyła uroczyście.

– Mów – rzucił zrezygnowany, opuszczając bezwładnie ręce. – Mów, co wiesz.

– To nowy film twojej żony. Wysłali jej scenariusz wczoraj. Dziś rano pewnie go dostała.

Max roześmiał się wbrew sobie. Był pod wrażeniem.

– Skąd ty, do licha, wiesz takie rzeczy?

– Mówiłam ci, od Butcha... – znów się zawahała.

– No już, wyrzuć to z siebie, kotku, uwolnij nas oboje od tej męki.

– Eleanor dostała podrzędną rolę...

– Och! – wyduśił z siebie jęk

Zastanawiał się, jak Eleanor zniesie tę sytuację, i z przerażeniem zdał sobie sprawę, że zupełnie nie jest w stanie tego przewidzieć. Może poczuje ulgę? W każdym razie trzeba się było tego spodziewać.

– Biedna El.

– Max, to nawet nie jest drugi plan, nic z tych rzeczy. Wszyscy wiemy, że jest wspaniałą aktorką, ale jej akcje ostatnio zaczęły spadać. Ludzie już nie ciągną na nią do kina. Sam dobrze wiesz, że tak jest. Zaczęło się to, kiedy odszedłeś do Silvermana. Taka jest prawda, której pewnie wolałbyś nie usłyszeć. Przykro mi.

– „Sireny” to był hit – wymamrotał Max.

Tak było, ale wiadomo, że żadna w tym zasługa Eleanor. Może i grała główną rolę, ale recenzenci nawet o niej nie wspominali. Wszyscy się za to zakochali w tej wschodzącej gwiazdce – Joan Crawford. Blanche jak zwykle miała rację. Eleanor nie jest już nawet w połowie tak dobrą aktorką jak kiedyś. Max sądził, że to dlatego, że już przestało jej zależeć. A jeśli jej nie zależało, jeśli już zapomniała, jak daleką drogę przeszli i ile musieli się napracować, jak bardzo byli wtedy blisko, to dlaczego on miałby o nią walczyć? Nie poczuł litości, tylko gniew, wściekłość na żonę za to, że go porzuciła w połowie gry... w połowie wszystkiego, kiedy jeszcze można było tyle sobie wywalczyć. Może to ją obudzi. Potrząśnie nią i wytrąci z tego stuporu. Max zerknął na Blanche, która przyglądała mu się z bliska, próbując wyczytać coś, cokolwiek, najmniejszą myśl z jego twarzy.

Pocałował ją. Podziękował za nowiny i wyszedł. Szkoda, pomyślał, zapalając silnik To problem Eleanor. Gdyby go poprosiła, spróbowałby jej pomóc. Ona jednak nie zrobi tego, bo już z niczym do niego nie przychodziła. Zresztą Max miał własne problemy.

9

Październik 1929 roku. Podczas gdy Ameryka szaleńczo świętowała ekstatyczne dni największego w swojej niedługiej historii ekonomicznego boomu, który wkrótce miał dobiec końca, Hollywood wtórowało jej przyspieszonym biciem serca. W swojej beczelnej pewności siebie, w swoim radosnym prostactwie fabryka marzeń doskonale wpisywała się w nowy zuchwały świat. Biznes filmowy to był wielki biznes. Hollywood było centrum świata, w którym rządziło niezmiennie pięć najświetniejszych wytwórni.

Silverman Pictures, w którym Max Beecham pracował jako jeden z trzech kontraktowych reżyserów, nie należało do tej piątki. Produkowano w nim rocznie, jeśli los sprzyjał, dziesięć filmów (o osiemdziesiąt mniej niż na przykład w MGM), ale Silverman cieszył się dobrą opinią. Bardziej niż którakolwiek z wytwórni dużych czy małych. Był bowiem znany z jakości. Nie wszystkie filmy przynosiły zysk, ale przynajmniej raz na osiemnaście miesięcy Silverman wypuszczał coś, co Blanche nazwała przebojem – kasowy sukces. Dzięki temu właśnie na przekór olbrzymom ciągle trwał na rynku.

Jego założyciel, Joel Silverman, przyjechał do Hollywood w 1910 roku z, jak utrzymywał, pustymi rękami. Miał ze sobą tylko sto dolarów i dziesięć lat doświadczenia w pracy na złomowisku. Był jednak człowiekiem, który w każdy dzień swojego życia wkładał więcej pomysłu, wysiłku i inteligencji niż niejeden w całe życie. To pozwoliło mu zdobyć fortunę. Po drodze Silverman stracił jedynego syna, który zginął od kuli snajpera na bagnach Malancourt zaledwie sześć tygodni przed końcem wojny. Nie miał innych dzieci. Od tej chwili zależało mu tylko na dwóch rzeczach: chciał, żeby jego studio wypuściło film, który pozwoliłby mu wejść do pierwszej ligi, oraz pragnął znaleźć godnego następcę, który pomógłby mu to uzyskać. Joe bowiem chciał przed śmiercią nacieszyć się jeszcze trochę emeryturą. Te dwie ambicje skierowały go do Butcha Menkna.

Gdyby Max myślał racjonalnie, a niestety tak nie było, zrozumiałby, że człowiek, który od sześciu lat mu szefował, był nie tylko sprytny, ale też twardo stąpał po ziemi. Zrozumiałby też może, że ze wszystkich talentów, jakie Silverman mógł ściągnąć do swojej wytwórni, Butch

Menken był jego najlepszym wyborem. „Poślubiony kinu”, mawiał Butch, kiedy pytano go, a zdarzało się to bez przerwy, czemu taki atrakcyjny czterdziestoletni już mężczyzna, niemogący narzekać na brak chętnych kandydatek, ciągle był kawalerem. Ta formuła, powtarzana bez zająknięcia setki razy, wyjaśniała istotę problemu lepiej, niż mógł się spodziewać, i wnikiwiej, niżby chciał. Praca była największą namiętnością Menkena – ostatnią rzeczą, o której myślał wieczorem, i pierwszą, jaką przychodziła mu do głowy rano. Jedyna zaś kobieta, którą Butch mógłby kiedykolwiek poślubić, była już zajęta, a on mimo starań nie mógł sobie z tym poradzić.

Był przy stojny – blondyn z kwadratową szczęką, niebieskimi oczami i szerokimi ramionami. Jego zachowanie i ubiór pasowały raczej do prawnika ze Wschodniego Wybrzeża niż producenta filmowego z Hollywood. Był konkretny, bystry i powściągliwy, unikał zbędnych słów, mówił cicho i nie uśmiechał się bez powodu, rzadko także poruszał którąś ze swoich zgrabnych umięśnionych kończyn, jeśli nie było to konieczne. Jego ponadprzeciętny wzrost – mierzył sto dziewięćdziesiąt centymetrów – sprawiał, że nawet w najbardziej zatłoczonym barze albo na wielkim przyjęciu jego obecność nie mogła być niezauważona. Miał także świetną, niemal legendarną opinię w Hollywood. Od kilku lat każdy film, do którego przyłożył rękę, stawał się sukcesem. Miał po prostu nosa, jakąś niemal magiczną umiejętność rozeznania, co lub kto sprawdzi się na wielkim ekranie.

Kiedy pojawiła się oferta Joela Silvermana, Butch był jednym z sześciu starszych producentów na kontrakcie w gargantuicznej wytwórni Lionsfiel Studios. Sześciu starszych producentów wraz z grupą trzydziestu młodszych podlegało producentowi wykonawczemu, który z kolei odpowiadał nie tylko przed właścicielem studia, ale także przed jego dwoma ambitnymi synami. Zbyt wielu szefów było w Lionsfiel i choć Max nie dopuszczał do siebie tej myśli, było wyłącznie kwestią czasu, by człowiek z takimi osiągnięciami jak Butch przeszedł na lepszą posadę w jakiejś innej wytwórni.

Tego samego popołudnia, kiedy Eleanor była w drodze do Reno, a Max wracał właśnie od kochanki, Butch siedział za swoim biurkiem w Lionsfiel, rozmyślając, nie bez satysfakcji, o swoim spotkaniu z Blanche Williams poprzedniego wieczoru. Była słodka i ostra jednocześnie, lubił ją. Jeśli jednak sądziła, że wyciągnie z niego coś ponad to, co sam pozwoli jej z siebie wyciągnąć, to była kretynką. Kretynką, której sytuacja bardzo przypominała jego położenie. Tak bardzo, że może nawet powinien był mieć dla niej trochę więcej zwykłego ludzkiego współczucia. Ale nie przyszło mu to do głowy.

Jego błyskotliwy umysł skierował się za to w stronę Eleanor. Nie zadzwoniła. Do tej pory musiała już zobaczyć scenariusz. Na pewno już wie, że przyznano jej mało pochlebną rolę i to na trzy miesiące przed wygaśnięciem kontraktu, i na pewno się domyśliła, jak to wróży jej dalszej współpracy z Lionsfiel. Dlaczego zatem nie zadzwoniła z awanturą, płaczem czy choćby po to, żeby go błagać o pomoc? To martwiło Butcha Menkena. Zazwyczaj teatralność zachowań gwiazd filmowych nie robiła na nim wrażenia, zupełnie po nim spływały ich histerie. Z Eleanor, rzecz jasna, sprawy miały się inaczej.

Podobnie jak Butch Eleanor nigdy nie traciła zimnej krwi. Nigdy nie widział jej wyprowadzonej z równowagi. Czasami tylko, gdy była bardzo zdenerwowana albo podekscytowana, jej ciałem wstrząsał dreszcz. Ale to było piękne. I ona też była wtedy jeszcze piękniejsza.

Dlaczego nie zadzwoniła?

Wywołał przez interkom sekretarkę i poprosił, żeby jeszcze raz sprawdziła, czy wysłano scenariusz. Sekretarka potwierdziła.

– Czy nie dzwoniła Eleanor Beecham?

– Nie odbierałam takiego telefonu, a jestem tu dziś od dziewiątej.

– A czy na pewno wskazano w jej kopii, jaka rola została dla niej wybrana?

– Tak proszę pana. Jej kwestie podkreślono na czerwono, jak zwykle. Jestem pewna, miałam scenariusz w rękę, zanim pani Broadbent posłała go ekspresem. Rozmawialiśmy nawet o tym, jaka to szkoda, bo przecież pani Beecham jest ciągle taka urocza. To wielka strata...

Wszyscy pracownicy Lionsfiel kochali Eleanor, czego nie dało się powiedzieć o wielu innych gwiazdach studia. Było tak od samego początku i Butch pomyślał gorzko, że to wiele o niej mówiło. Miała za dużo samokontroli jak na artystkę, za mało za to pasji. Była za bardzo opanowana, do cholery. Czy nic nie było w stanie nią wstrząsnąć?

Rozłączył się i nagle poczuł zamęt w głowie. W Eleanor były ogromne pokłady zaangażowania, wiedział o tym. To właśnie to ciągle napięcie między całkowitym poświęceniem a samokontrolą, którego teraz nie pokazywała już przed kamerą, sprawiało niegdyś, że nie można było oderwać oczu od niej na ekranie. To samo połączenie zresztą czyniło z niej w łóżku kochankę, której nie można było się oprzeć.

Powinien był do niej zadzwonić. Powinien był ostrzec, że wysłał scenariusz. Dlaczego tego nie zrobił?

Wpatrywał się w blat swojego posprzątanego biurka. Miał przecież wiele czasu. Dlaczego nie zadzwonił? Sprawdził godzinę na swoim absolutnie niepozornym zegarku z białego złota za dwadzieścia pięć tysięcy dolarów.

Nie zadzwonił, bo się bał. Tak właśnie było. Nie zadzwonił, bo jeśli chodziło o uczucia – prawdziwe emocje, nie te z ekranu – Butch był zupełnie zagubiony. Był jak dziecko. Nie potrafił sobie z nimi poradzić. Nie potrafił też poradzić sobie z Eleanor i ze wszystkimi tymi zawirowaniami, które miały nadejść. Namietność i kontrola, cały ten kocioł, niemy ból i niewypowiedziane oskarżenia. Do diabła. Do diabła z nią. Do diabła z Maksem. Do diabła ze wszystkimi.

Na wczorajszym spotkaniu Butch walczył o Eleanor. Przekonywał starszych producentów i producenta wykonawczego, wszystkich, jednego po drugim. Zdążył już jednak wcześniej ogłosić swoje odejście i wiedział, że decyzja studia dotycząca przyszłości Eleanor, a ściślej: jej braku, była w pewnym stopniu odwetem za jego nielojalność.

– Dlaczego nie weźmiesz jej ze sobą, Butch, co? – zaproponował Carrascosa (senior) z szydkiem uśmiechem. – Straciła magię już tak dawno, że nawet nie pamiętam kiedy.

– Ale ją miała! – odparował Butch, zanim zdążył pomyśleć. Ona i Butch – i Max – robili razem świetne filmy. Mimo że ich dwóch odeszło, żeby robić filmy jeszcze lepsze, nigdy żaden nie przewyższył wyników ich wspólnej pracy w trójkę. Wszyscy o tym wiedzieli. – Ona ciągle to ma! Trzeba tylko dać jej szansę i odpowiedniego reżysera.

– Już od dawna to mówisz – odparł pan Carrascosa.

Butch spojrzął przez stół na Carrascosę syna i Carrascosę ducha świętego, siedzących po prawicy i lewicy swojego ojca. Nie odezwali się. Spojrzął na pana Stilesa, głównego producenta i przyjaciela Eleanor.

– Tony? El jest nadal piękna, nadal ma wiele do zaoferowania. Dlaczego nie dasz jej szansy?

Tony Stiles zaczął przekładać papiery, wzruszył ramionami i z wolna pokijał głową.

– Do cholery, Butch, czemu sam nie dasz jej roli?! – krzyknął pan Carrascosa zadowolony ze swojego żartu. – Skoro tak ci na niej zależy... Ta kobieta kosztuje nas kupę kasy. A co my z tego mamy? Tutaj jest już skończona, możesz ją sobie wziąć!

Butch posłał zgromadzonym jeden z tych swoich rzadkich uśmiechów. Grali przeciw niemu, to pewne. I pewne jest też to, że znaleźliby inny sposób, żeby mu dopiec, gdyby pozbycie się Eleanor nie było dla studia opłacalne. To prawda, liczby przemawiały na jej niekorzyść: z jednej strony wiek, z drugiej sprzedaż biletów. Wiedział o tym i wszyscy w branży wiedzieli, że nie była już tak dobra jak kiedyś. Na planie była profesjonalistką. Wiedziała, jak się ustawić do kamery, jak złapać najbardziej sprzyjające jej urodzie światło, zawsze знаła rolę. Jak sprawna maszyna robiła wszystko jak trzeba. Brak jednak było tego czegoś. Wydawało się, że Eleanor nie wkłada serca w granie i w jakiś przedziwny sposób kamery to zauważają. Butch mówił jej to wiele razy. Ostatnio kilka tygodni temu.

– Musisz się starać, Eleanor. Musi ci zależeć tak bardzo, jak zależy Maksowi. Tak bardzo, jak zależy mnie. Pomyśl, że to jest ważne w tym samym stopniu jak twoje życie...

– Ależ oczywiście, że mi zależy – odpowiedziała mu pięknym wyszkolonym głosem, wyrażającym nieprzebrane pokłady zaangażowania.

– Nie mogę cię dłużej przed nimi bronić, Eleanor. Wiesz to przecież. Nie mogę, bo... – nie potrafił jednak zdobyć się na powiedzenie jej wszystkiego. Dwa tygodnie temu Eleanor jeszcze nie wiedziała, że Butch odchodzi z Lionsfiel.

– Nie potrzebuję twojej ochrony – odpowiedziała, a potem rzuciła niegrzecznie i od razu tego pożałowała: – Mam od tego Maksa.

Max jednak jej nie chronił. Max odszedł do Silvermana. Ta gorzka prawda zawisła między nimi ciszą. Butch w poczuciu winy z powodu własnego odejścia nic nie odrzekł na tę zaczepkę.

– W każdym razie – dodała i pocałowała go – nie masz się o co martwić. Jestem twardsza, niż ci się wydaje.

Uśmiechnęła się, a Butch na chwilę dostrzegł w niej ogromną kruchość. Obroniłby ją, gdyby tylko mu na to pozwoliła. Teraz on ją pocałował.

– Eleanor, moje sprawy niedługo przybiorą inny obrót. Wszystko się zmieni. – Zamilkł, nie potrafił tego powiedzieć. Żeby wypełnić czymś ciszę, zaproponował za to: – Powinniśmy zamieszkać razem...

Eleanor zaśmiała się gardłowo.

– Uwważ, Butchu Menkenie, bo jeszcze kiedyś naprawdę się zgodzę...

Byli wtedy w łóżku w jego apartamencie w Chateau Marmont, który Eleanor pomogła mu urządzić. Spędzili razem piękne i namiętne popołudnie. Wiatrak na suficie dawał odrobinę chłodu, a przez zasunięte do połowy żaluzje, które zatrzymywały dźwięki ruchu ulicznego dochodzące z Sunset Boulevard, wpadała do pokoju słodka bryza, pieszcząc ich nagie ciała. Byli trochę pijani, oboje. Nie słuchała go. Nigdy go nie słuchała.

10

Butch spojrzął na zegarek – była szesnasta trzydzieści. Nawet jeśli brać pod uwagę wczorajsze przyjęcie, na które oczywiście nie był zaproszony, Eleanor musiała się już obudzić i przejrzeć pocztę. Dlaczego nie zadzwoniła?

On powinien był zadzwonić. Powinien był powiedzieć jej, że odchodzi do Silvermana, nawet jeśli już to wiedziała. Powinien był z nią porozmawiać. Teraz sytuacja była już bez wyjścia. W końcu zdobył się na odwagę. Tak zatelefonuje do Eleanor, zanim Max wróci do domu i ogłosi jej nowinę. Tak dowie się, jak ona się czuje, jakoś poprawi jej nastrój, spróbuje jakoś uspokoić ją obietnicą pomocy...

Niechętnie sięgnął po słuchawkę. W tej samej chwili rozległ się brzęczyk interkomu – sekretarka oświadczyła, że Max Beecham jest na linii.

Ha! Butch zdał sobie sprawę, że czekał na ten telefon całe popołudnie, a w zasadzie cały dzień – od wczorajszego wieczornego drinka z Blanche Williams.

– Dziękuję, pani Rowse – powiedział łagodnie jak nigdy. – Proszę powiedzieć temu skurwysynowi, że wyjechałem.

– Wyjechał pan z miasta. Oczywiście, że pan wyjechał – powiedziała poważnie pani Rowse. – Czy mam przekazać, kiedy pan wraca?

– Powiedz mu, że po weekendzie. Zrobiłem sobie wakacje.

– Panie Menken, w piątek ma pan być w Palm Springs. Czy mam powiedzieć, że wraca pan we wtorek?

– Tak to właśnie mu powiedz. I powiedz, że nie masz pojęcia, dokąd pojechałem.

– Jak pan sobie żyje?

Butch podniósł się z satysfakcją, a przynajmniej próbując ją poczuć. Dobra robota. Ten skurwysyn mógł raz w swoim cholernym życiu zatroszczyć się o żonę sam. Butch tymczasem miał spotkanie z jakąś młodą miłą aktoreczką... Melanie? Nie, chyba Bethany... Z Savannah. A może z Charleston. Tak czy owak, musiał jechać do domu i wziąć prysznic.

11

W rzadkich chwilach jak ta Max pozwalał sobie na refleksję – prawda wydawała mu się wtedy oczywista, niezmienna i konieczna jak światło latarni morskiej w noc. Butch Menken od zawsze kochał się w jego żonie. Kochał ją przez wszystkie te lata, kiedy pracowali razem. Max widział, w jaki sposób patrzył na nią swoimi inteligentnymi niebieskimi oczyma. I wtedy Max odszedł do Silvermana. Eleanor przypominała mu o wielu rzeczach, o których pragnął zapomnieć, dlatego odwrócił się od niej i zostawił tych dwoje samych sobie. Nie miał pojęcia, od kiedy trwał ich związek, może nawet krócej, niż miał nadzieję. Byli bardzo samotni. Od zawsze wiedział też jedno: Eleanor nie miała szczęścia.

To już tyle czasu. Miesiące i lata mijają, a on wiedział o ich romansie. A może nie wiedział? Wiedział! Wiedział, bo Eleanor prawie nigdy nie wspominała o Butchu, mimo że pracowali razem. I dlatego że zawsze tak sprawnie kłamała, i zawsze wydawała się zamknięta w jakiejś niewidzialnej, niemożliwej do zniszczenia zbroi. Zupełnie jak on.

Po nieudanej próbie przebicia się do Butcha Max z obrzydzeniem rzucił słuchawkę telefonu i na oślepu ruszył gotowy do bitwy w biurze swojego szefa.

Silverman zerknął na niego znad sterty papierów.

– Ha! – wykrzyknął niemal radośnie. – Zastanawiałem się właśnie, kiedy przyjdiesz pokazać tę swoją przystojną gębę. Zanim coś powiesz, Max, posłuchaj. Przyzwyczaj się, uwierz mi. To wyjdzie na dobre wytwórni, czyli i tobie, i mnie.

Max wyrzucił z siebie argumenty przeciw: Butch nie był godny zaufania, był dziwakiem, jego artystyczne koncepcje były płytkie i nastawione na pokłask, a wszystkie te wysokobudżetowe produkcje, przy których pracował, stoją w sprzeczności z wartościami, jakie chciało promować Silverman Pictures. Joel Silverman próbował go uspokoić. Ponieważ jednak Max wciąż krzyczał, mężczyzna wstał, wyszedł zza biurka (co niezczęsto mu się zdarzało) i wypchnął reżysera za drzwi.

– To jest dobra decyzja – powiedział tylko. – Nie jęcz, Max, to nie przystoi mężczyźnie. Butch Menken to najlepszy producent w branży. Potrzebujemy go. Jeśli zależałoby ci na dobru wytwórni, cieszyłbyś się tak jak ja. Idź do domu, Max. Rozchmurz się. Spędź spokojny weekend

z żoną... A przy okazji, podziękuj jej za wspaniałe przyjęcie. I przekaz, że Margaret pyta, skąd wzięła te homary...

Max wrócił do Castillo. Czuł się ośmieszony. W podłym nastroju ruszył od razu do swojego gabinetu, gdzie ukrył się z postanowieniem zapicia wszystkich bolączek – między innymi fizycznego bólu, który czuł w dłoniach. Zawsze bardziej mu dokuczał, kiedy był zmęczony.

Usiadł przy biurku, wyciągnął z szuflady stary scenariusz – sięgał po niego zawsze, gdy dłonie go paliły, a serce krwawiło. Poprzy sięgał kiedyś, że pewnego dnia zrobi z niego film. Po kilku godzinach bezowocnej pracy poszedł spać.

Przez cały ten czas sądził, że Eleanor zaszła się gdzieś w domu. Wahał się, czy lepiej pozwolić jej podzielić się z nim porażką, czy też porozkoszować się jeszcze trochę jej zupełnym brakiem zaangażowania w sytuację. Sypialnia jednak była pusta. Zobaczył ten mały żalostny liścik

*M,
wyjeżdżam na kilka dni. Myślę, że już czas, żebyśmy porozmawiali, nie sądzisz?*

E

Gapił się na kartkę, próbując pojąć, o co, u diabła, chodzi, a jego mózg zdawał się pulsować. Czas, żeby porozmawiali? O czym? Zaśmiał się. Od czego niby mieliby zacząć tę rozmowę?

KINEMATOGRAF NA HESTER STREET

Nowy Jork, grudzień 1909

Gruba warstwa śniegu przykryła uliczne błoto zalegające zwykle na Hester Street. Za dnia tysiące zmęczonych stóp wymieszały obie substancje w jedną burą masę, która dziś wieczorem zamarzła. Buty Eleany, naprawiane już tyle razy, że kolejne łąty nie miały się na czym trzymać, grzęzły co chwilę w obrzydliwej brei, kiedy kobieta stała na Greene Street. Teraz, w dusznym i rozgrzanym budynku kina jej stopy powoli odmarzały, kłując ją i swędząc. Było to jednak bez znaczenia. To taka ulga być znów pod dachem, w ciepłym i wesołym miejscu, widzieć Matza przy pianinie uśmiechającego się do niej. Gin powoli rozpyliwał się w jej żyłach, a gorąca kartoflanka rozgrzewała ją od środka. Do tego jeszcze nowy film *Frankenstein* wyświetlany raz za razem na ekranie zaraz nad jej głową. Właściwie gdyby w tym momencie jej stopy zdecydowały się całkiem odpaść, nie zwróciłyby na to uwagi.

Może „kino” to za duże słowo. Był to raczej podrzędny kinematograf z biletami za pięć centów i obdrapanym frontem, tylko tyle. W niczym nie przypominał tych bogatych kinoteatrów, które otwierano w lepszych dzielnicach. Na jednym końcu pomieszczenia stał ekran, na drugim – ręczny projektor, a między nimi rzędy ławek dla widzów. Miejsc zawsze było za mało. Jak każdej nocy nawet teraz, w czasie strajku w szwalniach, przyszły tłumy, a powietrze wypełniał gęsty zapach tytoniu i potu bijący od rozgrzanych niemitych ciał. Ekran był za mały, a może obraz z rzutnika za duży. W każdym razie coś nie grało. Jak zwykle zresztą w kinematografii na Hester Street. Połowa kadru wyświetlała się na suficie, ale nikt tu na to nie narzekał. Taki szczególnie nie mógł powstrzymać publiczności przed okrzykami ekscytacji i strachu. Tym razem to Matz Beekman odpowiadał za zupełną zmianę nastroju.

Matz pracował tu przez pięć wieczorów w tygodniu (dostawał 75 centów dziennie), akompaniując na pianinie wyświetlanym filmom. Dzisiaj, nie przejmując się nutami,

zaimprovizował żartobliwy podkład muzyczny własnego pomysłu i zmienił to, co miało być horrorem, w pełną humoru farsę. Publiczność to pokochała. Wybuchy śmiechu, które słycać było aż na mroźnej ulicy, sprowadziły do gorącego już i zatłoczonego pomieszczenia jeszcze więcej widzów.

Kiedy patrzyło się na tych wszy stłkłych ludzi, tak jak właśnie teraz robiła to Eleana, trudno było domyślić się, przeciw komu i przeciw czemu występowali. Strajk generalny pracowników szwalni trwał już trzeci tydzień, był większy i bardziej owocny, niż ktokolwiek mógł się spodziewać. Skala oporu rozwścieczyła władze miasta. W porozumieniu z właścicielami fabryk nasłały one swoich oprychów na pikietujących. Dla całych rzesz pracowników z Lower East Side, centrum świata odzieżowej manufaktury, walka o życie przestała być wyłącznie staraniem o to, by się ogrzać i znaleźć coś do jedzenia. Stała się walką dosłowną – krwawą, brutalną i pozbawioną reguł. Obok głodu i znoju, anonimowości i brudu pojawił się także rzeczywisty i śmiertelny strach.

Eleana próbowała odwrócić od tego myśli. Chciała skupić się na czymś innym niż strajk i wszystkie związane z nim wydarzenia. Skoncentrowała się na tym, co tu i teraz, na starym kinie na Hester Street. Na Matzu przy pianinie. Na Frankensteinie i jego potwornym dziele – w połowie na suficie.

Film trwał tylko szesnaście minut, a Matz znał każdy jego kadr. Oglądał filmy inaczej niż wszyscy – z tym samym skupieniem i pasją, z jaką robił wszystko inne, ale także okiem fachowca, o czym sam jeszcze nie wiedział. Wystarczyło, że zobaczył nagranie raz, i już umiał rozłożyć je na czynniki pierwsze, scenę po scenie, ujęcie po ujęciu. Nieważne, o czym był film – za pomocą kilku nut potrafił, nieźle się przy tym bawiąc, zupełnie go przejąć i całkiem zmienić jego nastrój. Potrafił poprowadzić publiczność w jednej chwili od przerażenia do śmiechu. A sposób, w jaki podporządkowywał sobie dusze i nastroje zebranych w kinie ludzi, wydawał się magiczny. Matz był magiczny. Eleana kochała go najbardziej, kiedy siedział przy pianinie, uderzając w klawisze i zabawiając publiczność – był wtedy wolny i szczęśliwy. Był też w tych chwilach zupełnie innym człowiekiem, niż gdy z podwyższenia w hali fabrycznej wzywał robotników do strajku, do podtrzymania strajku, a potem do walki. Wtedy też go kochała. Kochała i podziwiała, gdy walczył. Ale gdy grał, oprócz miłości czuła też pożądanie. Zdarzało się, że Matz nagle podnosił głowę i nad pokładającym się ze śmiechu pod jego rozkazami tłumem szukał Eleany wzrokiem, z którego biło surowe skupienie, a gdy ją zobaczył, w jednej chwili jego twarz przecinał szeroki uśmiech. Często, a w zasadzie zawsze machał na nią, po czym zapominał o filmie i zaczynał dudnić na pianinie jedną z popularnych piosenek, mając nadzieję, że kobieta dołączy do niego i zacznie śpiewać... *Give My Regards to Broadway... Take Me Out to the Ball Game... Keep on the Sunny Side...* Tłum widzów nigdy nie miał nic przeciw. Stali bywalcy nawoływali nawet Eleanę dopóty, dopóki nie przecisnęła się przez zebranych i nie stanęła obok Matza.

Robiła niewiele. Jedna piosenka, jeden taniec. Tak wyglądał zwyczajny *shtick* – numer. Wiele młodych dziewcząt dawało podobne występy w barach i tanich kinach w całym mieście. Ale jeśli chodzi o Eleanę, nic nie było zwyczajne ani podobne. Jej rysy były zbyt wyraziste, by można było ją nazwać klasycznie piękną. Była też w niej jakaś dzikość, która sprawiała wrażenie, że kobieta nieustannie szuka – z nadzieją i strachem, ale przede wszystkim na próżno – wyjścia z sytuacji. Mimo że wciąż była nastolatką, jej uroda była mało delikatna. Lecz Eleana była piękna. Matz to widział. Kiedy śpiewała, widział to także tłum klientów kina. Po latach miała to

zobaczyć także kamera.

Tak samo jak Matz, siedzący przy pianinie i urodzony do występów, Eleana była w jakiś sposób magiczna. Jej głos był bogaty, jej twarz – pełna ekspresji, miała wycucie, moc, poczucie humoru, lekkość... Wszystkie te cechy razem i każda z osobna rzucały czar na tego, kto ją widział. Matz powtarzał to bez końca. Widział, że była gwiazdą i to gwiazdą na całego. Powtarzał jej to i pewnie nawet Eleana mu w końcu uwierzyła, bo inaczej nie przychodziłaby co wieczór do kinematografu, by stanąć na scenie. Inaczej nie poszłaby dla niego choćby na koniec świata, myślał. Słyszała też okłaski, czuła ich ciepło. Wtedy, na początku, uwielbiała je, sprawiały, iż czuła, że żyje.

Dzisiaj po przedstawieniu będą zbierać do kapelusza datki na fundusz strajkowy. Potem, gdy Matz skończy występ, Eleana już zaśpiewa i zatańczy, a klienci zaczną rozchodzić się do domów, ona zaciągnie go do schowka za sfatygowanym pianinem. A może to on zaciągnie ją, wszystko jedno. W tym pomieszczeniu właściciel kina, pan Lustig, zamykał na noc rolki filmu. Schowek był niewielki – nie można było nawet się w nim położyć. Późnym wieczorem Eleana i Matz zawsze pomagali przenieść taśmy, a potem... No co? Pan Lustig udawał, że nic nie wie. Było mu wszystko jedno (jeśli rolki z filmem były bezpieczne). Siedemdziesiąt pięć centów za cały wieczór to było niewiele. Zresztą Eleana nie dostawała nic poza „dziękuję”. Ta odrobina prywatności po pracy to było naprawdę mało, ale i tak był to luksus, którego nie znało wtedy wiele par, nie w Lower East Side.

Dostęp do schowka był dodatkową korzyścią z tej pracy.

13

Matz i Eleana byli już razem trzy lata – od kiedy Eleana skończyła piętnaście lat. Matz miał lat osiemnaście. A może siedemnaście... Nigdy nie przejmował się zbytnio takimi szczegółami. Póki nie spotkał Eleany, zawsze był sam. Do Ameryki przyплыł, jak sam mówił, dziesięć lat wcześniej z matką, która niebawem umarła i pewnie spotkała po drugiej stronie jego ojca, który nigdy nie pojawił się w porcie, żeby go odebrać. W tamtym czasie takie tragedie były na porządku dziennym w rodzinach imigrantów, którzy napływali do Nowego Jorku tysiącami.

Matzowi ta sprawa ciągle wdawała się tajemnicza. Ojciec wysłał do domu pieniądze, tyle, by starczyło na podróż dla rodziny. Zebranie ich zajęło mu cztery lata, cztery lata głodu, odkładania każdego grosza, żył ciałem jak pies w slumsach Lower East Side. Kiedy jego żona i syn w końcu przyплыli, nie powitał ich na przystani. Czekali trzy dni, potem przez długi czas przychodzili tam także każdego ranka i każdego wieczora, ale się nie pojawili. Matz i jego matka nie zobaczyli go nigdy więcej.

Tak to właśnie było z Matzem. Zresztą i tak nie pamiętał ojca. Nie przypominał sobie też rodzinnego kraju, choć coś zostało w jego głowie: babcia, wielu kuzynów, tłum ludzi, chyba cały sztetl, jak powiedziała matka, odwracając się, by im pomachać na do widzenia. Matz pamiętał też statek, długie dni na morzu, ciężkie stęchłe powietrze na dolnym pokładzie, chorobę morską i inspektorów walczących z wszawicą na Ellis Island, którzy wyrwali go, wrzeszczącego, z objęć matki. Pamiętał dziką, przemożną wręcz ulgę, kiedy pozwolono mu znów się w nie zapaść. Tego Matz nigdy nie zapomni.

A potem... niewiele. Bolesne zderzenie z Lower East Side. Sześciopiętrowe kamienice czynszowe stojące jedna za drugą aż po horyzont, zasłaniające słońce i niebo. Tłoczne ulice, brud, zapach gnijących odpadków i końskiego łajna, zgrzyt metalowych kół na bruku, sadza opadająca z jadących po nasypie pociągów i nieustanny hałas... Matka szukająca pracy, a potem już tylko pracująca i pracująca bez przerwy.

Ktoś przynosił toboły wypełnione skrawkami materiału do mieszkania, które Matz wynajmował z matką. Kobieta, której płacili czynsz, jej trzy córki, jakiś starzec i ktoś jeszcze,

czasem również Matz, siadali w milczeniu, zbyt zmęczeni, by rozmawiać, i produkowali jedwabne kwiaty używane do ozdabiania damskich kapeluszy. Noc w noc robili ich setki, tysiące... Ktoś zabierał je, gdy praca była skończona, i przynosił nowe toboły materiałów. Toboły napływały bez przerwy, zalegały całe mieszkania, układały się w sterty, zasłaniały światło słoneczne...

Najlepiej jednak Matz pamiętał ten duszny sierpień, kiedy jego matka umierała.

Dzielił wtedy mieszkanie z jedną rodziną na Essex Street. Rodzina była im życzliwa. Gruźlica natomiast bezlitośnie zbierała żniwo w całym budynku. Przy takim nagromadzeniu ludzkich ciał, które tłoczyły się jedno obok drugiego, choroba, która raz nawiedziła kamienicę, zabierała z sobą całe rodziny, całe piętra ludzkich istnień. Tym razem jednak dla odmiany w całym niewielkim mieszkaniu tylko matka Matza padła jej ofiarą. Współlokatorzy zlitowali się i pozwili jej na te ostatnie tygodnie zająć jedyne łóżko oraz przenieść się do pokoju z jedynym oknem. Przez tydzień po jej śmierci nie brali też od Matza czy nszu i żywili go za darmo.

Potem Matz zaczął sam walczyć o przetrwanie. Kradł jedzenie ze stoisk na Hester Street, zbierał bryłki węgla, które wypadły z wózków węglarzy, i sprzedawał je na sztuki. Nadal robił jedwabne kwiaty, nosił tobołki, pracował, gdzie się dało. Ale pieniędzy starczało mu na niewiele więcej niż przetrwanie. Gdzieś między walką o jedzenie a walką o miejsce do spania udało mu się osiągnąć to, po co przywieźli go do Nowego Świata rodzice. Na East Broadway działała szkoła wieczorowa, stworzona, by pomagać charytatywnie takim małym imigrantom jak on. Gdyby nie ona, kto wie, co by się stało...

Matz uczył się angielskiego. Nauczył się pisać i czytać. Nauczył się grać na pianinie. Odkrył Karola Marksa. Przede wszystkim jednak dowiedział się, że życie może wyglądać inaczej, że nie dla wszystkich musi oznaczać to samo. Kiedy pierwszy raz pojawił się w przeludnionym mieszkaniu Eleany na Allen Street – a była to jego piąta przeprowadzka tamtego roku – był już członkiem Socjalistycznej Partii Ameryki oraz aktywnym działaczem Unii Pracowników Przemysłu Odzieżowego. Dziesięć godzin dziennie pracował jako krojczy w Triangle Waist Company, jednej z największych fabryk w mieście. Ponieważ jego posada wymagała jednocześnie umiejętności i tężyzny, zarabiał tam dwanaście dolarów tygodniowo – trzy razy więcej, niż płacono młodym szwaczkom pracującym w takim samym wymiarze godzin. Z wypłaty zatrzymywał dla siebie tylko tyle, ile było mu potrzebne na utrzymanie, a resztę dzielił między partię, unię i chłopców z Lower East Side, którzy błąkali się po ulicach tak jak kiedyś Matz i których ojcowie nie wyszli po nich do portu, a matki poumierwały na suchoty obok małych okien w zatłoczonych czynszówkach przy brudnych ulicach, daleko od domu.

Tak to właśnie było z Matzem.

W porównaniu z nim Eleana miała łatwe życie. Ale w porównaniu z nim każde życie wydawało się łatwe. Eleana urodziła się kilka ulic dalej, na Orchard Street, pięć lat po tym, jak jej rodzice przyплыnęli do Nowego Jorku. W ciągu tych pięciu lat zdążyli się w pełni zamerykanizować i bardzo dbali o to, by mówić do córki wyłącznie po angielsku. Starsza o dwa lata siostra Eleany zmarła na gruźlicę, gdy ta miała rok. Ojciec, Jethro, współdzierzał mały sklep z marynowaną żywnością w bramie pobliskiej kamienicy. Umarł na zapalenie płuc w wieku trzydziestu dziewięciu lat zimą 1905 roku, zatem na rok przed tym, jak Eleana spotkała Matza. Dziewczyna często wspominała ojca – wykształconego, czulego i dobrego mężczyznę, pachnącego zawsze peklowanymi śledziami i, podobnie jak wszyscy ludzie, których znała, bez

ustanku pracującego.

Po śmierci Jethra życie stało się cięższe. Jego sklep został szybko przejęty przez wspólnika, a żona i córka zmuszone były do zatrudnienia się o siebie. Eleana rzuciła szkołę i poszła do pracy, by wspomóc domowy budżet. Może i żyło jej się łatwiej niż Matzowi, ale przecież wcale nie łatwo. Przed śmiercią ojca swoje małe mieszkanie rodzina dzieliła tylko z wujem i dwoma kuzynami. Potem pojawiły się niezliczone rzesze lokatorów. Mieszkanie, podobnie jak wiele sąsiednich, stało się jednocześnie zakładem pracy i noclegownią harujących i śpiących na zmiany robotników. Naszywano guziki na pióra albo pióra na wstążki albo wstążki na kapelusze... Jakakolwiek praca się trafiła, brali ją i szyli, zbyt zmęczeni, by rozmawiać, i szyli, zbyt marnie opłacani, by mieć siłę to rzucić, i szyli. Przerywali tylko po to, by się przespać.

Tak właśnie Matz poznał Eleanę, dojrzałą jak na swoje lata, niebędącą już nieskazitelną bohaterką dobrych romansów, ale twardą córką Lower East Side, której rozkwitu nic nie mogło przyćmić.

Od pierwszej chwili ciągnęło ich ku sobie. Co do tego nie ma wątpliwości. Ona miała piętnaście lat, on osiemnaście, prawdopodobnie osiemnaście. Wrócił z fabryki w nocy. Usiadł przy małym kuchennym stole, przy którym też siadano na zmiany. Matka Eleany podała jej miskę kurzego smalcu i chleb kukurydziany, które dziewczyna bez słowa postawiła przed Matzem. Jeśli to nie była miłość, było to pożądanie od pierwszego wejrzenia – gorące, lepkie i pełne. Patrzyli na siebie i czuli, jak coś wspaniałego przepływa między nimi. Patrzyli na siebie i nie odwracali wzroku, pozwalając oczom błądzić po swoich twarzach, jakby nikogo innego nie było w pokoju, jakby to była najoczywistsza rzecz na świecie. Po minucie, gdy płynący między nimi prąd zdawał się już unicestwiać wszystko, co było obok i gdy nie było już wątpliwości, w jakim kierunku zmierza sytuacja, matka Eleany nachyliła się między nimi i chlupnęła chochlą zupy w miskę Matza. To był koniec. Chociaż nic nie powiedziała, czar chwili został przerwany.

Dziewięć osób spało w małym, rozpadającym się mieszkaniu starozakonnym na Allen Street. W Lower East Side było takich pełno – w czynszówkach o warunkach tak okropnych, z tak małą ilością światła i przestrzeni, że zakazano się w nich osiedlać... W tamtym mieszkaniu przebywało pięciu daleko spokrewnionych członków rodziny, choć nie każdy potrafił wskazać wspólnych przodków, oraz trzech lokatorów spokrewnionych wyłącznie opłacanym czynszem. Każdego wieczoru te śmiertelnie zmęczone ciała wracały z roboty, by dać się nakarmić właścicielce marynowanymi śledziami i chlebem kukurydzianym, marynowanymi śledziami lub chlebem kukurydzianym, smalcem, ziemniakami... przeważnie ziemniakami... Jedenaście ciał ścisnęło się w czterech małych pomieszczeniach: w salonie, ślepej kuchni i dwóch ślepych sypialniach. Tuż za oknami, których nie było, przebiegała Druga Aleja z nasypem kolejowym. Oznaczało to nieustające dudnienie i walenie przejeżdżających pociągów oraz sadzę z ich kominów wpadającą przez jedyne okno i pokrywającą wszystko w salonie grubą warstwą. Na korytarzu znajdował się kran z wodą i kilka toalet, które musiały obsłużyć całe sześć pięt – siedemnaście mieszkań, każde tak samo zatłoczone.

Ludzie spali jak sardynki w puszcze, jeden przy drugim na drewnianych pryczach. Nie było tu miejsca na przyjemności ani osobnego kąta, w którym można by się kochać. Szóstej nocy Matz i Eleanor leżeli koło siebie w tej samej gorącej sypialni, rozdzieleni jedynie parą niechcianych ciał. Żadne z nich nie mogło już znieść ani tej bliskości, ani oddalenia. Eleana jednak czekała, jej umysł i ciało drżały z pragnienia. Wiedziała, że w końcu do niej przyjdzie.

I przyszedł.

Matz przeczołgał się nad dwoma śpiącymi postaciami, z których jedna była młodym kuzynem Eleany, a druga nie wiadomo kim. Przytulił się do niej, a ona przyglądała mu się w półmroku. Leżeli tak minutę, może dwie, może więcej. I w tym spokoju, gdy cały hałas nagle ustał, dotknął jej twarzy, ona dotknęła jego twarzy i oboje zobaczyli w sobie nawzajem to, co potrzebowali widzieć, przynajmniej w tamtej chwili. Zobaczyli więcej, niż sądzili, że można zobaczyć w drugim człowieku: akceptację, zaufanie, ciekawość, pożądanie...

W końcu Matz wyszeptał:

– Ty, ta chwila... Nie, po prostu ty, Eleano. To jedyne, o czym jestem w stanie myśleć...

Uśmiechnęła się do niego.

– Miałam taką nadzieję, ale, na Boga, nie spieszyłeś się!

Zaśmiał się. Oboje się zaśmiali i zaczęli się kochać – pieprzyć się, po cichu, tuż obok śpiącego mężczyzny, który nie był kuzynem, a który chrząknął przez sen, nieświadomie protestując przeciw naruszeniu jego małej przestrzeni, i odsunął się jak najdalej. Nie obudził się.

To była chwila wykradziona z czasu, moment czarujący i nieznośnie doskonały. Dzielił go z sobą ludzie, którym życie dawało tylko trudne zadania. To była chwila, która zachwyciła ich oboje.

– *Kischefdik!* – wyszeptał Matz. – Jestem szczęściarzem.

Eleana zachichotała.

– *Kischefdik*, magicznie. Tak, właśnie tak było. Ty jesteś magiczny. Zróbmy to jeszcze raz.

Spojrzał na nią przez mrok. Z salonu docierało słabe światło – kilka osób ciągle jeszcze doszywało guziki z masy perłowej do sterty dziecięcych spodni, sześćdziesiąt małych guziczków na godzinę, dziewięćdziesiąt par dziecięcych spodni przez noc, czternaście godzin na dobę. Trzy dolary więcej na tydzień.

– *Schejn majdl*, Eleana – wyszeptał Matz, przebijając się przez buczenie maszyn do szycia, które nigdy nie ustawało, przez chrapanie i pochrząkiwania współmieszkańców. – Jesteś piękna... Jesteś najpiękniejszą dziewczyną, jaką widziałem.

Tak rzeczywiście było. Matz wierzył, że mówi prawdę. Kocie oczy, zielone jak szmaragdy, ciepłe jak światło letniego księżycyca, i te delikatne uśmiechające się usta, ta długa zgrabna szyja, i te oczy...

– Twoje oczy... – wyszeptał. – Przez cały tydzień widziałem tylko je...

Nie roześmiała się. Spojrzała na niego, patrzącego na nią przez mrok.

– Nie jestem naprawdę piękna – powiedziała z prostotą – ale ty sprawiasz, że taka się czuję.

I tak to się zaczęło, a teraz trwało już trzy lata. Matz wciąż za dnia harował w fabryce Triangle Waist Company, a przez pięć nocy w tygodniu pracował (choć trudno uznać to za pracę) w kinie na Hester Street. Podczas strajku, rzecz jasna, ani on, ani Eleana nie dostawali od fabryki żadnych pieniędzy, ale dzięki kinu powodziło im się lepiej niż innym. Przeprowadzili się do innego mieszkania na tej samej ulicy, wcale nie mniej zniszczonego, ciemnego czy zatłoczonego, a nawet mniejszego niż poprzednie, ale przynajmniej oddalonego od torów i z mniejszą liczbą współlokatorów. Mieszkali z matką Eleany, Batią Kappelman, i jej ciężarną kuzynką Sarah Kessler oraz z brązowookim dzieckiem Sarah, Tziwią, oraz (czasem) z mężem Sarah, Samuelem Kesslerem, który pojawiał się i znikał. Mieszkał z nimi także tymczasowo nowy pracownik, kuzyn Sarah, świeżo przybyły ze starego kraju i ciągle próbujący się odnaleźć w nowej sytuacji.

Najlepszym, co im się przytrafiło, była oczywiście ich córka, Isha, teraz dwuletnia, osiemnaście miesięcy starsza niż jej kuzynka Tzivia. Dziewczynki, zdaniem ich babki, były podobne jak dwie krople wody, choć w rzeczy wistości wcale tak nie było. Matz i Eleana po cichu i w tajemnicy ustalili, że Isha była zupełnie wyjątkowa. Była ich złotym dzieckiem. Potrafiła już chodzić i mówić, a jej uśmiech powodował, że na Hester Street topniał śnieg. Jej oczy były dzikie i zielone jak oczy jej matki. Rodzice chcieli uchylić jej rąbka nieba i nie godzili się w tej kwestii na żadne ustępstwa. Chcieli jednak dla niej nieba nad innym światem – nad tym bardziej przyjaznym i uczciwszym, który nie cuchnął śledziem w marynacie, końskim nawozem i gnijącymi warzywami. Nad światem, w którym starczało jedzenia i czystego powietrza i w którym ich córeczka nie musiałaby walczyć o każdy oddech i dusić się co noc, w którym będzie mogła spać wygodnie, oddychać swobodnie i czuć się bezpiecznie.

Isha nie była silnym dzieckiem. Ale jej śmiech był tak lekki, tak ciepły i tak zaraźliwy, że potrafił przynieść ulgę każdemu, kto miał dość szczęścia, by go usłyszeć.

Spotkało ich błogosławieństwo. Mieli dach nad głową, jedzenie na stole, którego zawsze starczało dla Ishy i dla nich. W przeciwieństwie do strajkujących towarzyszy Matz przynosił do domu wypłatę z kina, której połowa szła na czynsz, a drugie pół na wydatki. Co więcej, mieszkanie dzielili tylko z pięcioma osobami. Ustalono też, że jak tylko strajk się skończy, a nowo przybyły kuzyn stanie na własnych nogach, Eleana, Matz i Isha będą mieli pokój tylko dla siebie.

Poprzedniej nocy, kiedy Eleana wracała z pikiety, czekał, a raczej zaczął się na nią pan Blumenkranz, jeden z zarządców fabryki Triangle, człowiek, z którym w normalnych warunkach musiała widywać się w pracy codziennie. Był niski, wzrostu Eleany, dobiegał pięćdziesiątki. A w domu czekała na niego nieszczęśliwa żona. Pan Blumenkranz oczekiwał na nią schowany za wozem z węglem, domyślał się bowiem, słusznie zresztą, że gdy tylko go zobaczy, odwróci się na pięcie i odejdzie.

Stanął na jej drodze zniecała. Eleana aż podskoczyła. Nie miała wyboru, więc rozejrzała się niezadowolona, że widzący ją z Blumenkranzem koledzy mogą pomyśleć, iż brata się z zarządzający mi. Próbowwała odejść, ale mężczyzna był zdeterminowany.

– Eleana! – wysapał z lekka, próbując zachować spokój, mimo że stopy rozjeżdżały mu się na oblodzonej ulicy.

– Dzień dobry, panie Blumenkranz – odpowiedziała chłodno, ale uprzejmie i nie patrząc w jego stronę, przyspieszyła kroku. Od kiedy to niby Blumenkranz mówił jej po imieniu?

Zarządca nie starał się nawet poznać imion i nazwisk pracowników. Zresztą po co miałyby to robić, skoro większość szybko odchodziła z fabryki i napływali nowi. Była jednak dziewczyna, która wyjątkowo wpadła mu w oko, i jej imię zawsze będzie pamiętał. Tą dziewczyną była Eleana. Wszyscy to zauważyli, inne pracownice domyśliły się od razu. Matz również. Liczne romanse Blumenkranza były w fabryce Triangle stałym tematem żartów. Czasami dziewczyna, którą sobie wybrał, odchodziła z pracy, i z tym nie mógł sobie poradzić, a czasem, gdy wybranka nie przyjmowała awansów, sam ją zwalniał. Chodziły też plotki o tej czy tamtej szwaczce, która miała z powodu Blumenkranza poważne kłopoty. Tak czy owak, z jego miłostek nigdy nie wynikało nic dobrego. Ich adresatki wiedziały, że było to raczej przekleństwo niż wyróżnienie.

Eleana była rozsądna i udało jej się dłużej niż innym wytrzymać amory Blumenkranza, od których robiło jej się niedobrze. Trzymała go na dystans, ale jej grzeczne odmowy i umiejętność wywinięcia się z jego rąk podniecały zarządcę jeszcze bardziej. Blumenkranz stawał za jej plecami, kiedy pochylała się nad maszyną napędzaną tym samym silnikiem, co

maszyn na przed nią i maszyny na przed tą maszyną oraz dwieście innych maszyn na ósmym piętrze fabrycznej kamienicy...

– Ach, panno Beekman! – wzdychał w zagłuszającym go warkocie maszyn. – Jest pani urodzoną szwaczką! – mówił, jakby to był komplement. Potem odwracał się do innych kobiet, pracujących w tym samym rzędzie z opuszczonymi głowami, ramionami i szyjami zgiętymi nad maszynami. – Gdybyście tylko potrafiły wszystkie pracować tak wydajnie jak panna Beekman!”

Eleana raz odważyła się go poprawić:

– Pani Beekman, panie Blumenkranz – choć w gruncie rzeczy to nie była prawda.

Ciągle jeszcze była panną Kappelman, bo nie mieli z Matzem ślubu, na co raz po raz uskarżała się jej matka. Nie spieszyło im się, zawsze było coś pilniejszego do zrobienia, jakiś lepszy i ważniejszy powód, by tracić czas i pieniądze. Pan Blumenkranz wiedział doskonale, że Eleana mieszkała z Matzem Beekmanem, krojczym i członkiem związków zawodowych, który ciągle sprawiał kłopoty. Gdyby to zależało od niego, Matz dawno już zostałby zwolniony. Trudno jednak było znaleźć dobrego krojczego, a wszyscy wiedzieli, że Matz był najlepszy. Blumenkranz zignorował zatem słowa Eleany, położył tęsknym gestem swoją tłustą dłoń na jej ramieniu i powiedział:

– Proszę pracować dalej, panno Beekman. Niedługo zrobimy panią brygadzistką. Brygadzistką, panno Beekman! Nie muszą pani chyba przypominać, że to dolar tygodniowo więcej!

Eleana pozwoliła ręce Blumenkranza zostać tam, gdzie była, i poszukała wzrokiem Matza stojącego wraz z innymi krojczymi na drugim końcu hali. On jednak zupełnie nieświadomy sytuacji, zajęty był swoimi obowiązkami i tłumaczeniem pracującemu obok człowiekowi podstaw rewolucji marksistowskiej. Eleana nie protestowała, gdy palec Blumenkranza dotknął skóry na jej karku. Nie poczuła nic, nawet odrazy, wiedziała, że ta chwila zaraz minie.

Kiedy mężczyzna w końcu odszedł, Dora, jej najbliższa przyjaciółka, spojrzała na nią groźnie.

– *Dershtikt zolstu vern!* – powiedziała wściekle. – Ależ jesteś głupia!

– Tak myślisz? – zaśmiała się dziewczyna. – Niby czemu? Ten idiota doprowadza mnie do szału.

– Panna Beekman czy pani Beekman. Kogo to obchodzi? Ciebie na pewno nie, bo w przeciwnym razie coś byś z tym zrobiła.

– Och – westchnęła Eleana. – Oczywiście, że mnie obchodzi.

– Blumenkranz cię uwielbia, panno Eleano Kappelman. Jesteś jego jedyną miłością.

– Nonsens, przestań tak mówić.

Dora zachichotała.

– To pewne! Jesteś wybranką jego serca, Ellie! Miłością jego życia!

– Zamknij się, Dora!

– Kocha cię ponad życie!

– Cicho, bo obie nas zwolnią przez ciebie.

– Traktuj go dalej tak jak teraz, a niedługo zwolnią ciebie. Taka jest prawda.

Eleana pokręciła głową na znak, że się nie zgadza, ale nic nie powiedziała.

– Chcesz zarabiać dolara więcej czy nie? – naciskała przyjaciółka.

– Oczywiście, że chcę.

– Bo jeśli ty go nie chcesz, pani Beekman, to ja go chętnie wezmę! Mnie Blumenkranz może prosić o wszystko i z radością wezmę za to pieniądze.

– Wierzę ci – uśmiechnęła się Eleana.

– Myślisz, że jestem kurwą? Świetnie. Może i jestem. Ale chcę przeżyć. O to mi głównie chodzi.

– I o to, żeby się kurwić – dodała Eleana ze śmiechem. – Muszę donieść na ciebie twojej matce, kiedy ją spotkam.

Dora była rozbawiona.

– Myślisz, że mama tego nie robiła, kiedy mogła?

– Cóż, Doro... Myślę, że nie robiła. Twoja matka to dobra kobieta.

– Cóż, Eleano... Ja też jestem dobrą kobietą. O to właśnie chodzi. Ty też nią jesteś. Ale nawet dobre kobiety muszą jakoś przetrwać, a teraz są inne czasy. To jest Ameryka. Życie już nie jest takie, jak w Starym...

– Och, proszę cię, nie zaczynaj znów! – przerwała jej Eleana nie dlatego, że nie zgadzała się z tym, co mówiła przyjaciółka, ale ponieważ bardzo chciała, żeby wszystkie drogi i wszystkie rozmowy nie zmierzały wciąż do tego samego miejsca. Socjalistyczne poglądy Dory stawały się nawet bardziej irytujące i bardziej radykalne niż zapal Matza.

Tak czy owak, Eleana nigdy już nie poprawiła pana Blumenkranza. Przystała na to, że nazywał ją panną Beekman i nachylał się nad nią tak, że czuła na kręgosłupie jego gorący oddech, a potem, kiedy wreszcie sobie szedł, uśmiechała się. W czasie strajku nie dostała ani podwyżki, ani obiecanego awansu. Ale ciągle miała pracę... A teraz, kilka miesięcy później Blumenkranz czekał na nią, gdy wracała z pikiety na Greene Street.

– Poczekaj, Eleano! – dyszał, a nogi rozjeżdżały mu się w zamrażonym błocie. – Czy możesz na chwilę stanąć? Muszę ci powiedzieć coś bardzo ważnego...

– Muszę iść do domu, proszę pana – powiedziała, nie zatrzymując się. – Muszę wracać do córki. Chyba że... – Z dała od fabryki, na wypełnionej ludźmi ulicy trudniej było Eleanie ukrywać obrzydzenie. Rzuciła mu krótkie spojrzenie. – Chyba że ma pan coś do przekazania pracownikom, wtedy oczywiście powtórzę wiadomość. – Uśmiechnęła się chłodno.

– Nie, pracownikom nie.

– To dobrze.

– Eleana!

Blumenkranz chwycił ją za rękaw i zmusił, żeby stanęła. Mogła mu się wyrwać, ale się powstrzymała. Nawet teraz, na ulicy, nawet z tym żalonym błagalnym spojrzeniem nadal posiadał nad nią władzę. Strajk nie będzie przecież trwać wiecznie i trzeba było pomyśleć, co będzie potem, że pan Blumenkranz znów będzie stawał za nią i kładł ręce na jej ramionach, a palce na jej szyi, i zastanawiał się, czy ją zwolnić, czy awansować.

– O co chodzi, panie Blumenkranz?

Wydawał się zaskoczony, jakby nie miał nadziei, że uda mu się ją zatrzymać.

– Mam dla ciebie propozycję – powiedział. – Zapisałem ją...

Zaczął szperać w kieszeni grubego zimowego palta. Eleana stała bez ruchu. Miała na sobie kurtkę o wiele cieńszą niż jego płaszcz, zaczęła się trząść.

– Poczekaj chwilę – wymamrotał. – Poczekaj...

Blumenkranz jednak nie mógł znaleźć kartki w żadnej z licznych kieszeni swojego płaszcza i w końcu się poddał.

– Chciałem tylko powiedzieć... że zasługujesz na coś lepszego! To jakiś nonsens, że się w to zaangażowałaś. Zasługujesz na coś lepszego, o wiele lepszego.

– Lepszego niż co?

– Spójrz na siebie. Zmarzłaś. Masz taką cienką kurtkę.

– Z pewnością cieńszą niż pana palto.

– Eleano, złotko, przecież wiesz, że nie wy grasz. Nikt z was nie wy gra.

– Kilka innych fabryk już uzyskało porozumienie, wie pan o tym przecież.

– Ale nie Triangle! Pan Blanck i pan Harris zdecydowali, że będą walczyć do końca. Stać ich na to, mają środki. Do tej pory tak robili i, uwierz mi, tak będzie do końca. Fabryka będzie pracować z tobą czy bez ciebie. Nigdy nie będzie zgody na związki zawodowe. Nigdy! – Spojrzał na nią i dostrzegł w jej oczach błysk niepewności. Instynktownie go wykorzystał: – Ja mógłbym ci pomóc – zachęcał. – Jeśli tylko byś mi na to pozwoliła, Eleano. Mógłbym pomóc. Jadłaś dziś śniadanie? Założę się, że nie. – Jego wzrok skupił się na jej ustach. – Mógłbym zorganizować dla ciebie jakieś pieniądze. To byłaby nasza tajemnica. Jeśli chcesz...

– Jakie pieniądze, panie Blumenkranz? – spytała grzecznie. – Proszę mi powiedzieć, co pan miał na myśli.

On jednak nie słuchał jej. Wpatrywał się w jej usta i wyobrażał sobie siebie oplatającego ją ramionami, popychającego ją w boczną uliczkę, właśnie tam, za stertę gruzu i kupę gnijącego... cokolwiek to było, zadzierającego jej spódnicę... Przecież nie mógł myśleć o tym wszystkim i jednocześnie jej słuchać...

– ...Uczciwa płaca dla wszystkich – mówiła właśnie – uznanie związków zawodowych, krótszy dzień pracy. Dla wszystkich, panie Blumenkranz, nie tylko dla mnie. Nie możecie dłużej...

– Ale ja mogę ci pomóc – zachęcał pan Blumenkranz. – Wyglądasz na głodną. O, z pewnością jesteś głodna, Eleano! Z czego ty właściwie żyjesz podczas strajku? Nie można żyć samymi ideami! A ty na dodatek masz dziecko. Pomyśl o nim. Potrzebujesz pieniędzy? Mogę ci dać pieniądze. Ile ci trzeba?

Znów zaczął przeszukiwać kieszenie. Tym razem jednak, gdy podniósł głowę, jej już nie było, zniknęła. Na tymczasem stał na ruchliwej, głośniejszej ulicy i płonął z pożądania. Taki był właśnie los małego prostego człowieka z nieszczęśliwą żoną w domu i znienawidzoną pracą, którego nie chciała u siebie żadna ze stron, ani biednego, ani bogatego, zniewolonego przez młodą kobietę, która nim gardziła, mimo że, a może dlatego że obiecał jej dolara do tygodniówki ekstra, i z którego ostatnio głównie się śmiano.

Bez wątpienia rano, po nocy spędzonej na przewracaniu się z boku na bok w jednym łóżku ze śpiącą w najlepsze nieszczęśliwą żoną i rozmyślaniu o tym, jak został odrzucony, ten człowiek będzie wściekły – i nic w tym dziwnego.

Organizatorzy strajku zgodzili się co do tego, że na pikietach powinno być widać, jeśli to możliwe, młode atrakcyjne pracownice, które miały szansę zjednać sobie społeczną sympatię, mężczyźni zaś bardziej będą przydatni na tyłach. Eleana zatem miała wrócić na demonstrację na Greene Street, przed wejściem do fabryki, w której sama pracowała. W tym czasie Matz zamierzał kręcić się między pikietami rozsianymi po całym mieście, informować strajkujących o spotkaniu unii, podnosić ich morale swoją elokwencją i zaangażowaniem oraz przede wszystkim mieć na oku policję, która mniej się kwapiła do użycia siły, gdy w pobliżu byli mężczyźni.

Eleana postanowiła nie wspominać Matzowi o incydencie z Blumenkranzem, ale gdy oboje wychodzili rano z domu bez śniadania, a ich chorowita córeczka uczepliła się lękliwie jej szyi, w jej głowie pojawiła się jedna natrętna myśl: A gdyby powiedziała Blumenkranzowi „tak”, co by to zmieniło? Byłoby śniadanie dla całej rodziny. Dobre śniadanie dla Ishy. Może nawet i nowy płaszcz dla niej i ciepłe koce. Nowe palto dla samej Eleany i dla Matza...

– Blumenkranz zatrzymał mnie, kiedy szłam do domu – oświadczyła bez namysłu ponad małym i delikatnym ramieniem córki, po czym uśmiechnęła się nieśmiało. – Trzymał mnie za rękaw i nie chciał puścić. Mówił do mnie po imieniu, uwierzyłybyś?

Matz czekający na nią w drzwiach nie odezwał się ani słowem. Popatrzył tylko gniewnie. Oczywiście, tak jak przewidziała, od razu zrozumiał, o co chodziło Blumenkranzowi. Co ją podkusiło, żeby mu to powiedzieć? – przeklinała samą siebie. Odwróciła się do Ishy, płaczącej z mocą aż zadziwiająco jak na tak chore dziecko. Pogłaskała twarzączkę córki, przytuliła ją i mała nieco się uspokoiła.

– Wystarczy już – szeptała, całując ciemną główkę. – Musisz dzisiaj zostać z *bubbeh*, kochana. Ja muszę iść. Pomożesz trochę swojej *bubbeh*. Albo pobawisz się z Tzivią.

– Tzivia jest dla mnie niemila.

– No coś ty, ona jest jeszcze malutka.

– *Bubbeh* lubi Tziwię bardziej niż mnie.

– To nieprawda! – zaśmiała się Eleana, spoglądając na matkę. – *Bubbeh* żadnej z was nie lubi bardziej, zresztą trudno się dziwić, skoro robicie tyle hałasu.

Isha nic nie mówiła. Nie wiedziała, czy jej mama żartuje, czy nie.

– A ja wróć, zanim się zorientujesz – dodała Eleana, całując delikatną szyję dziecka i odwołując moment wyjścia.

Matz przyglądał się im, zmuszając się do cierpliwości, ale złość na Eleanę potęgowała jego podenerwowanie. Każda komórka jego ciała chciała się wyrwać z tej domowej sceny i wrócić w końcu do świata. Nie mógł znieść duchoty panującej w pokoju.

– Ishie, aniołku – powiedział w końcu – pozwól mamie już iść. Zaraz się z nią znów zobaczysz. Bądź dzielna. Mama ma ważne rzeczy do zrobienia. Puść już mamę.

Matz zrobił kilka kroków w głąb pokoju i pocałował dziewczynkę w głowę. Wyplątał szyję Eleany z dziecięcych objęć i pewnym ruchem posadził Isha u stóp jej babki.

– Weź ją, *bubbeh*, na litość boską! I tak już jesteśmy spóźnieni!

Zostawwszy za sobą płaczące dziecko i zatłoczone duszne mieszkanie, Eleana i Matz szli szybkim krokiem przez przejmujący ziąb poranka. Przechodzili pod sznurkami, na których suszyła się poszarzała bielizna, sztywna od mrozu ścinającego brudne miejskie powietrze, mijali handlarzy ulicznych i sterty śmieci. Byli wściekli, choć Eleana starała się zachować spokój. Czuła, że Matz tłumii wybuch szału, i to doprowadzało ją do furii. Nie zrobiła przecież nic złego. W ogóle nic nie zrobiła poza opowiedzeniem mu o wydarzeniu, za które w żadnym stopniu nie była odpowiedzialna. Jeśli Matz wołał o takich rzeczach nie wiedzieć, to był głupi. Głupszy nawet, niż mogło się wydawać. I bardziej dziecinny niż Isha. Nie chciała iść z nim przez całą drogę do Greene Street, nie w takim nastroju.

– Może powinieś zajść najpierw do fabryki Bijou? – zasugerowała. – Słyszałam, że była tam wczoraj policja.

– No jasne, że słyszałaś! – wrzasnął Matz. – Sam ci to mówiłem.

– Kilka dziewczyn zostało strasznie pobitych – broniła się Eleana. – A dwadzieścia innych aresztowano.

– Tak ci właśnie powiedziałem.

– Przyda im się wsparcie po czymś takim...

– Próbujesz się mnie pozbyć, prawda?

Zaśmiała się i pokręciła głową.

– Chcesz się mnie pozbyć, żeby się obściskować z Blumenkranzem! Ile on ci zaproponował?

– Nie bądź śmieszny!

– No ile?

– No ile? – przedrzeźniała go. – No właśnie, ile? *Es ist nicht dajn gescheft...*

– Co? – Matz zatrzymał się nagle i spojrzał na nią. – *Es ist nicht dajn gescheft?* Co właściwie nie jest moim interesem, Eleano? To, że moja własna żona zachowuje się jak kurwa? No powiedz!

Spojrzała na niego, nie zatrzymała się. Była zbyt wściekła, by się odezwać. Szli dalej przez gęstniejący tłum. Na rogu Essex Street minęli zamrożone truchło wychudzonego starego konia. Tak bardzo przyzwyczaili się już do oznak nędzy, że nawet nie zwrócili na nie uwagi. Nie

dostrzegali nic poza własnym gniewem. Przy końcu ulicy Matz zatrzymał się znowu.

– Ile ci zaproponował? – powtórzył. – Musiał coś przecież obiecać. Podał sumę?

Eleana spojrzała na niego rozdarta między wybuchem śmiechu a czystą, palącą wściekłością. Jak śmiał nawet pytać o coś takiego?

– Twierdził, że cena nie gra roli – odpowiedziała. – Więc powiedziałam mu pięćdziesiąt dolarów, Matz. To by się nam bardzo przydało, prawda? Skoro ty ciągle oddajesz połowę swoich pieniędzy, ja nic nie zarabiam, a mamy chorą córkę. Moglibyśmy kupić jej ciepłą kurtkę, karmić ją przy zwoicie...

Matz i Eleana patrzyli na siebie. Jej przeszło przez myśl, że może ją uderzy, a jeśli tak, co powinna zrobić? Oczywiście odda mu.

– Pięćdziesiąt dolarów – powiedziała znowu i nachyliła się w stronę męża. – On teraz rozważa ofertę.

Odwrociła się bez słowa. Dudniło jej w uszach. Dwadzieścia minut później, gdy dochodziła do Greene Street, żałowała już, że ją poniosło. Gorzko żałowała tego, co powiedziała. Z pewnością jej uwierzył. Na pewno go zraniła. Nie poszedł za nią przecież.

Na ulicy pięćdziesięciu pracowników stało w zwartej grupie pod zamkniętą bramą fabryki. Już byli gotowi, skandowali hasła strajkowe i wymachiwali transparentami. Eleana dostrzegła w tłumie Dorę Wiseman i od razu się pozbierała:

– Nareszcie! Myślałam, że już nie przyjdiesz! – krzyknęła przyjaciółka i pociągnęła ją za rękę. – Gdzieś ty była? Słyszałaś, jaki jest plan? Stój pewnie, uważaj! Nie może dojść do awantury, bo oni wygrają. Daję słowo, że kiedy tu przyjdą, będę się śmiać. Zaśmieję się im prosto w te ich obleśne mordy.

– Kiedy kto przyjdzie, Doro? O czym ty mówisz? Podaj mi ten transparent, proszę. I jakieś ulotki, nie będę stała z pustymi rękami.

– Nie widziałaś policji, El? Ich budy stoją tuż za rogiem. Tylko czekają, żeby nas aresztować i zabrać na komendę.

Zapomniawszy w końcu o tej głupiej sprzeczce, Eleana rozejrzała się wokół siebie. Rzeczywiście pikietą była otoczona. Policjanci byli wszędzie i czekali. Stali w półokręgu z założonymi rękami, uśmiechając się, jakby właśnie opowiedziano im w tajemnicy jakiś żart. Eleana, tak jak wszystkie zgromadzone kobiety, czuła, że coś się dzieje. Nadciągało jakieś nieszczęście.

Brama fabryki miała zaraz się otworzyć. Pan Blumenkranz czekał ze swoim zegarkiem, aby łamistrajki z ociąganiem dotarły na miejsca pracy. I ze wstydem, przytłoczeni przez głód i poniżenie, często prosto z urzędu do spraw emigrantów na Ellis Island, bo wielu z nich dopiero co postawiło stopę na stałym lądzie. W normalnych warunkach widok tłoczących się żałośnie w bramie fabryki ludzi tylko utwierdzał Eleanę, że jej wybór był słuszny. To właściciele zakładów byli jej wrogami, a nie te obdarte stworzenia, pracujące w brudnych i niebezpiecznych kombinatach na swoich oprawców.

– Myślą, że mogą nas tym obrazić... – odezwała się Dora.

– Kto?

– Kierownictwo, kretynko! Ale oni nie mają pojęcia o naszej sile. Łamistrajki będą zawsze. Co nas to obchodzi! O! Patrz, tam jest pan Blumenkranz. Uspokoił się w końcu. W każdej chwili mogą się pojawić. Popatrz na ten jego tajemniczy uśmiezek. Myśli, że to na nas zrobi wrażenie.

Ha! My już o wszystkim wiemy! – Dora wychyliła się i wrzasnęła ponad głowami tłum: – Nic nas nie zaskoczy, panie Blumenkranz! Nie dacie rady nam ubliżyć! Ublizacie sami sobie!

Eleana trąciła ją łokciem.

– Dora, na litość boską! Dzień się ledwie zaczął, czy mogłabyś się na chwilę uspokoić i wyjaśnić mi, o co tutaj chodzi?

W tej samej chwili inni zgromadzeni też dostrzegli Blumenkranza. Strajkujące kobiety uniosły się gniewem, który przerodził się w zagłuszające wszytko skandowanie:

– WOLIMY UMRZEĆ SZYBKO, NIŻ ZDYCHAĆ Z GŁODU LATAMI, BLUMENKRANZ!!!

– WALCZYMY DO ŚMIERCI!!! WALCZYMY, BY WYGRAĆ!!!

– Dora!!! Na Boga, powiedz mi, proszę, co się tu dzieje!

– WALCZYMY DO ŚMIERCI, BLUMENKRANZ!!! – wrzeszczała Dora, aż żyły na jej szyi nabrzmiały. – WALCZYMY, BY WYGRAĆ!!!

Blumenkranz obserwował tłum. Mimo mrozu pocił się w swoim grubym wełnianym garniturze i wyglądał na zdenerwowanego – zaangażowanie kobiet wyraźnie go zaskakiwało. W końcu dojrzał wśród zebranych Eleanę i zatrzymał na niej wzrok.

Dora przyciągnęła przyjaciółkę i krzyknęła jej do ucha:

– Zatrudnili ulicznice, Eleano! Pospolite kurwy z ulicy Browery! Na miejsce szwaczek wzięli dziwki z Browery! Ich alfonsi się zgodzili. Wszyscy się zgodzili. Powinni je przywieźć lada chwila. Emma mówi, że przyjadą samochodami...

– Samochodami!

Gdy tylko Eleana wypowiedziała to słowo, od strony placu Waszyngtona nadjechała kawalkada pojazdów. Samochody zatrzymały się jeden za drugim w równej linii przed wejściem dla pracowników, naprzeciwko strajkujących kobiet. Drzwi się otworzyły. Znienawidzone dziwki zaczęły wysiadać.

Ich wyzywające ubrania i prymitywne, mocno umalowane twarze nie pozostawiały wątpliwości co do ich profesji. Resztę niepewności rozwiała obecność alfonsów, którzy drobnymi kroczkami ruszyli w ich ślady z uśmiezkami na twarzach. Wszystko to oczywiście było wyreżyserowane – było przemyślaną obelgą rzuconą strajkującym przez dwóch właścicieli fabryki, pana Harrisa i pana Blancka, kiedyś imigrantów bez grosza przy duszy. Kiedyś, czyli bardzo, bardzo dawno temu. Przyjmując prostytutki, nie tylko zapewniali sobie funkcjonowanie fabryki w czasie strajku, ale także pokazywali pikietującym, w jakim poważaniu mają swoją siłę roboczą, którą bez najmniejszego trudu mogli zastąpić.

Max Blanck uśmiechał się nerwowo zza zamkniętego okna dziesiątego piętra, obserwując efekt, jaki wywarła jego sztuczka. Fala nienawiści płynąca z dołu sięgnęła jego poziomu i uderzyła w niego z taką siłą, że odwrócił się do stojącego za nim szwagra i zaczął głośno zastanawiać się, czy przypadkiem nie posunęli się za daleko. Jego partner kazał mu zamilczeć. Chciał słyść, co się dzieje na dole.

Wiele metrów pod nimi, przed zamkniętą bramą strajkujący otoczyli nowo przybyłych, tworząc syczący ze wściekłości kordon blokujący wejście do fabryki. Bez żadnego rozkazu czy instrukcji pikietki zmieniła swoje ustawienie – teraz rozbić ją można było tylko siłą.

Alfonsi tymczasem, wahając się między ochroną swojego towaru a niezwykłym i zabawnym przedstawieniem, które właśnie zaczynało się rozkręcać, stali z boku i patrzyli

z uciechą. Przez chwilę to samo robili miejsca policjanci. Przez chwilę też nic się nie działo, ale nienawieść buzowała. Kobiety stawały jedna obok drugiej, a mężczyźni uśmiechali się bez ruchu. Napięcie narastało. Przemoc wisiała w powietrzu.

Niepodobna wskazała momentu, w którym wszystkie się zaczęło. Bijatyka wybuchła nagle. Wydaje się, że rozpętała się w kilku miejscach jednocześnie. Eleana dostrzegła jedną z ulicznych plującą Dorze w twarz, a potem Dorę podnoszącą rękę, by zetrzeć ślinę, a może, obawiała się, uderzyć napastniczkę. Pamiętała też, że chwyciła przyjaciółkę za nadgarstek, trzymała ją i krzyczała:

– Oni tylko tego chcą! Jeden niewłaściwy ruch i... – Pokazała jej policjantów otaczających pikietę. Stali z założonymi rękami, oczy mieli szeroko otwarte. – Jeden niewłaściwy ruch i oni...

Nie zdołała jednak dokończyć zdania, bo oto okazało się, że to, co miała na myśli, już się stało. Z lewej strony zobaczyła prostytutkę, której płwocina wylądowała w oku Dory i która, wykorzystując swoją przewagę, zaciskała już dłonie na szyi przyjaciółki. Eleana puściła rękę Dory, a ta zadała celny cios. Policjant chwycił Eleanę od tyłu. I rozpętało się piekło.

Eleana próbowała dostrzec coś przez kłębowisko ciał, spódnic, połamanych transparentów, unoszących się w powietrzu ulotek oraz rąk i nóg. Ktoś szarpnął ją z tyłu za włosy. Spadł jej kapelusz, a szyja boleśnie się wykręciła. Z dziką determinacją rzuciła się przed siebie, szukając kogoś lub czegoś, czego mogłaby się chwycić, jakiegoś sposobu obrony. Była jednak bezsilna. Zobaczyła Blumenkranza przyglądającego się jej zza ogrodzenia fabryki. Jego wbity w nią wzrok wyrażał przyjemność – przyjemność, zemstę i pożądanie. To było ostatnie, co zdążyła dostrzec, zanim jej głowa uderzyła o bruki spadła na nią pałka.

Leżała bez ruchu z twarzą w śniegu, osłaniając rękami głowę. Posypały się kolejne ciosy. Ktoś szarpnął jej ręce i wykręcił je. Eleana krzyknęła z bólu, lecz razy nie ustały. Miała wrażenie, że to już koniec. Była pewna, że umiera. I wtedy, nagle, ból ustąpił. Jej ręce znów były wolne, a ciało napastnika upadło ciężko jak kamień tuż obok niej. Twarz olbrzyma w mundurze zastygła w wyrazie zdziwienia. Wpatrywała się w nią, czekając na kolejne uderzenie, które nie nastąpiło. Olbrzym się nie ruszył. Dwie ręce delikatnie podniosły ją i pomogły jej stanąć.

– Wybacz mi – powiedział Matz, przytulając ją. – Byłem strasznie głupi. Byłem głupi, Eleano. Czy możesz mi to wybaczyć?

– Wybaczyć ci? – powtórzyła zmieszana.

Wskazał policjanta leżącego obok ich stóp.

– Zrobił ci krzywdę?

– Wszystko w porządku...

Matz chciał ją odprowadzić w bezpieczne miejsce, ale walka rozpętała się na dobre, wciągając go we wściekłą płataninę ciał. Eleana stała chwilę zdezorientowana pośrodku całego tego zamętu. Jej głowa obracała się na boki, a krew kapała z policzka na czysty biały kołnierzyk. Teraz alfonsi rzucili się sami w tłum, próbując wydostać z niego swoje kobiety. Ochrona fabryki wypadła z hukiem. Strajkujący atakowali prostytutki. Policja atakowała strajkujących. Ochrona, alfonsi i dziwki atakowali wszystko i wszystkich, którzy znaleźli się w zasięgu ich wzroku.

A w centrum tego wszystkiego stała Eleana. Zataczała się, próbując utrzymać równowagę. Robiło jej się ciemno przed oczami, aż w końcu poddała się i osunęła się na ziemię.

W ogólnym chaosie dało się zauważyć, że właściciele fabryki mieli przewagę. *Kurve* zostały wyłowione z motłochu i zagonione do budynku. Drzwi zakładu zatrzasknięto, a alfonsi po cichu się

uolnili. Ale walka między strajkującymi a policją trwała w najlepsze. Eleana leżała pośród niej nieprzytomna i zapomniana przez wszystkich. Kilka metrów dalej czterech policjantów zasadzało się na Matza.

Eleana ocknęła się, kiedy poobijane ciało Matza ciągnięto po chodniku w stronę zaparkowanej za rogiem budy policyjnej. Dzwonił jej w uszach głos Dory wołający: „Eleana, obudź się, obudź! Zabierają go! Wsadzą go do więzienia! Zasadzą taką grzywnę, że nigdy na nią nie uzbieramy! Nigdy go nie wypuszczą! Zrób coś! Wymyśl coś! Och, El, obudź się wreszcie!”

Kiedy ze sceny zniknęły prostytutki, a policjanci zajęli się pakowaniem do wozów zatrzymanych, zamieszki nieco przygasły. Eleana przyglądała się bezradnie, jak zabierają Matza. Wiedziała, dokąd go wiozą. Oczywiście. To zresztą nie był pierwszy raz. Matz był dobrze znany policji i sądowi. Ostatnim razem zasądzono mu dziesięć dolarów i wypuszczono. Dora miała rację, tym razem nie będzie tak łatwo. Aktywni członkowie związków zawodowych byli teraz głównym zagrożeniem, a sądy chętnie chwaliły się swoimi kompetencjami. Do tego jeszcze Matz zaatakował gliనిarza i na oczach setek świadków powalił go na ziemię.

Eleana podniosła się, wspierając się na Dorze, i wypatrywała w tłumie kogoś, kto mógłby pomóc. Były tam jednak tylko kobiety walczące o życie. Krzyczała, ale Matz się nie odwrócił, wydawało się, że jej nie słyszy.

– Zrób coś – błagała Dora.

– Nie wiem co...

I wtedy dostrzegła pana Blumenkranza stojącego przy drzwiach fabryki i w milczeniu obserwującego sytuację. Spojrzał na nią i nawet wtedy, choć miał nad nią przewagę, w jego spojrzeniu dostrzegła desperację.

Dora pchnęła przyjaciółkę w jego stronę i taktownie rozplynęła się w tłumie.

Zanim Matza przetransportowano z aresztu do znajdującego się zaraz obok sądu, upłynęły dwa zimne i wypełnione bólem dni. Nie po raz pierwszy Matz pojawił się na sali sądowej. Pech chciał, że również nie pierwszy raz stanął przed tym samym nieprzychylnym arbitrem. Z opuchniętą i poranioną twarzą oraz połamanymi żebrami próbował utrzymać się na nogach przed sędzią Olmstedem, który – doprowadzony do furii widokiem wszystkich obrażeń więźnia – zażądał ogromnie urażony:

– Stój prosto, panie Beekman! Zachowuj się jak mężczyzna, kiedy stoisz przed sądem!

Matz Beekman nie miał wcale zamiaru zachować się inaczej.

– Pałowano mnie i bito, Wysoki Sądzie – odpowiedział. – Trzymano mnie w celi czterdzieści godzin bez jedzenia i zaciągnięto mnie przed sąd. Dlaczego? Dlatego że korzystałem z mojego osobistego prawa do pokojowego protestu...

– Cisza. Wstać!

– Ja zachowuję się jak mężczyzna, Wysoki Sądzie. A pan?

– Jesteś oskarżony o...

– A pan?!?! – krzyczał Matz, nie potrafiąc powstrzymać gniewu, który wyrwał się gromem z jego obitego ciała i postawił na nogi całą salę.

Nie pomogło to sprawie. Grzywnę wyliczono na sto dolarów – sumę niemożliwie wręcz wielką, o czym sędzia doskonale wiedział. Matz miał przebywać w więzieniu, póki pieniądze nie wpłyną, ale – jak zarządził Olmsted – nie dłużej niż trzy lata.

Gdy wywlekano go skutego kajdanami z sali, każdy miesiąc i każda jego kość stawiała opór, jego wzrok zaś po raz ostatni przesuwał ławy dla publiczności, ale Eleany tam nie było.

Wsadzono go do celi z dwoma mężczyznami – członkiem związków w nieco lepszym stanie i pospolitym złodziejem. Matz mógł opowiedzieć o tym, co go spotkało, każdemu z nich, ale nie odezwał się do żadnego. Zakratowane okno malutkiej celi na czwartym piętrze wychodziło na spacerniak. Matz każdego ranka przez godzinę oglądał innych osadzonych, wędrujących po placyku w ramach codziennej gimnastyki. Sam był zbyt poobijany, by do nich dołączyć. Leżał

na pry czy i rozmyślał.

Wiedział, że po niego przyjdzie. Wiedział, że przyjdzie z pieniędzmi. Znał ją dobrze. O tym właśnie rozmyślał, leżąc w celi poturbowany zbyt mocno, by się ruszać czy mówić. Myślał o Eleanie robiącej to, co z pewnością zrobiła, z miłości do niego. Modlił się, by to zrobiła, bo nienawidził więzienia, i modlił się, by tego nie zrobiła, bo przecież należała tylko do niego.

Przyszła cztery dni później z pieniędzmi w torebce. Wypełniła wszystkie dokumenty, zapłaciła brudnymi pieniędzmi Blumenkranza, a potem usiadła i czekała na Matza. Czekala długo, lecz w końcu jego postać wyłoniła się zza ostatniej pary ciężkich drzwi.

Eleana skoczyła na równe nogi, nie mogła powstrzymać zdenerwowania, i stanęła w najdalszym kącie długiego ciemnego pokoju. Czekala, przyciskając do siebie ich dziecko tym mocniej, im Matz był bliżej. Za nią, za wysoką drewnianą ladą dwóch urzędników było zajętych pracą. Drzwi za Matzem zamknęły się z hukiem. Nie było nikogo więcej, ale Eleana nie podeszła. Stała tylko, obserwując tę jego długą i bolesną podróż. Rana przecinająca czoło zaczęła się już goić, jak zauważyła, ale sińce – jak ten, na którym zaznaczył się kształt policyjnego buta – ciągle były widoczne, a Matz był wyraźnie osłabiony. Dokiasty kał do niej z trudem, unikając jej wzroku. Patrzył na swoją śliczną Ishę, która śmiała się do niego promiennie. Wyciągnął ręce, mała wdrapała się na niego, a Matz zanurzył twarz w jej włosach, wdychając jej słodki zapach i dochodząc do siebie.

– *Majn chawer* – powiedziała Eleana łagodnie. – Mój przyjacielu, mój dobry przyjacielu. Witaj, Matz... Wyglądasz strasznie. – Uśmiechnęła się.

Nie odpowiedział.

– Tęskniłam za tobą. Obie tęskniłyśmy. I wiesz... – zamilkła. – Tęskniłam okropnie, Matz. Nie zniosłabym tego, nie przez trzy lata. Dzięki Bogu, że jesteś już wolny.

– Nie Bogu trzeba dziękować – powiedział ostro, ciągle przytulając usta do główki córki.

Eleana czekała, aż na nią spojrzy. Czas mijał, milczała nawet Isha. Stali sami w długim pustym pokoju, który wypełniały tylko echa odgłosów pracy urzędników. W końcu spojrzeli na siebie. On postawił dziecko. Cisza trwała dłużej, niż można było to znieść. W końcu wyciągnął ręce i dotknął jej:

– *Majn lichtik ponim*, moja Eleano. To wszystko nieważne, kocham cię...

– Wszystko nieważne, ja też cię kocham.

A potem pocałowali się, zabrali dziecko i ruszyli do domu.

ŚWIATOWA STOLICA ROZWODÓW

Hollywood, 18 października 1929

*M,
wyjeżdżam na kilka dni. Myślę, że już czas, żebyśmy porozmawiali, nie sądzisz?*

E

Max odłożył list na toaletkę, dokładnie na to samo miejsce, w którym go znalazł. Stał, patrząc na niego, i nie wiedział, co robić. Był oszołomiony. Nieczęsto tak się czuł. Zdał sobie sprawę, że jest trochę pijany. Bardziej niż trochę. Wrócił na dół, przeszedł przez podwórko aż do domu dla służby i zapukał do drzwi Teresy.

Chwilę później gospodyni stała już przed nim zdenerwowana, ubrana w nocną koszulę i z papilotami na głowie. Drzwi uchylała tylko trochę, gdyż widok Matza o tej porze i w takim miejscu wzbudził jej niepokój. Nigdy wcześniej nie zapuszczał się aż do domu dla służby. Zaniepokoił ją również – choć, rzecz jasna, widziała liścik jego żony, kiedy przyszła zabrać tacę ze śniadaniem – niechlujny wygląd pracodawcy. Była zatrudniona u Beechamów, od kiedy zakończono budowę domu, czyli od ośmiu lat, i w tym czasie pan Beecham nigdy nie pokazał się potargany, z ubraniem w nieładzie. Podobnie jak jego żona zawsze miał wszystko pod kontrolą.

– Tereso, najmocniej przepraszam, przepraszam – wymamrotał, zrozumiawszy w jednej chwili, jak bardzo dziwnie musiał wyglądać – ale zastanawiałem się, czy może... czy może ty albo Joseph nie wiecie przypadkiem... Czy pani Beecham nie wspomniała... – Spróbował znów: – Tereso, czy wiesz, gdzie ona jest?

To mąż Teresy zawiózł Eleanor na dworzec. Teresa go zawołała.

- Czy mówiła, dokąd się wybiera?
- Nie sprecyzowała, proszę pana – wyznał Joseph.
- Pytałeś ją o to?

Wzruszył ramionami.

- Nie wyglądała, jakby miała ochotę o tym rozmawiać.
- A czy ona była... sama?

Joseph znów się zawahał.

- Czy była sama? – spytał Max ponownie. – A może była... na przykład... z panną Gredson?
- Panną Gredson?

– Albo z inną z koleżanek? – podpowiadał Max z nadzieją. Eleanor nie miała wielu przyjaciółek – Albo z jakąś inną dziewczyną, sam już nie wiem. A może... może ktoś czekał na nią na stacji?

- Kiedy wyjeżdżaliśmy, przy bramie stała jedna młoda pani...
- Co za młoda pani?

Mężczyzna znów wzruszył ramionami:

– Jakąś młoda pani. To chyba była fanka. Wymachiwała jakąś kartkę, pewnie chciała autograf.

– I?

- Nie było jej już, kiedy wróciłem. Pewnie czekała na pana Coopera.

Max kręcił głową ze zniecierpliwieniem.

– A na stacji nie było nikogo? Odpowiadaj. Na przykład... – zamilkł na chwilę i przełknął ślinę. – Na przykład czy nie było tam wysokiego jasnowłosego... pana?

– Nie, proszę pana. Zdecydowanie nie! Nikogo takiego nie widziałem. Pani Beecham była sama.

Max jednak był już zdecydowany nie wierzyć Josephowi.

– No cóż. Dziękuję ci bardzo i przepraszam, bardzo przepraszam za najście. Dobranoc wam obojgu...

Max wrócił do domu i stanął w holu, w swoim pięknym, wyłożonym białym i czarnym marmurem holu pachnącym bżem. Jak nagle to miejsce wydało mu się ciche! Stał bez ruchu i wpatrywał się w telefon, którego uporczywe milczenie huczało mu w uszach. Paliły go dłonie i bolała głowa.

„Myślę, że już czas, żebyśmy porozmawiali, nie sądzisz?”

Max wykonał dwa telefony. Pierwszy do Blanche, bo... Sam nie wiedział, dlaczego właśnie do niej. Lepiej było usłyszeć jej głos, niż dalej słuchać ciszy. Blanche jednak nie było w domu. Gdzie, do licha, może być? – pomyślał. Ponieważ był pijany i zrozpaczony i ponieważ nie miał pojęcia, co robić, a coś zrobić musiał, następny telefon wykonał do Butcha. Dzwonił do niego po raz pierwszy, odkąd odszedł do Silvermana.

Nikt nie odbierał. Max porozmawiał z portierem, który wyjaśnił mu, że Butch wyjechał na weekend.

– Gdzie on jest?

– Proszę?

– Pytam, gdzie on jest!

– Przepraszam pana, ale nie mam pojęcia.

– Możesz go znaleźć?

– Nie, proszę pana. Pan Menken nie informuje mnie, dokąd się udaje. Jeśli pan chce, mogę zostawić mu wiadomość.

Max nie zadał sobie trudu, by odpowiedzieć.

Nie mógł już znieść pustego domu, ciekawskich spojrzeń służby i ciszy tego cholernego telefonu. Nie mógł znieść także liściku, który był wypowiedzeniem wojny, a który ciągle czał się za pudełeczkiem mieszczącym rubinowe serce, nie nieznaczące ani dla Maksa, ani dla Eleanor. Mniej nawet niż nic. Wspomnienie prostackiego pośpiechu, w jakim je wybierał tylko po to, by ją nim zbyć, ciążyło mu. Nie chciał tego rozpamiętywać.

Pomyślał, że wstąpi do Blanche. Bardzo go do niej ciągnęło. Ale pojawienie się u niej bez zapowiedzi, po pijaku i w środku nocy byłoby pogwałceniem wszystkich niepisanych zasad, jakie wypracowali. Mogła przecież być z kimś innym. Albo wcale nie. Tak czy owak, na pewno wzięłaby jego obecność na swoim progu – w takim stanie i o takiej porze – za coś więcej, niż chciałby Max. Zresztą wcale nie chciał jej widzieć, z czego zdał sobie sprawę. Chciał widzieć Eleanor. Chciał usłyszeć od niej, że nic się nie zmieniło. Nie musieli rozmawiać. Kochał ją, a ona kochała jego. Nie było o czym mówić.

Zrozumiał, że musi ją odnaleźć, żeby jej to powiedzieć. Ciągle się kochali. Nie było o czym mówić. Wsiadł zatem do samochodu i ruszył zygakiem w swoją pijacką misję. Wyjeżdżając, o mało nie potracił kogoś – kolejne durne babsko wystające pod bramą. W końcu któraś z nich naprawdę zginie. Postanowił wywiesić tabliczkę z napisem: „Gary Cooper mieszka obok”. Ale jeszcze nie dziś.

Dziś jechał do obskurnego motelu na przedmieściach Los Angeles, w którym wraz z Eleanor mieszkali wiele lat temu. Do dziś czuli w płucach czarny dym. Może tam ją znajdzie?

Nie znalazł jednak Budynek zniknął.

Pojechał do starego studia Edendale, gdzie zaczęła się ich szalona podróż na szalony szczyt... Potem wrócił do Hollywood, do małego domku przy placu Poinsettia, gdzie mieszkali, gdy podpisali pierwszy kontrakt – Max, Eleanor i Butch Menken. Tam też mieszkali, kiedy w końcu wzięli ślub i kiedy budowali Castillo... Może tam będzie na niego czekać.

Nie było jej jednak w żadnym z tych miejsc.

Jechał zatem dalej, znów na zachód. W stronę domu. Taki miał zamiar, coś jednak kazało mu zaciągnąć hamulec przed budynkiem, w którym mieszkał Butch. Zaparkował nieopodal głównego wejścia i czekał. To nie był mądry pomysł, przekonywał się z każdą minutą, którą spędzał, siedząc w samochodzie. Butcha nie było w domu – tak twierdził portier. Był gdzieś indziej, był z żoną Maksa.

Wyczekiwanie zajęło w końcu Beechama. Odciągnęło go od Castillo i milczącego telefonu oraz od Blanche. Ziarno rykerskości, jakie w sobie nosił, podpowiadało mu, że nie powinien jej mieszać w tę sprawę. Tak więc siedział i czekał, obgryzał paznokcie, próbował poradzić sobie z pieczeniem dłoni i wyobrażał sobie Eleanor – taką, jaką była w tamtej chwili, w tamtym konkretnym momencie.

Obudził się o świcie z zeszywniałą szyją i dudnieniem w głowie. I jak gołąb pocztowy ruszył w jedyne znane sobie miejsce, które mógł teraz znieść – do swojego gabinetu w Silverman Pictures.

18

Na widok bugatti Joela Silvermana zaparkowanego przed wytwórnią Max poczuł nieprzyjemny skurcz w żołądku. Jego energiczny i antypatyczny pracodawca, którego jeszcze do wczoraj miał za swojego pewnego sprzymierzeńca, dziś był ostatnią osobą, jaką chciał spotkać.

Postanowił odjechać. Ale dokąd? Gdzie indziej mógłby się udać tego ranka? Musiał usiąść za swoim biurkiem. Tam zawsze czuł się najbezpieczniej i tylko tam mógł myśleć.

Zaparkował zatem obok bugatti i ruszył słonecznym podwórzem w stronę drzwi, mając mimo wszystko nadzieję, że uda mu się wślizgnąć do budynku i minąć niezauważonym gabinet Silvermana.

– Max Beecham! – ryknął Silverman ze swoją zwykłą werwą zza biurka dwa pokoje i kilka uchylonych drzwi dalej.

Max skrzywił się, słysząc jego głos.

– Tak mi się właśnie zdawało, że widzę twoją okropną, niechlujną postać, jak się wleka przez mój parking!

Max zastanawiał się, czy nie wycofać się na paluszkach w stronę miniętych właśnie drzwi i udawać, że nic nie słyszał.

– Nie masz się co czaić, Max! Widziałem cię. Chodźże tu!

Gabinet Silvermana był długi i szeroki. Był ogromny. Joel, ani długi, ani szeroki, siedział w jego końcu, mając za sobą wielkie okno wychodzące na wysuszone wzgórza Hollywood, a przed sobą – imponujące owalne biurko z orzechowego drewna ze złotymi obiciami, o wymiarach sporego stołu z jadalni. Orzechowy blat idealnie pasował do wysokiego, również wykończonego złotem orzechowego tronu. Silverman siedział sztywno jak mały i zbity pakunek, zawierający moc i energię, i przyglądał się, jak Max niechętnie wlecze się w jego kierunku. Nie było w nim nic z tego gniewnego człowieka, który wczoraj tu wtargnął.

Joel pociągnął nosem.

– Czuć od ciebie wóde nawet tutaj. Coś ty, u licha, wczoraj robił? Wyglądasz jak włóczęga.

Max tylko wzruszył ramionami i osunął się na krzesło.

– Co tam?

Joel obserwował go przez chwilę.

– Wszystko w porządku?

– Wszystko w porządku

– Widziałeś wyniki giełdy?

Max pokręcił głową.

– Wczoraj źle, dzisiaj też będzie źle...

– Może Charlie ma rację... – powiedział Max nieuważnie.

– Charlie Chaplin zawsze ma rację – rzucił Joel oschle.

– Ha! Czy to nie znaczy, że... – Max powinien był zadzwonić do swojego maklera. Zrobi to, ale później.

Joel pokiwiał głową.

– Mam nadzieję, że się zabezpieczyłeś, Max, przyjacielu. Dzisiaj będzie kiepsko. Ja sprzedaję. Sprzedaję wszystko. Właśnie wydałem dyspozycje...

– To tylko chwilowa sytuacja – powiedział Max machinalnie. – Wszyscy tak mówią.

– Czytałeś wczorajszy numer „The Post”? A „Timesa”? Najwyższy czas uciekać z tego interesu, mówię ci. Koniec balu. Posłuchaj mnie, Charlie ma rację. Butch Menken ma rację. Działaj. Stracisz na tym. Sprzedawaj, póki jeszcze możesz.

Max jednak nie chciał rozmawiać o giełdzie. Nie chciał rozmawiać też o Butchu. Spojrzał przez okno nadąsany i zirytowany. Powinien jednak zadzwonić do maklera.

– Piękny poranek – wymamrotał. Nic innego nie przyszło mu do głowy.

– A w ogóle to co ty tutaj robisz w sobotę? Jest siódma rano.

Max spojrzął na Joela.

– Mógłbyś mi się spytać o to samo.

– Mógłbyś... – zgodził się Silverman.

– Ale nie zapytałem.

– Ha!

Max uśmiechnął się blado. Lubili się z Silvermanem. Do tej pory zazwyczaj sobie ufali. Nie było w tym mieście wielu, o których można było to powiedzieć.

– No, ale dobrze, że jesteś – ciągnął Joel. – Przeglądałem właśnie opinie po próbnym pokazie „Zaginionego na morzu”.

– Ach tak..

Joel przyglądał się uważnie Beechamowi.

– Myślałeś, że się o nich nie dowiem?

Max wzruszył ramionami.

– Robię drugą projekcję.

– Co? Tak po prostu? Nie wprowadzasz żadnych zmian?

– Żadnych zmian.

– Widzowie nie zrozumieli zakończenia. Nikt go nie zrozumiał.

– To byli jacyś kretyni.

– Wszyscy widzowie to kretyni – powiedział Joel.

– Nie widzowie, na których mi zależy.

– No to niedługo nie będziesz miał żadnych.

Max nie odpowiedział. Spoglądał ponad głowę Joela na wzgórze i zastanawiał się, gdzie też jest teraz Eleanor.

– A poza tym... – Silverman się zawahał – Max, muszę ci powiedzieć, że Butch Menken też rzucił okiem i...

– Że co?

– Wpadł i rzucił okiem...

– Pokazałeś mu mój film i nic mi nie powiedziałeś?

– On zgadza się... ze mną. Zrobiłeś dobry film, nikt nie ma co do tego wątpliwości.

– To niezmiernie miło z waszej strony.

– Ale Butch zgadza się ze mną...

– Butch zgadza się ze mną – Max przedrzeźniał dziecinnie Joela.

– ...że musimy popracować z wynikami próbnej projekcji.

– Ach tak?

– Tak, właśnie tak

– Do cholery, Joel. Wiem, co robię. Ta publiczność, którą mieliśmy, była zła. Powinniśmy zrobić projekcje, kiedy ludzie kończą pracę. To nie jest film dla damulek, które całym dniami nie robią nic poza niszczeniem mi wyników. No jasne, że się im nie podobało. W końcu to jest film o człowieku na morzu, o walce.

– Mamy też informację zwrotną od Katolickiej Ligi Kobiet.

Max chwycił się za głowę i jęknął.

– Nie podobało się im.

– Co ty nie powiesz...

– Nie podobał im się ogólny wydzźwięk

– Nie podobał się ogólny wydzźwięk!

– Tak, nie podobał im się temat buntu. To denerwuje...

– Daj spokój!

– Będą naciskać na wszystkich stanowych cenzorów, żeby zakazali projekcji. Zamkną go, Max. Nie muszę ci mówić, co to znaczy. Musimy zmienić zakończenie.

– Nie możemy zmienić zakończenia!

– I środek i początek. Nie możemy tego tak zostawić, nikt tego nie kupi. Żadne kino poza Los Angeles. Musimy rozłożyć film i zmontować go znowu. A zatem... – Silverman liczył na to, że Max się odezwie, że powie cokolwiek. Max jednak milczał. – A zatem – ciągnął – masz coś, co się nadaje?

– Nic.

Silverman pokręcił głową.

– To kiepsko. Zatem w poniedziałek rano ty, ja i Leeson. Każ Leesonowi wrócić, będziemy przerabiać całość. Zaczniemy od początku. Przejrzymy wszystko, coście z Leesonem wycięli, i powstawiamy to. Tym razem w dobrej kolejności. I nie mów mi, że to się nie uda, bo widziałem materiały z nagrań. Mamy na taśmach materiał na co najmniej trzy filmy.

– Raczej mamy ten materiał na podłódze.

– No to trzeba go pozbiierać i posklejać w wersję, która nie będzie przyprawiać pań z Katolickiej Ligi o kłopoty. – Joel zamilkł i spojrział zmieszany na Maksa. – Butch chce wstawić

jeszcze kilka piosenek. To oznacza kilka dodatkowych dni zdjęciowych...

Max otworzył usta ze zdumienia.

– Wystarczy! – wrzasnął Joel Silverman. – Już dość, Max!

– Joel, to jest najlepszy film, jaki kiedykolwiek zrobiłem. To jest ważna rzecz. Jeśli on nie będzie przebojem...

– Mówiłeś to ostatnim razem.

– Ale...

– I wcześniej też. Wystarczy, Max. Lubię cię i wiesz o tym. Kocham cię i kocham twoje kino, ale giełda leci w dół. Biznes stoi na skraju przepaści... Nie możemy sobie pozwolić na ryzyko. Nie tym razem. Potrzebujemy przeboju. Ty potrzebujesz przeboju. I wykup się w końcu, na litość boską. Ogarnij się i wróć w poniedziałek. Zaczniemy od nowa.

19

Przyjechali do Reno razem jedenaście lat temu, miesiąc po zakończeniu wojny. Ona i Max z nowymi dowodami tożsamości, świeżo podpisanymi kontraktami w jednej z największych wytwórni w Hollywood i fortuną na koncie, o jakiej nawet nie śnili. Przebyli tę samą drogę przez pustynię w drodze do małego miasteczka u stóp Sierra Nevada, żeby połączyć się świętym węzłem małżeństwa – po cichu, szybko i w końcu. Wtedy po raz pierwszy i ostatni Eleanor była w tym mieście.

Siadając na swoim miejscu w wagonie pierwszej klasy, starała się nie rozmyślać o tamtej wizycie. Cóż to była za podróż – jednocześnie złudna i magiczna. Ona i Max mieli świat u stóp i nadzieję, którą przywieźli wtedy z sobą. Nadzieję, która – jak sobie przypominała – nie całkiem jeszcze wygasła. Jeszcze nie. Nie dla Eleanor, inaczej nie wracałyby tu dzisiaj. Z Matzem czy bez niego, z Maksem. Była znów w Reno i przepełniała ją nadzieja, nie liczyła jednak na to, że kogoś poślubi albo z kimś się rozwiedzie. To nie to.

To nie rozwód przyciągnął Eleanor Beecham do Reno, choć z tego powodu ludzie wsiadali do wagonów pierwszej klasy zatrzymujących się tu pociągów. Miasto na końcu świata, pięćset mil od Los Angeles, prawie trzy tysiące od Nowego Jorku, nie miało wiele do zaoferowania. Reno w stanie Nevada słynęło tylko z jednego. Było – i to już od lat – światową stolicą rozwodów. Mary Pickford uświadomiła to opinii publicznej w 1921 roku, kiedy przyjechała tutaj, by skorzystać z miejscowego niezwykle liberalnego prawa rozwodowego (i zaraz wrócić do Hollywood i wyjść za tego głupca Dougiego Fairbanka. Gustu nie da się kupić, pomyślała Eleanor). Aż do tego czasu Reno, jeśli już w ogóle ktoś o nim słyszał, kojarzyło się z jakąś wiochą albo zakurzoną przystankiem dla kowboi i poszukawczy złota.

Od 1929 roku jednak ulice zaczęły mrugać elektrycznym oświetleniem i lśnić fasadami luksusowych hoteli, sklepów z modną odzieżą, eleganckich restauracji, kasyn i biur drogich prawników. Gwiazdy filmowe, dobrze ustawieni ludzie z towarzystwa i wszyscy, których było na to stać, przyjeżdżali do Reno, by skorzystać z prawa rozwodowego stanu Nevada, miasto zaś rosło i piękniało za ich pieniądze.

Za oknem pociągu świt stawał się nowym dniem. Pustynna roślinność, którą widziała Eleanor przez większość drogi w promieniach wschodzącego słońca, przekształciła się nagle w wyraźne zielone linie podmiejskich ogrodów, a pociąg zaczął zwalniać. Pani Beecham już od kilku godzin była ubrana – piła kawę i wpatrywała się w ciemność. Niewiele spała, myśląc o przeżyciach, które miały przynieść następne dni.

Sama w przedziale pośrodku pustyni, w nocy – wszystko mogło się zdarzyć. Teraz jednak była już na miejscu, zaraz miała znaleźć się na peronie. Przeszło jej przez myśl, że to jakieś szaleństwo przyгнаło ją tutaj. Goniła cienie. Max przestał to robić już wiele lat temu, ona jednak nie potrafiła. Dla niej poszukiwania nigdy się nie skończą.

Diabelnie zdenerwowana przysłoniła twarz rondem kapelusza i schowała za ciemnymi okularami oczy czerwone z braku snu i jak zwykle jak u wszystkich aktorów pracujących w ostrym świetle lamp łukowych. Podbródek osłoniła zarzuconą na ramiona srebrną etolą z lisa, zupełnie zbędną w pustynnej aurze, ale pozwalającą ukryć twarz. Żałowała, że zatrudniła agencję detektywistyczną z miasta, w którym dziennikarze czaili się za każdym rogiem, by powitać wyśiadających z kolejnych pociągów.

Ale nie było już odwrotu. Zatrudnienie agencji w Los Angeles też byłoby problematyczne – jej tożsamość szybko rozpoznałaby nie tylko prasa, ale i Max, który błagał Eleanor, by tego nie robiła. Nowy Jork byłby najlepszym wyborem, ale nie wtedy – Boże, nawet nie dziś rano – kiedy ciągle jeszcze miała nadzieję, że pewnego dnia przekona Maksą, żeby pojechał tam z nią.

Max jednak nigdy nie wróciłby do Nowego Jorku. Eleanor była zatem w Reno, sama. Była sobota rano. Do biura zadzwoniła ze stacji, jeszcze zanim jej pociąg wyruszył z Los Angeles. Matthew Gregory oczywiście nie spodziewał się jej wizyty. Wydawał się wytrącony z równowagi, przeproszał gorąco i tłumaczył, że w żadnym razie nie znajdzie dla niej czasu przed końcem weekendu. Eleanor mogła zatem jeszcze zmienić zdanie. Zastanawiała się nawet nad tym przez krótką chwilę. Ale bilet był już kupiony, list do męża napisany... Wyszła z domu. Decyzja, którą tak długo odkładała, została w końcu podjęta.

Była w Reno. Spędzi weekend sama, zbierze myśli i pójdzie do biura w poniedziałek rano.

Gregory zarezerwował dla niej apartament w hotelu Riverside, który Eleanor znała ze słyszenia. Znajdował się on w dogodnej odległości od sądu (co nie było istotne dla Eleanor, liczyło się natomiast dla większości gości) i był najlepszym z hoteli w światowej stolicy rozwodów. Odznaczał się też, jak zapewniał Gregory, najwyższym poziomem dyskrecji.

Pokój zarezerwowano oczywiście dla panny E. B. Kappelman. Powód był dokładnie ten sam, dla którego wybrała agencję detektywistyczną z siedzibą oddaloną o pięćset mil od jej i Maksa domu. Stary pan Gregory, jak sądziła, umarł, nie poznawszy jej prawdziwej tożsamości. Zastanawiała się natomiast, jakie były szanse, że Gregory junior, zobaczywszy ją w pełnym świetle, niczego się nie domyśli. Czy to w ogóle było możliwe?

Eleanor nie bywała już często w świecie niefilmowym. Jej kontrakt, jak kontrakty wszystkich gwiazd, decydował o wielu rzeczach – od jej ubrań i fryzury po słowa, jakie publicznie wypowiadała, oraz do kogo i gdzie. Normalne zwykłe życie było zatem w zasadzie poza jej zasięgiem – nawet jeśli by go chciała i nawet gdyby jej twarz nie była tak rozpoznawalna. Większość życia Eleanor spędziła w bańce – wszystko, co w niej się działo, było reżyserowane przez studio. Ale często zapominała o tej bańce. To było jej życie.

Ostatniej nocy jednak kontroler biletów poprosił o autograf. To samo zrobił chłopak z obsługi, który przyniósł jej do przedziału pierwszej klasy herbatę i ciastka. Istniała szansa, że Gregory junior nie rozpozna Eleanor, ale była bardzo mała. Musiała się na to przygotować.

El była już zmęczona ucieczką, brakiem postępów i złudną nadzieją. Rozumiała, że poszukiwania nie mogą posunąć się naprzód, skoro sama ukrywała tak wiele przed wynajętym przez siebie detektywem. Gregory senior, który kosztował ją tysiące dolarów, nie znalazł niczego nowego. Teraz przyjechała aż z Los Angeles, żeby spotkać się z jego synem. Miała nadzieję, że jakimś cudem temu Gregory'emu pójdzie lepiej. Musiał tylko poznać prawdę. Przynajmniej jakąś jej część. Jakąś. Eleanor uśmiechnęła się do siebie, nie wiedząc za bardzo, dlaczego to robi. W poniedziałek rano juniora czekała niespodzianka. Na samą myśl o tym zdjął ją strach.

W poniedziałek za pięć dziewięta Matthew Gregory siedział za biurkiem swojego ojca, za swoim biurkiem, i wpatrywał się niepokieszony w niewysoką stertę papierów dotyczących sprawy Kappelmanów. Dokumenty ułożone były jak popadło i było ich tak niewiele, że Matthew niemal się zawstydził. Nie spodziewał się, że klientka odpowie na jego list ani tym bardziej, że przyjedzie aż do Reno, żeby omówić z nim sprawę osobiście. Ale kobieta odbyła tę nieszczęsną podróż i teraz on, Matthew Gregory, musi zrobić, co się da. Pani E. Kappelman była świetną klientką, najlepszą, jaką miało jego biuro. Niewiele jednakto zmieniało.

Gregory pomyślał, że przez telefon brzmiała słodko. Zdenerwowana, ale z klasą. I pełna nadziei, jakby...

Zdał sobie sprawę, że nie powinien był wysłać tego głupiego listu, chwilę po tym, jak wrzucił go do skrzynki. Dotarło to do niego ponownie – tym razem jeszcze dobitniej – kiedy Kappelman zadzwoniła. Nie powinien był do niej pisać. Co też go podkusiło? Było szaleństwem ruszać tę sprawę. Nie mógł sobie pozwolić na stratę klienta – zwłaszcza teraz, gdy giełda była niestabilna, biuro zadłużone, a makler ojca żądał coraz to wyższej marży.

Matthew Gregory spoglądał nerwowo na przynoszący nowiny z giełdy dalekopis stojący w hallu, zaraz za szklanymi drzwiami jego gabinetu. Niewielka szklana kopała na mosiężnej podstawie i wysuwająca się spod niej cienka papierowa taśma. Maszyna wyrzucała z siebie najnowsze notowania w postaci niekończącego się najwyraźniej ciągu symboli, z których większości Gregory nie znał. Wiadomości przychodziły bezpośrednio z Wall Street – *tik-tik-tik-tak-tak-tak* – w godzinach pracy biura, a czasem, gdy obroty były wysokie, nawet dłużej. Zdarzało się nawet, że taśma nie nadążała.

Gregory patrzył teraz na nią, jak wiała się w setkach zwojów tak, że piętrzyła się już na podłodze, i czuł kłujący lęk, do którego już przywykł. Słyszał ciągle *tik-tak*. Po południu maszyna zwykle cichła, ale ostatnio fundusze zmieniały wartość w szalonym tempie, a taśma rzadko ukazywała zmiany na bieżąco. I nigdy nie kończyła swojego *tik-tik-tak-tak-tak...* W piątek na giełdzie działo się źle. Podobnie w sobotę rano. A teraz był już poniedziałek i gazety

przewidywały najgorsze. Gregory chętnie sprzedałby wszystko, gdyby mógł. Nie mógł jednak. Jego straty były już tak duże, że nie miał wyboru – mógł tylko czekać i modlić się, żeby rynek się ustabilizował. Oczywiście, że tak będzie, zawsze przecież wszystko wracało do normy...

Dalekopis był kolejną ekstrawagancją, jaką zafundował sobie na starość ojciec, który w ostatnich pięciu latach życia nie potrafił już myśleć o niczym innym niż kaprysy Wall Street. Stary Gregory miał zwyczaj stawiać w hallu swój obity skórą fotel i ze szklanką burbonu czytać tę przekłętą taśmę notującą przyplawy i odpływy jego majątku. Matthew Gregory marzył o wyłączeniu tego ustrojstwa, ale dalekopis należał w połowie do firmy mającej biuro naprzeciwko. Poza tym były też fundusze, których symbole Matthew poznawał i których ceny chciał znać. Mając informacje na wyciągnięcie ręki, trudno było nie dać się w to wciągnąć.

Poczuł się źle. Pociągnął łyk kletniej coca-coli – jedynego śniadania, na jakie miał ochotę tego nerwowego poranka – i czekał.

Panna Kappelman była już w drodze. Mogła się pojawić lada chwila i z pewnością miała mnóstwo pytań. Patrząc na żaloszny zbiór notatek ojca dotyczących sprawy, które przez cały weekend próbował opracować, by nadać im pokaźniejszą formę, Matthew znów przypomniał sobie, jakim był idiotą, wysyłając list.

Gregory'ego juniora zawsze trzymano z daleka od biura, które miał pewnego dnia odziedzycić. I teraz, kiedy to wreszcie nastąpiło, dowiedział się, czemu tak było. Niegdyś świetnie prosperująca „największa z małych agencji w Reno” w ciągu ostatnich dziesięciu lat mocno podupadła. Matthew domyślał się, że interesy idą źle, ale póki żył ojciec, a on sam zarabiał w miarę przyzwoite pieniądze jako młodszy detektyw w policji miejskiej, póty nie mógł nic zrobić. Obserwował zatem tylko tatę, który popadał coraz głębiej w alkoholizm i trwonił rodzinne oszczędności na wódkę oraz dalekopisy, i snuł wielkie marzenia o tym, że kiedyś przejmie stery w firmie. Teraz rozumiał już, że gra nie była warta świeczki. Gregory senior doprowadził biznes do ruiny, a Matthew zastanawiał się poważnie, czy go nie sprzedać. I pewnie by tak zrobił mimo swoich młodzieńczych marzeń i wielu lat czekania, ale – jak wyjaśniła mu żona – głupotą byłoby chociaż nie spróbować. „To miasto potrzebuje porządnej agencji detektywistycznej”, mówiła. Na czym opierała swój sąd, trudno orzec. Być może przesłankę stanowiło to, że bardzo, jej zdaniem, szkodliwie było mieć za męża właściciela agencji. Od lat przymierzała się do tej roli. „Daj temu szansę”, namawiała go. „Jeśli się nie uda, zawsze możesz wrócić do policji, zwłaszcza że przecież zdobędziesz w tym czasie doświadczenie i kontakty. Założę się, że nawet daliby ci awans. Z miejsca”. Tak to właśnie było. Decyzja została podjęta.

Z zaczesanymi gładko rudawymi włosami, policzkami chomika, brzuszkiem i kamizelką w jasną kratę zapiętą pod szyję – co uważał za swój znak rozpoznawczy – Gregory junior żadną miarą nie mógł być zaliczony w poczet wytwornych mężczyzn. Miał trzydzieści trzy lata, był głuchy na jedno ucho i nieco utykał, od kiedy wrócił z Francji w 1918 roku. Był człowiekiem słabej woli i niskiej inteligencji, próżnym i leniwym. Kochał swoją żonę i kochał swoją córkę. Kochał też Amerykę. Najprościej rzecz ujmując, był zupełnie przeciętnym mężczyzną, który tak samo łatwo dałby się zastraszyć, co oszukać, tchórzem i pajacem, który miewał przebłyски szlachetności i intuicji. Jego żona i córka kochały go. W gruncie rzeczy Ameryka też go kochała.

Gregory bez przerwy snuł marzenia. Śnił o tym, że kiedyś przywróci Biuru Detektywistycznemu Gregory'ego dawną świetność i wprowadzi w życie jego motto: „W sobie samych mamy nadzieję”. Spośród niewielu niezamkniętych spraw, które zostawił po sobie ojciec,

sprawa panny Kappelman zdawała się mrugać do niego tajemniczo i obiecująco. Dlaczego na przykład przez tak wiele lat mimo bardzo niskich wyników śledztwa ta nieodgadniona panna Kappelman nigdy nie kwestionowała ogromnych rachunków, jakie agencja jej przesyłała? I dlaczego, chociaż poszukiwania trwały od bardzo dawna, ciągle jeszcze było nad czym pracować? I dlaczego, skoro cała tajemnica zaczęła się w Nowym Jorku i pewnie tam skończyła i skoro pieniądze nie stanowiły tu najwyraźniej żadnego problemu, panna Kappelman nie zatrudniła detektywa z Manhattanu?

Klientka posługiwała się przybrany m nazwiskiem – to Matthew odkrył sam, nie było żadnych Kappelmanów na liście mieszkańców Hollywood. Kimkolwiek więc była, jedno nie pozostawiała wątpliwości: na pewno była bogata, a więc miała prawdopodobnie bogatych przyjaciół. Jeśli udałoby mu się wystarczająco jej zaimponować, mogłaby go im zarekomendować. Wtedy Matthew zdobyłby sobie renomę w bogatym świecie Hollywood i kto wie, jakie ciekawe zlecenia mogłyby go czekać...

Dalekopis tymczasem nadal tukał w hallu, sprawy na giełdzie zmuszały go, by robił z siebie wariata. Agencja przynosiła pięć razy mniej dochodu, niż powinna, było zatem oczywiste, że pannę Kappelman trzeba uchronić przed świadomością, jak niewiele do tej pory działo się w jej sprawie. W przeciwnym razie byłaby głupia, gdyby nie poszła ze swoim tajemniczym śledztwem do kogoś innego.

A teraz była już w drodze. Mogła pojawić się lada chwila.

Tik-tik-tik-tak-tak-tak

Kolejny lyk coli niewiele pomógł.

Sekretarka ustawiła koło dalekopisu wazon z kwiatami. Drugi wazon stanął na szafce na dokumenty obok stołu. Dzień był ciepły i przyjemny. Matthew otworzył szeroko okna, próbując pozbyć się zapachu cygarowego dymu, który wżarł się głęboko w ściany biura. Kawa już się parzyła. Były też ciastka, które sekretarka upiekła specjalnie dla uczczenia gościa...

Gregory usłyszał samochód i w tej samej chwili (jak później opowiadał, choć oczywiście nie było to fizycznie możliwe) poczuł jej drogie perfumy unoszące się w powietrzu. Jak gwiazda filmowa, którą w istocie była, zwłaszcza w miejscach publicznych, bez względu na to, jak się czuła, Eleanor Beecham przeszła przez hall i minęła dalekopis, nieledwie rzucając na niego okiem. Matthew zauważył, że zawahała się, w którą stronę się skierować. Wtedy sekretarka, która wstała, by otworzyć jej drzwi, przybiegła w półukłonie (który wydał mu się przesadny) i pokierowała gościa do podwójnych szklanych drzwi, które prowadziły do biura ojca Gregory'ego i jego syna, siedzącego za jego biurkiem.

Powalająca. To jedyne słowa, jakie przyszły mu do głowy. Powalająca. Miał nadzieję, że nie wypowiedział ich głośno, ale nie miał co do tego pewności...

Etola z lisa zarzucona na szczupłe ramiona... i sukienka w odcieniu błękitu połyskująca na zgrabnych biodrach, i mały niebieski kapelusz nasunięty na oczy... karminowa szminka... i ciemne okulary zasłaniające pół twarzy... i oszałamiający zapach drogiej, pięknej kobiety... Podeszła dystyngowanym krokiem, wyciągając do niego ręce w rękawiczkach. Biuro było długie, musiała minąć trzy duże okna, i ta odległość wystarczyła w zupełności, by Matthew Gregory dostrzegł jej sposób chodzenia, strój, jej białe zęby ukryte w szerokich ustach, by poczuł jej zapach i by całkiem opadła mu szczęka.

Widział już tę kobietę! Widział ją sto razy! To była wielka gwiazda. Jedna z największych. To

była... no kto, u licha? Nie Gloria Swanson, nie, ona nie. Ta kobitka nie była tak znana jak Gloria. To była któraś inna. Nie Norma Shearer. O Boże! Kto to jest? Louise Brookes? Clara Bow też nie. Wielka gwiazda, ale nie aż tak wielka. No zaraz, po prostu Gregory się zastrzeli. Znał ją przecież...

– Panie Gregory – powiedziała Eleanor, łagodnie się uśmiechając.

Mężczyzna doszedł do siebie już na tyle, by wstać zza biurka i uściśnąć podaną mu dłoń.

– Panie Gregory – zaczęła ponownie, by dodać mu otuchy i już mieć za sobą ten niezręczny moment. – Zna mnie pan pod panieńskim nazwiskiem, ale...

– Tak! – krzyknął, nie mogąc powstrzymać ekscytacji. – Ale znam panią lepiej jako...

– Eleanor Beecham?

– Eleanor Beecham! Właśnie! Daję słowo, jestem pani największym fanem. Widziałem wszystkie filmy. Każdy jeden. To znaczy, że widziałem wszystko, w czym pani zagrała, i ha, ha, moja urocza małżonka także.

– Och... cóż. Dziękuję, panie Gregory. Zawsze miło to słyść.

– Moja żona panią uwielbia – ciągnął, stale ściskając jej rękę.

– Naprawdę? Miło z jej strony.

– Oboje panią uwielbiamy. Absolutnie. Panno Kappelman. Pani Beecham. Mogę się do pani zwracać „pani Beecham”?

– Wie pan, w tych szczególnych okolicznościach chyba wolałabym...

– Pani Beecham, moja żona zwariuje, jeśli pani nie spotka. Nigdy mi nie wybaczy. Czy pozwoliłaby mi pani zaprosić się... nam zaprosić się? Och, gdybym wiedział, że to pani... Gdybym wiedział, tobym... mógłbym... – zamilkł na chwilę zmieszany.

Eleanor uśmiechnęła się uprzejmie, ukrywając znużenie i samotność, które taka wylewność zawsze w niej wzbudzała. Uniosła jedną ze swoich doskonałych brwi i grzecznie czekała, aż rozmówca skończy zdanie. Gdy już było oczywiste, że to pan Gregory nie ma pojęcia, co też miałyby powiedzieć, podsunęła delikatnie:

– Co mógłby pan zrobić inaczej, panie Gregory? – spytała, ciągle się uśmiechając. – Mam nadzieję, że nic, że zupełnie nic.

– Czemu? Ha, ha. No, ma mnie pani. Nic inaczej, zupełnie nic. Czy sprawi mi pani zaszczyt? Moja żona i ja... Czy zje pani z nami dziś kolację? Albo jutro? Albo... Nie wiem, jak długo chce pani zostać i ozdabiać Reno swoją obecnością.

– Jak to miło z pana strony i co za uroczy pomysł – powiedziała wymijająco. – Czy pozwoli pan, że usiądę, panie Gregory?

Eleanor zdjęła okulary (które bardzo się przydały), zsunęła lisy i wskazała na mały skórzany fotel naprzeciw biurka.

– O Boże, oczywiście. Proszę siadać. Napije się pani kawy? Gdzie się podziały moje maniery? A może... ja wiem, że jest wcześniej, ale może ma pani ochotę na coś mocniejszego? Myślę, że mógłbym w tych okolicznościach zaproponować...

– Filiżanka kawy w zupełności wystarczy.

– Kawa – powtórzył. – Już się robi! Co za świetny pomysł. Gdzie moja sekretarka?

Sekretarka stała tuż przed nim, jakiś metr za fotelem Eleanor, i nerwowo pocierała dłonie.

– Tu jestem, panie Gregory – powiedziała przejęta. – Witamy w Biurze Detektywistycznym Gregory’ego, pani Beecham. W najlepszej agencji detektywistycznej w Reno. Niech mi będzie wolno powiedzieć, że to zaszczyt...

– Czy mogłabyś raczej przynieść nam kawy? – wtrącił się Gregory junior. – Gość przyjechał aż z Los Angeles... I ciasto! Nie wspominała pani, że upiekła ciasto, pani Davison?

– Ja za ciasto dziękuję – powiedziała Eleanor.

– Nie ciasto, ciasteczka! Upiekłam specjalnie na pani przyjazd, mimo że nie miałam pojęcia, że...

– Ojej, ciasteczka. Bardzo to miłe, ale dziękuję. Wystarczy kawa.

– Tylko kawa?

– Tylko, dziękuję.

– Ja też poproszę! – krzyknął Gregory.

– Och, panie Gregory, proszę mi wybaczyć. Całkiem o panu zapomniałam.

Matthew cmoknął z zadowolenia, kiwając się na obcasach.

– Nie ma sprawy – powiedział i mruknął porozumiewawczo.

Sekretarka wyszła, a on w końcu ochłonął. Usiadł w fotelu naprzeciwko Eleanor, wyrównał guziki kamizelki i pokiwał głową zadowolony z siebie. Dzieliło ich dębowe biurko ojca, które nagle wydało mu się ogromne. Na blacie nie leżało nic poza srebrnym piórem Gregory'ego seniora i jedną cienką teczką, na której widniała naklejka z czarnym napisem: „DZIECKO KAPPELMAN”. Eleanor wpatrywała się w nią. Te dwa wyraźnie wydrukowane słowa poruszyły ją tak, że poczuła, jakby napływały jej do oczu.

– Pani Davison piecze przepyszne ciastka – mówił Gregory. – Bardzo polecam, pani Beecham. Jeśli można, chciałbym panią zachęcić do zjedzenia chociaż jednego, bo...

– Panie Gregory – zaczęła głębokim głosem.

Zamilkł.

– Dość już tego. Nie po to przyjechałam.

Zapadła cisza, która niemal drżała w powietrzu. Mężczyzna spuścił wzrok i wytarł wyimaginowane krople potu z czoła.

– W rzeczy samej – wymamrotał. – W rzeczy samej, przyjechała pani.

Eleanor wskazała cienką teczkę leżącą między nimi na biurku.

– Czy to są moje akta?

– Tak – odpowiedział.

Podniósł dokumenty, popukał w teczkę i odłożył je z powrotem. Dobry Boże, co też mu strzeliło do głowy, żeby zapraszać tę kobietę? Kazał jej przejechać taki kawał drogi, a on nie miał jej nic do pokazania.

– W rzeczy samej. To pani teczka.

– Cienka – powiedziała Eleanor łagodnie.

– Szczupła – potwierdził, stukając znów w okładkę, ale nie otwierając jej. – To dlatego, że ostatnio ją przejrzałem i wyrzuciłem drobne poboczne... informacje. Mogę panią zapewnić, że w tej teczce mieści się wiele, w skondensowanej formie. Bardzo wiele – powtórzył, żeby zabrzmiało to bardziej wiarygodnie.

– To dobrze.

– Owszem.

– A zatem?

Gregory pochylił się ku niej i poczuł, jak uciska go kamizelka.

– Pani Beecham, niech mi będzie wolno... Proszę mi pozwolić... Zanim zaczniemy, muszę

być z panią brutalnie szczerzy ...

– Nie!

To słowo wyrwało się z piersi Eleanor, zanim zdążyła je powstrzymać. I to „Nie!” zaskoczyło ich oboje.

„Nie!” zaległo na dużym pustym biurku, które stało między Eleanor i panem Gregorym. Na twarzy mężczyzny wyraz zaskoczenia zastąpił wyraz ulgi, pozbawiony jednak błysku zrozumienia. Nie rozumiał jej bowiem. Ale w tej chwili niewiele go to obchodziło. *Tik-tik-tik-tak-tak-tak*. Giełda idzie na dno, ale się ustabilizuje. Tak jak zawsze. Wszystko będzie dobrze.

Delikatnie, ponieważ jej rozpacz mocno go poruszyła, powiedziała:

– Pani Beecham, czy li nie chce pani, żeby m był z panią szczerzy?

– Co? – Roześmiała się i odzyskała równowagę z szybkością godną aktorki jej miary. – Ależ oczywiście, że chcę, żeby pan był szczerzy, panie Gregory. Przepraszam, bardzo mi przykro. Wydawało mi się, że powiedział pan coś zupełnie innego. Ale wtedy pewnie nie przyjeżdżałabym aż do Reno...

– Oczywiście, że nie. To by nie miało sensu – powiedział Matthew i odpuścił.

– Proszę mi powiedzieć – odezwała się Eleanor, wychylając się do przodu i śląc w jego kierunku lekką bryzę swojej słodyczy – czego się pan dowiedział. Proszę mi powiedzieć o wszystkim, co pan odkrył!

Gregory przesunął dokumenty bez słowa w jej stronę. Wzięła je. Obserwował, jak otwiera teczkę – z trudem, bo ręce jej drżały – i myślał o tym, że skoro tak bardzo jej zależało, dlaczego przyjechała dopiero teraz? Dlaczego tak długo zwlekała?

Isha spojrzała na Eleanor z fotografii. Była to odbitka zdjęcia, które stało w domu na toalecie. Dobrze się znała, ale pozbawione tej cennej złoczonej ramy, tej samej, którą musiała wyrwać z pazurów szalonej kelnerki kilka dni temu, wydawało się świeższe i o wiele bardziej rzeczywiste. Patrząc na nie, Eleanor przypomniała sobie zapach skóry dziecka, ciepło jej małego ciała i miękkość głosu.

Było to jedyne zdjęcie Ishy, jakie posiadała. Dziewczynka miała na nim cztery lata i się uśmiechała. Eleanor nie potrafiła patrzeć na ten wyraz twarzy, nie słysząc jednocześnie śmiechu – tak lekkiego, serdecznego i bardzo zaraźliwego. Patrzyła w migdałowe oczy Ishy – na fotografii, rzecz jasna, nie mogła dostrzec ich koloru, ale doskonale pamiętała ten odcień zieleni, niemal

turkus. Czy Ischy były nawet bardziej zielone niż jej. Czy czarownicy. Migdałowe, zielone, śmiejące się. Czy więdźny. Najpiękniejsze oczy Ameryki. Isha siedziała na kolanach swojej *bubbeh* w ich starym mieszkaniu na Allen Street. Obok, też na kolanach babci, siedziała maleńka Tzivia, kuzynka Ischy. Matka Eleanor posłała jej to zdjęcie na krótko przed tym, jak listy przestały przychodzić. Ktoś, najpewniej Gregory senior, postawił krzyżyk obok postaci Ischy, żeby odróżnić ją od jej kuzynki.

Eleanor odłożyła zdjęcie, nie mogła jednak przestać na nie patrzeć, mimo iż dobrze je знаła. Nie mogła odwrócić wzroku.

– Ta teczka, którą pani widzi – powiedział Matthew Gregory i odchrząknął – zawiera między innymi streszczenie informacji, jakie otrzymał mój ojciec, gdy pani go zatrudniła... Jak pani widzi... niewiele tego. Naprawdę niewiele.

Osoba zaginiona: ISHA KAPPELMAN

Data urodzenia: 17 października 1907

Ostatnio widziana: 15 września 1913, Allen Street, Nowy Jork

Rodzice: data śmierci – 25 marca 1911

Ostatni kontakt: Klientka panna E. B. Kappelman zamieszkała w Hollywood, w Kalifornii (ciotka zaginionej i jedyny znany żyjący krewny), otrzymywała regularnie rysunki i listy mające pochodzić od zaginionej. Od 2 listopada 1914 nie otrzymała wiadomości od zaginionej ani od jej babki/opiekunki, pani B. Kappelman (zmarłej 12 grudnia 1914 r.).

Eleanor spojrzała na pana Gregory'ego:

– Niewiele informacji na początek. To prawda. Nie dostarczyłam mu wielu danych.

Gregory pokławił głową. Przechylił się przez stół i wziął od niej papier.

– Jak pani widzi, moja rodzina, mój ojciec, a później ja, dołożyła do tego sporo informacji...

Pani Beecham zwróciła uwagę na pliczek papierów wystający z teczki. Były tam fotografie i wycinki prasowe dotyczące pożaru. Na nic jednak one. Eleanor nie mogła na nie patrzeć.

– Jak pani widzi – powiedział znów, rozproszony gwałtownością ruchu, z jaką jego gość odrzucił kartki na stół – zajęliśmy się kompletowaniem informacji dotyczących kontekstu zajścia.

– Świetnie. Ale ja wiem o pożarze. Ischy tam nie było. Widziałam ją po nim.

– Ale szczegóły są przydatne, musi to pani zrozumieć. Dzięki nim można uzyskać pełny kadr. One ustawiają scenę, wie pani? W mojej branży szybko się człowiek przekonuje, że nigdy nie można być pewnym, gdzie się kryje wskazówka, pani Beecham. Odkryliśmy całą masę interesujących możliwości. Chyba zgodzi się pani ze mną. I to tylko dzięki temu, że skupiliśmy się na drugim planie... Teraz możemy zrozumieć...

On nie rozumiał. Nie zaczynał nawet rozumieć. Jak mógł?

– Ale ma pan coś jeszcze? Coś nowego? Cokolwiek? – odezwała się.

– Ależ oczywiście.

Gregory nachylił się znów w jej kierunku, a jeden z guzików jego kamizelki niewygodnie

zaczepił się o kant stołu.

– Czy byłyby pani tak miła i podała mi akta?

Eleanor ciągle kartkowała dokumenty. Były wśród nich inne fotografie, niektórych nie widziała wcześniej, a na nich ulice, które zostawiła za sobą ty le już lat temu. Nienawdziła ich.

– To zdjęcie – spytała nagle – kiedy zostało zrobione?

– Ach. Tak to jest fotografia Allen Street.

– To wiem. Ale budynki...

– Jest pani z pewnością świadoma, że dom, w którym ostatni raz widziano Ishę, zrównano z ziemią w 1916.

– Tak wiem.

– To, co pani widzi na zdjęciu, to jest budynek, który stanął na miejscu tamtego. Budynek Ishy to była stara, niska czynszówka. Gorsza niż inne, jeśli dobrze zrozumiałem.

– Nie, wcale nie.

Wydawało się, że Matthew nie usłyszał, co powiedziała, bo ciągnął:

– Mogę pani powiedzieć z przyjemnością, że tamten dom już nie istnieje. Uznano go za niezdatny do zamieszkiwania przez ludzi.

– Ha! – Eleanor wymknął się gorzki śmiech. – My tam mieszkaliśmy. Dla nas ten dom był zdatny.

Gregory zamrugał ze zdziwienia. Naprawdę? Ona tam żyła? Ta piękna kobieta? Nie był tego świadomy. Nic na ten temat nie znalazł w notatkach.

– Stało się to krótko po wybuchu epidemii gruźlicy – ciągnął jakby nigdy nic – która zdiesiątkowała mieszkańców zimą z 1914 na 1915 rok i podczas której zmarła Batia Kappelman...

– Tam zawsze była gruźlica, panie Gregory.

– W rzeczy samej.

Znów zapadła cisza. Serce Eleanor waliło, a jej oddech stał się szybki i niespokojny, gdy przeglądała kilka ostatnich stron dokumentów. Było tam więcej fotografii pożaru oraz kopia aktu zgonu jej matki. Gruźlica. Nowy Jork, 12 grudnia 1914 roku.

– Czy to wszystko? – spytała w końcu. – Tylko tyle pan ma? Niczego nowego?

Pan Gregory odpowiedział:

– Panno Kappelman, chciałbym zaprzeczyć, ale... Nie było łatwo. W tych okolicznościach... Nie mieliśmy wiele danych na początku. Przekazała nam pani naprawdę bardzo niewiele. Minęło sporo lat i poszukiwania stają się coraz trudniejsze.

Kobieta odłożyła papiery i spojrzała na niego.

– Oczywiście – powiedziała wolno. – Przepraszam. Ma pan rację. Nie zdradziłam wszystkiego, prawda? A powinnam być. Już czas. Będę z panem szczerą, panie Gregory...

– Dobrze zatem... – zgodził się grzecznie, mając nadzieję, że udało mu się ukryć znieśnienie. Do tej pory Eleanor Beecham dawała mu wciąż sprzeczne informacje, a teraz siedziała przed nim z tym wprawiającym go w zakłopotanie spojrzeniem, z tymi wszystkimi intrygującymi tajemnicami, których nie mógł przejrzeć, i tak oszałamiająco pachnąc. – Dobrze – powtórzył niepewnie. – Myślę, że to świetna deklaracja na starcie. Myślę też, że musimy zacząć od samego początku, nieprawdaz?

– Zgadza się.

– Na przykład, panno Kappelman... pani Beecham... Proszę mi wybaczyć, że tak się do pani

zwracam, ale dotychczas strzegła pani szczegółów dotyczących pani życia. Nie byłem nawet świadomy, że mieszkała pani przy Allen Street. Nie wiedziałem.

– Nie? – Eleanor udała zdziwienie. Była dobrą aktorką i nieświadomie uciekała się do swoich aktorskich umiejętności: zamroczenie, pretensja, kłamstwa – wszystko to przychodziło jej automatycznie. W tym przypadku jednak nie pomogło. Przyszedł czas, Eleanor zdała sobie sprawę, że nastąpiło to już dawno, kiedy po czternastu latach oczekiwania i przyjeździe do Reno należało w końcu ujawnić prawdę i zaprzestać udawania. Przełknęła ślinę. Uśmiechnęła się. – Ależ oczywiście, że pan nie wiedział. Skąd miał pan wiedzieć, skoro nigdy tego panu nie powiedziałam?

– Ach – westchnął Gregory tylko. W ciągu pół godziny dowiedział się więcej, niż jego ojciec odkrył w ciągu siedmiu lat. – Dziękuję.

Sekretarka pojawiła się z kawą i niezamówionymi ciastkami. Matthew poczęła, aż wyjdzie.

– Zależy mi, żeby pani pomóc, panno Kappelman – powiedział, gdy tylko zamknęły się drzwi – ale pani też musi pomóc mi. Kiedy przeglądałem papiery, które zostawił ojciec, wydawało mi się szaleństwem, że przez te wszystkie lata nie dostaliśmy od pani nic, nad czym moglibyśmy pracować i co moglibyśmy... – wzruszył ramionami. – Będę z panią szczerzy, nie znaleźliśmy dla pani wiele. Może jednak... gdybyśmy współpracowali... gdybyśmy spojrzeli na sprawę w inny sposób, pani i ja... Chciałbym, żeby tak było. I to jest ostatnia rzecz, jaką mogę dla pani zrobić, panno Kappelman. Jeśli mi pani, rzecz jasna, pozwoli. Biuro Detektywistyczne Gregory'ego jest w stu procentach do pani dyspozycji...

Matthew czekał, podczas gdy jego najcenniejsza klientka spoglądała na swoje ubrane w rękawiczki dłonie i rozważała możliwości...

Tik-tik-tik-tak-tak-tak... Spadki zawsze się wyrównywały. Trzeba było sprzedawać. Powinien sprzedawać. Zadzwoni do maklera, jak tylko skończy spotkanie.

– Panno Kappelman? Pani Beecham. Dlaczego nie opowie mi pani wszystkiego, od początku? Proszę opisać ze szczegółami ten moment, kiedy widziała pani swoją ukochaną siostrzenicę Ishę po raz ostatni.

Tik-tik-tik-tak-tak-tak...

– Ale Isha nie jest moją siostrzenicą, panie Gregory. Oczywiście, że nie. Na pewno już pan do tego doszedł. Eleana Batia Kappelman to moje panięskie nazwisko. Mam na imię Eleana. A Isha Kappelman jest moją córką.

23

– Proszę mnie posłuchać – mówiła dalej, nie bacząc na jego reakcję. – Powiem panu o tym, jak widziałam ją ostatni raz, bo może znajdzie pan coś, co ja przeoczyłam. Proszę sobie wyobrazić, że odtwarzałam tę sytuację w myślach. Robiłam to tak wiele razy, że wszystko mi się pomieszało. Czy nas widzieli? – pytałam sama siebie. Czy szli za nami? Czy wrócili do mieszkania po tym, jak uciekliśmy? Te pytania mnie prześladowały. Poza tym, oczywiście, że nas nie widzieli! Rozumie pan? Wiem to, bo przecież potem, kiedy Isha zrozumiała, że żyję, dostawałam listy od mamy z jej rysunkami. A potem – Eleanor zaśmiała się – dostałam liścik od Ishy: „Ich han dich lib, Mama...” Miała pisać po angielsku, panie Gregory. Wyobraża pan sobie? Jakże byłam szczęśliwa, kiedy to czytałam. Jej *bubbeh* musiała jej podpowiedzieć, żeby tak napisała... Ona wiedziała, jak bardzo tęskniłam za domem. A potem nic, nic i nic...

– Musi pani zacząć od początku.

Eleanor zaczerpnęła głęboko powietrza. Nie planowała tej rozmowy. Nie mogła oczywiście zacząć od samego początku. To było niemożliwe. Zacznie od środka. Tak było bezpiecznie.

– Wróciliśmy do Nowego Jorku, kiedy tylko stało się to możliwe. To było najdłuższe osiemnaście miesięcy mojego życia. Nie było dnia ani godziny, w których nie tęskniłabym za moją małą Ishą. Wie pan, to były inne czasy. Przynajmniej dla nas były inne. Zostawiliśmy ją z moją matką. Wiedziała, że moja kochana mama dobrze się nią zajmie. Obiecaliśmy, że wrócimy, jak tylko będziemy mogli... Zajęło to jednak osiemnaście miesięcy. Włóczyliśmy się, wie pan, w poszukiwaniu pracy. Ciągłe szukaliśmy pracy. Matz grał na pianinie, ale jego ręce ciągle były słabe. Ja śpiewałam. Musieliśmy znaleźć bezpieczne miejsce. Nie mogliśmy tak po prostu zabrać jej z sobą, kiedy nie mieliśmy dachu nad głową. I wtedy to się stało: Matz znalazł pracę, prawdziwą pracę, rozumie pan? – Eleanor zamilkła na chwilę i spojrzała na siedzącego przed nią mężczyznę żującego spokojnie ciastka przyniesione przez sekretarkę. Oczywiście, że nie rozumiał. Nikt nie potrafił zrozumieć, jak kiedyś było ciężko.

– Proszę mówić – powiedział, czytając jej w myślach i wycierając okruszki z podbródka. Proszę opowiadać, ja się postaram zrozumieć, dobrze? Postaram się. Nie jestem... jednym

z was. Ja nigdy... To znaczy... Chciałem powiedzieć, że nigdy nie byłem głodny. Przepraszam. Nigdy nie byłem w Nowym Jorku. Ale to bez znaczenia. Proszę o tym nie myśleć. Jestem tutaj, teraz. Matthew Gregory. Do usług. Dyskrecja gwarantowana.

– Skąd mogę mieć pewność?

– Skąd pani może mieć pewność? Stąd, że gdybym trąbił po mieście o tajemnicach moich klientów, szybko wyleciałbym z interesu.

Matthew naprawdę w to wierzył. Cóż zresztą byłby za przytek z agencji detektywistycznej, gdyby nie stawały na pierwszym miejscu dyskrecji?

– A może zrobimy tak – ciągnął – że pani będzie mówić, a ja będę słuchać? Zrobię notatki. Dobrze? Proszę się mną nie przejmować. Proszę po prostu mówić. A potem, jak pani skończy, ja będę zadawał pytania, dobrze? Może tak być? Pani zadaniem – Gregory zrobił szeroki, gwałtowny gest, rozsypując okruchy – jest mówić, mówić bez przerwy, rozumiemy się?

Eleanor się uśmiechnęła.

– Będę mówić. Proszę jednak mieć na uwadze, że minęło sporo czasu. Chociaż chwilami wydaje mi się, że każdy szczegół wypalił się w mojej głowie, pamięć lubi płatać nam figle.

– Oczywiście, że tak – odpowiedział uspokajająco. Trzymał długopis, gotowy do pracy.

– A zatem pamiętam dzień, w którym Matz dostał pracę. Dali mu robotę w Keystone, w studiu filmowym. Zna pan? Miał grać na pianinie na planie. Proszę sobie tylko to wyobrazić! Dwadzieścia pięć dolarów tygodniowo za granie podczas nagrania. Słyszeli go tylko aktorzy, nikt inny. I to im pomagało, wprowadzało ich w nastrój. A Matz – uśmiechnęła się znów – Matz... On potrafił muzyką stworzyć nastrój jak nikt... w dwadzieścia nut albo nawet mniej... Był genialnym pianistą, panie Gregory. Kochałam go... kiedy grał. Zatem... – Eleanor spojrzała na Gregory'ego, który wgapiał się w nią wielkimi oczami. – Myślałam, że miał pan notować.

– Co proszę?

– Myślałam, że...

– Zatem gdzie Matz jest teraz? Proszę wybaczyć pytanie. Jak zgaduję... jest denatem?

– Czy jest denatem? – powtórzyła. Idiotyczne. Czy on jest denatem? – Och, tak Matz nie żyje. Oczywiście. Czy pan nie miał wstrzymać się z pytaniami do końca? Nie mogę opowiadać, kiedy pan ciągle mi przerywa.

– Proszę mi wybaczyć. Proszę mówić. Tylko jeszcze chwileczkę, zanim będziemy kontynuować. Pożar...

– Tak?

– Pożar był w marcu 1911?

– Tak, zgadza się.

– A on przyjechał z panią po pożarze i dostał pracę w Keystone?

– Och, przepraszam. – Eleanor pokręciła głową i roześmiała się. – Nie wyraziłam się jasno. Matz zmarł w wyniku pożaru. Rozumie pan? Zmarł na skutek odniesionych obrażeń, jak to określił lekarz. Choć oczywiście żaden lekarz nie był przy śmierci. W każdym razie Matz nie zginął od razu. To wszystko. Umarł kilka lat później... Czy mogę kontynuować?

Gregory przytaknął. Zapisał coś w notesie. Zapowiadał się długi poranek.

Tit-tik-tik-tak-tak-tak... Musiał koniecznie porozmawiać z maklerem przed zamknięciem giełdy.

– Matz wrócił do naszego wynajmowanego mieszkania. Ja spałam... Byłam chora. Po pożarze długo nie mogłam dojść do siebie. Nie mogłam znaleźć pracy. Próbowałam gdzieś się zaczepić jako śpiewaczka, ale nikt mnie nie chciał. Matz powiedział, że wyglądam, jakbym dźwigała na ramionach cały świat. I tak się czułam. Nie mogłam się pozbyć tego ciężaru, przynajmniej nie w taki sposób, jak zrobił to Matz. Gdy tylko zamykałam oczy, widziałam te same obrazy i nachodziły mnie wciąż te same pytania: Dlaczego ja żyję, gdy tylu innych zginęło? Matz mówił, że ludzie patrzyli mi w twarz i zaczynali łkać. Oczywiście nikt nie chciał, żebym u niego śpiewała! Gdy Matz wrócił do mieszkania tamtej nocy, nigdy nie widziałam go takim szczęśliwym! Podniósł mnie wysoko i przez chwilę wydawało mi się, że możemy zacząć wszystko od nowa. Rozumie pan, co mówię?

– Jeszcze nie.

– Matz powiedział: „Wracamy do domu i zabierzemy z sobą dziecko!” Oczywiście nie miał na myśli nas dwojga. On musiał pracować. W każdym razie Matz nigdy nie wróciłby do Nowego Jorku. Ale ja mogłam wrócić. On miał posadę, więc w końcu mieliśmy pieniądze. Mogliśmy zdobyć własny kąt. Ja mogłam pojechać do domu, zabrać dziecko i przywieźć je do Los Angeles. Mogliśmy znów być rodziną.

Po pierwszym tygodniu pracy Matza mieliśmy dość pieniędzy, by kupić mi bilet na pociąg, po trzech kolejnych tygodniach, no, może czterech, odłożyliśmy na mieszkanie. Dwa pokoje tylko dla nas! To był prawdziwy luksus!

Matz i ja nigdy się nie rozstawaliśmy. Od dnia pożaru zawsze byliśmy razem. Nie spędziliśmy osobno ani jednej nocy. Wszystko robiliśmy razem. On kupił mi bilet i odwiózł na stację. Mimo całego podekscytowania, jakie mnie ogarnęło, płakałam, żegnając się z nim. Oczywiście nie pozwoliłam, żeby to zobaczył. Co by to dało? I tak było już wystarczająco ciężko. Bałam się jednak, że nigdy go już nie zobaczę. Los rozdawał karty... Po pożarze trudno mi było widzieć rzeczy takimi, jakie były. Chcę przez to powiedzieć, że widziałam wszystko inaczej niż inni ludzie. Wszystko wydawało mi się nietrawne, tak jakby, rozumie pan, miało zniknąć, kiedy się

odwrócić. Musiałam się jednak odwrócić. Jechałam po moje dziecko. Wsiadłam do pociągu. Powiedziałam: „Następnym razem, kiedy się zobaczymy, będziemy we dwie! Będzie Isha i będę ja”. – Eleanor się uśmiechnęła. – Żałuję, że nie widział pan twarzy Matza, panie Gregory. Matz ma wspaniałą twarz. Pełną wyrazu. Wszystko, co czuł, malowało się w tych jego ciepłych brązowych oczach. Najcieplejszych ze wszystkich...

Pani Beecham zamilkła. Tym razem pan Gregory nie wtrącił się, czekał.

– Czy mam mówić dalej? – spytała.

– Proszę.

– Siedziałam w pociągu. To była trzecia klasa... – roześmiała się. – Całe szczęście znalazłam miejsce. Oczywiście sama myśl o powrocie do Nowego Jorku po tym wszystkim, co się stało, przerażała mnie. Zapach spalenizny. Wie pan, nawet dzisiaj na dźwięk słów „Nowy Jork” czuję ten swąd. I... chodzi mi o woń spalonego ciała, panie Gregory.

Spojrzała na niego, a jej zielone oczy były puste, pozbawione wyrazu. Matthew przeszło przez myśl, że może jego rozmówczyni jest trochę obłąkana. Po prostu niespełna rozumu. Aktorki czasem tak mają, tak przy najmniej czytał.

– To musiało być straszne – wymamrotał. – Może dlatego wynajęła pani detektywa właśnie w Reno? Żeby nie robić tego w Nowym Jorku?

– Tak

– Przepraszam...

– Ale tęskniłam też za wieloma rzeczami – ciągnęła Eleanor. – Za kuchnią mojej matki. Kto za tym nie tęskni? A nawet czasem brakowało mi zapachu wózków z jedzeniem na Hester Street. Nie dlatego, że pachniały tak dobrze. Boże, nie! Dlatego, że to był zapach domu... Jechałam do domu...

Po drugiej stronie szklanych drzwi dwóch prawników z biura naprzeciwko stało przy dalekopisie i uważnie obserwowało zapis na taśmie. Ze sposobu, w jaki stali, i z ich nieruchomych twarzy można się było domyślić, że ich głowy zaprzęta giełda. Sprzedawali? Czy też może chcieli to przeczekać? Gregory nie mógł się skupić.

– Musi mi pani wybaczyć, pani Beecham – powiedział nagle. – Muszę wykonać ważny telefon. Bardzo przepraszam. Chciałbym pani poświęcić całą moją uwagę, dlatego muszę zatelefonować. Wybaczy mi pani?

– Telefon? – Eleanor wyglądała na wstrząśniętą. – Dlaczego teraz? Do kogo pan dzwoni? – Była już gotowa do wyjścia.

– Nie musi się pani tym martwić, pani Beecham. Daję pani słowo. – Gregory uśmiechnął się do niej. – Proszę usiąść. To potrwa tylko chwilę. Po prostu słyszę dalekopis i pewnie pani wie...

– Och! – roześmiała się. – Pan też, tak? – Przeszło jej przez myśl, czy Max też tym się teraz martwił. – Skoro pan musi, to pan musi. W porządku. Ile to potrwa?

– Tylko kilka minutek

Zabrało mu to jednak prawie pół godziny. Gdy wrócił do swojego gabinetu, wyglądał i czuł się jak nowy człowiek. Makler polecił mu trzymać nerwy na wodzy. Akcje zakładów użyteczności publicznej szły w dół tak szybko, że byłoby szaleństwem z tego nie skorzystać, mówił doradca. Gregory wziął to za dobrą monetę. Kiedy siadał znów w swoim fotelu, stukot dalekopisu brzmiał już zupełnie inaczej. Teraz był to dźwięk pewny, optymistyczny i pełen nadziei – dźwięk wydajności. Notowania mogą jeszcze trochę spaść, ale prorocy katastrofy wkrótce sami się

przekonają. To jest w końcu Ameryka! Wszystko będzie dobrze!

Eleanor nie zwracała zupełnie uwagi na to wszystko. Była głucha na dźwięk dalekopisu i z niecierpliwością czekała, aż będzie mogła znów opowiadać. Milczała przez tyle lat, a teraz tama pękła. Nie mogła się wręcz doczekać, aż Gregory wróci i znów usiądzie za biurkiem.

– Panie Gregory – powiedziała, nachylając się ku niemu i rozpraszając go kolejną falą jej drogiego piękna. – Matz zrobił wspaniałą rzecz! Dwadzieścia minut po tym, jak rozstaliśmy się na stacji, drzwi przedziału się otworzyły i kto wszedł? Zgadnie pan? To był Matz! Wyobraża pan to sobie? Co to była za niespodzianka! On wiedział, jak trudny dla mnie był ten powrót. Dopiero zaczął wtedy pracę w Keystone, ale miał ten swój urok. Ludzie zawsze po nim topnieli. To dlatego, że był taki utalentowany, wie pan. I taki przystojny. I zabawny. I taki bardzo, bardzo serdeczny... Ale, widzi pan – mówiła dalej po dłuższej chwili ciszy – gdyby Matz nie pojechał wtedy ze mną, gdyby został w Los Angeles, tak jak planowaliśmy, Isha pewnie byłaby dziś ze mną, a ja nie miałabym powodu, żeby być tutaj. Mogłabym poczekać, aż trochę się wzmocni, wie pan, i mogłybyśmy razem ruszyć w podróż z powrotem. Matz przygotowałby dla niej łóżeczko i czekał, a ja przywiozłabym ją bezpiecznie do domu... W czwartek były jej urodziny, panie Gregory. Skończyła dwadzieścia dwa lata. To piękny wiek, nieprawdaż? Dwadzieścia dwa. Ma pan dzieci? Założę się, że tak. Na pewno piękne pociechy...

– Mam – odpowiedział Matthew, nie potrafiąc ukryć dumy. – Mam jedno wspaniałe dziecko: Florence. Ma pięć lat. Następne jest w drodze.

– Och. Następne w drodze!

– Szczęściarz ze mnie.

– Cóż... Chciałabym poznać pana rodzinę. I małą Florence. Pięć lat? Piękny wiek. Kolejny piękny wiek. Każdy wiek jest piękny. Czy mała już chodzi do szkoły?

– Matz i ja pokonaliśmy całą drogę ze stacji do Allen Street ze spuszczoneym wzrokiem i z zasłoniętymi twarzami. To było ważne, bardzo ważne, panie Gregory, żeby nikt nas nie zobaczył. Nawet mama nie wiedziała, że przyjedziemy. Matz nie chciał, żebym dała jej znać. Na wszelki wypadek..

– Na wypadek czego, pani Beecham?

– Och... byli pewni ludzie... – odpowiedziała niejasno. – Nie mogę panu powiedzieć wszystkiego. Musi pan to zrozumieć. Mieliśmy wrogów. To było dla nas bardzo niebezpieczne... Ale musi mi pan pozwolić mówić dalej. Proszę zatrzymać pytania na koniec.

– Postaram się. Jeśli jednak mamy się posunąć...

– Proszę. Niech pan po prostu posłucha.

Mężczyzna westchnął lekko, tak lekko, że Eleanor nawet nie zauważyła. Myślami była z powrotem na Allen Street, w wynajętym mieszkanku, które niegdyś zostawiła.

– Sarah nie żyła, rzecz jasna. A Samuel... Mama nie wiedziała, gdzie się podziewał, ale nie było go. Mama mówiła, że pojawiał się i znikał miesiąc w miesiąc, więc nie tylko o Ishę przyszło jej się troszczyć. Było jeszcze jedno dziecko, Tzivia. Mama nie miała nikogo do pomocy. Mieszkanie było takie samo. A w zasadzie wcale nie, ale nie zauważyłam tego od razu... Te małe rzeczy tworzyły domowy klimat – kwiaty, które mama hodowała na oknie, zniknęły, zasłony i obrusy, z których była kiedyś taka dumna, były brudne, zniszczone. Nie czułam się tam już jak w domu. Sarah odeszła. Samuel, Matz i ja się rozjechaliśmy. Była tylko mama, Isha i Tzivia, a poza tym nowi ludzie. Sublokatorzy. Mówili, że są kuzynami, ale kogo to obchodzi? Nie spotkaliśmy ich zresztą. Cały dzień byli w pracy, a kiedy wrócili, schowaliśmy się w naszym pokoju. Mama oczywiście nie powiedziała im, kim jesteśmy. Stańliśmy przed drzwiami, wyglądając jak para nowo przybyłych. Na nich nikt nie zwracał uwagi. Wszyscy wyglądali tak samo, prawda?

– Nowo przybyli? – powtórzył Gregory zmieszany.

– Nowo przybyli imigranci. Ci, którzy dopiero zeszli ze statku. Ciągle jeszcze w chłopskich

ubraniach. Kobiety w perukach, mężczyźni w wielkich okropnych kozakach... Ja miałam szal na głowie. Matz kupił ubrania przed wyjazdem. Pomyślał o wszystkim. I tak stanęliśmy przed drzwiami. Mama nas nie poznała. Wyglądaliśmy na zmordowanych. Na starych. O mało nie zamknęła nam drzwi przed nosem! – Eleanor roześmiała się na to wspomnienie. – „Wszystko zajęte”, powiedziała mama. „Spróbujcie gdzie indziej”. Musiałam do niej szepnąć: „Mamo! To ja. To my. Przyjechaliśmy po Ishę...” Oczywiście, że kochałam moją matkę. Kto nie kocha matki? Bardzo ją kochałam. Ale w tamtej chwili zależało mi tylko na dziecku. Staliśmy na korytarzu, za nami krzatali się ludzie, a ja patrzyłam, jak na twarzy mojej matki pojawiają się udręczenie i smutek. Nigdy wcześniej nie przyszło mi to do głowy, ale wtedy pomyślałam po raz pierwszy, że może ona cierpiała tak samo jak ja, kiedy jej jedyna córka odeszła. „Moja dziewczynko!” – krzyknęła. Jej twarz się rozjaśniła i uściśkała mnie bardzo mocno... Nieczęsto tak robiła. Normalnie nie była wylewna.

Matz kazał jej się uspokoić – wszędzie wokół byli ludzie. Zawsze i wszędzie byli ludzie. Kiedyś doprowadzało mnie to do szaleństwa, ale teraz czasem mi tego brak... Mama wciągnęła nas do salonu. „Kto jest w domu?” – wyszeptał Matz. Nie było nikogo, tylko mama i Isha, i Tzivia. Lokatorzy byli w pracy. Tzivia siedziała przy stole kuchennym. Jej mała główka wyglądała znajomo. Przygotowywała ziemniaki. I jak ona wyrosła! Nie była już niemowlakiem. Miała ponad trzy lata. Minęło osiemnaście miesięcy, odkąd wyjechaliśmy... W przeciwieństwie do mamy Tzivia od razu nas rozpoznała. Otworzyła szeroko buzię. Wyglądała na przerażoną, jakby zobaczyła duchy. Na ścianie wisiało zdjęcie: Matz, ja i Isha na moich kolanach... Tzivia spojrzała na zdjęcie, potem znów na nas, na zdjęcie... i natychmiast wybuchnęła płaczem.

Wie pan, mama powiedziała dzieciom, że umarliśmy. Dla ich bezpieczeństwa i dla naszego. Tak było lepiej dla wszystkich. Gdyby zrobiła inaczej... Tzivia zaczęła wołać swoją *bubbeh*, płacz przerodził się w histerię. Zresztą, panie Gregory, sam pan ma córkę. Może pan sobie to wyobrazić. Nie martwiłam się o Tzivię. Nie była przecież moim dzieckiem. „Gdzie jest Isha?” – tylko tyle mogłam powiedzieć. Dlaczego nie przygotowywała ziemniaków razem z kuzynką? Przyjechaliśmy po nią i chcieliśmy ją zabrać od razu. Tego samego dnia. Opatulić ją i zabrać na stację, a potem do Hollywood...

Moja matka wskazała ręką sypialnię. Chciałam tam iść, ale ona ostrzegła mnie: „Eleanora, wystraszysz dziecko. Isha jest chora. Muszę ją najpierw uprzedzić i wyjaśnić, że nie jesteś duchem. Jest bardzo chora. Ciągłe. Przez cały czas. Nie wytrzyma takiego szoku. Poczekaj. Pójdę tam i przygotuję ją... bardzo się ucieszy”. I tak musiałam czekać. Nie mogłam tego wytrzymać. „Proszę”, mówiłam do Tzivii. „Proszę, Tzivia, przestań. *Bubbeh* ma ważną sprawę. Przestać w końcu płakać!” Ale ona nie chciała się uspokoić. Chciała się dowiedzieć, gdzie była jej mama. Jej mama nie żyła. Och, powinnam była być dla mniejsza. Biedny maluch... Ale też jak mogłam? „Mamo, pospiesz się!” – krzyczałam. Boże, nigdy na nic nie czekałam dłużej.

Tzivia w końcu przestała płakać i powiedziała: „Przyślijcie po Ishę?” Odpowiedziałam, że tak. „A dołąd ją zabieracie?” Powiedziałam, że do miejsca, gdzie cały czas świeci słońce. I gdzie jest piękny ocean, pełen jadalnych ryb, i gdzie pomarańcze rosną na drzewach, a powietrze pachnie kwiatami... Słuchała mnie z uwagą, tak jakby duchy, które widziała, opisywały jej raj. W rzeczy samej tak było! Tę opowieść przygotowałam dla mojej Ishy. Gdy jednak zobaczyłam twarzyczkę małej Tzivii, zrozumiałam, jak bardzo byłam okrutna. Zrozumiałam też, że nic nie stoi na przeszkodzie, żeby i ją zabrać. I mamę oczywiście. Wszyscy mogliby przyjechać

do Kalifornii. Powiedziałam to głośno. I czekałam, aż w końcu będę mogła zobaczyć moją córeczkę. Nachyliłam się, wzięłam buzię Tzivio w dłonie i powiedziałam: „Jedź z nami, aniołku. *Bubbeh* cię przywiezie. Przyjedź”. Na chwilę jej twarzyczka się rozpogodziła, a potem znów przyszyły chmury. „Nie mogę jechać. Kiedy tata po mnie przyjdzie, to jak mnie znajdzie?” Matz przykucał przed nią i powiedział: „Tzivio! Tata cię znajdzie. Dopilnujemy tego. Nie masz się czym martwić... Wszyscy będziemy szczęśliwi. Będziemy rodziną”. Widzi pan? – Eleanor spojrzała na Gregory’ego. – Widzi pan, jaki to był wspaniały człowiek, prawda? Wspaniały. Sam pan rozumie, dlaczego się w nim zakochałam...

– Zdaje się, że naprawdę wspaniały, pani Beecham. Chętnie więcej się o nim dowiem, ale... hej, już prawie południe. Nie jest pani głodna? Co by pani powiedziała, gdybyśmy zrobili przerwę i coś zjedli? Mogę zamówić jakiś lunch, jeśli ma pani ochotę. Albo, jeśli nie boi się pani tłumów, znam świetną małą jadłodajnię na Virginia Street. Może znajdzie się tam jakiś cichy kąt i będziemy mogli kontynuować opowieść tam?

Eleanor nie chciała przerywać. Nie z powodu jedzenia. Ani z żadnego innego powodu. Drżała na myśl o pokazaniu się publicznie. Jak miała wytłumaczyć swoją obecność w tym miejscu, jeśli natknie się na jakiegoś reportera? Co powie pan Carrascosa? Spanikowała na samo brzmienie jego nazwiska... Zostawiła scenariusz na łóżku, w zamkniętej kopercie. Jej kontrakt właśnie się kończył. Nie powinna nawet opuszczać miasta bez pozwolenia. Była jednak uprzejma. Zawsze była uprzejma.

– Proszę mi wybaczyć, panie Gregory – powiedziała – tak długo mówiłam. Ale lunch, tak oczywiście. Może gdybyśmy pojechali samochodem i weszłabym do restauracji szybko i ze spuszczoną głową... Całkiem niezłe mi to wychodzi, wie pan. W Hollywood czasem noszę wielki kapelusz, kiedy idę do kina. Tak właśnie robię, wie pan. Nikt mnie nawet nie zauważa!

Wcale tak nie robiła. Nigdy jej się to nie zdarzyło. Słyszała tylko, że robią tak inne, większe gwiazdy. Podobno tak robił Rudolf Valentino. Eleanor nigdy się nie odważyła. Gdzieś po drodze zatraciła poczucie zwyczajnej wolności. W tej chwili, gdy wypowiadała to tanie kłamstwo, dotarło do niej, że zatraciła też chęć do życia. Gdzie ona się podziała? Co się z nią stało?

– Do licha – powiedziała nagle w przypiływie jakiegoś zupełnie nowego uczucia, które przypominało jej to, co czuła dawno temu. – Mam wielką ochotę. Zrobmy to! Przejdźmy się, na łąkę boską, jeśli to nie jest daleko. Poczujmy słońce na twarzy!

26

Restauracja znajdowała się zaledwie kilka budynków dalej. Eleanor nie zauważyła, żeby ktoś ją rozpoznał. Wszędzie indziej ona i pan Gregory zostaliby uznani za kuriozalną parę. Ale nie w Reno. Tutaj, w mieście bogatych, eleganckich i świeżo rozwiedzionych kobiet kuriozalne pary mijało się na każdym kroku. Nie tylko prawnicy korzystali na tym źródle dochodu. Nawet jeśli pan Gregory w swoim kowbojskim kapeluszu i jaskrawej, źle dopasowanej kamizelce nie prezentował się jak typowy żigolak, to, idąc u boku Eleanor, wyglądał przynajmniej jak dorobkiewicz.

Zamówili stek. Pan Gregory doskonale wiedział, jak zamówić alkohol spod lady. Czerwone wino, przeszmuglowane przez pustynie Nevady aż z Francji, oznajmił z dumą.

– Jedyne prawdziwe mccooy w Reno! – zapewnił.

Eleanor rzadko miała okazję pić prawdziwego mccooya. Dla niej prohibicja nie oznaczała schowanej w łazience butelki ginu. Max troszczył się o to. Albo Butch. Albo jeszcze kto inny. Ktoś płacił łapówki i robił wszystko, co należało, żeby kieliszek szampana zawsze był pełny. Nie chciała tego przyznać, ale wino, które Gregory nalał do jej kubka na herbatę, smakowało jak ocet. Niemożliwe, żeby sprowadzono je z Francji.

– Wyśmienite – wymamrotała, biorąc łyk, a potem następny. Zobaczyła, jak bardzo go to ucieszyło. – Tak pyszne, że brak mi słów.

Myśli Eleanor powędrowały znów do mieszkania w kamienicy i do matki, zmęczonej i starej, do zapachu końskiego łajna i gnijących warzyw, do dudnienia pociągów na nasypie i do Tzivii, do jej twarzyczki przejętej marzeniem o Kalifornii... I do małej Ishy. Białej jak śnieg, z policzkami połyskującymi od zimnego potu.

– Mama w końcu wróciła do dużego pokoju. Z jej twarzy dało się wyczytać, że nie niesie dobrych wieści. „Powiedziała jej, że tu jesteś”, szepnęła do mnie. „Mała chce przyjść się przywitać, ale kazałam jej zostać w łóżku”. Ruszyłam w stronę sypialni, ale mama mnie powstrzymała. Chwyła mnie za ramię i zmusiła, żebym stanęła. „Zrozum mnie, córko. Isha nie czuje się dobrze. Nie wiem nawet, czy zrozumiała, co jej powiedziałam. Może kiedy staniesz

przy niej, jakoś to sobie pouklada... Mówi o tobie..." – Eleanor zamilkła. Spojrzała na swój kubek z winem i nieuważnie wypła łyk. Słowa uwięzy jej w gardle. – „Mówi o tobie cały czas...” Nie wiedziałam tego, panie Gregory. Pan ma małe dziecko. Wie pan, jak łatwo dzieci zapominają. Moja Isha mnie nie zapomniała. Mówiła o mnie cały czas. Tak powiedziała mama. Cóż... W końcu mogłam wejść do pokoju. Mama radziła: „Podejdz powoli, ona jest bardzo delikatna”. Podeszłam powoli, łagodnie. Nie mogłabym tego zrobić łagodniej, nawet gdybym rzeczywiście była duchem. Isha leżała na materacu, na którym kiedyś spaliśmy z Matzem. Spała na nim zazwyczaj ze swoją *bubbeh* i z kuzynką Tziwią, bo nikogo więcej nie było. Sarah zginęła w pożarze. Samuel był Bóg wie gdzie, Matz i ja wyjechaliśmy do Kalifornii. Teraz miało być inaczej. Wszyscy wracali z nami. Zabierzemy ich do Los Angeles, a to ohydne miasto, obrzydliwe, roznoszące choroby ulice... i te pokoje bez okien zostawimy za sobą. I nigdy tu nie wrócimy.

Isha leżała na łóżku. Wydawała się taka drobna, taka blada. Obserwowała mnie, gdy przechodziłam przez mały pokój. Było prawie ciemno. Nie było tam okna. Patrzyła na mnie, gdy w półmroku usiadłam delikatnie obok niej na materacu. Jej twarz jednak była pozbawiona wyrazu. Isha nie poruszyła się. Słyszałam tylko lekki świst... Jej mała klatka piersiowa walczyła o oddech. Ciemne włosy były mokre od potu i przyklejone do jej głowy tak, że nie było nawet widać loczków. Gdyby pan ją wtedy widział, za nic by nie zgadł, że miała najpiękniejsze, najbujniejsze, najweselsze loki... Nie domyśliłby się pan tego, panie Gregory. Była chora. Pochyliłam się nad jej bezwładnym ciałkiem i pocałowałam ją w czoło. Było wilgotne i zimne. Isha podniosła rączki i objęła mnie za szyję, a ja rozplakałam się tak, że łzy kapały na jej twarzyczkę. Isha powiedziała: „Mamo!”

Eleanor zamilkła. Gregory wpatrywał się w swój talerz i stygnący na nim soczysty stek. Odsunął go, a potem w czysy pogładził rękaw Eleanor.

– Znajdziemy ją – powiedział. – Obiecuję pani, że ją znajdziemy.

Sam chciał w to wierzyć.

– Dziękuję – odrzekła.

Po lunchu rozmawiali o giełdzie. To był dla Gregory’ego znacznie łatwiejszy temat. Pani Beecham pytała, co on sądzi o obecnej sytuacji, i sprawiała wrażenie, jakby rzeczywiście czekała na odpowiedź. Gregory zapewniał ją, że wszystko niebawem wróci do normy.

– Dlatego, pani Beecham, że zawsze tak się działo – powiedział, nalewając sobie kolejny kubek i rozgadując się coraz bardziej, skoro już doszedł go głos. Lepiej czuł się z dala od sypialni tego biednego chorego dziecka. – Musimy po prostu słuchać ekspertów. Oni są tego całkiem pewni.

– Charlie Chaplin sprzedał swoje akcje – powiedziała Eleanor zwykłym tonem. – I to za radą Jesse’a Livermore’a. Zgodzimy się oboje, że Livermore to ekspert.

– Jesse Livermore! Co też pani mówi?

– Oni się bardzo przyjaźnią.

– Ha. Włóczęga i potentat giełdowy, naprawdę? To jest coś. O czym oni mogą z sobą rozmawiać?

– Och, Charlie jest zupełnie inny niż w filmach! Jest strasznie inteligentny, panie Gregory. To jeden z najbystrzejszych ludzi, jakich można spotkać.

– Cóż – zaśmiał się Gregory – pewnie nigdy nie będzie mi to dane...

– Nie. – Eleanor odwzajemniła uśmiech. – Jego raczej pan nie spotka.

– Więc Charlie Chaplin sprzedał akcje – wymamrotał Gregory. – I to za radą Jesse’a Livermore’a... No, ale Livermore zaliczył wpadki tyle samo razy, ile zbijał fortunę. Nie można o tym zapomnieć!

– To prawda...

– Niech mi pani uwierzy, pani Beecham. Rynek się uspokoi. Musimy się mocno trzymać i czekać.

Wrócili do biura, zachowując coś, co przypominało przyjacielską ciszę. Spacer był niedługi, a słońce świeciło. W hallu Matthew zatrzymał się przy dalekopisie, podniósł taśmę i wskazał jakieś miejsce na niej. Zmarszczył na chwilę brwi i powiedział coś do siebie.

– Rozumie pan to? – spytała Eleanor. – Ja nie mogę zupełnie połapać się w tych symbolach.

– Och, ja już do nich przywykłem – powiedział Gregory, upuszczając taśmę i wiedząc dokładnie tyle samo, co wtedy, kiedy ją podnosił. – To naprawdę bardzo proste... Wracamy do pracy?

Sekretarka znów przyniosła kawę, a Eleanor kontynuowała opowieść.

– W ten oto sposób nasz plan, by wrócić do Kalifornii jeszcze tego samego dnia, okazał się niemożliwy do wykonania. Isha nie przeżyłaby podróży, co do tego nie było wątpliwości. Matz chciał opatulić ją, czym się dało, i wyjechać od razu. Nie mogłam mu na to pozwolić. Moja matka była tego samego zdania. Zostaliśmy zatem. Choroba Ishy przebiegała według pewnego schematu: co kilka tygodni jej stan się pogarszał i musiała leżeć przez dzień lub dwa, czasem dłużej. Mama mówiła, że ostatnio, odłód Matz i ja wyjechaliśmy, jej nawroty zdarzały się częściej, a każdy kolejny był poważniejszy od poprzedniego. Mieliśmy jednak nadzieję. I mieliśmy pieniądze. Niewiele, ale wystarczająco, by kupić Ishy jedzenie, zdrowe jedzenie, żeby wezwać do niej lekarzy i nawet zapłacić za leki. Mama zapewniała, że żaden z lokatorów nie dowie się o naszej obecności. Na wszelki wypadek, gdy tylko zaczęli wracać z pracy, ukryliśmy się w naszym pokoju, w pokoju Ishy. Nikogo nie obchodziliśmy. Myślę, że nie wiedzieli, kim jesteśmy. Tylko mała Tzivia mogła nam zaszkodzić. Musieliśmy wytłumaczyć jej, że to bardzo ważne, żeby nie mówiła nikomu o nas. Wydawało się, że zrozumiała. Myślę, że moja opowieść o Kalifornii ją oczarowała. Była bardzo podekscytowana. Zrobiłaby wszystko, żeby tylko tam pojechać.

– Z pani opowieści wynika, że to słodka dziewczynka...

Eleanor nie słuchała:

– Nie – powiedziała. – Nie zrobiła tego Tzivia. Ona była jeszcze dzieckiem. Połowa tego, co mówiła, to były jakieś dziecięce bzdury. Nikt by jej nie posłuchał i nikt by jej nie uwierzył. Często nad tym myślałam. Zastanawiałam się wiele razy, kto to mógł być... Byliśmy przecież bardzo ostrożni, nie wychodziliśmy, rozmawialiśmy wyłącznie z mamą, nikt z lokatorów nas nie słyszał. Siedzieliśmy cały czas w małym pokoju, ukrywaliśmy się i szeptaliśmy do siebie. Matz był opętany sprawą naszego bezpieczeństwa... Biedny Matz! To uwięzienie go wykańczało, ale kochał Ishę równie mocno jak ja. Siedzieliśmy przy niej cały czas, karmiliśmy ją, mówiliśmy do niej, przyglądaliśmy się, jak śpi. Była szczęśliwa, że ma nas przy sobie. Kiedy gorączka spadała, a mała wracała do przytomności, spoglądała na nas – na Matza i na mnie – i uśmiechała się.

rozaśniał jej twarz. Wtedy też próbowała coś mówić, często jednak nie udawało się nam usłyszeć i zrozumieć, co powiedziała. Zamykała oczka, a na twarzy zostawał jej uśmiech...

To musiał być ten lekarz. Przyszedł dwa razy. Matz i ja postępowaliśmy ostrożnie. Nie spotkał się z nim i nie rozmawialiśmy z nim. Musiał się jednak domyślić, skąd się wzięły pieniądze, którymi mu zapłacono. A może Isha powiedziała coś w gorączce? A może był to jeden z lokatorów. To nie ma znaczenia, prawda? Już nie. Byliśmy tam trzy dni. Isha stawała się coraz silniejsza. Tamtego ranka, kiedy się obudziła, oddychała ciszej i z mniejszym bólem. Gorączka spadła. Ciągle jeszcze była słaba, ale najgorsze minęło. Postanowiliśmy wyjechać następnego dnia, a może nawet jeszcze tego samego wieczora... I wtedy po nas przyszli.

– Kto po was przyszedł?

– Policja, panie Gregory. Nie mogliśmy zostać w mieszkaniu. Mama usłyszała ich głosy na ulicy i od razu wiedziała. Wbiegli, waląc butami, na nasze piętro. Na piąte. Słyszeliśmy ich wściekłe głosy na klatce. Biegli, taranując wszystkich po drodze, i kierowali się prosto do naszych drzwi.

– Dlaczego policja was ścigała, pani Beecham?

– Czemu pan pyta? – zdziwiła się Eleanor.

– Myślę, że powinna mi pani powiedzieć, dlaczego ścigała was policja.

– Dlaczego?

– Bo to może mieć znaczenie...

– Pakowałam rzeczy Ishy i opowiadałam jej o podróży, w którą ruszymy. Może jeszcze tego samego wieczoru, może następnego. Mała leżała wsparta na poduszce. Była jeszcze za słaba, żeby siedzieć, ale obserwowała mnie, słuchała uważnie. Opisywałam jej plażę w Santa Monica i mimozę, i słodki zapach słońca w Kalifornii. Uśmiechała się do mnie. Powiedziała... – Eleanor roześmiała się nagle. – To było najdłuższe zdanie, jakie wypowiedziała w ciągu tych kilku dni, kiedy byliśmy razem. Powiedziała: „Szejn vi di zibn velten”, to znaczy...

– Ale dlaczego policja ścigała Matza?

– Szejn vi di zibn velten. Piękne jak siedem słów. Myślała o Kalifornii, panie Gregory. Tutaj liczy się tylko moja córka. A to jest ostatni raz, kiedy ją widziałam. Policja waliła do drzwi z wrzaskiem, a mała Isha leżała w łóżku. „Szejn vi di zibn velten”. Rozumie pan to?

– Nie, nie rozumiem.

– To były ostatnie jej słowa, jakie słyszałam, panie Gregory.

– Dlaczego policja przyszła po Matza?

– Oni nie przyszli po Matza. Przyszli po nas oboje. Pytał mnie pan o to, kiedy ostatni raz widziałam córkę. Proszę mi dać dokończyć. Proszę mnie wysłuchać.

Gregory westchnął:

– Wróćmy do tego. Niech pani mówi dalej...

– Mama stanęła w drzwiach. Na jej twarzy malował się strach, czysty strach. Powiedziała: „Uciekajcie natychmiast!” W ścianie pokoju był mały lufcik. To nie było prawdziwe okno, chodziło tylko o to, żeby wpuścić trochę powietrza. Ale wszyscy w kamienicy używali go jak zypu do śmieci. Ten u nas zawsze był zamknięty, bo fetor ze śmietnika na dole był nieznośny. Smród jednak i tak przedostawał się do mieszkania. Chociaż przy najmniej muchy nie wlatywały.

Mogliśmy precyzyjnie się przez ten lufcik i dojść do schodów przeciwpożarowych na tyłach budynku. To była jedyna droga ucieczki. Matz chciał zabrać Ishę, ale powstrzymałam go.

Powstrzymałam go, panie Gregory. Wydawało mi się, że nie jest dość silna. Nie przetrwałaby podróży. Powiedziałam mu, że wrócimy po nią. I po mamę, i po małą Tzivię, jeśli jej ojciec do tego czasu jej nie zabierze. Matz nie chciał mnie słuchać. Jak zwykle! Powiedział mi: „Przyjechaliśmy po Ishę i nie wyjedziemy bez niej”. Trzymał ją na rękach, ona płakała. Słyszałam, jak z coraz większym trudem łapie oddech. Dusila się, a walenie policyjnych butów słyszeliśmy coraz bliżej. W budynku ściany były z dykty, słyszało się wszystko. Dochodziły nas polecenia, które sobie wydawali. To było przerażające. Mama powiedziała: „Uciekajcie!” – i wyciągnęła ręce, żeby odebrać Ishę od Matza. „Uciekajcie!”

Wzięłam małą na ręce, uściskałam ją i położyłam z powrotem do łóżka. Płakała. Miała dreszcze... Powiedziałam jej: „Jak tylko będziesz znów miała siłę, przyjedziemy po ciebie”. Mama prosiła: „Nie przyjeżdżajcie. To zbyt niebezpieczne. Wyślijcie nam pieniądze, a my przyjedziemy, jak tylko Isha wydobrzeje. Może nawet już za kilka tygodni. Jak tylko jej się poprawi, ruszymy w drogę, obiecuję ci to”. Matz pociągnął mnie za rękaw. „Musimy iść. Już. Teraz, Eleano!” Spojrzałam ostatni raz na moje dziecko... „Do widzenia, kochanie”, powiedziałam. Nie odezwała się. Odwróciła się tylko ode mnie, wciąż płacząc. W końcu powiedziała cichutko: „Mamo... mamoo...” Kaszła, wydawało się, że jej klatka piersiowa jest bardzo ciężka. Oddechowała głośno i z wielkim trudem. Wtedy Matz odciągnął mnie od niej. To był ten ostatni raz. Ostatni raz, kiedy widziałam Ishę. Piętnastego września tysiąc dziewięćset trzynastego roku. Tego dnia mieliśmy zabrać ją do Kalifornii, do domu. Miała pięć lat, panie Gregory. Teraz ma dwadzieścia dwa, a nie było nawet dnia, w którym... Nie było nawet dnia...

Dalekopis w końcu się uspokoił. Poza warłotem silników dochodzącym z Virginia Street w biurze panowała cisza. Niezręcznym gestem Gregory zerknął na zegarek. Pani Davison pewnie już czekała, żeby iść do domu. On sam zresztą też. Było późno. Był zmęczony. Chciał być w domu ze swoją żoną i swoją śliczną pięcioletnią Florence.

Eleanor wróciła do hotelu taksówką. Euforia, którą czuła podczas lunchu, już dawno wyparowała. Perspektywa długiego popołudnia i myśl o tym, że ktoś może ją rozpoznać albo nawet, co gorsza, podejść do niej, napęliła ją przerażeniem i wyczerpywała. Wyżęta jak szare prześcieradła, które wisiały w oknach na Allen Street, zmusiła się, by zachować dobre maniery, życząc panu Gregory'emu miłego wieczoru.

Patrząc na jej blade policzki i pozbawione wyrazu piękne zielone oczy, Matthew Gregory nie wiedział, czy widok Eleanor budzi w nim współczucie, czy powoduje głęboki dyskomfort. Wyraźne i nieukrywane oznaki nieszczęścia na tej ślicznej, dobrze znanej twarzy sprawiały, że czuł się dziwnie, jakby świat stanął na głowie.

– Wszytko w porządku? – spytał, znów niezręcznie wkładając musztardowe okrycie.

– Niezły płaszcz – odpowiedziała zupełnie bez związku.

– Podoba się pani? – ucieszył się Gregory.

Pokiwała głową i westchnęła. Nie potrafiła zdobyć się na więcej. Wiedziała, że przytłoczyła rozmówcę swoim smutkiem.

– Proszę posłuchać, pani Beecham – powiedział Matthew uprzejmie. – A może pojedzie pani ze mną? Może czuje się pani lepiej... – Chciał powiedzieć „w domu, z rodziną”. Ale to nie byłoby właściwe. – Może czuje się pani lepiej, nie będąc sama – poprawił się. – To był dla pani trudny dzień, prawda? Pani Gregory przyrządza pyszne... – znów się zatrzymał. Nie potrafił wymyślić, co też jego żona robi pysznego. Była kiepską kucharką. – Pani Gregory przyrządza pyszne kolacje...

Eleanor się uśmiechnęła. To zaproszenie było o wiele mniej entuzjastyczne niż poranne:

– Poradzę sobie, panie Gregory. Dziękuję bardzo za propozycję. Myślę, że wrócę do hotelu, od razu położę się do łóżka i zasnę.

– Świetnie – powiedział zbyt szybko. – Skoro tak pani woli.

Chwytał walizkę, spojrzął na wiszący na ścianie zegar:

– Widać, że potrzebny pani odpoczynek

– Poradzę sobie, proszę się nie martwić – zapewniła znów.
Gregory był już w połowie drogi do drzwi.

Eleanor jednak nie zasnęła od razu. W ogóle sypiała z trudem. Wróciła do swojego apartamentu i po raz pierwszy od bardzo dawna zastanowiła się przez chwilę nad tym, jak niezwykle były koleje jej życia. Z Allen Street do tego miejsca! Przyzwyczała się do życia w nadmiernym luksusie, który potrafiła dostrzec już tylko wtedy, kiedy go zabrakło. Tu, w Reno, luksusu nie brakowało. Jej salon był trzy razy większy niż całe mieszkanie na Allen Street. Była jeszcze wielka sypialnia i łazienka z marmurową wanną. Korytarz przylegający do salonu prowadził do małego pokoju dla służby (pustego, bo Eleanor przyjechała sama) z osobną kuchnią i małą łazienką. Prawo stanowe Nevady wymagało przynajmniej sześciotygodniowego pobytu na terytorium stanu, zanim można było starać się w nim o rozwód. Mimo że było wiele sposobów obejścia tego zapisu, większość gości zostawała w Reno na miesiąc czy dwa. Apartament Eleanor był zaprojektowany z myślą o takich dłuższych wizytach.

Eleanor nie wiedziała, jak długo tu zostanie, i aż do tej chwili nie zastanawiała się nad tym.

– Dopóty, dopóki będzie trzeba – wyszeptała stanowczo.

„Dopóty, dopóki będzie trzeba, żeby co?” – zapytałby Max, gdyby był z nią dziś. Niemal słyszała go, jak wyrzuca z siebie to pytanie. Odpowiedziała głośno:

– Żeby znaleźć Ishę, rzecz jasna. Dopóty, dopóki będzie trzeba, żeby znaleźć Ishę.

Wyobraziła sobie, jak Max odwraca się nieprzekonany i nie odpowiada. Nie mówi tego, co z pewnością chciałby powiedzieć, a czego nigdy nie powie. Bo cóż innego zostaje, gdy umiera nadzieja?

Tęskniła za nim. Czy on tęsknił za nią? Czy w ogóle zauważył, że jej nie ma?

Oczywiście, że zauważył. Mieli pójść jutro na kolację u Douga i Mary. Będzie jej potrzebował, by stworzyć wspólny front. Była ciekawa, jak wyjaśni jej nieobecność. Że się rozchorowała? Że wyjechała do Reno, by starać się o rozwód? Ha. A może że wyjechała do Reno, by szukać dawno zaginionej córki? Otóż, Mary, córka skończyła dwadzieścia dwa lata w zeszłym tygodniu! (Naprawdę nigdy wcześniej nie wspomnieliśmy?) Starsza niż świeczniki! Starsza prawie niż całe Hollywood... To z jej powodu przez te wszystkie lata urządzaliśmy nasze słynne przyjęcia. Na cześć małej Ishy. Walczącej o oddech. Samej w łóżku. Płaczącej. Odwróconej plecami.

Czy Max był sam? Sam w Castillo del Mimosa, które zbudowali razem. A może był w studio? Może pracował? Ciągle, do cholery, pracował? A może...?

Wyobraziła sobie Blanche, młodą i nagą, leżącą w ich wielkim łóżku z Makssem. Słodką, bystrą i bardzo ambitną na każdym polu. Tak się o niej mówiło. Blanche i jej kochająca rodzina w dalekim Oregonie, która ciągle ma nadzieję, że ukochana córka wróci do domu, będzie miała dzieci, ustatakuj się. Oczywiście, że Max nie był sam w Castillo.

Eleanor nagle gorzko pożałowała, że zostawiła męża. Co on niby miał robić, kiedy jej nie było? Postawić dla niej ołtarzyk? Roześmiała się głośno. A może po prostu przekonać sam siebie, że jego żona nigdy nie istniała, tak jak z pewnością zrobił to w przypadku Ishy?

Ktoś zastukał do drzwi. Eleanor, przyzwyczajona, że drzwi otwiera za nią służba albo Max,

albo Butch, nie pomyślała nawet, by wstać. Usłyszała szelest wsuwanego pod drzwiami papieru i dźwięk czegoś szorującego po dywanie, który wyrwał ją z zamyślenia. Znalazła depeszę zaadresowaną do „Panny Cappalman”: „Kochanie, co Ty robisz w Reno? Proszę Cię, skarbie, bądź rozsądna. Tęsknię. Wróć do domu!”

Poczuła zawód. Wiadomość była od Butcha oczywiście. Poza Matthew Gregorym tylko dwie osoby znały jej panieńskie nazwisko. Max zaś pamiętałby jego prawidłową pisownię.

Jak Butch ją znalazł? Skąd wiedział, że wynajęła pokój na panieńskie nazwisko? Głupie pytanie – i pierwsze, i drugie. Butch nie był głupi. Butch wiedział wszystko albo prawie wszystko, włącznie z takimi drobiazgami jak to, kto wsiada do wagonów pierwszej klasy jadących do Reno. To były jego sprawy. A raczej to były sprawy Lionsfiel. Połowa reporterów w Reno była pewnie opłacana przez studio. No tak. Wszystkie wytwórnie pewnie tak działały. W ten sposób udawało się tuszować skandale. W ten sposób można było mieć swoje gwiazdy ciągle na oku i kontrolować je. Jeśli Butch wiedział, gdzie jest Eleanor, wiedział to pewnie również pan Carrascosa. Pewnie obaj myśleli to samo. I dobrze. Mogli sobie myśleć, co chcieli. I tak było to lepsze niż prawda.

Pani Beecham upuściła telegram na blat stołu. Tak, zadzwoni do Butcha. Może jutro. Wymyśli jakąś wymówkę dla tego wyjazdu do światowej stolicy rozwodów. Coś tam wymyśli... Teraz była na to zbyt zmęczona. Chciała tylko spać. I chciała, żeby Max ją odnalazł, choć on oczywiście tego nie robi. Dawno już minęły czasy, kiedy pomyślałby choć o tym, by spróbować.

– Mama wynajęła skrytkę pocztową i gdy tylko wysłała nam dane, mogliśmy przekazać jej pieniądze. Zaczęliśmy to robić kilka tygodni po powrocie do Hollywood i nigdy nie przestaliśmy. Słałam też listy. Mama odpisywała... – Eleanor wskazała cienką otwartą teczkę leżącą przed Gregorym, starając się nie patrzeć na niego samego.

Ośmielony najwyraźniej jej wczorajszym zachwytem nad musztardowym płaszczem dziś włożył marynarkę w bladofioletową szklącą kratę, nawet bardziej dopasowaną niż wczoraj. Koszula wyglądająca pomiędzy guzików nieco panią Beecham rozpraszała.

– Ma pan tu, jak sądzę, pierwszy z tych listów. Ten, w którym dostaliśmy informację o skrytce pocztowej.

– Tak rzeczywiście. Mam go przed sobą.

Pan Gregory podniósł cienką kartkę papieru, która z czasem stała się jeszcze cieńsza. List był krótki i naszpikowany błędami ortograficznymi.

– Jeśli można tak powiedzieć... ten list ma teraz więcej sensu. Rozumiem też, że był pisany do córki.

– Naprawdę? – uśmiechnęła się Eleanor. – Mama była zawsze ostrożna. Starala się pisać szyfrem. Sądziła, że władze mogą czytać jej korespondencję. Zawsze się tego obawiała, nawet zanim jeszcze zaczęliśmy się ukrywać. Wydaje mi się, że zostało jej to z poprzedniego stulecia. W każdym razie sytuacja nie była jasna. Trzeba było zachować ostrożność.

– Ta karteczka to jest pierwszy list, jaki od niej przyszedł po tym, jak pani i Matz uciekliście z miasta? – Gregory obrócił kartkę w dłoniach. – Niewiele się można z niego dowiedzieć.

– Mówiłam panu. Mama musiała być ostrożna – odpowiedziała Eleanor. – Inna rzecz, że pisała do nas po angielsku. Chciała nas zapewnić, że... że Isha jest uczona tak, jak trzeba, że uczyła ją pisanej angielszczyzny, tak jak prosił mi pan?

Matthew nie rozumiał, ale pokiwał głową.

– Chcieliśmy, żeby Isha przede wszytymi była Amerykanką.

– Doceniam to – powiedział Gregory skromnie.

– Pisanie tego listu musiało jej zabrać bardzo dużo czasu... Kochana. Widzi pan wszystkie te skreślenia... – Uśmiechnęła się. – Ale wcale nas ten list nie uspokoił. Może pan to sobie wyobrazić. Matz ciągle mi dokuczał z tego powodu. Mimo to byliśmy szczęśliwi, że się odezwała. To była wielka ulga...

Eleanor zamilkła. Nie potrafiła opanować potrzeby bronienia swojej rodziny przed tym człowiekiem, który wcale jej nie znał i którego wcale to nie obchodziło, a gdyby nawet, to jego opinia nie miała najmniejszego znaczenia.

– Tata był zupełnie inny – zaczęła. – Tata był bardziej wykształconą osobą. Gdy był młody, jeszcze zanim przyjechaliśmy do Ameryki, mógł zostać prawnikiem, gdyby tylko mu na to pozwolono... Ale były limity przyjęć na uczelniach. Ograniczenia dla Żydów. Pewnie pan o tym słyszał. Mój ojciec znał prawo lepiej niż ktokolwiek

– Limity? – zmieszał się pan Gregory.

Eleanor machnęła ręką.

– Przepraszam. To nie ma nic do rzeczy... Chciałam tylko powiedzieć, że moja rodzina była uboga, ale nie była niewykształcona. A ten list, list od mamy... Angielski to nie był jej pierwszy język. To, że pisała po angielsku, było wyrazem miłości. Rozumie pan? Mówiła świetnie, ale nigdy nie szło jej dobrze pisanie. Zaczynała się i traciła pewność siebie. Wiedziała jednak, jakie to było ważne dla Matza i dla mnie. Kochała nas. Kochała Ishę... – Eleanor się uśmiechnęła. – Nawet Matza kochała! I zrobiłaby dla nas wszystko. Wszystko.

Pan Gregory uprzejmie przytaknął. Przeszło mu przez myśl, że nie omówił jeszcze z Eleanor sprawy honorarium. Miał sobie policzyć za godzinę pracy? Za dzień? Zastanawiał się, czy powinien podjąć kwestię stawki godzinowej... To nie był głupi pomysł. Na pewno o tym wspomni. Może przy lunchu, nie teraz.

– Wie pani, co ja wyczytałem z tego listu? – spytał i odpowiedział, zanim zdążyła się odezwać: – Wyczytałem, że ona nie chciała tak naprawdę wyjeżdżać na zachód. Była bezpieczna w Nowym Jorku, a dziecko miało się dobrze.

– Ależ oczywiście, że chciała wyjechać – przerwała mu Eleanor. – Oczywiście, że chciała.

– Ja sądzę, że ona już odbyła jedną długą podróż, tę do Ameryki. Była już starsza i, jak pani mówi, angielski sprawiał jej kłopot. Może bała się kolejnej wielkiej wyprawy i rozpoczynania wszystkiego od nowa.

– Nie. Myli się pan.

– Proszę posłuchać. Ja nie udaję wcale, że to rozumiem. Sam zawsze wiedziałem, gdzie jest mój dom. Nie jestem... nie jestem jednym z was... – powiedział to już drugi raz.

– No oczywiście. – Eleanor pochyliła się w jego kierunku i uśmiechnęła uprzejmie: – Mówię to tylko – powiedziała łagodnie, świadoma rezultatu, jaki dzięki temu osiągnie – żeby uchronić pana przed błędnymi wnioskami, panie Gregory. Myślę, że jeśli mamy razem pracować, muszę przed panem otworzyć serce, tak jak teraz, i przepraszam, że czasami trochę schodzę z tematu i zapominam, gdzie jestem. Ale musimy ustalić zasady. Jeśli istnieją jakieś... krępujące pana różnice między nami, możemy o nich porozmawiać, jeżeli pan sobie życzy. Pozbyć się ich.

– Nie, nie! Nie ma takiej potrzeby – krzyknął Matthew Gregory. – Jesteśmy tutaj, żeby znaleźć pani córkę, nie po to, by naprawiać świat.

– Zgadzam się. – Eleanor wróciła do poprzedniej pozycji. – Dobrze, o czym my to... A, list mamy!

Mężczyzna podał jej nad biurkiem rozpadającą się kartkę.

– Czytałem to oczywiście kilkakrotnie. Naprawdę wiele razy. Atrament zbladł. Papier jest strasznie cienki. A to pismo... Będę z panią szczerą, pani Beecham, niełatwo się to czytało. Skoro pani jest tutaj, może zechciałaby pani odczytać to na głos. Na wszelki wypadek, bo może coś przeoczyłem, wie pani.

Eleanor zatem wzięła od niego list. Wpatrywała się w dobrze znaną stronę. Poczula, że przebiega ją dreszcz, gdy dotknęła papieru. Przetoczyła się przez nią fala dawnych uczuć – szalona ulga, gdy otworzyła swoją hollywoodzką skrytkę i zobaczyła leżący w niej list. Po tych wszystkich latach znów trzymała go w dłoniach. Pachniał mieszkaniem przy Allan Street. A może tylko sobie to wyobraziła? Poczula tęsknotę za domem, za matką, która kochała ją, jak tylko matka mogła kochać, i której śmierci Eleanor nigdy nie potrafiła przeboleć. W liście podano numer skrytki pocztowej na Manhattanie, na który Eleanor miała przysyłać pieniądze. Była tam również opowieść o kontakcie z policją przedstawiona tak, jakby była skierowana do kogoś innego.

Powtarzam im i powtarzam. Biedny, kochany Matz nie żyje. Moja Eleana nie żyje. Nie wiem, czy mi wierzą. Co więcej mogę im powiedzieć? Moje dziecko nie żyje. Na razie dali nam spokój.

List mówił też, że zdrowie Ishy się nie poprawiło, że mała chce jechać na zachód i nie potrafi wręcz myśleć o niczym innym. Był jednak grudzień, miesiąc w Nowym Jorku bardzo zimny. Mama chciała zacząć z podróżą do wiosny.

Eleanor przestała czytać. Położyła list na kolanach.

– Miałam ochotę jej powiedzieć: „W Kalifornii jest słonecznie i ciepło!” Wyobraża pan to sobie? Spędzać zimę w Nowym Jorku, gdy mama i tata mają ciepły, jasny dom i czekają na pana w Kalifornii? Matz zarabiał dwadzieścia pięć dolarów tygodniowo! Czasem nawet więcej, bo wszystkie gwiazdy w Keystone go uwielbiały. Gdziekolwiek odbywały się nagrania – nieważne: na ulicy czy na pustyni – wszyscy chcieli, żeby Matz był tam z pianinem. Wszyscy prosili o jego obecność.

– Musiał być bardzo utalentowany...

– A my byliśmy bogaci, panie Gregory, bogaci! Nie tak jak teraz. To było coś innego. Było lepiej! Każdy cent, który Matz przynosił do domu, był dla nas jak milion dolarów! Połowę wysyłał na Allen Street, żeby zapewnić byt Ishy, drugie pół wydawaliśmy na przygotowanie domu na ich przyjazd. Byliśmy szczęśliwi.

Tydzień w tydzień Matz słał pieniądze do domu. Przez jakiś czas również co tydzień dostawaliśmy listy. Jeden od mamy, jeden od Ishy i jeden od małej Tzivia. Biedactwo. Zawsze pisała to samo: „Isha jest coraz zdrowsza. Kocham Was, Tzivia”. Mogła napisać więcej, chciałam wiedzieć, co u niej, ale... – Eleanor się wzdygnęła. – Podobałoby jej się w Kalifornii. Co mogłam jednak zrobić? Jej ojciec przychodził po nią. Raz, drugi, trzeci. Zabierał ją, a potem znów zostawiał tę biedną dziewczynkę. Nie wiem, ile razy, straciłam rachubę... A potem wszystko się skończyło. Nie dostawaliśmy już listów od Tzivia. Jej ojciec, a mój kuzyn nie był

dobrym człowiekiem. Nie wiem, co się z nimi stało.

– Ale listy od matki i od Ishy nadal przychodziły? – dopytywał się Gregory.

– Tak, przychodziły. Minął grudzień, potem styczeń, luty... Słaliśmy pieniądze co tydzień. Mama napisała, że razem z Ishą przyjadą w marcu. Ale w marcu spadł śnieg. Kazała mi cierpliwie czekać. Czekałam! Przygotowaliśmy mieszkanie. Matz pracował w Key Stone. Ja coraz częściej łapałam jakieś fuchy w różnych studiach. Było dobrze. I to było bardzo ekscytujące. Poza tym wiedziałam, że mama i Isha przyjadą. Ale wiosna minęła, a mama ciągle pisała, że Isha jest zbyt chora, by podróżować. Wiosna zmieniła się w lato. Napisałam matce, że muszą przyjechać, zanim przyjdzie jesień i będzie zbyt chłodno. Napisałam, że sama przyjadę do Nowego Jorku, nawet kosztem własnego bezpieczeństwa, i zabiorę Ishę bez względu na wszystko. Błefowałam oczywiście. Matz twierdził, że powinnam jechać. On też za nią tęsknił. Ale zaufałam mamie. Nigdy nie pozwoliłabym Ishy na podróż, gdyby nie była wystarczająco zdrowa, jasne, że nie... – Nagle twarz Eleanor wykrzywił grymas z wątplenia i żalu. – Minął już prawie rok, odkąd ją widziałam, panie Gregory. Cały, długi rok. Zaczynałam już się obawiać, że Isha całkiem o mnie zapomni. W końcu na początku sierpnia dostaliśmy list od mamy, w którym zapewniała, że kupiła już bilety i że przyjadą z Ishą do Los Angeles na początku września. Wyobraża pan to sobie, panie Gregory? Potrafi pan sobie wyobrazić, jak się ucieszyłam?

Pan Gregory uśmiechnął się szeroko.

– Tak, pani Beecham, myślę, że potrafię!

– Przyszedł wrzesień... i kolejny list od mamy. Ishy znów się pogorszyło. Doktor zalecił dwa tygodnie w łóżku. Boże! Niemal wyszłam z siebie! Październik, listopad. Do tego czasu mieliśmy tyle oszczędności, że mama i Isha mogły podróżować drugą klasą, w ciepłe i wygodzie. Mama zarezerwowała kolejne bilety. Wysłała list, ten, który leży przed panem. Z datą drugiego listopada. Miały przyjechać dwudziestego siódmego listopada 1914 roku. Wszystko było załatwione. Były pieniądze na koce i płaszcze oraz na kuszetkę w drugiej klasie. Isha czuła się dobrze już cały miesiąc.

Dwudziestego siódmego listopada staliśmy z Matzem na stacji. On wziął dzień wolnego. Ja zresztą też, ale ja nie miałam już zamiaru wracać do pracy... Mieszkanie było gotowe. Łóżko czekało posłane. Kupiłam niewielki domek dla lalek i umeblowałam go... no, nieważne zresztą. Przystroiliśmy taras kwiatami – świeżym bzem kalifornijskim. Miałam nadzieję, że oczaruje je tak jak mnie, kiedy tu po raz pierwszy przyjechałam. No i przygotowałam ucztę, panie Gregory. Przyrządziłam wszystkie potrawy, które Isha lubiła: *babke* i *blintz*, i... – Eleanor spojrzała na pana Gregory'ego. – No, w każdym razie to miała być prawdziwa ucztą.

Isha nigdy nie przyjechała. Czekaliśmy, tak jak kiedyś Matz czekał na swojego ojca w porcie. Pociąg odjechał, a one nigdy z niego nie wysiadły. Czekaliśmy na następny pociąg i następny. Matz musiał wrócić do pracy, ale ja czekałam cały tydzień. Każdego dnia przychodziłam na stację. Krążyłam między dworcem a skrzynką pocztową. Nic, nic i nic. Kwiaty oczywiście zwiędły, a jedzenie... cóż. Za to domek – uśmiechnęła się – ciągle mam. Jest w Castillo, schowany. Nigdy już nie dostałam wiadomości ani od mamy, ani od Ishy. Czekałam cały miesiąc. Dłużej nawet. Bóg jeden wie, jak bardzo miałam nadzieję, że jeszcze przyjadą. Nie mogłam wyjechać, bo przecież mogły... Tak było w listopadzie. Na początku stycznia zostawiłam Matza w Los Angeles, żeby pracował. Miał wtedy nową świetną pracę. Już nie grał na pianinie, co tak kochał, to już dawno było za nim. Poznał Butcha... Butcha Menkena – poprawiła się. –

W każdym razie jego droga na szczyt właśnie się zaczęła.

Eleanor usłyszała w swoim głosie gorycz, która zdziwiła ją i zawstydziła. To, co osiągnął jej mąż, było godne podziwu. Nie dało się tego umniejszyć. To było coś wyjątkowego. Bo Max był wyjątkowy i – tak, oczywiście – Eleanor była z niego dumna.

– W tamtym tygodniu zatrudnił Matza pan Griffith. Matz został trzecim asystentem reżysera w grupie pomocniczej. Kręcili „Narodziny narodu” – dodała nieco nieśmiało. – Widział pan?

– O mój Boże! – Pan Gregory zaczął wiercić się w swoim fotelu i troszkę się zaczerwienił. – Oczywiście, że widziałem...

– Matz asy stawał samemu Griffithowi – uśmiechnęła się.

– O mój Boże!

– Oczywiście lepiej to brzmi, niż wyglądało w rzeczywistości. Tak naprawdę był po prostu chłopcem na posyłki. Ale to był dopiero początek, a on był zakochany w tej pracy. Czemu miałyby jej nie kochać zresztą? Każdy by się w niej zakochał, prawda, panie Gregory?

– Zgadzam się – przytaknęła ochoczo Gregory, który zastanawiał się, czy może nie warto byłoby zrobić sobie przerwy na lunch i sprawdzić, co też za nowiny przyniósł dalekopis. Poza tym może znów wypiją sobie dziś z panią Beecham trochę wina. I może ona znów opowie mu kilka historyjek o Hollywood. Jego żona nieźle się ubawiła, kiedy opowiedział jej, jak to Chaplin nie wierzy już w giełdę. „A to ci angielski przybłąda!” – śmiała się. „Trzeba mieć tupet, żeby uważać, że się wie lepiej niż eksperci z Ameryki!” – Ludzie powinni zawsze kochać swoją pracę – powiedział Eleanor. – Tak powinno być.

Ona jednak nie słuchała. Mówiła dalej:

– Matz w każdym razie nie mógł wyjechać z Los Angeles. Na tym polegał problem. Rozumiałam to, naprawdę. Dla niego Nowy Jork był zbyt niebezpieczny. Co do tego nie było wątpliwości. Nie po tym, co się zdarzyło ostatnim razem. Pojechałam sama...

Nastąpiła długa cisza.

– Powinnam była zrobić to wcześniej, panie Gregory.

Zaprosił ją na lunch, ale odmówiła.

– Pewnie obojgu nam zrobi dobrze, jeśli odetchniemy trochę, nie sądzi pan? Cały dzień bez ustanku mój głos wwierca się panu w uszy. – Uśmiechnęła się do niego smutno. – Jestem pewna, że to może zmęczyć.

– To nie jest wcale wwiercanie – odpowiedział, rumieniąc się. Jak ona to robiła? W jaki sposób potrafiła tak się zmienić? Umiała zmienić nastrój, siebie samą i wszystko wokół w ciągu jednej sekundy. – Ma pani przepiękny głos, pani Beecham, jeśli wolno mi się ośmielić...

– Bardzo pan miły.

– Nie, wcale nie.

– No dobrze. Jeśli pan nie ma nic przeciw, czy możemy jeszcze trochę popracować? A potem może skończymy na dziś, pan sobie zje późniejszy lunch, a ja wrócę do hotelu... Nie jestem tylko pewna, czy wytrzymam do popołudnia.

– Tak, oczywiście. Świetny pomysł. Proszę mówić, pani Beecham. Proszę wybaczyć ten mój wtręt. Proszę mówić, jak długo pani chce.

– Minęły właśnie trzy miesiące od ostatniego listu. Skręciłam w Allen Street i zobaczyłam, że okna kamienicy zostały zabite deskami, panie Gregory. Na drzwiach wisiała informacja, że budynek został przeznaczony do... Ktoś mi powiedział, że mają tu postawić coś nowego.

– Zgadza się. Na Allen Street, Delancey Street i kilku innych ulicach w tym trójkącie – jak pani pewnie wie – starozakonne kamienice zostały uznane za niezdatne do zamieszkiwania przez ludzi – wtrącił się ochoczo Gregory i postukał palcem w swoje notatki. Miał w końcu coś konkretnego do pokazania na dowód, że ojciec prowadził śledztwo. – Cała procedura przyspieszyła, gdy w pani kamienicy stwierdzono dodatkowo zagrożenie zdrowotne – gruźlicę.

– Tam zawsze była gruźlica! Suchoty, tuberkuloza, jakkolwiek się to nazwie! To była część życia tam. Tak po prostu było, panie Gregory! Ludzie umierali codziennie. Rozumie pan to już? A zatem dlaczego? Dlaczego tylko ten budynek? Dlaczego w tym konkretnym miesiącu? Dlaczego?

Tik-tik-tik-tak-tak-tak.

Pan Gregory i pani Beecham spojrzeli na siebie, dzieliły ich całe mile.

– Chciałbym to wiedzieć – wymamrotał w końcu mężczyzna.

– Też chciałabym, żeby pan to wiedział, ale nie wie pan, prawda?

Gregory otworzył usta porażony. Zastanowił się chwilę i jednak je zamknął.

– Przez wszystkie te lata płaciłam panu – wyrzucała teraz z siebie Eleanor – ale nie jest pan w stanie nic mi powiedzieć na ten temat. Nic, czego bym wcześniej nie wiedziała! Moja matka nie żyła. Wiedziałam to, widziałam wpis w księdze w ratuszu. Bóg jeden wie, co się z nimi wszystkim działo przez te kilka tygodni, zanim zamknięto ten cholerny budynek. Jednego dnia w kamienicy aż się roi od ludzi – od setek nas, stłoczonych tak, że padamy jak muchy... – a następnego dnia nic! Potrafi pan to sobie wyobrazić, panie Gregory? Potrafi pan sobie to wyobrazić, siedząc w swoim ładnym biurze w Reno, kiedy słońce tak świeci za oknem? Wie pan, jakie to uczucie?

Moja matka nie żyła. Był wpis. Ma go pan w dokumentach. A w zasadzie były wpisy. Sześćdziesiąt trzy zgony w jednym budynku w ciągu kilku tygodni. Ale czy pan wie, ile osób tam mieszkało? Jasne, że pan nie wie. Nikt nigdy tego nie wiedział. Nie dało się tego policzyć, panie Gregory. Były nas całe chmary. W chłopskich ubraniach i w perukach zalewaliśmy miasto kolejnymi falami każdego dnia. A potem uczyliśmy się Ameryki w naszych wynajętych kłitkach! Wszyscy byliśmy tacy sami. Zastępowalni. Niepoliczalni. Byliśmy tacy nie tylko dla pana, panie Gregory. Byliśmy tacy sami dla siebie. Przychodziliśmy i odchodziliśmy, żyliśmy i umieraliśmy. Ale co, panie Gregory, co się stało z moją córką?

Matthew Gregory – urodzony i wychowany w Reno, z żoną czekającą w domu, drugim dzieckiem w drodze i ogrodem, który domagał się podlania – znów otworzył usta i znów je zamknął. Widział wojnę, widział swojego ojca, jak zapija się na śmierć, a teraz... widział to. Nie był ani okrutny, ani głupi. W każdym razie nie całkiem głupi. Takie jednak głębokie uczucia, takie silne i szczerze emocje wprawiały go w zakłopotanie. Gdy słuchał Eleanor, miał wrażenie, jakby jego najcenniejsza klientka zaczęła nagle mówić jakimś wymyślonym językiem. To wprawiało go w zakłopotanie, ale przede wszystkim w irytację. Niepotrzebnie na niego krzychała. Na dodatek w taki sposób, jakby to była jego wina. Odezwał się, przełamując ciszę, w której kobieta wpatrywała się w niego, oczekując odpowiedzi, której oczywiście nie potrafił udzielić:

– Pani Beecham, rozumiem pani gniew. Czuliśmy to samo na pani miejscu. Naprawdę. Zbliży się jednak chwila, wie pani... kiedy będzie pani musiała sama zadać sobie bardzo trudne, okrutne, złe pytania...

– Nie. Nie zgadzam się. Jeszcze nie teraz. Dopiero zaczęliśmy.

– Pani córka chorowała. Miała słabe płuca i kłopoty z oddychaniem. W budynku, w którym mieszkała, epidemia gruźlicy zabiła większość lokatorów. W tym wielu cieszących się wcześniej dobrym zdrowiem... Co się stało z pani córką? Pani Beecham, czy naprawdę mam pani powiedzieć, co sądzę, że się stało z pani córką?

– Sądzi pan, ale nie wie, panie Gregory. Nie może pan wiedzieć!

– Sądzę jednak...

– Przecież dopiero zaczęliśmy. Mam jeszcze tyle do opowiedzenia. Oboje jesteśmy zmęczeni. Tak, to przez to. Może jednak powinniśmy zrobić przerwę na lunch? Jeszcze za wcześnie, żeby snuć domysły na temat tego, co się stało! Zwłaszcza że nie możemy mieć

pewności...

– Nie zgadzam się z panią – odpowiedział Gregory i sam się zdziwił swoją odwagą. – Pracowaliśmy nad tą sprawą całe siedem lat.

– Nieprawda. Nie pracowaliście. – Eleanor była w rozpacz. – Zresztą to nie ma znaczenia. Już nie. Nie mam nic panu za złe. I nie chciałam panu dołączyć, proszę mi wybaczyć. Proszę, błagam. Chodziło mi tylko o to, że pański ojciec nie zajmował się tą sprawą, nie przez siedem lat. Nie jestem głupia i sporo widzę. Niech pan spojrzy na te swoje akta. Nic w nich nie ma!

– To prawda, nic nie ma, muszę się z panią zgodzić. Ale, pani Beecham... muszę to pani powiedzieć: być może nic nie ma w moich aktach, bo nie było co do nich włożyć.

– Nie!

– Pani córka, jak sama pani przyznała, była dzieckiem bardzo chorym. W budynku, w którym przebywała, epidemia gruźlicy zabiła siedemdziesięciu... a nie, przepraszam, sześćdziesięciu trzech nieszczęśliwych mieszkańców...

– Nazwiska Ishy nie było na liście ofiar! Isha Kappelman, urodzona 17 października 1907 roku. Widzi pan to gdzieś? Natrafił pan na informację o jej śmierci podczas swoich siedmioletnich poszukiwań?

– Batia Esther Kappelman...

– To była moja matka!

– Jestem tego świadom.

– Ach, no tak. Przepraszam pana bardzo.

– Pani Beecham, proszę mi wybaczyć, ale nie potrafię po prostu siedzieć tu i nie powiedzieć tego, co, jak sądzę, myślimy oboje. To nawet nie jest prawdopodobne, pani Beecham, to jest prawie pewne, że mała Isha zmarła w grudniu tamtego roku, kiedy epidemia szalała w całej kamienicy, oraz że w tych tragicznych okolicznościach i panującym chaosie pani biedna matka nie była w stanie uregulować wszystkich formalności w urzędzie, a może nawet do tego czasu sama już nie żyła...

– Proszę przestać!

Gregory jednak nie mógł teraz zamilknąć. Nachylił się nad blatem biurka, wyciągnął rękę, ale nie udało mu się dosięgnąć Eleanor.

– Nie sądzi pani – spytał łagodnie – że piętnaście lat po tych tragicznych zdarzeniach należałoby w końcu zmierzyć się z tą bardzo realną możliwością, że mała Isha zasnęła już spokoju? Że zasnęła spokoju już dawno, dawno temu... I że teraz pani powinna się uspokoić i spróbować zaakceptować fakt... że życie jest okrutne i krótkie? – Matthew przypomniał sobie o dwóch przyjaciółach, których stracił we Francji, i swoim dobrze przećwiczoną sposobem zamrugał, żeby pozbyć się sprzed oczu ich obrazu. – Myślę, że pani córka nie żyje, pani Beecham. Sądzę, że umarła na gruźlicę w grudniu 1914 roku. I sądzę, że pani też to wie, inaczej nie znosiłaby pani przez tyle lat mojego ojca i jego braku... – pokręcił głową, nie chcąc dokończyć tego zdania. – Oczywiście z przyjemnością będę kontynuował śledztwo, jeśli to ma pani pomóc i jeśli uważa pani, że jest jakaś mała szansa...

– Jest szansa.

Gregory wyprostował się znów w fotelu i spojrzał na Eleanor.

– Tak – westchnął. – W rzeczy samej.

– Ktoś mógł ją zabrać. Nie sądzi pan? Mała dziewczynka, całkiem sama... Po śmierci babki

ktos mógł się nad nią ulitować. Ktoś mógł stwierdzić, że została całkiem sama na świecie, i wziąć ją do siebie. A może władze się tym zajęły po tym, jak zamknięto budynek. Może trafiła do sierocińca. Sprawdził pan to? Pytał pan w ochronkach?

– W każdym sierocińcu na terenie stanu. Tak, mój ojciec to zrobił.

– Batia Isha Kappelman?

– Oczywiście. Mogę sprawdzić jeszcze raz, jeśli pani chce.

– Ktoś mógł się nią zaopiekować. Może zabrano ją gdzieś za granicę stanu? Mogła trafić gdziekolwiek, rozumie pan? Może była jak jej ojciec, panie Gregory! Jej ojciec radził sobie sam na ulicy, a teraz niech pan tylko na niego spojrzysz!

Gregory po raz kolejny otworzył usta i znów je zamknął. Poniewczasie zauważyła swój błąd.

– Miałam na myśli... To jest... – powiedziała i zamilkła.

– Czy pan Kappelman wciąż żyje? – spytał w końcu Gregory.

– Pan Kappelman? – spojrzała na niego tępy m wzrokiem.

– Czy pan Matz Kappelman żyje?

Chwilę zajęło, zanim pozbierała myśli. Zastanowiła się i w końcu odpowiedziała:

– Och, nie. Matz nie żyje od lat.

Wtorek, 22 października 1929

Max Beecham nie pojawił się w wytwórni Silverman Pictures aż do wtorku po południu. Zadzwoił do swojej sekretarki przed południem w dniu, w którym Silverman i wydawca, pan Leeson, mieli się spotkać, żeby zmontować na nowo jego cenny film, i wyjaśnił, że wyjeżdża z miasta, że ma się spotkać z pewnym aktorem, którego chce zatrudnić w Palm Springs, a po drodze chce jeszcze sprawdzić jeden plener.

Sekretarka była niepocieszona.

– Pan Silverman szuka pana od dziewiątej rano. Jest źle nastawiony, panie Beecham. Widziałam to spojrzenie... Co mam mu powiedzieć?

– Powiedz mu, że jestem nieosiągalny – zdecydował Max. – Powiedz, że wyjechałem.

I rozłączył się.

Do wtorku wieczorem jednak Max był już całkiem gotowy do konfrontacji z wrogiem. Wkroczył do studia świeżo ogolony i wymuskany jak zwykle, a jego sprężysty krok zadawał kłam... wszytkiemu. Wydawało mu się, że nawet recepcjonistka lekko zdrzęła, kiedy się z nią witał. Powiedziała:

– O, pan Beecham. Jest pan nareszcie!

– Jasne, że jestem – odpowiedział, rzucając jej swój słynny uśmiech.

– Cóż, w takim razie powodzenia!

– Aż tak źle? – mrugnął do niej, a ona się zarumieniła.

– Od rana robi awanturę... Już wszyscy mamy dość. Panie Beecham, będzie pan potrzebował bardzo dużo szczęścia.

Max wjechał windą na pierwsze piętro, mając nadzieję, że może tym razem uda mu się przemknąć korytarzem do swojego biura tak, żeby nie dać się zauważyć. Bóg jeden wie, jak

Silverman to robił. Musiał mieć jakiś szósty zmysł, bo zanim Max zdążył wysiąść z windy, już usłyszał swoje nazwisko.

– Maksie Beechamie, czy to ty?! – darł się jego przełożony, aż trzęsły się liście wszystkich doniczkowych roślin ustawionych w hallu. – Zbieraj dupę i chodź tu!

Max zatrzymał się na sekundę. Zaczerpnął powietrza w płuca i podążył za wzywającym go rykiem. Przechodząc obok biurka sekretarki Silvermana, wykrzywił twarz i zrobił zęza. Była ona zazwyczaj zbyt opanowana, żeby cokolwiek odpowiedzieć, tym razem jednak, kiedy otwierała drzwi do jaskini lwa, wymknął jej się mały współczujący szepot:

– Ojej.

Max uśmiechnął się do niej i wszedł.

Silverman jak zwykle siedział za biurkiem. Na jego małej okrągłej twarzy malowało się więcej złości, niż Max kiedykolwiek widział, a łysina połyskiwała w porannym słońcu. Max słyszał o tym wcześniej, ale nigdy jeszcze nie doświadczył tego osobiście: mała i zwarta postać Joela Silvermana w jasnym rannym świetle wyglądała, jakby miała eksplodować. Max przeszedł całe długie biuro. Promienie słońca odbijające się od drobinek kurzu rozsianych w powietrzu zmusiły go, by przymknął oczy. Silverman nie podniósł się ani nie odezwał.

Max, dodając sobie odwagi, pomyślał, że jego szef wy daje się malutki. Biurko było dla niego zdecydowanie za wielkie. Wszystko to razem wyglądało groteskowo. Jak wańka-wstańka posadzona przy dużym obiadowym stole.

– Musisz sobie sprawić mniejsze biurko – powiedział Max. – Masz tu złe proporcje, nie sądzisz?

Usiadł w niskim, za niskim, skórzanym fotelu naprzeciwko biurka i zaraz pożałował, że się odezwał. Popatrzyli na siebie. Max założył nogę na nogę, wychylił się do przodu i dodał:

– Ale rozumiem, że to teraz nie jest twoje największe zmartwienie.

Joel Silverman spiorunował go wzrokiem. Max znów się odezwał:

– No to jestem. Spóźniłem się cały dzień, bardzo cię przepraszam. Musiałem załatwić sprawy w Palm Springs. Chyba znalazłem świetny plener do „Życzenia radości”. Myślę, że wszystko da się nakręcić w jednym miejscu. Da się tam dojechać z Los Angeles, więc nawet nie trzeba będzie załatwiać noclegu. Koszty spadną do połowy. Jest tam jezioro. Miejsce absolutnie...

– Max, o czym ty mówisz?

– O „Życzeniu radości”?

– Do licha z „Życzeniem radości”. Życzę ci wszystkiego, tylko nie radości. Coś ty zrobił z nagraniami, Max?

– Co?

– Z tym, co wyciąłeś z „Zaginionego na morzu”. Gdzie są te nagrania? Posłałem po nie wczoraj i zgadnij, co się stało. Nagrania zniknęły. Ostatni raz widziano je, kiedy je brałeś z magazynu. W sobotę rano. Coś ty z nimi, do diabła, zrobił? Kazałem przeszukać wszystkie magazyny. Nikt nie wie, gdzie mogą być. Nikt poza tobą.

Max otworzył szeroko oczy.

– Jaja sobie robisz? Gdzie są te nagrania?

– Sam mi to powiedz.

– Hej, przyjechałem tu dzisiaj, żeby je z tobą przejrzeć, wiesz to dobrze. Mieliśmy zacząć od początku, tak jak zdecydowałeś. Ty, ja i Leeson mieliśmy obejrzeć każdą klatkę, którą

nagrałem. Pamiętasz? Butchowi Menkenowi nie podobało się to, co zmontowaliśmy, więc mieliśmy zacząć od początku.

– Gdzie to, do cholery, schowałeś, Max? Gdzie są tamte nagrania? Co z nimi zrobisz? Jak mamy zacząć, jeśli nie mamy tych wyciętych scen?

– Joel, nawet mnie tu wczoraj nie było. Czemu, do licha, mnie o to wypytujesz? Skąd mam to niby wiedzieć?

– Czy zdaje ci się, że prowadzę tu jakąś zasraną uczelnię artystyczną, Max? Ja robię interesy. Co zrobiłeś z taśmami? Pytam ostatni raz.

Zapadła długa cisza.

– Naprawdę, bardzo chciałbym ci pomóc – powiedział Beecham uroczyście. – Nie wiem jednak, o czym mówisz. Do diabła. Mi też zależy na czasie tak jak wszystkim. Zdecydowaliśmy z Butchem, że mój film trzeba przerobić. Trzeba to trzeba. Jestem gotowy go zmienić. Zależy mi, żeby go grano. Tylko to się liczy. Tylko o to przecież chodzi...

Joel Silverman patrzył na Maksa twardym wzrokiem przez dłuższą chwilę. W końcu wruszył ramionami. Właśnie tego się spodziewał.

– Nie wiem, co zrobiłeś z nagraniami Max, ale lepiej, żebyś je oddał. I to szybko. W przeciwnym razie wyrzuciłeś w błoto pół miliona dolarów. Z mojej kieszeni. Oddawaj materiały. Materiały! Tu, na moje biurko. Masz czas do jedenastej. W przeciwnym razie jesteś zwolniony, Max. Rozumiesz? Nie chcę tego robić, ale sam mnie do tego zmusiłeś. Przerobimy „Zaginione na morzu” tak, żeby spodobał się cenzorom...

– Chyba Butchowi Menkenowi.

– ...albo nie będzie żadnego „Zaginione na morzu”.

– Daj spokój!!!

– Daj spokój?!?! – powtórzył Silverman z niedowierzaniem. – *A kholere af dir*, Maksie Beecham. Przepięprzyłeś moją forszę. Koniec. Wynocha stąd.

Ale Max się nie poruszył.

– Wynoś się!

– Joel, nie przyniosę ci taśm.

– Właśnie, że przyniesiesz.

– Nie, nie przyniosę... Pociąłem je na kawałeczki.

– Co zrobiłeś?

– Po naszej rozmowie. Klatka po klatce. Pociąłem wszystkie. Kobiety z Katolickiej Ligi nie mają racji. Wyniki projekcji też są błędne. A najbardziej myli się Butch Menken.

– Nie rozmawiamy o Butchu.

– Butch nie ma racji. I sam wie, że tak jest. I ty też to wiesz.

– Badania pilotażowej projekcji nigdy nie zawodzą.

– Publiczność była źle dobrana. To jest wspaniały film. Sam tak mówiłeś, zanim go pokazaliśmy. „Piękny film”, tak powiedziałaś, pamiętasz?

Joel nie odpowiedział. Oczywiście, że pamiętał.

– Wiem, że sobie przypominasz, Joel. Mówiłeś tak. Powiedziałaś: „Max, to jest najlepszy film, jaki zrobiłeś od trzech lat!” Jak możesz teraz pozwolić to wszystko stratać jakimś katoliczkom, co? No?

Joel nic nie powiedział.

– Co się z tobą stało, Joel? Już ci nie zależy? Przecież to było dla ciebie ważne! Byłeś jedynym producentem w całym tym cholernym Hollywood, który widział coś więcej niż kasę. Popatrz na siebie! Zatrudniłeś Butcha Menkena, który będzie robił te durne, kretyńskie, idioty czne, cholerne musicale. Butch Menken jest przeciwieństwem wszystkiego, o co tu chodziło. Widziałeś chociaż jego ostatni film?

– A widziałeś wy niki jego oglądalności?

Max popatrzył na swojego szefa. Wiedział, że mimo całej buńczuczności tej przemowy udało mu się go nią dotknąć.

– *A cholere af dir* też, Joelu Silvermanie. Niech cię cholera!

– Ej!

– Daję ci ten film. To jest najlepszy film, jaki zrobiłem. Jest teraz twój, mi już nic do tego. Ty tu jesteś szefem. Możesz go zostawić w piwnicy i poczekać, aż zgnije, jeśli tego chcesz. Ale przynajmniej nie pozwoliłem ci go zniszczyć dla kilku dolarów więcej od katolickich moralizatorskich pizd...

– Ej że!

– ...które by nie poznały dobrego filmu, nawet gdyby rzucić im go w te świętoszkowate gęby i zrwalić ich świętoszkowate nosy. I może pewnego dnia, gdy już Butch odejdzie, zmieniwszy to w kupę gówna, podziękujesz mi, że się postawiłem... i że pamiętałem, dlaczego w ogóle niektórzy z nas zaczęli ten cały interes.

Zapadła absolutna cisza. I wtedy Joel Silverman w całym swoim oburzeniu zaczął śmiać się w głos:

– Przepięprzyłeś pół miliona moich pieniędzy, co do grosza, i myślisz, że będę ci za to dziękował? Wynoś się. Ej, jeszcze jedno. Zanim wyjdiesz, posłuchaj. – Silverman podniósł palec i wycelował nim w Maksa. Mimo że Beecham już wstał, a Silverman ciągle siedział, i mimo że był to tylko jeden tłusty palec, od siły tego uderzenia Max zgiął się w pół. – Jeszcze jeden taki numer. Taki albo jakikolwiek inny. Jeden fałszywy ruch – rzucisz peta nie tam, gdzie trzeba – i nic mnie nie będzie obchodzić, jak dobre są twoje filmy. Mam w nosie, ile pieniędzy zarobiłeś dla mnie kiedyś. Możesz się miotać i kopać, ale tutaj jesteś skończony. Zwolnię cię. Do widzenia. I postaram się – uczynię sobie z tego osobisty cel – żebyś już nigdy nie zrobił żadnego filmu. Ani dla mnie, ani dla nikogo innego.

– Zrozumiałem – oświadczył Max.

Naprawdę zrozumiał. Nie mógł nawet uwierzyć, jakie miał szczęście. Gdy szedł do drzwi przez długi gabinet Silvermana z godnością, na jaką tylko potrafił się zdobyć, czekał na jakiś ostatni pocisk – werbalny albo inny – który walnie go w tył głowy, ale nic nie nadleciało.

Chciałby wiedzieć, co Joel robi z *Zaginionym na morzu*. Czy postawi się cenzorom, czy pozwoli, żeby film zgnił na półce. Chciał zapytać, ale to nie był dobry moment. To, że udało mu się wyjść z biura Silvermana, nie straciwszy pracy, było samo w sobie zaskakujące. Dowie się, co z filmem, później. I będzie walczył o niego do końca. Taki właśnie był Max. Kiedy mu na cymś zależało, walczył o to.

– A zatem... kiedy odkryła pani, że budynek jest zabezpieczony i że pani córka zniknęła... – Gregory oddał swoje menu kelnerce i poprawił się na krześle. Eleanor w końcu zgodziła się pójść z nim na lunch. Zrobiłaby wszystko, żeby tylko odwieść go od zamknięcia sprawy – ...co pani zrobiła?

– No cóż. Zaczęłam szukać. Dowiedziałam się, co się stało z budynkiem. Pojechałam do ratusza i znalazłam wpis o śmierci mamy... i... nie wiedziałam, co robić dalej, panie Gregory. Nie miałam do kogo pójść, nie było nikogo zaufanego. Gdziekolwiek bym poszła, ryzykowałam, że ktoś mnie rozpozna.

– Musiała być pani ostrożna?

– Potrzebowałam kogoś, kto będzie jej szukał w moim imieniu. Miałam pieniądze, ale nie było tego wiele. Zrobiłam, co mogłam. Przeszukałam szpitale, sierocińce i wszystkie ciepłe zakamarki, gdzie sypiały bezdomne dzieciaki. Matz mi je kiedyś pokazał, znajdował tam czasem schronienie jako chłopiec. Nic się nie zmieniło. Myślałam, że może Isha... Ale była taka mała. Miała tylko trzy i pół roku, kiedy ją zostawiliśmy. Pewnie by ich nie pamiętała. Nie było ich nigdzie i nie było po niej śladu, panie Gregory. Jakby się rozplynęła w powietrzu.

Gregory siedział z pochyloną głową i bazgrał coś na kartce przed sobą. Wszystko to było tragiczne, oczywiście, że tak, ale im dłużej słuchał Eleanor, tym wyraźniej rysowała mu się prawda. Jego ojciec powinien zakończyć to śledztwo wiele lat temu. To było niegodne, naprawdę, że przez tyle lat brał pieniądze od tej kobiety. A teraz Matthew musiał pogrążyć się w tej historii rozpacz. Jestem psychiatrą, pomyślał z goryczą, a nie detektywem. Wczoraj ustalili stawkę na siedem dolarów za godzinę. Dziś, na chwilę przed lunchem, pani Beecham zgodziła się podwoić kwotę. Czternaście dolarów za godzinę – cena była zawrotna.

Wiedział, że powinien ją powstrzymać. Wyłożyć kawę na ławę i wsadzić kobietę do pociągu do Los Angeles. Ale... ona nie chciała kończyć sprawy. Nie chciała prawdy. Chciała mówić, mówić i mówić... aż zdarzy się cud.

– Rozplynęła w powietrzu – powtórzył w końcu. – Nie mogła jej pani nigdzie znaleźć. Nie

było żadnego śladu... Co pani zrobiła?

– Zostałam tam na trzy miesiące. Matz przysłał mi pieniądze. I wtedy coś się wydarzyło. Nic ważnego. Byłam na Hester Street, szukałam i szukałam. Ktoś mnie zawołał. Obejrzałam się. To była mała siostra Dory. Patrzyła na mnie! Dory, mojej ukochanej przyjaciółki. Tej z fabryki. Jej siostra już nie była mała. Usłyszałam swoje imię: „Eleana?” Mój Boże! Wyobraża pan sobie, jakie to uczucie? Jakbym dostała dowód, że rzeczywiście żyłam tam kiedyś. To była ona, Izzie, siostrzyczka Dory! Patrzyła wprost na mnie! Wiedziała, że ja to ja tak samo dobrze, jak znała własne imię. Widziałam, że tylko czeka, żeby się uśmiechnąć. Boże! Jak ja chciałam ją uściskać!

– I uściskała ją pani? – Gregory usłyszał nutę nadziei w swoim głosie. – Może ona wiedziałaby, gdzie była Isha?

– Nie zrobiłam tego. Nie mogłam. Ona się rozpląkała. Pewnie dlatego, że wydawało jej się, że widzi ducha. Chwyciłam ją za ramiona i potrząsnęłam. „Gdzie jest moja Isha?” – spytałam. Przestała płakać. Patrzyła na mnie, jakbym była całkiem, całkiem głupia...

– I co Izzie powiedziała, pani Beecham?

– Powiedziała: „Eleano, Isha nie żyje”.

– Powiedziała dokładnie to?

– Wyjechałam z miasta następnego dnia. Matz już wcześniej pisał, błagając, żebym wróciła do domu. Bał się o mnie. I miał powody. Po tym, jak rozpoznała mnie Izzie, nie byłam dłużej bezpieczna. Miałam już w kieszeni bilet na pociąg. Matz kazał mi przed wyjazdem wynająć detektywa. Tak też zrobiłam.

– Czy mógłbym się dowiedzieć, jakie on zrobił na pani wrażenie?

Eleanor wzruszyła ramionami.

– Zwyczajny mężczyzna. Tyle że miał wizytówkę, panie Gregory. – Uśmiechnęła się. – Tak jak pan. Nie pamiętam, co pomyślałam. Po tym, jak spotkałam Izzie, wszystko mi się rozmywa. Byłam przerażona. Również w powodu Matza oczywiście. Mogli przecież mnie śledzić i znaleźć go w Hollywood. Kazałam detektywowi dowiedzieć się, co się stało z każdą jedną osobą, która mieszkała w tej kamienicy... Ze wszystkimi, którzy tam byli, gdy budynek zamknięto. Dałam mu adres skrzynki pocztowej w Los Angeles...

– I?

Eleanor się zaśmiała.

– A jak pan myśli? Siedzę teraz tutaj i ciągle chcę się dowiedzieć.

Matthew Gregory miał chyba megafon przytwierdzony do głowy, pomyślała Eleanor. Bardzo łatwo było odgadnąć, co mu po niej chodzi. Wiedziała, co sądził o jej historii i co myślał o niej samej. Widziała te drobne uderzenia prądu, które przechodziły przez niego od czasu do czasu, kiedy przypominał sobie, że siedząca przed nim kobieta nie jest zwykłą osobą, ale jada kolacje z Charliem Chaplinem... Widziała to. Widziała jego zmieszanie, zniecierpliwienie, niewiarę. Widziała zaniepokojenie i brak uwagi. Czasami łapała go na spojrzeniu na zegar wiszący na ścianie, a może na dalekopolis stojący w hallu. Wiedziała też, kiedy w myślach podliczał swój rachunek. Dostrzegała poza tym, że czasem skupiał się na jej głosie, jej twarzy, szyi, jej zgrabnych nogach. Oddalała się wtedy nieco i mówiła szybciej i głośniejszym głosem do momentu, aż skupił się znów na opowieści. Widziała też, że zdarzały się chwile, kiedy jej historia naprawdę go poruszała.

Miał miłą twarz mimo tłustych włosów i policzków chomika. A kiedy mówiła o chorej Ishy albo o sierocińcach gdzieś tam, albo o norach, w których krył się Matz piętnaście lat wcześniej, wiedziała, że Gregory wyobraża sobie swoją córkę bawiącą się bezpiecznie na podmiejskim zielonym podwórku za domem, zaledwie kilka mil stąd.

Wszystko to zauważała i rozumiała. Był chciwy, lubieżny, znudzony, łatwo było go zmanipulować... ale nie był nieprzyjemny. To nie był zły człowiek. Przede wszystkim jednak mogła do niego mówić. Będzie siedział i słuchał. Musiała tylko unikać jego litości. W końcu powiedziała:

– Musi być pan głodny, panie Gregory. Bardzo przepraszam, cały czas mówię. Nie dałam panu szansy zjeść.

– Nic nie szkodzi – odpowiedział grzecznie.

Spojrzała na swój talerz z nietkniętym jedzeniem i poczuła ścisk w żołądku. Naprawdę nie miała apetytu.

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko, panie Gregory, może zostawię pana tutaj. Trochę źle się czuję. Czy to będzie bardzo niegrzeczne z mojej strony? Zje pan sobie lunch w spokoju, a ja

może już wrócić do hotelu. Jestem pewna, że ma pan wiele innych spraw do załatwienia tego popołudnia. A może – dodała z nadzieją, ale zupełnie bez celu – coś z tego, co powiedziałam, skłoni pana do jakichś nowych poszukiwań?

Pokiwał głową i oznajmił, że poczeka, aż Eleanor powie mu „wszystko”, a potem zacznie nowe śledztwo.

– Tak czy owak – dodał, wstając (biedak był rzeczywiście głodny) – ma pani rację, mam inne sprawy do załatwienia. Oczywiście nie policzę pani za to popołudnie. Proszę się o to nie martwić.

– Dziękuję – odparła. Była to w istocie ostatnia rzecz, jaką miała zamiar się martwić.

Ucisnęli sobie dłoń nad stygnącym na talerzach jedzeniem.

– Myślę, że wstąpię dziś do mojego maklera, pani Beecham. Zrobię to, jak tylko zjem. Ciekawe, co powie na temat teorii pani przyjaciele, pana Chaplina.

– Panie Gregory – Eleanor zmarszczyła brwi. – Jestem pewna, że nie ma potrzeby... Mam nadzieję, że pan nie...

Wyciągnął rękę, żeby ją zatrzymać.

– Och, proszę tak nawet nie myśleć, pani Beecham! Ani nazwisko „Włóczęgi”, ha, ha, ani pani nie wyjdzie z moich ust! Ani mojego maklera. Ani nawet mojej ukochanej żony. Tajemnica klienta to jest podstawa tego interesu, pani Beecham. Bez niej nie miałbym czego szukać w tej branży.

Kiedy wróciła do hotelu, czekał już na nią kolejny telegram. W tym pobrzmiwała większa niecierpliwość niż w poprzednim, co ją rozśmieszyło. Butch nigdy nie lubił czekać.

MARTWIĘ SIĘ KOCHANIE STOP PILNIE ZADZWOŃ STOP B.

B., który był dla niej zawsze taki dobry, który znalazł ją w tym hotelu w Reno, który martwił się tak, że nie wysłał jednego, ale dwa telegramy. Zateśkniła za nim.

Jej myśli automatycznie popłynęły w stronę Maksa. Czy wśród swoich innych zmartwień zateśknił za nią? Czy zastanawiał się, dołąd pojechała? Czy poświęcił choć chwilę, żeby jej poszukać? Jakoś nie mogła sobie tego wyobrazić.

Zamówiła rozmowę z numerem Butcha w Lionsfield i czekała, aż ktoś odbierze. Dobrze jej zrobi rozmowa z nim. Boże, to będzie nawet lepsze. Będzie wspaniale!

– Butch, czy to ty?

– Kochanie!!!

Na dźwięk jego głosu, oddalonego od niej o pięćset mil, w którym mimo trzasków na linii słyszała ciepło i zainteresowanie, poczuła przypływ miłości i wdzięczności. Butch zawsze ją wspierał, był silny i spokojny. Znał ją lepiej niż ktokolwiek. Poza Maksem, który wiedział o niej wszystko – prawie – ale kórego już nie obchodziła. Wspaniale było być kochaną i pożądaną.

Nagle Eleanor poczuła, że nie chce już walczyć. Nie chciała już pielęgnować swoich tajemnic. Chciała się poddać. Mogła zostawić Maksa i pozwolić, by Butch się nią zajął. On by to zrobił. Nic nie było w stanie go powstrzymać. A może wcale nie byłoby cudownie? Może gdyby udało mu się pokonać ich – ją i Maksa – za jednym zamachem, straciłby zainteresowanie? Oczywiście, że tak by było. Wiedziała to i znała Butcha. W tej chwili jednak, słysząc jego głos,

nie potrafiłaby uwierzyć w żadną złą rzecz na jego temat.

Przypomniała sobie, jak po raz pierwszy zaproponował jej, żeby się do niego wprowadziła. Było to krótko po odejściu Maksa do Silverman Pictures i tylko sześć tygodni po tym, jak po raz pierwszy zaznała przyjemności w jego łóżku. Wtedy najbliższa była powiedzenia „tak”. Aż do tej chwili.

Tylko że Butch nie spytał. Jeszcze nie. Wszystko, co powiedział, to to „Kochanie!!!”, ale Eleanor i tak poczuła, jakłyż płyną jej po policzkach.

– Butch, to ja... Eleanor.

– Wiem, kto mówi. Małeńka! Tak się o ciebie martwiłem. Co się dzieje? I co, u licha, robisz w Reno? Nie mów mi tylko, że nagle objawił ci się sens porzucenia tego przebrzydłego męża. Sprawdziłem w sądzie. Nic. *Nothing, nada*... Reno, kochanie? Czemu właśnie Reno? Co się z tobą dzieje?

Kobieta jednak szlochała tak, że nie była już w stanie mówić.

– Eleanor!... Czy ty płaczesz?

Butch rozmawiał już dłuższy czas, a nie zdążył jeszcze poruszyć delikatnej kwestii jej wygasającego kontraktu z wytwórnią Lionsfiel, nie wspominając nawet o sprawie własnego rychłego przejścia do Silverman Pictures. Próbował jej wysłuchać i rozróżnić słowa padające między łkaniami i pauzami, zastanawiał się, czy przypadkiem się nie przesłyszał... I właśnie wtedy do gabinetu wpadł Max.

Butch wiedział to lepiej niż ktokolwiek inny, że Max Beecham potrafił z pomocą swojego uroku osobistego dostać się do każdego pomieszczenia na świecie. To jednak, jak minął bramy Lionsfiel, recepcję, osobistą sekretarkę Butcha i niezatrzymany przez nikogo dostał się do jego biura, pozostawiało dla Butcha zagadkę. Ale nie było sensu o to pytać.

– Max – powiedział przyjaźnie, nie tracąc rezonu.

Spokojnie odłożył słuchawkę na widełki, jakby mężczyzna będący od dawna jego wrogiem, a jeszcze wcześniej najbliższym przyjacielem, mężczyzna, z którym Butch nie rozmawiał od pięciu lat, wpadał do jego gabinetu w Lionsfiel codziennie.

– Strasznie miło cię widzieć!

Max się nie zatrzymał. Nie spuszczał oczu z Butcha, przemierzył gabinet, który dobrze znał, minął naturalnej wielkości portrety gwiazd studia Lionsfiel (w tym również Eleanor), wiszące jeden przy drugim na ścianach gabinetu producenta, oraz niepozorny mały stolik, który po naciśnięciu ukrytej dźwigni odsuwał się i odsłaniał dobrze wyposażony barek – nie aż tak znowu sekretny, jak się to wydawało Butchowi – do którego dostęp miały tylko co najładniejsze dziewczyny w mieście. Max przyszedł tu w jednym celu. Butch Menken zbyt późno zorientował się, co to było. Max był niższy niż Butch, ale również zwinniejszy, poruszał się jak błyskawica – nauczył się tego w poprzednim, dawno minionym życiu. Od czasu tamtego popołudnia osiemnaście lat temu nie podniósł ręki na nikogo. Teraz jednak okrążył biurko Butcha i zanim ten zdążył choćby mrugnąć czy uchylić się, walnął pięścią w tę jego mocną amerykańską szczękę. Czekał na tę chwilę od dawna.

Butch cofnął się porażony. I znów zanim zdążył choćby mrugnąć czy uchylić się, a tym

bardziej otrząsnąć z szoku, Max natarł na niego, a potem jeszcze raz. Beecham czerpał przyjemność z faktu, że szczęka Butcha ustępuje pod naciskiem jego pięści. Zadowolenie dawał mu też ból, jaki odczuwał w dłoni za każdym razem, gdy jego knykcie wbijały się w twarz przeciwnika. Przyjemność była naprawdę intensywna. Nagle przestał zadawać ciosy. Cofnął się nieco, ciągle jednak gotowy do dalszej walki, i przerażony tym, co zrobił, czekał, aż Butch dojdzie do siebie.

– Gdzie ona jest, Butch?

Menken nie spieszył się z odpowiedzią. Najpierw dotknął ręką szczęki, a następnie nosa, żeby sprawdzić, czy nie krwawi. Krwawił.

– Odpowiadaj!

Butch powoli wyjął z kieszeni marynarki dużą czystą chustkę i przyłożył ją do nosa. Następnie obejrzał ją, sprawdzając intensywność krwawienia. Złożył materiał, by lepiej wchłaniał to, co szybko stało się małym potokiem, i w końcu, nie podnosząc wzroku, powiedział:

– Gdzie jest kto, przyjacielu? Masz na myśli swoją córkę, małą Ishę? A może swoją żonę?

Słowa podziały silniej niż najmocniejszy cios. Max zachwiał się oszołomiony i wyduśił:

– Co... coś ty powiedział?

Butch posłał mu zza chusteczki szeroki uśmiech.

– Tyle tajemnic! – burknął z dezaprobatą. – A ja myślałem, że byliśmy przyjaciółmi. Tymczasem wy, moi drodzy – pokręcił głową – skrywacie z pewnością jeszcze wiele niespodzianek

– Jaka córka? – wyszeptał Max bez sensu.

Butch się zastanowił. Dlaczego właściwie to powiedział? Na twarzy stojącego przed nim mężczyzny zobaczył przerażenie. Chciałby móc cofnąć swoje słowa. Sam wciąż nie zdążył się z tym pogodzić – z odkryciem, że dwoje jego dobrych przyjaciół mogło tak długo ukrywać przed nim swoją tajemnicę. Nie odpowiedział. Zamiast tego przechylił się nad poplamionym krwią biurkiem i połączył się z sekretarką.

– Julia – powiedział cichym głosem. – Przyślij do mnie, proszę, ochronę. I przynieś lód. Przydałyby się też jakieś ręczniki. Pospiesz się, proszę. Dziękuję. – Odwrócił się do Maksa. – Czas na ciebie.

– Wyjdę, jak tylko mi powiesz, gdzie ona jest. Gdzie jest Eleanor?

– Nie mam pojęcia, Max. Wysłaliśmy na wasz adres scenariusz w piątek do tej pory nie odezwała się do mnie. Nie ma jej w domu? – Nie czekał na odpowiedź. – Nie ma jej, prawda? No cóż. Jak ją znajdziesz, przekaż jej, żeby zadzwoniła do mnie. Jej kontrakt niedługo się kończy. Zresztą pewnie wiesz o tym. Carrascosa nie ma zamiaru go przedłużyć... To naprawdę nie jest najlepszy czas na zabawę w kotka i myszkę. Przekaż jej to, dobrze?

Kiedy skończył mówić, usłyszeli kroki na korytarzu, a potem szybkie uderzenie w drzwi. Do pomieszczenia wpadło dwóch umundurowanych ochroniarzy.

– Gdzie ona jest? – zapytał znów Max.

– Gdyby chciała, żebyś to wiedział, chyba sama by ci powiedziała, jaksądzę. Nie mogę tego zrobić.

– Proszę – rzucił Max.

Jeden z ochroniarzy położył swoją pulchną dłoń na jego ramieniu.

– Panie Menken, czy mam zadzwonić na policję?

Butch nie odpowiedział. Zamiast tego westchnął.

– Pewnie w to nie uwierzysz, Max, ale ja naprawdę chciałem znów z tobą pracować. Moglibyśmy zrobić razem świetne filmy. „Zagubiony na morzu”...

– Gównu mnie obchodzi „Zagubiony na morzu”.

– Mnie również. To nie jest twój najlepszy film, Max. Taka jest prawda.

Max pokręcił głową. Wybuchnął śmiechem, później raptownie zamilkł. Wyrwał się do przodu. Tym razem nie chciał atakować Menkena – chciał go błagać.

– Gdzie ona jest, Butch? Gdzie jest Eleanor?

Ochroniarze odciągnęli go. Chwycili go za ramiona tak brutalnie, że upadł na ziemię.

– Ej – powiedział Butch szorstko. – Okażcie człowiekowi trochę szacunku...

Kiedy Max leżał na podłodze, popatrzył Butchowi w oczy. Obaj na chwilę zapomnieli o tym, co właśnie się stało, pomyśleli natomiast o tym, jak było na początku, gdy ich gaże były niskie, gdy wciąż byli młodzi, gdy byli trójką przyjaciół wyruszających razem we wspaniałą podróż. Butch, Max, Eleanor... i Rudolph Valentino, i Charlie Chaplin, Mary Pickford, Douglas Fairbanks, Clara Bow, D. W. Griffith... Było to jeszcze zanim wprowadzono prohibicję, w czasach, gdy żyło się łatwiej. Gdy żyło się łatwiej, a oni siadali we troje w barze hotelu Alexandria, Butch, Max i Eleanor, reżyser, producent i gwiazda, i snuli plany na przyszłość. Zrobili razem kilka świetnych filmów. Najlepszych w ich karierach.

– Okażcie mu więcej szacunku – wymamrotał ponownie Butch.

Ochroniarze rozluźnili chwyt i postawili Maksa na nogi. Gdy wyprowadzali go z gabinetu, Max odwrócił się do Butcha po raz ostatni:

– Butch, proszę...

– Wyjechała – powiedział Butch, patrząc na swoje biurko i porządkując na nim to, co nie potrzebowało uporządkowania. – Nie widziałem się z nią, ale ma się dobrze. Lize rany. To tyle. Powinieneś lepiej się nią opiekować...

– Pieprz się, Butch!

– I ty też, Julio! – Podniósł głos tylko odrobinę, ale to wystarczyło, by jego sekretarka usłyszała. – Skarbie, potrzebna mi czy sta koszula. Mogłabyś mi ją załatwić, proszę?

Max wiedział, że to koniec. Nikt nie musiał mu tego mówić. Pobicie nowo zatrudnionego głównego producenta, złotego chłopca Hollywood, nie było może występkiem na miarę rzucenia niedopałka na stacji benzynowej, ale Butch już zatroszczy się o to, aby Silverman go zwolnił. A Joel to robi, tak jak obiecał. Max bardzo chciałby się tym przejąć, ale ku swojemu zaskoczeniu odkrył, że było mu wszystko jedno. Stał na parkingu przed Lionsfiel i zastanawiał się, gdzie powinien teraz pojechać. Ochroniarze obserwowali go zniecierpliwieni z odległości kilku kroków.

– Proszę wsiąść do samochodu – powiedział jeden z nich.

Max pokiwał głową. Otworzył drzwi od strony kierowcy i usiadł. Nie wiedział jednak dokąd jechać. Dokąd miałby pojechać? Nie do pustego domu przecież. Boże uchowaj. Może powinien, zastanawiał się, zadzwonić do Douglasa i Mary. Poprzedniego wieczoru nie pojawił się na kolacji u nich. Pewnie by mu wybaczyli, gdyby ładnie przeprosił. Może nawet zaprosiliby go na dzisiaj?

Kolacje w Pickfair zawsze wyglądały tak samo. Douglas Fairbanks nie pochwalał picia alkoholu, a przynajmniej nie oficjalnie, więc nigdy nie było go wiele. Towarzystwo natomiast zawsze było doborowe. Legendarne nawet. Mary i Doug wydawali kolację na dziesięć osób prawie co wieczór, a ludzie przychodzili, mimo że nie mogli się napić.

Max zdecydował, że do nich zadzwoni. Spyta, co słychać. A może lepiej nie? Może nie będzie w stanie dzisiaj przebywać wśród ludzi? Tylko jedną osobę pragnął zobaczyć. Tylko w jej towarzystwie chciał przebywać. Przypomniawszy sobie jej zielone oczy, które śmiały się do niego, zapach jej skóry, dźwięk jej milczenia. Tęsknił za nią. Łóżko, dom, wszystko wydawało mu się puste. On sam czuł się pusty. Musiał odnaleźć Eleanor.

Dziś rano na jego biurku czekała wiadomość od maklera giełdowego. Właściwie trzy wiadomości. Max konsekwentnie ignorował je przez cały dzień. Jutro też nie będzie sobie nimi zaprzątał głowy. Ku własnemu zdziwieniu odkrył, że nie obchodził go makler ani niepewna sytuacja na rynku, ani lecące na łeb ceny akcji zakładów użyteczności publicznej i nawet własna niechybna ruina. Wszystko to było mu najzupełniej obojętne. Rynek kiedyś się ustabilizuje. Zapewne. Być może. Może się ustabilizuje... Musiał odnaleźć Eleanor.

Zadzwoił do każdego, kto przyszedł mu do głowy, do każdego, kto mógł wiedzieć, gdzie ona jest. I uświadomił sobie smutną prawdę: nie było wiele takich osób. Eleanor nie miała przyjaciół. Była równie skryta jak on. Pod urokiem, wesołością, uprzejmością i powołaniem obydwój skrywali rezerwę wobec świata.

Ale Butchowi się zwierzyła.

Max podniósł wzrok. Większy z dwóch ochroniarz najwyraźniej stracił cierpliwość i ruszył w stronę jego samochodu. Beecham musiał włączyć silnik.

Czy Butch poznał całą historię? Czy w chwili słabości Eleanor powiedziała mu wszystko? Max w to wątpił. Szczerze wątpił. Zrozumiał, że go kochała. Wiedział o tym od zawsze. Oczywiście, że go kochała. Nigdy nie naraziłaby go na niebezpieczeństwo.

Max ruszył na wschód – za plecami miał zachodzące słońce. Samochód sam pojechał w stronę wytwórni, ale również w kierunku pustego domu. Poczł się samotny jak nigdy. Bez Eleanor był zupełnie zagubiony. Na horyzoncie po lewej zamajaczyły metalowe łuki wieńczące bramę wytwórni Silvermana. Max bez na namysłu zwolnił i przygotował się do skrętu.

Powinien porozmawiać z Joelem. Powinien tam pójść i walczyć o swoją posadę. Kochał swoją pracę, kochał tę wytwórnię, kochał też Joela. Miał tu jeszcze tyle do zrobienia... Zatrzymał samochód na środku drogi i nasłzy go wątpliwości. Kierowca jadący za nim zatrzął zniecierpliwiony. Max udał, że nie słyszy.

Parking przed wytwórnią prawie już opustoszał. Bugatti Silvermana jednak stało na swoim zwykłym miejscu, odbijając promienie wieczornego słońca. Joel siedział zatem ciągle za biurkiem i pracował. Nic nadzwyczajnego... Może właśnie teraz odbywał rozmowę, która miała zadecydować o dalszych losach Maksa? Może słuchał cichego, rwącego się głosu Butcha Menkena, żądającego jego głowy?

Max był pewien, że Joel nie będzie chciał na to przystać. Jeśli jednak Butch będzie naciskać, jeśli postawi ultimatum „albo Max, albo ja”, do czego ostatecznie oczywiście dojdzie, pytanie tylko, w jakie słowa Butch to elegancko ubierze, nie miał wątpliwości, którego z nich Silverman postanowi zatrzymać.

Butch Menken był niczym król Midas Hollywoodu. Max zrobił kilka genialnych filmów, kilka dobrych filmów i kilka kiepskich filmów. Poza tym zniszczył materiały z nagrań, kiedy kazano mu ponownie zmontować ostatni. Powiedział sobie, że powinien skrócić, przejechać pod tymi cholernymi łukami, natychmiast. Powinien walczyć o swoją posadę. Silverman go lubił. Max mógł jeszcze się z tego wykaraskać. Oczywiście, że mógł. Musiał tylko...

Docisnął jednak pedał gazu. Pojechał prosto.

Butch powiedział, że Eleanor wyjechała z miasta, ale ona przecież nigdy nie wyjeżdżała. Czy w takim razie oznacza to, że Butch kłamał? Czy Eleanor była w jego mieszkaniu? Zapewne. Powinien tam pojechać. Znowu. Po raz setny. Wrócić na swoje miejsce pod drzewem, gdzie spędzał każdą noc, od kiedy wyjechała. Mógłby zapytać portiera, czy ją widział... Znowu. Mógłby spróbować dostać się do mieszkania Butcha. Znowu. Tym razem, gdyby konsjerż odmówił – znowu – udzielenia jednoznacznej odpowiedzi, Max utorałby sobie drogę pięściami.

Musiał zawrócić samochód. Musiał znaleźć swoją cholerną żonę i przywieźć ją do domu. Nie zawrócił jednak. Jechał prosto, dwadzieścia przecnic na wschód, a potem kilka przecnic na północ, aż pod jej okna. Była u siebie, pisała coś na maszynie. Nie miała zasłon. Powiedziała, że zasłony nie są „nowoczesne”. Na zewnątrz zapadł już zmierzch, a światło palące się nad jej

biurkiem rozjaśniało jej ładną twarz. Widział ją dobrze, małą zmarszczkę na czole, oznakę skupienia, i usta wymawiające bezgłośnie słowa, które właśnie pisała.

Była urocza. I bardzo pracowita. Podziwiał ją za to. Zastanowił się, nad czym też mogła pracować tego wieczoru. Mówiła, że pewnego dnia napisze scenariusz. „Będzie to najlepszy scenariusz, jaki kiedykolwiek przeczytasz, Maksie Beechamie! Będziesz mnie błagał, żebym ci sprzedała prawa do ekranizacji!” Urocze. I może nawet wykonalne, kto wie...

Kiedy tak patrzył na nią, na determinację, z jaką pracowała, pomyślał, że tak, że pewnie kiedyś jej się to uda. Kiedyś. Ale nie dziś. Dziś, zdecydował Max, Blanche nie będzie stukać na maszynie. Dziś on zabierze ją na kolację.

Na kolację jednak nigdy nie dotarli. Stał przed jej drzwiami, rozczochrany, w wymiętym ubraniu i zupełnie pozbawiony swej pewności siebie, co zauważyła i co rozproszyło cały niepokój, jaki odczuwała z jego powodu. Blanche wiedziała już, bo przecież żyła z tego, że wiedziała wszystko o wszystkich, iż żona Maksą zniknęła oraz że wytwórnia zaczęła poszukiwania. Słyszała też plotki. Ktoś widział Eleanor w Reno, a to mogło oznaczać tylko jedno.

Wiedziała, że zniknęły nagrania *Zagubionego na morzu*, a że znała Maksą dobrze, domyślała się, co mogło się z nimi stać. W ciągu ostatnich kilku dni w jego życiu wydarzyło się bardzo wiele. Nie zadzwonił jednak do niej ani razu. Po wczorajszym wieczorze obawiała się najgorszego.

Dostrzegła ślady krwi na koszuli Maksą, a w jej głowie pojawiły się znaki zapytania. I jeszcze więcej pytań. Po tym, co wydarzyło się wczoraj, niepokoiła się jeszcze bardziej. Było tyle rzeczy, o których musiała z nim pomówić. „Kto raz skłamie, będzie kłamał zawsze”, mawiała jej matka. Skoro mógł zdradzać żonę, mógł równie dobrze zdradzać Blanche. Musiała go o to zapytać.

Ale nie teraz. Przyszedł w końcu do niej, a nie do tej innej kobiety. A jeśli to rzeczywiście była inna kobieta? Kimkolwiek była, niech ją wszyscy diabli! Dziwka stchórzyła i uciekła, zanim Blanche zdążyła ją o cokolwiek zapytać.

Max stał na jej progu i wyglądał strasznie. Wyglądał, jakby jej potrzebował. Bardzo go kochała, oczywiście, że kochała, i serce jej krwawiło, gdy widziała go w tak opłakanym stanie. Poczula się również odrobinę zakłopotana. Ale tylko odrobinę.

Nic nie powiedziała. Uśmiechnęła się, otworzyła drzwi i wpuściła go do środka. Później go o wszystko zapyta. Na razie musiała powściągnąć ciekawość. Posadziła Maksą na aksamitnej kanapie i przygotowała drinki. Chwilę porozmawiali. Usmażyła mu omlet. Nie zjadł. Potem poszli do łóżka. Blanche przestała roztrząsać w głowie swoje podejrzenia, a może po prostu zapomniała o nich na chwilę. Gdy kochała się z Maksą, wydały się zupełnie pozbawione sensu.

Nad ranem, gdy kochankowie jeszcze spali, losy świata zmieniły swój bieg. Wall Street ogarnęło szaleństwo. Wraz z gwałtownym spadkiem cen akcji w domach giełdowych wybuchały bijatyki, a dorośli mężczyźni szlochali jak dzieci. Gdy w oddalonej o dwa i pół tysiąca mil od Wall Street słonecznej Kalifornii Max otworzył wreszcie oczy, nie miał nawet pojęcia, że oto jest już w połowie drogi do stanu dawnej nędzy. Zobaczył ładną, młodą twarz Blanche na poduszce obok niego i przez ułamek sekundy poczuł lekkość, której nie zaznał od lat. Dlaczego przez cały ten czas starał się zwalczyć to uczucie?

W oddalonym o pięćset mil Reno dalekopis oszalał. Matthew Gregory zupełnie nie mógł się skupić, nie mógł usiedzieć spokojnie na miejscu, chociaż jego stawka godzinowa wynosiła obecnie 14 dolarów. W opowieści jego klientki było tyle przemilczeń i niedopowiedzeń, że poszczególne elementy za nic nie chciały ułożyć się w spójną całość. Wszystko to nie miało sensu.

Eleanor mówiła o jakimś facecie, jakimś Butchu, o scenariuszu, który Matz napisał w 1918, a który Butch wyprodukował, a Matz wyreżyserował. A może na odwrót? Gregory'emu zupełnie nie zależało na doprecyzowaniu tej kwestii. W każdym razie ten właśnie scenariusz zrobił z Eleanor gwiazdę.

Makowa dziewczyna! Pamiętał ją! To była swego czasu prawdziwa sensacja. Wszyscy mówili o Eleanor Beecham. Matthew Gregory widział ten film tak samo jak większość Amerykanów. Zabrał na niego do kina swoją ukochaną (obecnie żonę) na drugiej lub trzeciej randce i oboje śmiali się do łez. Trudno było w to teraz uwierzyć, ale Eleanor Beecham rewelacyjnie radziła sobie w komediach. Zabawne, pomyślał Matthew Gregory, jaka ona była wspaniała na wielkim ekranie. Wszyscy szaleli z miłości do niej. Wszyscy! I mężczyźni, i kobiety! A teraz siedzi tu przed nim. Cała jego fortuna spłynęła w rynsztok, a ona opowiadała historię, w której nie było za grosz sensu. Wszystko dlatego, że nie potrafiła zmierzyć się z prawdą. Myślała pewnie, że póki mówi, póty... Co? Istnieje wciąż nadzieja? Co ona tu właściwie robiła? Biedactwo, pomyślał. Biedna kobieta. Za 14 dolarów za godzinę mógł chociaż spróbować się nie niecierpliwic.

Podczas gdy Eleanor mówiła, Matthew Gregory wykonał kilka obliczeń. Szukał odpowiedzi na pytanie, które go przerosło i na które w obliczu gwałtownie pograżającego się w depresji rynku nie było odpowiedzi: jaka będzie jego sytuacja finansowa pod koniec dnia? Kupił akcje US Steel za dziewięć tysięcy funtów z dziesięcioprocentowymi odsetkami. Posiadał też trzysta dolarów w akcjach General Electric, które polecił sprzedać brokerowi po jakiegokolwiek cenie. Od początku tygodnia zdążyły one już stracić połowę swojej wartości, a dziś rano nie można było ustalić ich

ceny aż do chwili, w której dalekopis nadrobi zaległości – jeśli w ogóle kiedykolwiek to nastąpi. W tym cały cholerny kłopot! Siedzenie w biurze doprowadzało go do obłądu.

Pan Gregory miał też odziedziczone po ojcu trzy tysiące funtów w akcjach radia z dziesięcioprocentowym marginesem zysku. We wrześniu ich cena wzrosła o osiem procent, w pierwszym tygodniu października spadła o jeden mały procent i ponownie wzrosła o dwa w zeszły czwartek. Dziewięcioprocentowy wzrost w ostatnich tygodniach! Gdyby Gregory sprzedał je w odpowiedniej chwili, mógłby osiągnąć bardzo przyzwoity zysk. Ale tego nie zrobił. W zeszły poniedziałek dokupił ich nawet więcej. „Nigdy nie kupi ich pan taniej!” – ryczał broker do telefonu. Co on sobie wtedy myślał? W zeszły poniedziałek, zapewne w przyływie adrenaliny wywołanej wonią perfum pięknej gwiazdy filmowej, która zawitała do taniego gabinetu, przyjął radę brokera. Teraz, naturalnie, rynek miał się gorzej niż źle... Pomyślał o swojej ciężarnej żonie i swoim małym skarbie – pięcioletniej córeczce bawiącej się w dzikim podmiejskim ogrodzie na tyłach domu. No co on sobie wtedy myślał? Jeżeli cena spadnie dziesięć centów poniżej marginesu, no cóż, wtedy jakiegokolwiek obliczenia nie miały sensu – będzie zrujnowany. Zerknął na Eleanor. Tak, wciąż mówiła...

– Po podpisaniu umowy z dużą wytwórnią wszystko staje się możliwe – tłumaczyła. – Oni mogą załatwić naprawdę wszystko. Mają od tego ludzi, rozumie pan. Ludzi zatrudnionych po to, aby zajmować się najohydniejszymi rzeczami. I mają na to środki. Zdaje pan sobie sprawę? Są kryci na wszystkich frontach. Pamięta pan Williama Taylora?

William Desmond Taylor, hollywoodzki reżyser, który wiódł życie pod fałszywym nazwiskiem. Znalaziono go martwego w jego domu, w pokoju pełnym damskiej bielizny z podpisami słynnych właścicieli i z leżącymi na biurku listami miłosnymi od dwóch największych amerykańskich gwiazd... Nigdy nie odkryto sprawy. Ludzie z wytwórni byli na miejscu zbrodni, przeszukali każdy zakamarek na długo przed pojawieniem się policji. W 1922 roku wywołało to skandal. Nadał o tym mówiono.

– A kto go nie zna? – odpowiedział pan Gregory, dyskretnie spoglądając na zegarek.

– No więc rozumie pan. Wytwórnia dba o swoich ludzi. Ale taka ochrona ma swoją cenę.

– Rozumiem.

– Widzi pan, w tamtym czasie Butch był ich człowiekiem... Zawsze wiedział lepiej niż inni, jak poruszać się w systemie. – Uśmiechnęła się. – Teraz na przykład jest starszym producentem w Lionsfiel...

– Aha...

– To gruba ryba, bez dwóch zdań. Nie on jeden zresztą. Jest więcej starszych producentów. Jego gabinet jednak jest o wiele lepszy niż biuro któregokolwiek z nich. Większy, bardziej ekskluzywny. – Zaśmiała się nagle, myśląc o ukrytym baraku, z którego Butch był niezwykle dumny. – Butch Menken wie, jak się o siebie zatroszczyć. Troszczy się również o ludzi, na których mu zależy. Zatroszczył się o nas, panie Gregory. Rozumie pan? Załatwił nam pierwsze kontrakty ze studiem. I zdobył dla nas nowe dokumenty. Wreszcie mieliśmy dokumenty!

– Zdobyl dla was dokumenty... To świetnie. Jeśli jednak wytwórnie mogą załatwić wszystko, jeśli mogą zapewnić nową tożsamość, jeśli mogą sprawić, aby ich gwiazdy uniknęły odpowiedzialności w sprawie o morderstwo, to dlaczego, proszę mi wybaczyć to pytanie, dlaczego siedzi pani w Reno, rozmawiając z prowincjonalnym detektywem?

– Ponieważ wytwórnia nie wie. To oczywiste. Nie wie o istnieniu Ishy. Nie wie o większości

spraw, o jakich panu opowiedziałam. Inaczej nigdy by nas nie zatrudniono.

– Nie rozumiem.

– To przez politykę Matza.

– Nadal nie rozumiem.

Odchyliła się w fotelu. Nadszedł czas. Wiedziała o tym. Wczorajszej nocy po rozmowie z Butchem, która zakończyła się tak gwałtownie, bardzo uważnie zastanowiła się nad tym, co powie, a czego nie powie dziś Matthew Gregory'emu. Zdecydowała, że powie mu prawdę, ponieważ musi. Ale nie całą. Półprawda nada się znakomicie.

– Był członkiem ruchu socjalistycznego...

Gregory podskoczył, jakby przez jego ciało przebiegł prąd.

– Socjalizm? – powiedział zszokowany.

– Och, może pan się marszczyć, jeśli pan chce, panie Gregory – powiedziała, uśmiechając się – i ile tylko pan chce. Gdyby żył pan i pracował tak jak my...

Gregory podniósł rękę w geście protestu.

– Kobieto, na litość boską, mamy różne poglądy na tę sprawę. Wolno nam mieć różne poglądy. Na tym właśnie polega piękno Ameryki! Ale, do cholery, przecież nie jestem tutaj po to, aby panią osądzać.

– Mimo to czyni pan to – odpowiedziała. – Nie może pan powstrzymać się od osądzania mnie. Tymczasem nie będąc w skórze drugiej osoby...

– Proszę kontynuować opowieść – zarządził zniecierpliwiony.

Nieznacznie podniosła głowę i ciągnęła:

– Może pamięta pan, że kiedy zaczęła się wojna, kraj ogarnęło bardzo zaraźliwe uczucie... pewien rodzaj patriotyzmu graniczącego z manią.

– W Reno nazywamy to po prostu amerykańskim patriotyzmem.

– Matz miał wiele przekonań, które były niezgodne z... – urwała na moment – niezgodne z amerykańskim sposobem myślenia obowiązującym w tamtym czasie. Ameryka szła na wojnę. Matz zaś w tę wojnę nie wierzył.

– Ha! – okrzyk oburzenia wyrwał się z gardła Gregory'ego, zanim zdążył go powstrzymać. Nie, uświadomił sobie jednak zaraz. Nawet za czternaście dolarów za godzinę nie chciałby go powstrzymać. – Pani Beecham, czy właśnie powiedziała mi pani, że pani mąż odmówił walki?

– No cóż, nie mógł walczyć. To oczywiste. Powiedziałam panu przecież, że się ukrywał, panie Gregory. Jego działalność odnotowano w dokumentach, niewątpliwie nawet gdyby chciał się zaciągnąć, wtrącono by go raczej od razu do więzienia... W każdym razie – dodała zupełnie niepotrzebnie – nigdy się nie zaciągnął. Nie chciał walczyć. Walczył za robotników, tak dzielnie jak mężczyzna może walczyć o sprawę, na której mu zależy. Matz był przeciwny wojnie. Przeciwny temu, aby Ameryka brała w niej udział. Nie rozumieliśmy, dlaczego my, w Stanach Zjednoczonych, mamy angażować się w działania w Europie. Ostatecznie przyjechaliśmy tu, czy też nasi rodzice przyjechali tu... do *goldene medina*, złotego kraju – uśmiechnęła się krzywo. – Nasi rodzice uciekli z Europy, która była nam bardziej niż nieprzyjazna. Rozumie pan? Nie mieliśmy żadnych wspomnień ze starego kontynentu. Nie było w nas ani trochę miłości do Europy. Za co zresztą mielibyśmy ją kochać? Matz nie wierzył w to, że jego powinnością było tam wrócić i zginąć na polu bitwy, które nie miało z nami nic wspólnego...

Jej słowa nie wywarły na panu Gregorym wrażenia. Stracił słuch, uczestnicząc w wojnie,

kóra dla niego także nic nie znaczyła. Każdego ranka budził się z tępy m bólem w lewej gołeni, równie¿ pamiątką po wojnie, która nic dla niego nie znaczyła. Walczył, Bóg jeden wie dlaczego. Walczył, bo był Amerykaninem, mężczyzną. I był z tego dumny... Dlaczego Matz Kappelman miał czelność sądzić, że ma prawo nie poddać się losowi? Cholerne parchy, pomyślał gorzko. Potrafią pilnować tylko własnych interesów.

– Pani mąż był był bolszewikiem?

Eleanor starała się powstrzymać uśmiech.

– Był socjalistą, panie Gregory. Tak, był.

Tik-tik-tik-tak-tak-tak...

Pomyślał o swojej ciężarnej żonie. Pomyślał o czternastu dolarach za godzinę, o spadających na łeb na szyję indeksach oraz o braku innych klientów na horyzoncie. Chciał trzymać się zasady, złotej amerykańskiej zasady, jednocześnie dla niego naturalnej i niezrozumiałej, która zabraniała wspierać socjalistów i nierobów. Pomyślał, że poprosi tę parszywą, niewierzącą w Amerykę Żydówkę, żeby wyszła. I wtedy, nawet jeśli żaden klient już nigdy nie zawita do jego agencji, a krach giełdowy pochłonie wszystkie jego oszczędności, będzie mógł przy najmniej chodzić z podniesioną głową. Przeprowadzą się z żoną do mniejszego domu. Matthew wróci do policji. Będzie dobrze. Poradzą sobie.

Czternaście dolarów za godzinę. I więcej bajecznie bogatych klientów tam, skąd przyszła. Parchy i socjaliści... gwiazdy i milionerzy. Kogo, do cholery, to obchodziło? Kto by się przejmował? To jest kapitalizm... To jest prawdziwa Ameryka...

Eleanor obserwowała to wszystko.

– Nie wymagam, by pan stanął po mojej stronie, panie Gregory – powiedziała chłodno. – Wyjaśniam panu po prostu, dlaczego potrzebowaliśmy nowej tożsamości. Dlaczego nie mogliśmy pozwolić wytwórni odkryć naszej przeszłości. A nie zastanowiło pana, dlaczego sprawdzono nas tak nieudolnie? Butch to załatwił, tak jak załatwił nam nowe papiery.

– Oczywiście. – Gregory kiwnął głową. – Oczywiście. Proszę mówić dalej. Gdyby pani jeszcze zechciała wyjaśnić mi jedną rzecz...

– Tak?

– Trochę się zgubiłem.

– Ojej...

– Matz Kappelman, ojciec pani zaginionego dziecka, który, jak pozwoliła mi pani sądzić, zginął w pożarze...

– Naprawdę?

– Ostatecznie przeżył, prawda? Mój ojciec nie mógł znaleźć żadnych informacji na jego temat. Ja też natrafiłem na żaden ślad Matza Kappelmana, żywego czy martwego.

– No cóż, przecie¿ nigdy nie powiedziałam, że ojciec Ishy zginął – odpowiedziała pospiesznie, zgubiona w gąszczu własnych kłamstw. Chciała tylko mówić dalej. – Matz Kappelman jest martwy. Oczywiście! Jest martwy i to od bardzo dawna.

– W takim razie...

– Max Beecham natomiast żyje i ma się dobrze. A raczej żył i miał się dobrze w piątekrano, kiedy wyjeżdżałam z domu.

– Myślę, że mieliśmy wtedy krótki okres spokoju. Po tym, jak „Makowa dziewczyna” weszła na ekrany kin, nasza trójka – Max, Butch i ja – była na ustach wszystkich. Bardzo się starałam, podobnie jak Max, zapomnieć o tym wszystkim. Żadne z nas nigdy nie wspominało tamtego życia. Ale Isha śniła mi się każdej nocy. Maksowi pewnie też... Nic nie mogliśmy już zrobić. Nie rozmawialiśmy o niej. To było zbyt bolesne.

– Kiedy to było?

– No cóż, „Makowa dziewczyna” weszła do kin w 1918... Potem w 1921... W październiku 1921 roku dostałam ten list.

– List? – zdziwił się pan Gregory i spojrzął na teczkę leżącą na biurku.

– Nie, pan go nie ma.

– Nigdy nie wspomniała pani o żadnym liście.

– Nie, nie wspominałam. To dlatego, że...

List został dostarczony do jej domku na terenie Lionsfiel. Było to jeszcze, zanim poprosiła, by ktoś segregował jej pocztę, na samym początku kariery, zaledwie trzy lata po tym, jak za sprawą *Makowej dziewczyny* stała się gwiazdą. Wtedy jeszcze, otwierając listy od fanów, czuła dreszczyk emocji. List przyszedł razem z całym workiem innej korespondencji w dniu urodzin Ishy – 17 października 1921 roku. Isha skończyłaby wtedy czternaście lat.

Eleanor wkrótce miała wejść na plan. W pokoju była wizażystka i dziewczyna odpowiedzialna za kostiumy. Plotkowały o domniemanej ciąży którejś z aktorek Max siedział w kącie. Często go tam widywała. Jej garderoba była dla niego jak drugie biuro. Dyskutował o czymś ze scenografem. Eleanor otworzyła list.

Było to zdjęcie statku. Bez podpisu. Małe obszarpane zdjęcie. Na odwrocie Eleanor znalazła tylko jedno zdanie, napisane ręczne, nie wiadomo do kogo skierowane. Proste zdanie oznajmujące: „Szukam mojej matki”. To było wszystko.

Upuściła kartkę, jakby ta sparzyła ją w palce.

– Max?

Pogrążony w rozmowie nie usłyszał jej. Byli z sobą już na tyle długo, że zdarzało mu się to coraz częściej. Na planie, kiedy ona grała, a on reżyserował, nic nie mogło mu umknąć – poświęcał jej całą swoją uwagę, ale poza nim zdarzało się, że musiała wejść na stół, zaśpiewać, zatańczyć albo wrzasnąć, żeby ją dostrzegł.

Głos, który nigdy wcześniej jej nie zawidił, nagle odmówił jej posłuszeństwa. Otworzyła usta, aby zwołać męża, ale wy dobył się z nich tylko szepc:

– Max!

Przerwał rozmowę. Odwrócił się do niej. Zobaczył wyraz jej twarzy i dziwny blask, który rozświetlał jej spojrzenie... Oczywiście, że przyszło mu to do głowy, tak pomyślał o tym.

– Przepraszam, czy mogliby nas państwo na chwilę zostawić samych? Musimy z El porozmawiać na osobności – powiedział.

Gdy wszyscy wyszli, podbiegł do niej. Pokazała mu kartkę.

– Wiesz, jaki dziś dzień? – zapytała.

– Oczywiście, że wiem.

Przeglądali się kartce przez dłuższą chwilę, myśląc o tym samym, z tym samym strachem i nadzieją. Pogrążyli się we wspólnych wspomnieniach. Ostatecznie Max uśmiechnął się krzywo.

– Do licha – rzucił. – A nie szuka też swojego taty?

Eleanor się roześmiała. Śmiali się oboje.

– Jest adres, widzisz? Brookly n. Musiała pojechać na Brookly n. Tam jest znacznie lepiej. Tak się cieszę, że wy dostała się z Manhattanu. Z jej płucami i...

– Kochanie – powiedział, obejmując ją.

Zamilkła. Chwycił jej twarz w dłonie i zmusił, żeby na niego spojrzała.

– Kochanie, musisz zdawać sobie sprawę...

– Przecież wiem. – Odepchnęła od siebie jego ręce. – Nie jestem idiotką, Max.

– Wariaci chodzą po świecie... To może być cokolwiek. To może być jakiś szalony przypadek. To, że list dotarł dzisiaj, to pewnie zwykły zbieg okoliczności. – Max nie brzmiał przekonująco. W jego głosie El usłyszała tę nadzieję, którą ukrywali przed sobą wzajemnie przez ostatnie lata.

– Co zrobimy? – spytała. – Powinniśmy tam pojechać? Napisać do niej? Może wysłać telegram. Tak powinniśmy wysłać telegram, powiadomić, że dostaliśmy kartkę. Napisać, że już jedziemy. Moglibyśmy ruszyć choćby dziś po południu, prawda, Max? Butch jakoś to załatwi. To poważna sprawa. Pojedziemy na Brookly n i przywieziemy ją tu od razu. Dziś po południu.

– El, to może wcale nie być ona.

– Och, Max.

– Mówię poważnie. Nie możemy tak po prostu pojechać na Brookly n. Zerwać się i pędzić tam na złamanie karku z powody listu od jakiejś najpewniej wariatki, mającej fioła na punkcie gwiazd, która na dodatek nawet się nie podpisała... Do diabła, Eleanor, ta kartka... – powiedział, wymachując wściekle papierem przed twarzą żony. – Wiesz dobrze, że mógł to przysłać cokolwiek!

Pani Beecham wbiła wzrok w blat toaletki. Powoli w żalonym geście zakryła uszy.

– Max... Dlaczego wciąż to powtarzasz?

– Ale – dodał i sam nie mógł uwierzyć, że wypowiadał te słowa – mamy adres, El. I to może być ona. To może być ona... Prawda, El? Może nas odnalazła...

Spędzili tak jakąś godzinę, ignorując kolejne wezwania na plan. Ostatecznie zamknęli drzwi

na klucz, żeby nikt im nie przeszkadzał, i rozmawiali tak, jak robili to ostatnio przed wielu laty. Zastanawiali się, jaka Isha może być, jak udało jej się przeżyć, czy zdobyła jakieś wykształcenie.

– Ma ładne pismo – powiedziała Eleanor. – To ładne pismo, prawda?

– Ma wspaniałe pismo – przyznał Max.

– Wygląda na to, że jest bardzo zaradna. Tak jak ty. Urodzona wojowniczką...

– Po tobie ma piękne zielone oczy – dodał. – Pamiętasz jej oczy?

Eleanor się zaśmiała.

– Tak, Max. Pamiętam jej zielone oczy! Pamiętasz jej piękne włosy? Grube, czarne i kręcone. Dokładnie takie jak twoje. Och! Nigdy nie dało się jej porządnie uczesać!

– Na pewno jest piękna – powiedział. – Założę się, że jest piękna.

– Oczywiście, że jest piękna.

Na zmianę sprowadzali się na ziemię: „Wariaci chodzą po świecie. To pewnie zwykły zbieg okoliczności...” Zanim Butch przyszedł sprawdzić, co jest przyczyną przerwy w pracy, stracili już pełną godzinę zdjęć.

– Max? Eleanor? – zawołał, stojąc pod ich domkiem. – Czy moglibyście, proszę, otworzyć drzwi? Potrzebujemy was na planie. Natychmiast – mówił jak zwykle, nie podnosząc głosu.

Kiedy wreszcie otworzyli drzwi, błyskawicznie zorientował się, że mają jakiś sekret. Wiedział to od zawsze i nienawidził tej świadomości. Byli jego najbliższymi przyjaciółmi, jedynymi przyjaciółmi, mimo to wykluczyli go. Nie zapytał, co się stało. Był na to zbyt dumny. Z ich wyglądu i z blasku, który rozpromieniał ich twarze, domyślił się, że chodziło o coś bardzo ważnego. O coś, czym nie chcieli się z nim podzielić. Nigdy nie widział bardziej szczęśliwych ludzi.

– Dość tego – powiedział szorstko. – Zdajecie sobie sprawę, ile nas kosztuje to opóźnienie? Co ja mam niby powiedzieć Carrascosie?

Skończyli nagrania przewidziane na ten dzień. Pod koniec zdjęć Max odezwał się do Butcha:

– Eleanor i ja musimy pojechać do Nowego Jorku. Przykro mi, Butch. Musimy wyjechać jeszcze dziś wieczorem. Wrócimy na plan za dziesięć dni.

– Nie, Max, to niemożliwe.

Mimo to wyjechali. Jeszcze tego samego wieczoru. Mieli szczęście, ich ostatni film zarobił dla Lionsfiel więcej niż jakikolwiek inny w tym roku. Pewnie gdyby na ich miejscu była jakakolwiek inna gwiazda i jakikolwiek inny reżyser, kontrakty tych nieszczęśników porwano by z miejsca na strzępy, rujnując tym samym ich kariery. Max i Eleanor pojechali i wrócili. Tak jak obiecali, dziesięć dni później byli z powrotem w Hollywood i od razu rzucili się do pracy.

Podróż zabrała im pięć dni. Rozmawiali o wszystkim i o niczym, ale nie o tym, co naprawdę leżało im na sercu. Zanim dotarli pod wskazany w liście adres na Brooklynie, oboje wiedzieli już – choć żadne z nich nie powiedziało na ten temat ani słowa – jakta historia się zakończy.

Budynek nie był imponujący, ale w porównaniu z kamienicą na Allen Street wydawał się prawie luksusowy. Stał pośród podobnych małych i zaniedbanych szeregowych domków z trawnikami, po których biegały dzieci. Adres podany na kartce wskazywał na dom na końcu ulicy. Eleanor chciała od razu podejść do drzwi, ale Max ją powstrzymał. Posprzeczali się o to. Max uważał, że powinna trzymać się z boku – była już rozpoznawalna.

Razem weszli na krótką ścieżkę prowadzącą do domu. Zapukali. Czekali całą wieczność. Wreszcie usłyszeli kroki – lekkie, dziewczęce kroki. Drzwi się otworzyły. Stał w nich szczupły

mężczyzna. Wyglądał na jakieś czterdzieści lat, był nieskazitelnie ubrany, a włosy miał gładko zaczesane. Jego twarz była blada, jakby nigdy nie widziała słońca. Trzymając drzwi, nieufnie wodził wzrokiem od jednego do drugiego. Za jego plecami szare poranne światło wpadało do pustego i pewnie nieużywanego hallu.

Max chrząknął i odezwał się:

– Przepraszam, że przeszkadzam. Szukam pewnej młodej damy.

– A kto z nas nie szuka? – powiedział mężczyzna, ale jego głos, sposób mówienia i wytworny strój wskazywały na to, że on z pewnością tego nie robił. – Nie, damy tu nie znajdziecie, niestety. A kim jesteście?

Znów na nich popatrzył, tym razem uważniej, kilkakrotnie przenosząc spojrzenie z jednego na drugie. Etola z nerek chroniła Eleanor przed nowojorskim chłodem. Miała na sobie również okulary przeciwsłoneczne oraz kapelusz z szerokim rondem zasłaniający twarz. Max w jasnobrązowym wełnianym zimowym garniturze w kalifornijskim stylu prezentował się tak samo elegancko jak zwykle. Roztaczali wokół siebie aurę szuku i dobrobytu. Byli jak amerykański sen, który ziścił się w robotniczej dzielnicy szarego brooklyńskiego poranka. Max i Eleanor Beecham wyglądali w tym miejscu jak para kosmitów.

– Szukamy młodej dziewczyny – powtórzył Max. – Podała nam ten adres. Nazywa się... – W chwili, gdy wymawiał imię Ishy, uświadomił sobie, jak bardzo cała ta sytuacja jest niedorzeczna. Jak absurdalnie to wszystko brzmi. Eleanor też to rozumiała.

– Isha Beekman? – Najwyraźniej nikt taki nie zapadł mężczyźnie w pamięć. – Isha Beekman... – spróbował ponownie.

– Może pan ją również znać jako... – nie wytrzymała Eleanor.

– Tak, może ją pan również znać jako Ishę Kappelman – powiedział Max.

– Proszę się zdecydować – powiedział mężczyzna lakonicznie. Jego oczy kontynuowały wędrówkę. – Żadne z tych nazwisk jednak nic mi nie mówi – dodał.

Ostatecznie jego spojrzenie zatrzymało się na Eleanor. Lekko znarszczył brwi, a potem – jakby promień słońca przebił się przez zachmurzone niebo – rozjaśnił się w uśmiechu.

– No cóż, będę... – urwał, a jego uśmiech nagle stał się tak szeroki, jakby miał przeciąć jego twarz na pół. – Pani to Eleanor Beecham!

Max instynktownie objął żonę ramieniem.

– Wysłałem pani list! – wykrzyknął mężczyzna. – Czy to dlatego pani przyjechała? – Spojrzał ponownie na Maksę, a na jego twarzy pojawiło się oszołomienie. – Dlaczego przyjechaliście? Dlaczego... – A potem bez ostrzeżenia przez jego twarz przebiegł grymas, zapadł się w sobie, zgarbił i zaczął płakać. – Przyjechała pani spotkać się ze mną! Aż z Hollywood... Jest pani najwspanialszą kobietą...

– Nie! – wyszeptła Eleanor przerażona. – To nieprawda.

– Wiedziałem! Wyczytałem to w pani twarzy. Ma pani dobrą twarz, najmiłszą, jaką widziałem... Najśodszy, najłagodniejszy wyraz... Może pani wejście? Pani i pani przyjaciel. Proszę wejść, napijemy się herbatki...

40

– Nigdy nie wspomniałam o tym liście, panie Gregory – powiedziała Eleanor – bo tak naprawdę on nic nie znaczył. Okazało się, że był od jakiegoś wariata.

– Ale został dostarczony w dniu urodzin Ishy?

– To był przypadek – wzruszyła ramionami.

– A co pani zrobiła?

– Co zrobiłam? No cóż, wszystko się zmieniło. Takie rzeczy... one w końcu mogą doprowadzić do szaleństwa. Te listy od fanów i oni sami... Nawet pan sobie nie wyobraża, panie Gregory, jak wielu jest pomyleńców na świecie. Uświadamia pan to sobie dopiero, gdy zaczynają do pana pisać. Tamtego dnia przestaliśmy w ogóle czytać te listy – nawet nie bierzemy ich do ręki. Oboje. Przy najmniej w tej kwestii się zgadzamy.

– Rozumiem.

– To była najgorsza kłótnia w naszym życiu. Max chciał zapomnieć. O wszystkim. Nie chciał przechodzić przez to raz jeszcze. Rozumie pan? Chciał udawać, że to wszystko nigdy się nie wydarzyło. Ja natomiast... Na mnie ten list podziałał zupełnie inaczej. Maks zniechęcił, pozbawił nadziei. Ja zaś dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że tak naprawdę nigdy się nie poddałam. Może i ten list był od jakiegoś wariata, biednego, smutnego, samotnego świra – dodała, przypominając sobie tę przygnębioną twarz. – Może i tak. Może też nigdy nie znajdę mojego dziecka. Ale dopóki nie zobaczę dowodu, dowodu, panie Gregory, dopóty nie przestanę mieć nadziei. Nigdy nie przestanę szukać Ishy. To właśnie wtedy zdecydowałam się zatrudnić detektywa. Drugiego detektywa. Tego przed pańskim ojcem.

– Ale zerwała z nim pani współpracę?

– Och, nie chciałam tego robić. Był w Los Angeles i był całkiem dobry, ale Max się dowiedział.

– Nie spodobało mu się to?

– Była kolejna awantura. – Zaśmiała się. – Prawie się pozabijaliśmy. Powiedział mi wtedy, że te poszukiwania doprowadzą mnie do szaleństwa. Więc...

– Więc pojechała pani aż do Reno, tak? Tak, żeby mężulek nie mógł nas dopaść?

Wzruszyła ramionami.

– Coś w tym rodzaju. To było siedem lat temu, panie Gregory. A my przez ten czas nie posunęliśmy się ani trochę naprzód.

– Ale jak pani wie – przerwał jej pan Gregory – jak ustaliliśmy... bardzo ciężko pchnąć śledztwo do przodu, kiedy kryła pani przed nami tyle rzeczy.

– Mówię panu wszystko, co mogę!

– To pani zdanie. A ja dalej nie wiem nawet, dlaczego opuściliście Nowy Jork. Nie wiem, dlaczego ścigała was policja.

– Powiedziała panu, Matz był działaczem.

– Nie wiem nawet, kiedy zmarł Matz Kappelman. I czy zmarł. Nie wiem, czy w ogóle istniał. Ta historia nie układa się w całość.

– Oczywiście, że się układa!

– Pani Beecham – westchnął. – Ja naprawdę... Myślę, że zacznę rozumieć, jak wiele pani wycierpiała.

– Och. – zaśmiała się. – Doprawdy, panie Gregory?

– Cóż, może rzeczywiście nie rozumiem. Jak mógłbym zrozumieć? Ale nie może pani oczekiwać ode mnie postępów, jeśli nie mówi mi pani prawdy. Pani Beecham, to zadanie, które próbujemy wykonać, będzie trudne, jeśli będzie pani uporczywie ukrywać przede mną fakty.

– Są rzeczy, których nie mogę panu opowiedzieć – wyznała cicho. – Dlaczego nie może się pan z tym po prostu pogodzić? Dlaczego nie może pan zwyczajnie pracować nad tym, co mamy? Nie chcę panu opowiadać historii mojego życia. Ono nie ma tu nic do rzeczy. Chcę tylko, żeby odnalazł pan moją córkę.

ÓSME PIĘTRO

Nowy Jork, 25 marca 1911 roku

Gdy Max wrócił do domu, jego żona i córka już spały. Wyszedł, zanim zdążyły się obudzić. Często tak teraz bywało. Po tym, jak Eleana uratowała go od więzienia, stał się jeszcze bardziej gniewny i jeszcze mocniej zaangażował się w politykę. Należał do radykalnego związku Robotników Przemysłowych Świata (władze darzyły go sympatią adekwatną do nazwy) i każdą wolną chwilę przeznaczał na służbę sprawie. Rozwieszał plakaty związkowe po mieście, organizował nielegalne spotkania, przemawiał na nich, uciekał przed policjantami, a czasem przeciwnie – celowo wchodził im w drogę i prowokował. Potrafił wyślizgnąć się im z rąk jak węgorz. Wyślizgnąć dosłownie – raz w New Jersey, a raz w Pittsburgu wyskoczył z policyjnego konwoju i zniknął w tłumie. Wyczyny Matza Beekmana odbijały się szerokim echem tak wśród władz, jak i wśród członków związku Robotników Przemysłowych. Był uwielbiany przez swoich i nienawidzony przez wrogów. Matz Beekman we wszystko angażował się całym sobą.

Dwudziesty piąty marca 1911 roku zaczął się tak samo jak wiele innych dni na Allen Street. Isha znów była chora, Matz był Bóg wie gdzie, a Eleana obawiała się, że spóźni się do pracy w fabryce Triangle, jeśli nie uda jej się w porę wypłatać z objęć córek. Strajk pracowników przemysłu odzieżowego dawno się zakończył. Przez chwilę, zaraz po wznowieniu pracy, sytuacja wyglądała tak jakby uwzględniono postulaty protestujących. Widok pikietujących kobiet pałowanych przez policję na krótko przyciągnął uwagę i wzbudził współczucie wyższych sfer. Zebrano jakieś pieniądze, wydano kilka posiłków. Bogaczom jednak niezwykle trudno utrzymać uwagę na jednej sprawie, dlatego niebawem znaleźli sobie inny obiekt zainteresowania. Tymczasem właściciele fabryki Triangle, mający w tym sporze najwięcej do stracenia, twardo obstawali przy swoim. Numer z prostytutkami postawił kropkę nad i. W mieście, do którego co dzień przybywają setki imigrantów, nietrudno znaleźć pracownika chętnego harować za najniższą

stawkę. Gdy żądania związku zostały definitywnie odrzucone, stojący na czele strajku spuścili głowy i wrócili do pracy.

Nie wszyscy się poddali. Eleana jednak wróciła do szwalni. Dostała nawet obiecaną przez Blumenkranza jednodolarową podwyżkę. Matzowi natomiast zakazano wstępu na teren fabryki. Amen. Był podżegaczem, nikt nie chciał go z powrotem.

Nieprzerwanie więc grał na pianinie w kinematografie na Hester Street, ale z zarobionych tam pieniędzy nie był w stanie wyżywić rodziny – nawet tak małej jak jego. Eleanor została zatem w Triangle. Pracowała przez sześć długich, naznaczonych bólem pleców dni w tygodniu. Ale musiała się przyzwyczaić. Matz miał się każdej roboty. Pozostały czas poświęcał całkowicie działalności politycznej. Było to bardzo niewdzięczne i niebezpieczne zajęcie. W starciach z policją członkowie związku często byli bici, zdarzało się, że na śmieć. Lecz to było jego życie, gwałtowne i niebezpieczne. Czasem nie wracał do domu przez kilka nocy z rzędu, a Eleana i jej matka obawiały się najgorszego. Choć Eleana wierzyła w tę walkę, wołałaby, żeby ktoś inny się w niej narażał. Ostatnio coraz częściej, gdy Matz nie zjawiał się w domu wieczorem, opatulała córeczkę i zabierała ją za róg do kinoteatru, gdzie zamiast Matza śpiewały, tańczyły i grały na pianinie.

Poprzedni wieczór tak właśnie wyglądał. Matz nie pojawił się w pracy już drugi raz w miesiącu i cierpliwość właściciela powoli zaczynała się wyczerpywać. Nieważne, że pan Lustig popierał dążenia związków – jaki rozumny człowiek by ich nie popierał? – Eleana musiała tłumaczyć męża, gdy dopytywał się, jak ma prowadzić interes, skoro jeden z jego najważniejszych pracowników stale nawala. Klienci przychodzili obejrzeć film i posłuchać gry Matza. Jego właśnie, a nie jego żony i córki, choć obie były rozkoszne. „Jeszcze jeden taki numer”, oznajmił pan Lustig, „i Matz nie będzie musiał już się tu fatygować”. Wiedziała dobrze, że w końcu Lustig naprawdę straci cierpliwość. Na szczęście nie stało się to jeszcze tego wieczoru. Eleanor śpiewała i grała na pianinie wdzięcznie jak zwykle. Isha zaś, jak się okazało, urodzona do występów, tańczyła wesoło z zacięciem, za które wszyscy widzowie ją kochali.

Następnego dnia, w tę fatalną słoneczną sobotę, Isha obudziła się, rżąc i kaszląc. Walczyła o każdy oddech. Eleanie udało się w końcu zostawić córkę w jeszcze ciepłym łóżku i wraz z kuzynką Sarah ruszyć znajomymi ulicami do pracy. Sarah również była szwaczką w Triangle, pracowała nad Eleaną, na dziewiątym piętrze.

Poranek był piękny i pogodny, a na dodatek był to dzień wypłaty. Kobiety zgodziły się, że obie te okazje warto uczcić. Przy odrobinie szczęścia Matz pojawi się dziś w domu. Jeśli szczęścia będzie więcej – kobiety śmiały się – Samuel, mąż Sarah, w domu się nie pojawi. Słońce i wypłata poprawiały im humory. Sarah widziała na wystawie kapelusze, który chciałyby kupić. Zastanawiały się, jak samodzielnie uszyć podobny.

– Na pewno nie wyjdzie taki ładny – stwierdziła Sarah.

– No na pewno nie...

Przez chwilę szły w ciszy, myśląc o dniu, kiedy będą mogły sobie pozwolić na noszenie kapeluszy ze sklepu.

– Jak to jest z tobą i z Blumenkranzem? Wydaje się, że ostatnio dał ci spokój, prawda? – odezwała się w końcu Sarah.

– Zauważyłaś? To wspaniale, prawda?

– Chyba upatrzył sobie jedną z nowych dziewczyn. Tę, która siedzi obok mnie. Biedna mała

jest taka nieśmiała, że boi się własnego cienia.

– Tak! Tak słydszałam... Mam ochotę ją za to ucałować. Biedactwo...

– Sapał nad nią wczoraj przez cały dzień.

– I dzięki Bogu.

Sarah się uśmiechnęła.

– No cóż, możesz wreszcie powiedzieć o tym Matzowi. Masz problem z głową.

– Tyle że już mu powiedziałam, że Blumenkranz odszedł z fabryki dawno temu!

– Naprawdę?

– Tak i ani się waż mówić mu coś innego, Sarah. Bóg jeden wie...

– A wiedziałaś, że jego brat pracuje teraz w policji? Jest sierżantem na Mercer Street.

– Czy wiedziałam? Gadał o tym bez przerwy!

– Wszystko będzie mu teraz uchodzić na sucho. Ma plecy. Może robić, co mu się żywnie podoba. – Sarah posłała kuzynce szelmowski uśmiech. – Zresztą i tak już to robił.

Eleana nie odpowiedziała. Nie miała pojęcia, co dokładnie wiedziała Sarah, i nie chciała o to pytać. Im mniej się mówiło o tej sprawie, tym lepiej dla wszystkich. Nawet Dora nie znała prawdy.

– No cóż – Sarah nie miała jeszcze dość. – Przecież wszyscy wiedzą, jak bardzo o ciebie zabiegał, Eleano. Nettie widziała, jak w zeszłym miesiącu przyparł cię do ściany w szatni. To zastanawiające, że nawet nie krzyknęłaś. Nettie mówiła, że...

– Proszę cię, Sarah.

– Powinnaś znaleźć sobie inną robotę.

– Ha! Powinnaś też kupić sobie dom i zostać sąsiadką Alvy Belmont. A potem założyć szkołę dla wrózek.

– No cóż... – uśmiechnęła się Sarah – to nie jest taki zły pomysł.

– A nie wydadę ci się przypadkiem, że gdybym tylko mogła, poszłabym do innej pracy? – spytała Eleana szorstko.

– Powinnaś porozmawiać z Matzem. To nie jest z jego strony w porządku. Rzuciłby tę całą głupią politykę i zajął się w końcu rodziną!

– A ja kupię sobie ten dom, zostanę sąsiadką Alvy Belmont i założę szkołę dla wrózek...

Sarah zachichotała:

– Pomysł wcale niezły!

– Ale tak naprawdę nie chcę, żeby Max to rzucił... On się o nas na swój sposób troszczy. Ktoś przecież musi walczyć z całym złem tego świata. Podziwiam go za to. I wiesz co? Ty też powinnaś! Niech Bóg broni, żebym przez tego *schmendrika*, tego kretyna, miała ograniczać Matza. Po moim trupie, Sarah. Radziłam sobie z Blumenkranzem sama i to przez lata, poradzę sobie i teraz.

– No cóż... – westchnęła Sarah znudzona tematem. Podobną rozmowę odbyły już setki razy. – Może zresztą tym razem już na dobre się odczepił.

– Może – odpowiedziała Eleana, uśmiechając się mimo zmęczenia.

Chwilę później i kilka przecznic dalej kobiety poruszyły kolejny znajomy temat. Tym razem przechwalały się dziećmi. Isha, choć osiemnaście miesięcy starsza od Tzivia, o wiele gorzej radziła sobie z alfabetem. Trudno było temu zaprzeczyć.

– Tzivia nic na to nie może poradzić – powiedziała Sarah poważnie. Chciała, żeby zabrzmiało

to miło, ale nie udało jej się ukryć, jak bardzo, za bardzo, cieszy się z przewagi córki. – Isha opuszcza za dużo lekcji, bo często choruje. Biedactwo.

– Biedactwo – przedrzeźniała ją Eleana. – Naprawdę jest biedna! A biedna Tzivia nie może też nic poradzić na to, że fatalnie śpiewa.

– Ależ oczywiście, że Tzivia dobrze śpiewa! Jakśmiesz?

– Tzivi słoń nadepnął na ucho. W życiu nie słyszałam, żeby ktoś tak fałszował.

– Przecież ona świetnie śpiewa!

– Śpiewa okropnie! – powiedziała Eleana wesoło. – Kiedy otwiera usta, całe Lower East Side dostaje migreny.

– *Nejn, sha-shtil!* – syknęła Sarah.

I szły dalej w przyjacielskim milczeniu, uśmiechając się i myśląc o śpiewaniu, czytaniu i bezspornej wyższości swoich małych córek. Kolejny zwykły dzień.

Słońce świeciło. Blumenkranz znalazł sobie nową nieśmiałą dziewczynę, która zajęła miejsce Eleany w jego sercu i myślach i którą będzie teraz przypierał do ściany w szatni, myśląc, że nikt nie widzi. A poza tym dziś wypłata.

Fabryka Triangle Waist Company przynosiła zysk, a w zasadzie nawet była jedną z najbardziej dochodowych fabryk w branży odzieżowej w całym Nowym Jorku. Zatrudniała sześciuset pracowników, przy czym większość stanowili młodzi imigranci, upchnięci przez sześć wyczerpujących dni w tygodniu na trzech najwyższych kondygnacjach dziesięciopiętrowego budynku na rogu Greene Street i placu Waszyngtona. Na ostatnim piętrze mieściły się salon wystawowy dla kupców oraz biura właścicieli. W rzeczywistości zatem pracownicy byli stłoczeni na dwóch piętrach – ósmym i dziewiątym.

Stanowisko Eleany znajdowało się na piętrze ósmym. Obok niej w rzędach siedziało dwieście pięćdziesiąt innych szwaczek, które – jedna przy drugiej – pochyły się nad swoimi maszynami, znosząc wysoką temperaturę i ogłuszający hałas. Część hali wydzielono dla krojczych (to właśnie tam można było spotkać Matza przed strajkiem), którzy pracowali przy wysokich stołach, a nad nimi na drutach wisiały papierowe wykroje, wyglądające z daleka jak proporce wywieszane podczas festynów. Krojczy pracowali rękoma, bez użycia maszyn, i mieli wystarczająco miejsca, by móc swobodnie ciąć stopy materiału składające się z pięciu lub większej liczby warstw. Oznaczało to, że na piętrze Eleany znajdowało się blisko sto wytwarzających ciepło i hałas maszyn oraz o sto osób mniej niż piętro wyżej. Tam, na dziewiątym, warunki były gorsze. Trudno uwierzyć, ale było tam jeszcze goręcej i jeszcze głośniejsze.

Eleana pracowała jak zawsze obok swojej przyjaciółki Dory, która była teraz w zaawansowanej ciąży. Dora poślubiła kuśnierza zarabiającego trzy razy więcej niż ona, dlatego z niecierpliwością odliczała godziny dzielące ją od momentu opuszczenia fabryki na zawsze. Mąż obiecał, że po porodzie nigdy nie będzie musiała pracować.

– Dziecko urodzi się za wcześniej – powiedziała Dora tego ranka, gładząc się po wystającym brzuchu. – Czuję to. Jeszcze tylko trzy tygodnie, El! I ani dnia dłużej. Mogę się założyć. Co myślisz? Idziesz o zakład?

Eleana cieszyła się szczęściem przy jaciółki. Oczywiście, że się cieszyła. Ale bardzo obawiała się dnia, w którym Dora odejdzie. Hałas, skwar, bóle pleców, karku, głowy, okrutna monotonia –

wszystko to będzie o wiele trudniejsze do zniesienia bez niej przy boku. Szkoda. Szkoda też, że sama nie wyszła za jakiegoś kuśnierza, jakiegoś na przykład Lionela. Oczywiście było to absolutnie wykluczone. Nie mogła bowiem nawet wyobrazić sobie życia z kimś innym niż Matz.

Siedząc skulona koło Dory (na hali produkcyjnej trzeba było walczyć o każdy centymetr przestrzeni), Eleana stroiła miny.

– Dziecko może urodzić się nawet i dwa miesiące po terminie – mrugnęła do przyjaciółki. – Przysięgam ci, Isha kazała na siebie czekać całe jedenaście miesięcy.

– W takim razie musisz być słońcą.

Dzwonek oznajmił rozpoczęcie pracy. Obie kobiety jak wszystkie pozostałe na ich piętrze automatycznie sięgnęły do stojących obok maszyn pojemników i chwyciły pierwszy tego dnia kawałek materiału. W tym miejscu nie można było sobie pozwolić na stratę choćby minuty.

Gdy maszyny ruszyły, kobietom nie wolno było już rozmawiać, choć hałas, który panował w pomieszczeniu, i tak w zasadzie to uniemożliwiał. Dora i Eleana pracowały w ciszy, bez przerwy, nie podnosząc wzroku aż do chwili, gdy następny dzwonek oznajmił lunch.

Kolejny zwykły dzień.

Zarząd mógł go wykreślić z listy pracowników i zabronić mu wstępu na teren fabryki, ale chłopak przy wejściu dla personelu to przecież nie zarząd. Gdy Matz zjawił się tam tego popołudnia z twarzą pokrytą sińcami i ubraniem poplamionym zakrzepłą krwią, roztrzęsiony i przerażony, było to jak wizyta samego prezydenta Williama Tafta. Albo i lepiej.

– Czyż to nie Matz Beekman! – wykrzyknął chłopiec ciepło. – Znam cię. Słyszałem, jak przemawiasz podczas strajku. Wydaje się, że to było tak dawno temu. Dobrze mówiłeś, panie Beekman. Dodałeś nam ducha!

Matz musiał przekazać wiadomość żonie. To była kwestia życia i śmierci.

– Strajkowałeś razem z nami, prawda? – powiedział spokojnie, jednocześnie zerkając przez ramię na ulicę, po czym zbliżył się do biurka, za którym chłopiec siedział.

– Oczywiście, że tak – Chłopak pokiwał smutno głową.

Jeszcze jakiś czas temu wszyscy wierzyli, że coś się tu zmieni, ale chłopak nadal tu pracował, podobnie jak jego siostra na dziewiątym piętrze i jego matka dwa stanowiska dalej. Nie zmieniło się nic.

– Lepiej niech pan uważa – powiedział, patrząc na Matza. – Zaraz będą wychodzić. Dzisiaj wcześniej kończymy... A poza tym, co pan tu, do cholery, robi? – Zaśmiał się. – Wygląda pan, jakby wrócił z piekła. Cały zakrwawiony. I brudny. Co się stało?

– Nic takiego. Spadłem z byka – wymamrotał Matz.

Chłopiec z uznaniem pokiwał głową.

– No dobrze... Wygląda na to, że ten drugi nie wyszedł z tego w lepszym stanie...

Matz odwrócił wzrok. Nie mógł znieść spojrzenia chłopaka. Nie mógł zmusić się, żeby myśleć o tym, co się stało. Jeszcze nie teraz. Obraz tamtego mężczyzny jednak wyraźnie stanął mu przed oczami – ciało osuwające się na chodnik, krew sącząca się, a po chwili tryskająca z głowy... Jak jakaś pierdolona rzeka. Jak w głowie człowieka może się zmieścić tyle krwi? To niemożliwe.

– Mam kłopoty – wymamrotał Matz. – Wpakowałem się w tarapaty.

– Od razu się domyśliłem! – Chłopiec wybuchnął serdecznym śmiechem. – Inaczej przecież nigdy nie wróciłby pan do tej cuchnącej nory.

Matz pokiwał głową.

– No, ale mam nadzieję, że nie przyszedł pan szukać pracy. Sezon już się kończy. Teraz raczej zwalniamy ludzi, a tacy awanturnicy i związkowcy pierwsi wylatują za drzwi!

– Przeszedłem do Eleany. Znasz ją? Muszę z nią pomówić... To bardzo ważne.

Chłopiec zmarszczył brwi.

– Eleana? – powtórzył. – Nie znam chyba żadnej Eleany. Wie pan, jak tu jest. Dziewczyny przychodzą i odchodzą.

– To moja żona – powiedział Matz.

– Och! No, dobrze!... Co pan nie powie? Żona? I pracuje tutaj, w Triangle? – Zaśmiał się.

Matz ponownie spojrział przez ramię na ulicę. Nadal nic.

– Muszę ją złapać – poprosił.

– Dziwne, że się jej jeszcze nie pozbyli, skoro to pana żona. – Chłopiec spojrział na Matza ze szczerym podziwem. Szturchnął go na wpół niezdarnie, na wpół figlarnie. – Ty stary awanturniku! – powiedział. – Z pana to jest chojra! Mam pana wpuścić na górę?

– Tak

– Ale za dwadzieścia minut i tak wszyscy wyjdą.

– Nie mogę tyle czekać.

Chłopiec przemyślał sprawę. Popatrzył na Matza.

– Ma pan kłopoty z jakimś kołesiem, tak?

– Duże kłopoty.

– A co pan zrobił?

– Był wiec na ulicy – wymamrotał Matz niejasno. – Było dużo ludzi... Przyjechała policja i ich rozgoniła...

– I?

Matz powoli pokręcił głową.

– I zrobiło się paskudnie. – Wskazał drzwi znajdujące się na tyłach pomieszczenia, które prowadziły na wąską klatkę schodową. – Mogę wejść tędy?

Chłopiec wzruszył ramionami rozczarowany, że nie usłyszy nic więcej.

– Jasne, że tak – powiedział. – Tylko jak pana złapią, to nie mów im pan, kto pana wpuścił!

Znów uciekał przed więzieniem. Znów wyskoczył z konwoju policyjnego w drodze na posterunek przy Mercer Street. Inni więźniowie nie ruszyli za nim. Był zdany tylko na siebie i musiał uciekać – desperacko, zdając się na intuicję, dziko. Bez problemu zgubił większość policjantów, ale jeden z nich nie dawał za wygraną. Biegł za Matzem, gwizdząc i wymachując pałką tak, jakby od złapania uciekiniera miała zależeć reszta jego policyjnej kariery. Ktoś, pewnie członek związku, robotnik albo zwolennik ich ruchu – ktokolwiek to był, musiał rozpoznać Matza – podał mu coś ciężkiego, kiedy ten przebiegał obok. To nie był kamień, tylko cegła. Duża ciężka cegła. Matz widział twarz mężczyzny, który włożył mu broń w rękę. „Użyj tego”, powiedział. Matz się nie wahał. Wziąłby w tamtej chwili każdy ciężki przedmiot, cokolwiek, co mogłoby posłużyć do obrony. Biegł dalej, ciągle przyspieszał, ale słyszał oddech ścigającego go policjanta. W końcu odwrócił się i cisnął tym, co trzymał, chcąc spowolnić mężczyznę, nic więcej. Liczył na to, że gliniarz się potknie i zatrzyma. Rzucił jednak za mocno, a mężczyzna był zbyt blisko. Wszystko poszło nie tak. Matz wiedział to już w chwili, gdy wypuścił cegłę z ręki. Policjant padł ciężko na chodnik. Krew była wszędzie. Uderzenie było tak mocne, że rozbiło czaszkę.

Beekman stanął jak wryty. Patrzył na rozciągnięte, bezwładne ciało mężczyzny, patrzył, jak krew tryskała z jego głowy. Zabił człowieka. To było wszystko, o czym był w stanie myśleć. Bez czapki, która zgubiła się podczas pościgu, mężczyzna nie przypominał funkcjonariusza. Wyglądał jak każdy inny przechodzień – zwykły mężczyzna, młody i umierający. To Matz go zabił.

Minęło kilka sekund. Byli w wąskiej uliczce, w jednej z tych, które Matz znał jak własną kieszeń i w którą specjalnie ściągnął pościg, żeby go zgubić. Teraz, gdy mężczyzna u jego stóp wydawał z siebie ostatnie tchnienie, zdążyła się tu zebrać już mała grupa gapiów, trzech młodych mężczyzn i kobieta. Chyba, Matz nie był pewien. Jeden z nich szarpnął go i kazał mu uciekać: „Uciekaj. Wiek stąd, do cholery! Biegnij już!!!”

Tak też zrobił. Biegł, dopóki znów nie został sam. A kiedy się zatrzymał, zwymiotował na chodnik. Ten mężczyzna był martwy. Kiedy znajdą ciało, nie będą mieć wątpliwości, kto zawińił. Musiał koniecznie poinformować o tym Eleanę. Trzeba było zabrać dziecko i wszyscy

razem – bo przecież Matz nie zostawiłby żony i córkí – musieli natychmiast wynieść się z miasta.

– Niech pan pójdzie tędy! – powiedział chłopiec przy wejściu dla personelu. – Niech jej pan zrobi niespodziankę! O tej porze nikt nie zwróci na pana uwagi. Tylko szybko, bo zaraz zadzwoni dzwoneki z adresem pana, spiesząc się, żeby wyjść wreszcie z tej nory!

Matz dobrze to pamiętał: ostatni sobotni dzwonek, falę podniecenia i poczucie wolności, które pojawiało się wraz z jego dźwiękiem, no i oczywiście dziki pęd do wyjścia. Blumenkranz miał w zwyczaju zamykać drzwi, żeby mieć pewność, że żaden z pracowników nie wymknie się wcześniej. W opieszałości, z jaką otwierał je pod koniec dnia, można było dostrzec cień sady znu.

– Dzięki.

Matz zrobił krok w kierunku schodów, ale usłyszał dźwięk zbliżającej się syreny, zamarł... Cekał, nasłuchując uważnie. Na pewno nikt go nie śledził. To wykluczone. Gnał tutaj na złamanie karku, kucząc po tylko sobie znanych zaułkach miasta.

Chłopiec powiedział beznamiętnie:

– Idź pan na górę! Wmieszaj się w tłum! Nigdy pana nie znajdą!

– Dzięki, przy jacielu – rzucił Matz, znów wchodząc na klatkę schodową. – Tak właśnie zrobię.

– Nie tędy! – krzyknął za nim chłopiec, śmiejąc się. – Już pan zdążył zapomnieć? Wejdiesz na górę i pocałujesz kłamekę, bo drzwi będą zamknięte. Niech pan jedzie windą. Proszę. Zaraz ją ściągnę...

Osiem piętér wyżej wszyscy niecierpliwie czekali na dzwonek oznajmiający koniec pracy. Maszyny nadal terkotały, ale w wypełnionej hałasem hali panowało już rozluźnienie. Szwachki ukradkiem przybierały właściwe pozycje – ich głowy i karki wciąż były pochylone nad pracą, a stopy wciąż obsługiwały pedały maszyn, ale ich ciała przygotowywały się już, by jak najszybciej zerwać się we właściwym momencie i wyfrunąć na wolność. Koperty z wypłatami zostały już rozdane. Tydzień dobiegł końca. Słońce wciąż świeciło za oknami fabryki. Przed nimi sobotni wieczór i cała długa niedziela. W dusznym powietrzu fabrycznej sali niemal dało się wy czuć to oczekiwanie strudzonych młodych ciał.

– Najlepsza chwila całego tygodnia! – krzyknęła Eleana, przebijając się przez warkot

maszyn.

Dora nie dosłyszała słów, ale zrozumiała ich znaczenie. Sięgając nad swoim wielkim bruchem do środkowego pojemnika po kolejny kawałek materiału – kolejny rękaw koszuli – pokiwiała głową i uśmiechnęła się szeroko w odpowiedzi.

Podczas przerwy na lunch powiedziała Eleanie, że jej mąż, który zarabiał dwadzieścia cztery dolary tygodniowo, zabiera ją z okazji urodzin do jednej z bogatszych dzielnic miasta do prawdziwego kina z potężnymi organami, wielkimi jak pół budynku, które grają tak głośno, że można ogłuchnąć. Ekran miał być tak wielki, że, zdaniem Dory, nie można go będzie objąć wzrokiem, a przynajmniej nie bez „przesuwania oczami od lewej do prawej, a potem znowu do lewej”. Mąż kupił jej również nowy szal. I miał ją zabrać na kolację...

Dora wyglądała na tak szczęśliwą, że nie można było nie ucieszyć się jej szczęściem. Bez niej jednak praca nie będzie taka sama. Eleana pocieszyła się po raz kolejny, że przecież dalej będą przy jaciółkach, a może pewnego dnia, gdy Matz będzie zarabiał wystarczająco dużo, sama też będzie mogła do niej dołączyć – może będzie miała następne dziecko, może będą mieli własne mieszkanie. Może kiedyś. Tymczasem musiała się zadowolić wyobrażaniem sobie przyszłego szczęścia. Zduśliła więc ułkucie zazdrości i odpowiedziała Dorze równie szerokim uśmiechem. Za późno. Dora na nią nie patrzyła. Patrzyła ponad maszyną na stoły krojczych stojące w przeciwnym końcu sali. Przez jej zadowoloną twarz przemknął cień – był to wyraz głębokiej irytacji.

– Cholera... – mruknęła. Teraz jeszcze trudniej będzie się przecisnąć do drzwi i jeszcze później wyjdzie z fabryki. – Dlaczego właśnie dzisiaj?

W rogu hali, tam, gdzie mieściły się stanowiska krojczych, pod drutami, na których zawieszono były papierowe wzory, pod wysokimi drewnianymi stołami, uginającymi się pod ciężarem porozrzucanych materiałów, dało się dostrzec cienką, ale wyraźną smugę dymu.

Eleana podążyła za jej spojrzeniem, a to, co ujrzała, sprawiło, że sama również się wściekła. Krojczym nie wolno było palić w halach szwalni, ale pod koniec długiego tygodnia nikt już na to nie zwracał uwagi. Coś najwidoczniej zajęło się od niedopałka. Znowu. To nie był pierwszy raz. Zaraz się tu zrobi zamieszanie.

– Przynajmniej mamy już wypłatę – wymamrotała Eleana, głaszcząc rękaw Dory uspokajająco.

Już miała z powrotem zabrać się do pracy – obcieliby jej wynagrodzenie, gdyby ktoś zauważył, że spogląda znad maszyny – poczuła jednak lekki niepokój. Smuga dymu robiła się coraz większa, teraz nie była już taka cieniutka.

W ciągu sekundy dym rozszedł się po pomieszczeniu. Po prawej stronie stołów stało duże pudło wypełnione po brzegi skrawkami tkanin. Eleana widziała, że teraz ono również się pali.

Obie kobiety niespokojnie kręciły się na swoich krzesłach, bojąc się, żeby ktoś nie doniósł, że wymigują się od pracy. Ponad rzędami wciąż terkoczących maszyn śledziły je koniuszki płomieni, języki ognia z każdą chwilą sięgające wyżej.

Kolejny pożar. Od kiedy Eleana zaczęła pracę w fabryce, był to już trzeci i każdy z nich został zaproszony przy stanowiskach krojczych. Krojczy sądzili najwyraźniej, że zasady ich nie dotyczą. Ale dlaczegożby mieli sądzić inaczej – nikt nie pociągał ich do odpowiedzialności. Matz był przecież taki sam. Westchnęła. Była poirytowana, ale tylko tyle.

W hali szwalni stały napełnione wodą wiadra. Tomas – jeden z krojczych – chwycił pierwsze

z brzegu i wylał jego zawartość w płomienie. Bez skutku. Ogień nie cofnął się nawet o centymetr.

– Dora – powiedziała Eleana, w końcu zdejmując stopę z pedału maszyny. – Myślę, że powinnaś iść do drzwi... Ustawić się z przodu. To pewnie jak zwykle nic poważnego, ale w twoim stanie...

Dora również przerwała pracę, ale nie ruszyła się z miejsca.

– Jeśli teraz wstanę, będę mieć Blumenkranza na karku. Dam mu pretekst i na pewno potąży mi coś z wypłaty. Za kilka nędznych minut? Nie ma mowy! Na pewno zaraz to ugaszą. Jak zwykle. Idź pierwsza, jeśli chcesz. Ja zostaję.

W oddalonym rogu hali płomienie rosły w siłę. Tomasz zaczął poruszać się znacznie szybciej. On i inny krojczy – Eleana nie знаła jego imienia – brali kolejne wiadra, próbując ugasić ogień. Bez rezultatu. Taka ilość wody zdawała się tylko podsycać płomienie, które stawały się większe z każdą minutą. Ich języki lizały teraz brzegi drewnianych stanowisk i pełzały w kierunku stosów materiałów porzuczanych na blatach stołów.

– Dora – powtórzyła Eleana z większym naciskiem. – Będzie przepychanka do drzwi, mówię ci. Widzisz, że już tego nie kontrolują. Utkniesz, przewrócą cię na ziemię i podepczą.

Dora się zawahała.

– Skarbie, idź!

Powoli wszystkie maszyny wokół nich ucichły, a w hali zaległa niespotykana cisza, którą przerywały tylko trzaski płomieni, kaszel, kilka zaniepokojonych szeptów wyrażających irytację i dezorientację, krzyk albo dwa z rogu, w którym pracowali krojczy... W szwalni jeszcze nigdy nie było tak cicho. Płomienie wciąż pięły się wyżej, a kobiety, nie odrywając od nich wzroku, siedziały jak zakłute na swoich miejscach. Ten pożar był inny niż poprzednie, nikt nie miał już co do tego wątpliwości. Wszyscy jednak, z coraz mniejszym powodzeniem, to prawda, próbowali przekonać siebie, że mężczyźni zdołają go opanować.

Płomienie przybierały na sile, rozprzestrzeniały się i trzaskały coraz wyżej, a pracownicy wciąż tkwili na swoich miejscach. Ogień pożarł już cienkie papierowe wykroje, które pod wpływem ciepła zaczęły wydzielać krople tłuszczu, jakim były nasączone. Tak, ten pożar był inny niż poprzednie. I wtedy właśnie ktoś zaczął krzyczeć. To była pierwsza oznaka paniki. Dym wypełnił halę.

Druty z wykrojami biegnęły przez całą szerokość hali, płomienie zaczęły zatem rozprzestrzeniać się błyskawicznie. Przeskakiwały z jednego arkusza na drugi. Nagle wszyscy usłyszeli huk i w jednej chwili pomieszczenie zmieniło się w kulę ognia. Świadomość tego, co się naprawdę dzieje, i towarzyszący jej nieodwołalnie wybuch paniki pojawiły się o sekundę za późno. Na górze, na dziesiątym piętrze, ktoś z zarządu wreszcie zaczął dzwonić, obwieszczając koniec pracy, ale w stanie rosnącego chaosu, w kłębach coraz gęstszy dymu, w nasilającej się duchocie i gorącym dzwonkiem rozbrzmiał zupełnie niezauważony. Zdarzyło się to w tym miejscu pierwszy i ostatni raz.

Płomienie nadal rosły. Za stołami krojczych, w samym sercu pożaru, pod wpływem gorąca trzasnęło okno. Sekundę później eksplodowała kolejna szyba, a odłamki szkła spadły na ulicę osiem pięter niżej. Przez rozbite okno do hali wdarł się śmiertelny strumień świeżego powietrza, podsycając natychmiast płomienie.

Rozległ się kolejny huk, a zaraz po nim eksplozja. Ogień wdzierał się coraz głębiej do hali szwalni. Krojczy wyglądali na pokonanych. Przestali zdierać z drutów papierowe wykroje,

zostawili wiadra, zresztą i tak nie było już wody, rzucili w kąt gumowy wąż, który rozwinęli i podłączyli, ale hydrant nie działał.

– Nie opanujemy tego! – krzyknął Tomas, krztusząc się dymem. – Uciekajcie! Wszyscy na zewnątrz!

Wszyscy już od jakiegoś czasu próbowali się wydostać. Strach był wszechogarniający. Płomienie zaczęły spadać na porzrzucone po całej hali skrawki materiału oraz na drewnianą podłogę, która od dawna była przesiąknięta olejem regularnie skapującym z maszyn. Ogień miał się wszytkiego, nie było żadnego bezpiecznego miejsca.

Kiedy drzwi windy się otworzyły, Matz ujrzał taki właśnie obraz.

Czuł już wcześniej dym, słyszał krzyki i uderzenia pięści w drzwi, kiedy jechał do góry, ale scena, którą zobaczył, przerosła jego najgorsze przewidywania. Chciał wyjść z windy i przedostać się do płonącej hali, ale robotnice kotłujące się przy drzwiach w poszukiwaniu drogi ucieczki wepchnęły go z powrotem do kabiny. Walczył, szamotał się z nimi, aż udało mu się wyswobodzić, a drzwi windy zamknęły się za nim. Do kabiny przeznaczonej dla piętnastu osób wsiadło około trzydziestu szczęśliwych uciekinierów z piekła, które właśnie otworzyło się przed Matzem. On ruszył zaś w głąb płonącej hali, wołając Eleanę.

W ukropie, w gęstym gryzącym dymie, pośród rozszalałego chaosu dało się rozróżnić tylko kontury przedmiotów i ludzi. Matz stał przez sekundę oszołomiony tym horrorem. Starał się zacząć myśleć, starał się określić swoje położenie. Pamiętał, że nie było wielu dróg ucieczki ze szwalni: dwie wąskie klatki schodowe, nie dość szerokie, aby mogły się na nich minąć dwie osoby, z drzwiami, które – jeśli w ogóle były otwarte – otwierały się do wewnątrz, do wewnątrz zatłoczonej hali ogarniętej paniką. Były jeszcze dwa szyby wind oraz, od strony zamkniętego podwórza na tyłach budynku, pojedyncze schody pożarowe, na które składała się stalowa klatka – zawsze częściowo zablokowana przez otwarte okiennice na siódmym piętrze.

Niedaleko Matza drzwi prowadzące do jednej z klatek schodowych pozostawały wciąż zamknięte. Przez kłęby dymu słyszał głuche dudnienie pięści i stóp, próbujących je sforsować. Nikt nie był w stanie powiedzieć, czy drzwi były otwarte, czy nie. Siła, z jaką napierały na nie stłoczone ciała, i tak uniemożliwiała ich uchylenie. Za plecami Matz poczuł szarpnięcie nadjeżdżającej windy. Jej drzwi zaczęły się otwierać. Na podłodze koło jego stóp majaczyły rozmaite kształty kobiet – wiły się na kolanach, krztusiły się i traciły oddech. Matz chwycił tę, która była najbliżej i która zaraz zostałaby pewnie zdeptana, i gdy tylko tłum ruszył w stronę windy, podniósł ją, a potem kolejną i jeszcze jedną – i położył na ramionach pasażerów będących już w środku. Drzwi się zamknęły. Winda odjechała.

Słyszał krzyki przerażenia dobiegające od wejścia do wąskiej klatki schodowej. Drzwi otworzyły się, ale tylko na centymetr, zanim ponownie zatrzasnęła je siła napierającego na nie zrozpaczonego tłumy. Nie uciekną nimi.

– Eleana!!! – krzyknął.

Nic. Nie było odpowiedzi. Dym zdusił jego głos. Mężczyzna ruszył w stronę klatki schodowej. Jakimś cudem udało mu się odsunąć blokującą drzwi płataninę ciał – jedno po drugim – i zrobić wystarczająco dużo miejsca, by drzwi się otworzyły.

– Spokojnie! Tylko spokojnie! – krzyknął, kiedy tłum rzucił się w kierunku schodów.

– Jeśli zachowacie spokój, więcej osób się uratuje. Szybciej się wydostaniecie... Eleana?...

Czy ktokolwiek widział Eleanę? Eleana!

Nie słyszała go. Nikt mu nie odpowiedział.

Po drugiej stronie hali Tomas próbował zorganizować ucieczkę zewnętrznymi schodami przeciwpożarowymi. Musieliby przejść przez metalową okiennicę wystającą na wysokości siódmego piętra i wybić okno piętro niżej. Pojawiła się szansa. Tomas wyszedł przez okno i zaczął schodzić. Okiennica wystawała poza bieg schodów przeciwpożarowych. Żeby pokonać przeszkodę, musiał uwiesić się na niej całym ciężarem ciała. Gdy już niemal udało mu się postawić stopę na stabilnej poręczy schodów po drugiej stronie, okiennica się przemieściła. Tomas runął w dół, a jego ciało obracało się w powietrzu póty, póki nie rozbiło się o ziemię osiem pięter niżej.

Inni mimo niebezpieczeństwa podjęli tę samą próbę. Nie mogli cofnąć się w głąb hali – tam czekała ich pewna śmierć. Następna była kobieta. Minęła okiennicę bez problemu, rozbiła okno na szóstym piętrze i uciekła. Kolejno dwadzieścia osób podążyło jej śladem. Wiadomość o nowej drodze ucieczki szybko się rozeszła. Ratunek! Jeszcze więcej osób wspięło się na niestabilną metalową konstrukcję, wiele z nich pozbyło się już zbędnych ubrań. Ludzie wychodzili także przez okno na dziewiątym piętrze, gdzie ogień również już dotarł. Schody były przeciążone, ludzie przybywało z każdą chwilą. Wszyscy byli świadomi niebezpieczeństwa, ale co z tego. Nagle rozległ się zgrzyt, który na chwilę zagłuszył krzyki w budynku i szum płomieni. Skrzypiała metalowa konstrukcja schodów. Zewnętrzna klatka zaczęła odczepiać się od ściany budynku. Mimo to ludzie nadal wychodzili przez okno – czterdzieści, później pięćdziesiąt osób kuczowo trzymało się metalowych krat. W końcu schody oderwały się całkiem. Zabrały z sobą pięćdziesiąt płonących osób, a cała upiorna instalacja roztrzaskała się na podwórzu poniżej, przyniatając zwłoki Tomasa.

Wewnątrz hali nadal szalał ogień. Windy kursowały w górę i w dół, Matz wciąż upychał w nich kolejne ciała. Raz po raz zapuszczał się w głąb pomieszczenia, szukając Eleany, potykał się o leżących kole, podnosił ich, zanosił do wind i układał na ramionach stłoczonych pasażerów.

– Eleana?!!! – wołał głosem tłumionym przez dym i rwanym przez kaszel. – Eleana!!!

Windy nie jeździły dostatecznie szybko. Metalowe liny, na których były zawieszzone, wypaczyły się pod wpływem gorąca.

Ogień nadal rozchodził się po wnętrzu fabryki. Okna eksplodowały pod wpływem temperatury. Płomienie pochłaniały każde krzesło, każdy stół, każdy skrawek materiału. Nic nie mogło im się oprzeć. Krop był nie do zniesienia, a ucieczka wydawała się niemożliwa.

Pracownicy Triangle stali w płonących oknach i spoglądali na tłum zgromadzony na dole. W końcu zaczęli skłać... Najpierw jedna osoba... Potem kolejna i kolejna...

Zderzyła się z nim, kiedy w gęstym dymie wykrzykiwał jej imię. Nie miała czasu, aby nawet pomyśleć, co Matz robi w szwalni. Obejmowała ramieniem slaniającą się na nogach Dorę.

– Zabierz ją stąd, Matz! – krzyknęła. – Wyprowadź ją!

Gapie krzyczeli, widząc spadające pochodnie ciał, jedno po drugim, a czasem parami. Trzymające się za ręce ciała rozbiły się o bruk. Straż ogniowa rozwiesiła siatki ratunkowe, by łapać skaczących. Ale lecące ciała nabierały takiej masy i prędkości, że szybko porozrywały siatki w strzępy. Wkrótce w wielkiej kałuży krwi leżała już gruba warstwa trupów. Skaczący zazwyczaj umierali na miejscu, chociaż nie zawsze, niektórzy wydawali jeszcze ciche agonalne

jęki. Policjanci próbowali wyciągnąć rannych spod zwłok. W tym czasie kolejne ciała nieprzerwanie spadały...

Eleana wpełchnęła Dorę w jego objęcia. Zawahał się. Chciał zabrać również Eleanę. To przecież po nią tutaj przyszedł.

– Wyrowadź ją stąd! – rozkazała mu Eleana. – Inaczej umrze. Dziecko umrze.

– Wyrowadzę też ciebie!

Eleana jednak pokręciła głową w odpowiedzi.

– Clara jest uwięziona...

– Wróć po Clarę!

– Będzie już za późno – powiedziała szybko i pobiegła się w kierunku płomieni.

Do tego czasu obie windy przestały działać. Coraz bardziej rozgrzane liny i ciężar pasażerów tłoczących się w kabinach pogorszyły jeszcze ich i tak już kiepski stan techniczny. W wyniku nacisku drzwi, za którymi zionęła czeluść szybu, pozostały rozsunięte. Ludzie rzucali się w nią, a ich ciała rozбивały się na kabinach, co dopełniło grozy zniszczenia. Dachy kabin wygięły się pod tym naciskiem. Windy zjechały do piwnic budynku i – nie odpowiadając na niezliczone wezwania z górnych pięter – już tam pozostały.

Przytrzymując Dorę, Matz spojrział w kierunku klatki schodowej, a raczej miejsca, w którym kiedyś była. Zobaczył tylko ścianę ognia. Jedna droga na zewnątrz prowadziła przez okno, na chodnik znajdujący się dwadzieścia pięć metrów niżej, druga – szybem windy w dół. Gdyby Dora mogła objąć go za szyję, mógłby chwycić się kabla, na którym zawieszona była winda, i znieść ją na parter.

– Trzymaj się mnie! – krzyknął.

Ledwo przytomna pokiwała głową. Matz wyciągnął się, aby chwycić metalową linę, i spojrział w otchłań kończącą się dziewięć pięter niżej, w piwnicy. Było zbyt ciemno, by dostrzec koniec szybu.

– Trzymaj się! – krzyknął jeszcze raz. – Słyszysz? Dora, trzymaj się i nie patrz w dół.

Znów kiwnęła głową.

– Nie jesteś taki zły, Matz. Eleana... to ma szczęście... – Uśmiechnęła się słabo, chociaż Matz nie mógł tego zobaczyć. Były to pierwsze i ostatnie miłe słowa, jakie kiedykolwiek o nim powiedziała.

Rozpalony kabel parzył jego dłonie, ale Matz ledwie to zauważał. Dora dusiła go, uwieszona na jego szyi. Jej napęczniały brzuch uniemożliwiał jej objęcie go nogami. Przebyli już ćwierć piętra – głowa i ramiona Matza ciągle znajdowały się na wysokości płonącego ósmego, kiedy usłyszał, że ktoś go woła. Podniósł wzrok i ujrzał okopconą twarz Blumenkranza, wykrzywioną bólem i przerażeniem. Nadzorca leżał na ziemi, wyciągając ręce w stronę kabla. Górna część jego ciała wisiała nad czeluścią szybu – wyglądał, jakby w każdej chwili miał złamać się wpół i spaść.

– Beekman! – krzyczał. – Pomóż mi! Pomóż mi dosięgnąć kabla, potem już dam sobie radę.

Matz spojrział na niego, odwrócił wzrok i zaczął posuwać się w dół.

– Trzymaj się mocno – powiedział do Dory.

– Beekman! Już dłużej się nie utrzymam. Pomóż mi! Jestem lekki, jestem lżejszy niż dziewczyna. Pomóż mi chwycić kabel, proszę. Muszę tylko chwycić kabel.

Matz spojrział ponownie w twarz człowieka, którego tak nienawidził. Malował się na niej

strach. Matz mógł mu pomóc lub nie. Ale w sytuacji, gdy miał już na rękach krew jednej osoby, jego wcześniejsze uczucia nic nie znaczyły. Z trudem dźwignął się wraz z dodatkowym balastem w postaci ciężarnej Dory, trzydzieści centymetrów, nie więcej. Chciał chwycić wyciągnięte ramię Blumenkranza i trzymać go, dopóki ten nie dosięgnie kabla.

Blumenkranz nic nie powiedział. Uczępił się ręki Matza i trzymał się jej kurczowo. Matz, wisząc na linie, chwycił niewielkie ciało nadzorcy pod pachami i podciągnął.

– Złap kabel! – ryknął. – Łap go! Przysięgam, nie wytrzymam tak długo.

Blumenkranz chwycił kabel, ale ten poparzył mu dłonie. Cofnął je szybko i zobaczył wypalone miejsca. Wczepił się w Matza i nie chciał puścić.

– Wtapia mi się w ręce! – powiedział. – Nie mogę!

– W moje też! – odkrzyknął Matz. – Na Boga, chwyć ten kabel!

Blumenkranz trwał w bezruchu.

– Nie dam rady znieść was obojga... Wszyscy spadniemy. Wszyscy spadniemy i się zabijemy.

Blumenkranz spojrział na Dorę, na jej słabe ręce obejmujące szyję Matza. Ona i tak już spada. Spadnie na pewno. Spadnie i tak. Jedną ręką kurczowo trzymając się ramienia Matza, Blumenkranz zaczął rozluźniać chwyt Dory. Matz nie mógł nic zrobić. Widział to, ale nie mógł zareagować. Nie miał wolnej ręki, aby chwycić Dorę mocniej. Widział, co się dzieje, i zrobił jedyną rzecz, którą mógł zrobić: kopnął Blumenkranza z całej siły. Jedną nogą go odepchnął, a kolano drugiej wbił w jego kroczce.

Blumenkranz zawył z bólu i puścił Matza – za późno. On i Dora jednocześnie rozluźnili uchwyt i spadli. Odbijając się od siebie i od ścian szybu, póki ich ciała nie rozbiły się na dachu windy. Dwa ciała – najpierw Dory, w której brzuchu wciąż biło serce nienarodzonego dziecka, a potem Blumenkranza. Spadli na ludzi, którzy byli już martwi. Musieli zginąć na miejscu. Dziecko zmarło później, ale zanim policjanci wydosłali ciało jego matki z szybu.

Matz wisiał na linie tam, gdzie go zostawili, i patrzył, jak głowa Dory rozbija się o ścianę szybu i jak jej ciało znika w czeluści. Czekał, nie ruszał się. Nasłuchiwał krzyku, ale żaden głos do niego nie dotarł. Nie było słychać niczego poza szalejącym ogniem i jękami umierających.

Eleana wciąż znajdowała się w tym piekle.

Z trudem wciągnął się po kablu i wrócił do płonącej hali. Było ciszej niż jeszcze chwilę temu, niepokojąco cicho. Wszędzie unosiły się kłęby czarnego dymu, a pod nim, gdziekolwiek Matz się obrócił, leżały ciała. Przez okno do pomieszczenia lała się woda pompowana z ulicy.

– Eleana!!! – krzyknął znów.

Jego głos był zachrypnięty, nie mógł oddychać. Nie potrafił też powiedzieć nic innego. Stał przy otwartym szybie windy, schylił się, przyłożył rękaw koszuli do ust i walczył o oddech. W tej chwili w całej hali nie było już nawet jednej stojącej osoby. Ludzie czołgali się koło Matza, a on nie miał siły interweniować. Docierali do krawędzi szybu i spadali w czeluść, znikając w smolistym dymie. Ból w rękach, ból w płucach, potrzeba odnalezienia Eleany – to było wszystko, czego Matz był świadomy. Mógł wyciągnąć rękę i powstrzymać ich przed zbliżeniem się do krawędzi szybu. Ale tutaj też czekała ich śmierć. Zdecydował, że nie ruszy się stąd bez Eleany.

Odnalazła go i zbliżyła się do niego na kolanach.

– Dzięki Bogu – powiedziała. – Clary już nie ma. Nie żyje. Wszyscy są martwi... – zaczęła

się krztusić i opadła na ziemię. – Nie wydaje mi się, żeby... – wyjęczała i zamilkła.

Matz odnalazł resztki sił. Chwycił jej ramiona i oplótł je wokół swojej szyi.

– Zejdziemy razem – wyszeptał do niej.

Popatrzyli na siebie przez kłęby dymu. Ledwo się nawzajem widzieli, ale czuli swoją obecność. Byli w tym razem. Czuli, że znowu są razem. Może ostatni raz.

– Kocham Cię, Eleano – powiedział Matz.

Pokiwała głową.

– Nic poza tym się nie liczy.

Zaniósł ją do krawędzi szybu i po raz drugi sięgnął do kabla. Gdy już wzięła na siebie ciężar ich obojga, poczuł, jak jej ręce odmawiają mu posłuszeństwa.

– Utrzymasz się? – spytał. – Eleano! Nie usypiaj. Musisz wytrzymać!

Nie mogła. Jej dłonie wciąż się ześlizgiwały, a on czuł, że jej ciało staje się coraz cięższe, że przestaje walczyć.

– Zostań ze mną! – powiedział jej. – Trzymaj się!

Nie mogła. Delikatnie pokręciła głową i oparła ją na jego ramieniu, po czym zamknęła.

– Nic poza tym się nie liczy – wyszeptała.

Trzymał ją – nogami, zębami... Czuł swąd swojego spalonego ciała, nasilający się z każdym pokonywanym centymetrem, metrem, z każdym piętrem... aż do momentu, w którym kabel stał się chłodniejszy, a oni nie mieli już dołączyć. Czełał na nich miękki stos wciąż jeszcze ciepłych ciał, pośród których gdzieś leżała Dora oraz jej nadal żywe dziecko.

O piątej po południu – mniej niż godzinę po tym, jak dostrzeżono pierwsze smużki dymu nad stołami krojczych, z okna fabryki Triangle rzuciła się ostatnia pracownica. Dziesięcioletni tłum zebrany na placu Waszyngtona przyglądał się, jak jej płonące ciało leci w dół. Wirując w powietrzu, odbiła się od budynku, a następnie ze stłumionym kłapnięciem padła na leżącą na ziemi grubą warstwę innych ciał. Kobieta była pięćdziesiąt dziewięć osobą, która skoczyła. Potem nie było już na co patrzeć. Na górze nie został już nikt żywy. Nie zostało też nic, co mogłoby spłonąć. To był koniec. Ogień się wy palił.

Słoneczne popołudnie już dawno minęło i zmrok powoli zaczął się zagęszczać, gdy patrol ogniowy uwolnił Matza i Eleanę z upiornego potrzasku, w jakim się znaleźli. Kiedy, ślaniając się, wyszli na ulicę, z górnych pięter budynku wciąż jeszcze unosił się dym. Chociaż bezlitosny ogień już wygasł, powietrze nadal przepelniały lęk i śmierć. Mogli zostać w okolicy fabryki, tak jak zrobili to inni, którym się udało. Mogli też pójść do szpitala. Poparzone dłonie Matza niewątpliwie wymagały opatrzenia. Zamiast tego jednak ruszyli w swoją stronę. Potykając się, przemierzali ulicę tak, jakby nadal ścigały ich płomienie. Zatrzy mali się dopiero na Allen Street.

Matka Eleany otworzyła drzwi ubrana w chustę i kapelusz. Słyszała, co się stało, i miała właśnie iść ich szukać. Patrzyła teraz to na jedno, to na drugie, patrzyła na ich twarze i ubrania powalane sadzą, poczuła zapach spalenizny. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, lecz Matz i Eleana weszli do domu bez słowa.

Isha i Tzivia siedziały przy stole. Isha spojrzała w ich kierunku. Jej twarz natychmiast rozpromieniła się w szerokim uśmiechu. Już miała zeskoczyć z krzesła i pobiec się przywitać, ale się zatrzymała. Wyraz ich twarzy ją przeraził.

Batia nerwowo zerknęła na parę, próbując wyczytać z ich wyglądu coś więcej. Zobaczyła ręce Matza – zdarte do żywego i ociekające krwią.

– Więc to prawda – powiedziała w końcu. – To, co ludzie mówią. To prawda?

– Gorzej – odrzekł Matz.

Kiwnął na dzieci, żeby wyszły z pokoju. Dziewczynki bez słowa wypełniły polecenie. Matz usiadł i wskazał Eleanie miejsce obok siebie.

– Jest gorzej niż... – nie dokończył.

– Eleano?

Matka spojrzała na nią bezradnie, ale Eleana nie była nawet w stanie podnieść wzroku. Kiwała tylko głową.

– Eleano – wyszeptała Batia. – Gdzie jest Sarah?

– Sarah była na dziewiątym, mamó. Na dziewiątym piętrze... Nie wiem, gdzie ona jest.

– Co się stało?

Eleana wskazała dłonie męża.

– Matz, powinniśmy je oczyścić.

– Gdzie jest Sarah? – spytała matka ponownie. – Muszę coś powiedzieć Tzivii.

– Mamo – ciągnęła Eleana, jakby nie dosłyszała pytania. – Potrzebujemy tynktury na te poparzenia. Widzisz? Krwawią. Trzeba zabandażować...

– Powinam tam iść... – powiedziała Batia. – Bóg jeden wie, gdzie jest Samuel. A może Sarah...

– Tak – zgodził się Matz. – Faktycznie powinnaś iść. Przepraszam. Powinniśmy jej poszukać.

Batia miała ukrytą na czarnej godzinie butelkę ginu. Wyciągnęła ją teraz i postawiła przed nimi razem z dwiema wyszczerbionymi filizankami. Z tego samego kredensu wyjęła tynkturę – lek na wszystko i na nic. Ty le że alkohol mógł oczyścić ranę. Położyła przed Eleaną flakoniki i kawałek ligniny.

– Cieszę się, że dotarliście do domu – powiedziała nieporadnie. – Miałam iść was szukać. Eleana... Matz... – Zastanowiła się przez chwilę, co on tam w ogóle robił. To było jednak teraz zupełnie nieistotne. Zapyta o to, kiedy już wróci z Sarah. – Idę tam. Może Sarah jest...

– Może zabrali ją do szpitala – podsunął Matz, ale w jego słowach zupełnie brakowało przekonania. – Batia, ona była na dziewiątym. Była na dziewiątym... Na dziewiątym było źle.

Jak mieli dowiedzieć się niebawem, na dziewiątym było nawet jeszcze gorzej. Z dziesiątego piętra właściciele zdołali uciec przez dach, ale pracownicy pod nimi pozostali uwięzieni. Jedna klatka schodowa była zamknięta, drugą nie dało się uciec, bo zanim któkolwiek zorientował się, co się dzieje, doszczętnie spłonęła. Sarah nie była w szpitalu. Od kilku godzin nie żyła. W czasie gdy Batia zbierała się do wyjścia, podnoszono ciało Sarah, już sztywne i ciasno splecione z innym ciałem, ze sterty około dwudziestu lub więcej trupów, leżących niedaleko tych właśnie zamkniętych drzwi.

– Powinnaś iść, mamo. Idź – powiedziała Eleana. Odwróciła się w stronę Matza. Nie spytała go. Jeszcze nie. Nie mogła zmusić się i ubrać tego pytania w słowa, bo nie mogłaby znieść tego, co pewnie by usłyszała. – Co z Dorą?

Pokręcił głową. Kręcił nią tak jakby nie mógł przestać. Dotknęła go delikatnie. Zdało jej się, że tego nie poczuł.

– Próbowałem – powiedział.

– Wiem.

– Nie chciał jej zostawić...

Nie zapytała kto. Nie chciała wiedzieć.

– Eleano, on ją ze mnie zrzucił. Upuściłem ją...

Matka Eleany przysłuchiwała się wszystkiemu. Nie mogła sobie wyobrazić tego, o czym mówili. Nie rozumiała. Zawinęła chustę wokół ramion.

– W takim razie idę – oznajmiła. – Znajdę Sarah. – Pospiesznie odwróciła się i objęła ich oboje. – Bardzo się cieszę, że tutaj jesteście. Oboje – dodała. – Bardzo. Zajmijcie się dziewczynkami. Nie mówcie nic Tzivii. Jeszcze nie teraz. Może ją znaleźli...

– Batia! – krzyknął za nią Matz surowym głosem. – Nie mów nikomu, że tu jesteśmy. Nikt nie może o tym wiedzieć.

Nie pytała dlaczego. Pokiwała tylko głową i zostawiła ich samych.

Do czasu gdy Batia dotarła na miejsce, tłum zebrany przed wciąż jeszcze dymiącym budynkiem rozrósł się do dwudziestu – a może i więcej – tysięcy gapiów. Policja utworzyła kordon, aby zabezpieczyć teren. Za nim dostrzec można było sznur ciał przykrytych brezentowymi płachtami, wynoszonych z górnych pięter, z klatek schodowych i szybów wind – ze wszystkich zakamarków fabryki. Osłupienie tłumy rosło, w miarę jak na chodniku kładziono kolejne anonimowe zwłoki.

Batia precisięła się na sam przód zbiegowiska. Była ósma wieczorem. Zapadł wieczór, a władze ciągle zwlekały z podaniem jakichkolwiek informacji. Czy była znana lista ofiar? Czy wiadomo, kto przeżył? Wszyscy wokół – mężczyźni i kobiety – szlochali. Nikt jednak niczego się nie dowiedział. Mijały minuty, potem godziny. Z budynku wciąż wynoszono i kładziono na chodniku przykryte brezentem ciała. Wydawało się, że będzie to trwało w nieskończoność. Nieprzerwany strumień ciał – jedno, kolejne i kolejne, i następne. Czas płynął, a informacji wciąż nie było.

– Czy ktoś przeżył? – zapytała Batia. – Czy wychodzą jeszcze jacyś ocaleni?

Stojący obok mężczyzna wzruszył ramionami.

– Nie widzieliśmy nikogo.

– Ktoś musiał trafić do szpitala, prawda?

– Są w szpitalu St. Vincent. Niewielu, najwyżej pięć, sześć osób... Wszyscy zginęli tam na górze, proszę pani. Spłonęli żywcem. Tak słyszałem. Wszystko to tu spaliło się w jakieś pół godziny.

– Pięć, sześć osób? Czy to wszyscy?

– W kostnicy już nie ma ponoć miejsca. Tyle wiem. Zabierają ciała aż do Misery Lane...

– Ile ciał?

Wzruszył ramionami.

– Mówią, że nie ma już trumien. Podobno wysłali łódź do Blackwell Island po dodatkowe. Przepraszam panią... a pani szuka kogoś konkretnego?

Nie odpowiedziała. Przepisnęła się dalej, w pobliże policyjnego kordonu, gdzie było jeszcze ciaśniej, a zebrani denerwowali się jeszcze bardziej. Stąd mogła już zobaczyć chodnik. Był usiany drobiazgami należącymi do ludzi, którzy zdecydowali się skoczyć. Porozrzucane bez ładu leżały torebki, grzebień, wstążki do włosów, koperty z wyplatą. W wieczornym słońcu ziemia wydawała się czarna od krwi. Policjanci – ci sami, którzy rok temu w tym miejscu walczyli z pikietującymi – pochylali się nad zwęglonymi szczątkami. Każde ciało musiało zostać oznaczone, a jego cechy charakterystyczne (jeśli jakiegokolwiek jeszcze dały się wyróżnić) odnotowane. Następnie ciała wkładano do trumien, a te ustawiano w stopy na przygotowanych wozach.

Samochody policji przyjeżdżały i odjeżdżały, a ludzie bez skutku czekali na informacje. Nagle Batia usłyszała pełen bólu wrzask, na który składało się pewnie ze sto głosów. Tłum ruszył naprzód. Kordon nie wytrzymał naporu i ludzie przedostali się do budynku. Jedni pobiegli wprost do otwartych korytarzy, inni bez namysłu rzucili się na przykryte ciała i zaczęli zdzierać z nich brezentowe płachty.

Batia stała pośrodku tego wszystkiego. Nie wiedziała, dokąd iść, co zrobić... Musiała przecież powiedzieć coś Tzivii. Jak mogła odejść, nie dowiedziawszy się, co się stało z matką dziecka? U jej stóp leżały jedno na drugim trzy ciała. Zrobiła to, co robili wszyscy wokół – ściągnęła płachtę.

Pod płachtą znajdowały się zwęglone szczątki. Zmusiła się, żeby nie uciec w panice. To były szczątki rosłego mężczyzny. Nie była to Sarah. Ściągnęła następną płachtę – obca kobieta, kolejną – ciało nie wiadomo czy je. Potem wściekle, zapamiętale i pokonując mdości, od których kręciło jej się w głowie, zerwała jeszcze jedną. Znalazła pod nią trupa młodej dziewczyny, niespełna dwudziestoletniej, w zaawansowanej ciąży. Czubek jej głowy – miejsce, którym uderzyła o szyb windy – zalany był krwią. Krew, zmieszana z czarnymi śladami po oleju, była również na jej twarzy i na kiedyś zapewne białej sukience. Te stężałe już rysy nie układały się w całość. Batia potrzebowała czasu, żeby zdać sobie sprawę z podobieństwa między pełną życia i radości twarzą Dory a tą inną Dorą – martwą, leżącą na chodniku.

Zaczęła szlochać. Policjant odciągnął ją na bok, uderzył pałką, aż się zatoczyła, a potem znów pchnął w tłum. Zanim zdążyła się obrócić, Dorę znów przykryto brezentem.

Nigdzie nie było śladu Sarah. Batia najchętniej poszłaby do domu i zaopiekowała się własną córką, która w jakiś cudowny sposób – Bogu niech będą dzięki – przeżyła. Pomyślała jednak o Tzivii czekającej na mamę. Isha będzie miała oboje rodziców, Tzivia żadnego. Nie mogła wrócić bez odpowiedzi. Czekala, w końcu pojawiły się pierwsze informacje. Oznaczone ciała dziś wieczorem miały być wystawione w zapasowej kostnicy na Misery Lane, tak żeby krewni i przyjaciele mogli je zidentyfikować.

Kiedy następny konny wóz ruszył, uginając się pod ciężarem trumien, Batia wraz z częścią tłumu poszła za nim.

Eleana opatrzyła dłonie Matza najlepiej, jak umiała. Nie rozmawiali. Później weszła na palcach do sypialni. Isha i Tzivia zasnęły na materacu mocno przytulone. Innego dnia Eleana odesłałaby Tzivię do pokoju jej rodziców, ale tej nocy nie chciała małej budzić. Delikatnie zamknęła drzwi i wróciła do Matza.

Zabandażowanymi dłońmi próbował nalać ginu do filiżanek. Wzięła od niego butelkę i sama to zrobiła. Potem szybko wypila zawartość swojej filiżanki i napełniła ją znów.

– Dziękuję ci – powiedziała nagle, spoglądając na jego pochyloną głowę. – Nie powiedziałam tego wcześniej, ale dziękuję ci. Gdyby nie ty, umarłabym tam.

Nie odpowiedział.

– Jak ręce?

Nadal milczał.

– Nie zastanawiałaś się, co robiłem w fabryce? – spytał w końcu.

– Nie, właściwie to nie. Nie... – Uśmiechnęła się. – Nie przyszło mi to do głowy. Ale skoro już o tym wspomniałeś...

– Ścigała mnie policja.

– A, no tak – Nalała mu kolejną filiżankę. Nie chciała o tym rozmawiać.

– Może po tym, co się dzisiaj stało, zapomną. Może to się rozplynie w... Eleano... – Nachylił się w jej kierunku. – Eleano... to mi nie ujdzie na sucho...

– Matz, a może Sarah żyje. To przecież możliwe, Matz. Tak. Zawsze była taka zaradna. Mogło jej się udać.

– Eleano, chyba zabiłem człowieka...

– Nie, kochanie, nikogo nie zabiłeś. – Uśmiechnęła się do niego łagodnie. – Ocaliłeś ich, Matz. Próbowałeś ocalić jeszcze więcej osób, ale nie mogłeś pomóc wszystkim. – Delikatnie ujęła jego zabandażowaną dłoń. – Widziałam, jak nosiłeś te kobiety. Widziałam to. Mogłeś uciec jak reszta mężczyzn. Mogłeś je odepchnąć i pierwszy ustawić się do wyjścia. Ale tego nie zrobiłeś. Wracałeś ciągle po następne... No i, Matz... ocaliłeś też mnie.

Pokręcił głową ze zniecierpliwieniem.

– Dlaczego nie możesz mnie raz wysłuchać? Mówię o tym, co było wcześniej. Zrobiłem coś strasznego.

Westchnęła, wypuściła jego dłonie i usiadła obok

– Nie dzisiaj. Proszę. Opowiesz mi jutro... Jutro, kiedy odzyskamy siły.

Zerknął na drzwi prowadzące do pokoju, w którym spały dzieci, a potem na drzwi na korytarz. Obniżył głos do szeptu.

– Próbowałem mu uciec. Nie wiedziałem, że był tak blisko. Kiedy się odwróciłem i rzuciłem cegłę...

– Cegłę? O czym ty w ogóle mówisz, Matz?

– Było zebranie. Przemawiałem.

– O Boże. Proszę. Nie teraz...

– No i oczywiście wpadli w tych swoich buciorach i z pałami i rozpędzili spotkanie. I oczywiście mnie aresztowali...

– Oczywiście.

– Wieźli mnie na Mercer Street. Wykorzystałem okazję i zwałem. Jeden z nich mnie gonił. Rzuciłem cegłę... Trafiała go.

– Uderzył policjanta? Coś mu się stało? O co tu chodzi? Zrobiłeś mu krzywdę?

Matz przyłożył zabandażowaną dłoń do skroni.

– Dokładnie tutaj, Eleano... Rozumiesz? Dokładnie tu.

Pochylił się w jej kierunku i opuszkami palców dotknął jej głowy. Miękkosć jej skóry i jego dotyk sprawiły, że oboje w jednej chwili zrozumieli, co się stało. Przepełniły ich wdzięczność i czułość, fizyczne przypomnienie, że byli wciąż żywi, wciąż razem. Eleana powstrzymała łzy napły wające jej do oczu. Wiedziała, że jeśli teraz zacznie płakać, nigdy już nie przestanie.

– Dokładnie tu, gdzie czaszka jest miękką – wyszeptał. – Eleano, nie czułem żadnego oporu. Wydawało się, że ta cegła wpadła do środka. Czy to w ogóle ma sens?

Pokręciła głową.

– To nie ma sensu.

– Eleano, posłuchaj mnie! Ten policjant nie dojdzie już do siebie. Nie. Ja... jestem pewien, że go zabiłem.

– Oczywiście, że nie! – powiedziała, podnosząc głos w przypływie paniki. – Oczywiście, że nie! Nie bądź śmieszny, Matz. Ocaliłeś nas. To właśnie zrobiłeś. Ocaliłeś tyle osób, ile mogłeś. Mnóstwo ludzi to widziało i może za ciebie poręczyć. Wszyscy ci, których dzisiaj uratowałeś, wstawią się za tobą. Byłeś w Triangle... Byłeś w fabryce przez całe popołudnie.

– Zabiłem człowieka i nigdy sobie tego nie wybaczę. Zabiłem policjanta i oni nigdy mi tego nie wybaczą. Wszystko inne, co dziś się stało, nie ma znaczenia. Wiedzą, jak się nazywam. Wiedzą, gdzie mieszkam. Przyjdą po mnie.

W chwili gdy wypowiadał te słowa, drzwi prowadzące na korytarz gwałtownie się otworzyły. Oboje przerażeni zerwali się z krzesel.

Był to Samuel, ojciec Tzivii i mąż Sarah. Właśnie przyszedł w rzadkie odwiedziny we własnym domu. Oczywiście miał jak szparki i zataczał się. Spojrzał na nich, nie mogąc skupić wzroku. Jego rozbiegane oczy leniwie omiotły pomieszczenie. Nie było Batii, nie było dzieci. Nie było Sarah.

– Gdzie ona jest? – wybełkotał. – Gdzie jest Sarah?

Eleana i Matz wrócili na swoje miejsca w milczeniu.

– Czyli wszystko prawda... Ale wy tu jesteście. Przyszła z wami?

– Mama poszła do fabryki. Też powinienes tam pójść. Niedługo podadzą jakieś informacje.

Może ją znaleźli.

Samuel wydał z siebie pogardliwy gardłowy dźwięk i lekko zatoczył się w miejscu. Przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby jego wielkie ciało miało runąć na ziemię. Utrzymał jednak równowagę i nawet zrobił dwa kroki w głąb pokoju. Minął ich, potykając się, i zniknął w swojej sypialni. Usłyszeli skrzywienie desek podłogi, gdy rzucił się na materac. Zapadła cisza.

– Nie powinno mnie tu być – wyszeptał Matz. – Samuel mnie widział...

– Samuel nic nie widział – odpowiedziała Eleana. – Myślę, że już jest nieprzytomny.

Gdy wsłuchiwali się w jego oddech, Eleana poczuła ogromną senność. Czują, że zaraz zapadnie się ze zmęczenia razem z krzesłem.

– Chodź – powiedziała. – Dziś w nocy już nic się nie zdarzy. Całe miasto stoi na głowie. Chodźmy spać. Rano coś wymyślimy. Jutro będziemy w stanie myśleć bardziej racjonalnie.

O drugiej nad ranem Matz i Eleana wciąż jeszcze nie spali. Ich córeczka i jej kuzynka, ciasno splecione, leżały w poprzek materaca na jego drugim końcu. Oni leżeli obok siebie i szeroko otwartymi suchymi oczami wpatrywali się w ciemny sufit. Czuli ciepło swoich ciał, słyszeli swoje oddechy. Usłyszeli również, że wróciła matka Eleany. Delikatnie zapukała do drzwi ich pokoju i otworzyła je. Kiedy stanęła w progu, jej sylwetka odcięła się ciemną plamą od światła z sąsiedniej kamienicy i wszystkich innych kamienic, w których rodziny niecierpliwie czekały na wieści.

Batia stała nieruchomo.

– Nie żyje – powiedziała.

– Ciiiiii! – nakazała Eleana, siadając na łóżku. – Tzivia...

– Widziałam ją.

– Cicho! Tzivia jest tutaj z nami.

Eleana wygramoliła się z łóżka i zaprowadziła matkę z powrotem do salonu. Zamknęła drzwi i usiadła z nią przy stole.

– Eleano, ich są tam całe rzędy. Setki... Tyle trumien. Pokazują ich głowy i ramiona, a jeśli ubrania się nie spaliły, ciała leżą bez przykrycia, żeby ludzie mogli rozpoznać... Całe, całe mnóstwo! Są popaleni! Jedno ciało, obok następnego... Jej włosy się spaliły. Cała się spaliła... Była zupełnie zwęglona. Och! Ten smród. W całym pomieszczeniu obrzydliwie śmierdzi. To straszne...

Ręce jej się trzęsły i nalewając sobie ginu, pomoczyła obrus. Eleana nigdy wcześniej nie widziała matki pijącej.

– Mamo, jesteś pewna? Jesteś pewna, że to była Sarah?

Batia zawahała się, jakby szukała jeszcze nadziei, jakby wątpliwości Eleany podsunęły jej jakąś myśl. Ale pokiwała głową.

– Tak, jestem pewna. Spod przykrycia wystawał kawałek szmizjerki i pomyślałam, że wygląda znajomo... Wyszzywana w kwiatuśki... Wiesz, o której mówię. Miała ją na sobie dzisiaj.

Eleana dobrze знаła tę szmizjerkę. Wybierały ją razem.

– No i obok każdej trumny był opis. I była tam jej mała bransoletka z... – Kobieta opuściła głowę i otarła twarz rękawem.

Matz wszedł do pokoju i usiadł przy stole.

– Mama znalazła Sarah – wyjaśniła Eleana.

– Przykro mi.

– Oczywiście. – Batia pokiwała głową. – Wszystkim nam jest przykro.

Siedzieli tak przez chwilę w milczeniu. Eleana usiłowała pomyśleć o Sarah, o tym, jak miło im się dzisiaj rano szło razem do pracy. Miała wrażenie, że to wspomnienie pochodziło z poprzedniego życia. Było jak obraz, który mogłaby zobaczyć na przekrzywionym ekranie w kinoteatrze na Hester Street.

Matz przerwał milczenie:

– Batia, i co zrobiłaś? – zapytał nagle. – Zgłosiłaś to?

– Tak, policja próbuje zrobić listę. Ale to będzie bardzo trudne. Niektóre ciała są tak strasznie... – urwała. Wszystko, co dziś zobaczyła, przemknęło jej przed oczami. – Prawie nic z nich nie zostało. W niektórych trumnach wcale nie ma ciała, jest tylko ręka albo noga... – Podniosła filiżankę do ust, powąchała jej zawartość, poczuła znowu mdłości i szybko odstawiła gin. – No i oczywiście – dodała – nikt nic nie wie. Nikt nie wie, kto rzeczywiście był w fabryce, i nikt nie potrafi podać wszystkich nazwisk Nikt. – Odwróciła się do Matza. – A ty co tam robiłeś?

– Mamo, Matz ocalił tylu ludzi... – powiedziała Eleana, zanim jej mężczyzna zdążył się odezwać. – Nosił ich i układał w windach, i wracał po kolejnych i kolejnych, i następnych. Matz mnie uratował, mamo. Inaczej już bym nie żyła. To on mnie wyniósł.

– Dobrze. – Uśmiechnęła się do niego bardziej życzliwie niż zazwyczaj. – Tak właśnie powinien postąpić mąż. Gdzie jest Samuel? Był tutaj?

– Śpi w swoim pokoju – odpowiedział Matz. – Sufit musiałyby mu spaść na głowę, żeby się obudził. Batia, powiedz mi, czy kiedy podawałaś nazwisko Sarah, pytali cię o coś, czy tak po prostu wpisali ją na listę?

– Wpisali. I podziękowali. Tak mi się wydaje. A czemu pytasz? Jakie to ma znaczenie?

– Gdyby tylko Samuel nas nie widział – wymamrotał Matz, jakby myślał na głos. – A nawet jeśli nas widział, to czy kłókolwiek mu uwierzy? Czy on sam w to uwierzy?... Batia, powiedz mi, jak to tam wygląda? Panuje chaos? Ile jest ciał... Czy są też mężczyźni? Oczywiście, że są mężczyźni. Batia, muszę cię o coś prosić. Czy zgodziłabyś się pójść tam jeszcze raz?

– Nie!

– A gdyby od tego zależało nasze życie? To znaczy moje życie. Gdyby od tego miało zależeć moje życie?

– O czym ty mówisz? – wyszeptała Eleana.

Batia chwilę rozważała jego słowa, w końcu spojrzała twardo.

– Matz, co zrobiłeś?

Nic nie powiedział.

– Batia, opisz dokładnie, jak to wygląda – prosił.

Następnego ranka wieść o pożarze dotarła również daleko poza Lower East Side. Trafiała na pierwsze strony wszystkich amerykańskich gazet. Od rana na czytelników czekały zdjęcia zmasakrowanych, rozbitych o ziemię, leżących jedno na drugim ciał młodych imigrantów. To była tragedia narodowa, ale też narodowy skandal – zamknięte drzwi, zepsuty hydrant i niedostosowane schody przeciwpożarowe. Właściciele fabryki i władze miasta próbowali wzajemnie zrzucić na siebie winę. Pośród tej wrzawy sto trzydzieści sześć ciał trafiło już do trumien. Tłum gromadził się na przystani tysiącami, dziesiątkami tysięcy, setkami tysięcy. Miasto jednak nie przestało żyć swoim życiem. Tego samego popołudnia, gdy wybuchł pożar, zamordowano funkcjonariusza policji. Tożsamość sprawcy szybko ustalono.

Wcześniej rano, gdy Matz i Eleana siedzieli jeszcze ukryci w swoim pokoju, dwóch funkcjonariuszy zastukało do drzwi. Batii nie było, zabrała z sobą dziewczynki i poszła po chleb. Przez cienkie przepierzenie dzielące dwa pokoje Matz i Eleana słyszeli oddech śpiącego Samuela. A potem zniecierpliwione walenie do drzwi.

– Policja! Otwierać!

Matz zupełnie już obudzony usiadł na łóżku, spojrzął na Eleanę i przyłożył palec do ust. Nie było gdzie uciekać. W ich pokoju nie było okna. Jedyne możliwe dróżka ucieczki prowadziła przez okno do zsyppu w salonie. Żeby się do niego dostać, musieliby przejść obok drzwi Samuela, który, najwyraźniej wyrwany ze snu przez hałas, głośno ruszał się i posapywał. Gdyby na niego wpadli, byłby koniec.

– Otwierać! – Jeden z policjantów kopnął w drzwi. Złej jakości drewno rozpadało się z trzaskiem.

Matz i Eleana wstali po cichu. W tym małym zagraconym pokoju było tylko jedno miejsce, w którym mogli się schować – kufer koło łóżka. Razem wyrzucili jego zawartość na materac i weszli do środka – jedno położyło się na drugim. Fatalna kryjówka. Żeby ich znaleźć, wystarczyło po prostu otworzyć wieko.

Usłyszeli, jak Samuel marudzi pod nosem i, powłócząc nogami, idzie do drzwi.

– Tylko spokojnie! – wymamrotał, otwierając je. – Patrzcie, coście mi zrobili z drzwiami...

– Matz Beekman?

– Hę?

– Szukamy Matza Beekmana. Jest tutaj?

– Szukacie Matza...? – powtórzył Samuel głupio. – Czego od niego chcecie? Co zrobił?

– Czy jest tu Matz Beekman?

Samuel zamyślił się i podrapał się po głowie. *Drap, drap.* Słyszeli to z wnętrza skrzy ni.

– Mało wam jeszcze roboty tego ranka?

– Proszę się odsunąć.

– No jasne, że się odsunę, ale szkoda waszego czasu. Nie ma go. Pewno w kostnicy szuka żony. Jeśli sam w ogóle żyje.

– A czemu pan sądzi, że nie żyje? – zdziwił się policjant.

– Bo był tam i wyciągał z pożaru dziewczyny... Tak słyszałem.

Brat jednego z policjantów pracował w Triangle. Jako kierownik, a nie jako zwykły robot. Znaleźli jego trupa w szybie windy.

– Tak słyszałeś?

Ostatecznie zamordowany policjant zginął zaledwie kilka przecznic od fabryki – całkiem możliwe.

– Tak słyszałem – powtórzył Samuel. – Facet jest bohaterem. Tak ludzie mówią... Nawet jeśli mojej żony nie wyciągnął. Nikt jej nie wyciągnął. Nie dało się.

– Bardzo mi przykro.

– Aha.

– To, co się tam stało, to wielka tragedia.

– No dobrze, wejdźcie, jeśli chcecie. Proszę, śmiało...

Matz i Eleana słyszeli, jak Samuel otwiera szerzej rozwalone drzwi i jak policjanci – teraz o wiele grzeczniejsi – wchodzą do mieszkania.

– Rozejrzyjcie się. – Samuel uśmiechnął się krzywo. – Podpowiem wam, że wielkiego wyboru kryjówek w tej dziurze nie ma. Ale jak wam się chce szukać...

– To jest jego pokój?

– Tak, zajrzyjcie sobie. A co on tym razem zrobił? – Samuel szedł krok za policjantami. – Chyba coś poważnego, skoro was tu przysłali w taki dzień. Chcecie się czegoś napić?

Z wnętrza skrzy ni Matz i Eleana usłyszeli otwieranie drzwi i głos mówiący:

– Miło z pana strony, ale dziękujemy. Musimy się zbierać.

Drzwi się zamknęły. Samuel pożegnał policjantów tak uprzejmie, że nigdy by go o to nie podejrzewali. Udało się – poszli. Ale Eleana i Matz nadal siedzieli w kufurze, bojąc się odezwać i ruszyć. Czekali, aż Samuel wróci do siebie. Nagle drzwi do ich pokoju otworzyły się ponownie.

– Nie wiem, kolego, co ty nawyprawiał, i chyba nie chcę wiedzieć. Szukają cię... I wrócą. Przyjmij moją radę: wyjedź stąd, póki jeszcze możesz i zanim to wszystko się uspokoi. Oni tu wrócą, mówię ci.

Nie czekał na odpowiedź, nie czekał nawet, aż wyjdą z kufra. Zamknął drzwi, poczłapał do siebie i rzucił się na materac. Nie poszli za nim. Zostali w pokoju zbyt przerażeni, by rozmawiać. Gdy Batia wróciła z dziewczynkami, Samuela już nie było – nikt nie wiedział, dokąd poszedł i po co. Nie poczekał nawet, żeby zobaczyć się z Tziwią.

Matka Eleany nie chciała iść do kostnicy. Zabrała z sobą Eleanę. Matz został z dziewczynkami. Szczelnie owinięte chustami, pochylając głowy, matka i córka przeszły z Allen Street na Misery Lane. Stały na końcu kolejki, która ciągnęła się przez całą długość przystani, i w ciszy czekały na swoją kolej. Plan był prosty, choć straszliwy. A zdaniem Batii szalony i niegodziwy.

– A co w tym widzisz niegodziwego? – spytał Matz. – Oni są martwi, ja jestem żywy. Będzie mnóstwo niezidentyfikowanych ciał. Będą trupy, których nikt nie szuka. Powiedz mi, Batia, co w tym niegodziwego?

– Jeśli się przyznamy do któregoś ciała, rodzina tej osoby nie będzie miała kogo pochować.

– To prawda – przyznał Matz. – Tylko że oni są już martwi. Nic nie przywróci im życia. To jest prawdziwa tragedia. A reszta... reszta to uczucia. Jeśli ktoś tam znajdzie szczątki swoich, nic to przecież nie zmienia dla nieboszczyka. Dużo za to zmienia dla nas.

Nie było to do końca przemyślane, ale miało sens. Batia nie mogła odmówić – chodziło w końcu o życie jej zięcia.

– Będziecie musieli wyjechać z miasta. Będziecie musieli zacząć nowe życie gdzie indziej – powiedziała smutno.

Ale prawda była taka, że w tym zatłoczonym mieszkaniu, w którym panowała śmierć, w biedzie, niesprawiedliwości i brudzie nie była to wcale zła perspektywa. Przez chwilę ich trójka prawie zaniosła się śmiechem.

– I taknie mam tutaj dobrej pracy – stwierdził Matz.

– Ani ja – dodała Eleana.

– Z czego będziecie żyli? – zapytała jej matka.

– Batia, myślisz, że jestem nieodpowiedzialny, bo zajmuję się polityką. – Uśmiechnął się Matz.

– Myślę, że jesteś nieodpowiedzialny, bo rzucaś cegłami w głowy policjantów – odpowiedziała szorstko. – Dobrze wiesz, że nic nie mam do twojej polityki.

W milczeniu pokiwała głową.

– Chciałem powiedzieć, że... mam trochę oszczędności. Wystarczy na początek, zanim znajdę jakąś robotę. Wtedy będziesz mogła przywieźć Ishę. Muszę tylko znaleźć mieszkanie.

– Jak długo to potrwa? – spytała Eleana. – Czy nie mogłybyśmy z Ishą jechać z tobą?

– Ale ja nie o tym myślałem – urwał.

Nie zrozumiała.

– Myślałem, że pojedziesz ze mną – kontynuował. – Jeśli pojedziemy razem, oszczędzimy pieniądze dwa razy szybciej. Isha będzie tutaj bezpieczna z babcią.

– Nie chcę jej zostawiać. Nie mogę tego zrobić!

– Oczywiście, że możesz! – przerwała jej matka. – Co więcej, musisz! Matz ma rację. Ja się zajmę Ishą. Razem szybciej zarobicie. On cię potrzebuje – dodała.

– Isha mnie potrzebuje.

– Isha ma babcię – odpowiedział Matz. – I powinna uciec z tego miejsca jak najszybciej. Tego potrzebuje najbardziej. Wszyscy tego potrzebujemy. Niestety dopiero ostatnie wydarzenia nam to uświadomiły. Jedź ze mną, Eleano. Razem szybciej będziemy w stanie ją stąd zabrać. Zabrać do miejsca, gdzie będzie mogła rosnąć silna i zdrowa, do miejsca, gdzie słońce świeci każdego dnia. Spróbuj to sobie wyobrazić! Eleano, możesz to sobie wyobrazić, prawda?

Eleana się uśmiechnęła. Nie potrafiła.

– W Kalifornii pomarańcze można zrywać prosto z drzewa! No i przecież wiesz, że jest tam pełno wytwórni filmowych. Moglibyśmy pracować przy filmach, czemu nie? Czemu nie, Eleano? W Kalifornii świeci słońce. No i jest tak daleko od Nowego Jorku, że dalej już się nie da. Kochanie, proszę, pojedź ze mną. To będzie nowy rozdział, przyśięgam. Ty, ja, Isha... i Batia.

– Znowu wpakujesz się w jakieś kłopoty – powiedziała Eleana, kręcąc głową. – Dobrze wiem, że dopóki istnieją ciemieni robotnicy, strajki i policja...

– Nigdy więcej! Pod warunkiem, że ze mną pojedziesz. Masz na to moje słowo. To wszystko zostanie tutaj. Będę tylko dla ciebie i dla Ishy. Dla nas.

– Lepiej, żeby tak było – ostrzegła go Batia.

– Zaopiekuję się naszą rodziną, obiecuję.

Batia pokiwała głową. Matz jednak nie patrzył na nią.

– Eleano. – Pochylił się nad stołem i chwycił jej dłoń. – Pojedziesz ze mną?

Nic nie odpowiedziała. Rozplakała się.

– Pojedzie – oświadczyła z przekonaniem jej matka, ujmując drugą dłoń córki, a następnie chwytając dłoń Matza tak, że siedząc skuleni przy stole, tworzyli okrąg. – Kochanie – zwróciła się do Eleany – to potrwa najwyżej miesiąc albo dwa. Póki wszystko się nie ustakuje, Isha będzie bezpieczniejsza tutaj ze mną. Oboje będziecie pracować. A później, kiedy wszystko będzie już gotowe, kiedy znajdziecie bezpieczne miejsce, a Isha będzie wystarczająco silna, przywożę ją. I Tziwę też, jeśli Samuel się zgodzi. Przyjedziemy i zamieszkamy z wami, gdziekolwiek to będzie. – Uśmiechnęła się. – Tam, gdzie pomarańcze można zrywać prosto z drzew. Nawet jeśli będzie to aż w Kalifornii.

Batia zawahała się. Może ich to zdenerwuje, pomyślała. Bóg nie był ważną częścią ich życia ani teraz, ani wcześniej. Ale stary zwyczaj mógł sprowadzić na nich spokój. Jeśli nie samo jego znaczenie, to może chociaż znajome brzmienie formuły. Batii kadisz przyniósł pocieszenie, gdy zmarł jej mąż, i wcześniej, gdy jako dziecko straciła siostrę i ojca.

Jitgadal wejtkadasz szemeh raba.

Bealema di wera chirutech.

Gdy zaczęła szeptać znajome słowa, Eleana i Matz delikatnie zabrali ręce. Batia umilkła.

W końcu kobiety dotarły na sam początek kolejki do kostnicy. Czekały długo. Zapadła już noc, a zatem minęła doba od ugaszenia pożaru. Przekroczyły próg budynku stojącego na przystani. Przy wejściu siedziała miła starsza pielęgniarka, która miała za zadanie wpuszczać do środka jedynie rzeczywistych krewnych ofiar. Zatrzymała Eleanę i jej matkę, tak jak zatrzymywała każdego innego wchodzącego. Czy przyszy tu, spytała delikatnie, ponieważ są w jakiś sposób związane z tragicznymi wydarzeniami? Czy przyszy, bo straciły kogoś bliskiego, czy... Eleana potwierdziła, zanim kobieta zdążyła dokończyć. Pomyślała o martwej Dorze i łzy znów potoczyły jej się po policzkach.

– Proszę mi wybaczyć. Jestem pewna, że jesteście tutaj z właściwych pobudek. Ale mamy problem z cieławskimi. Hieny i kieszonkowcy. To nie tak powinno wyglądać – powiedziała pielęgniarka.

– To prawda – zgodziła się Eleana.

– Mogę spytać, kogo szukacie?

– Mojego syna – powiedziała Batia.

Pielęgniarka skinęła głową i wpuściła je.

Był to olbrzymi metalowy hangar, pomalowany szarawożółtą odłóżką farbą. Małe okna umieszczono wysoko, a z trzech stron budynku słychać było chlupot fal, dlatego wchodząc tu, miało się wrażenie, że wkracza się na pokład opuszczonego statku. Zawieszono wysoko lampy rzucały słabe światło na otwarte trumny stojące na ziemi, obok których funkcjonariusze policji trzy mali dające nikłe, migotliwe światło lampy.

Eleana i Batia weszły tam razem. Echo ich kroków odbijające się w pomieszczeniu dołączyło do echa kroków innych zgromadzonych tu osób. Krzyk mew i chlupot wody, zduszone łkania – wszystkie te odgłosy wypełniały ciszę, paradoksalnie czyniąc ją jeszcze bardziej dojmującą. Trumna Dory została już zamknięta i zabrana – zatroszczył się o to kuśnier, jej mąż. Trumna Sarah również została oznaczona i wywieziona. Ale nierozpoznanych ciał wcale nie ubywało. Eleana czepiła się ramienia Batii. Była tutaj dla Matza, dla swojej matki. No i oczywiście dla

Ishy. Robiła to, by mogli zacząć od nowa, wszyscy razem. Rozpoznawała twarze dziewczyn spoczywających w otwartych trumnach. Rozpoznawała wielu ludzi, którzy snuli się pomiędzy nimi w poszukiwaniu bliskich. Ona przyszła tu, żeby skłamać. Ale nie potrafiłaby nie zamienić z nimi kilku słów, gdyby się do niej zwrócili. Na szczęście nikt tu z nikim nie rozmawiał.

Tak oto Eleana i Batia posuwały się wzdłuż rzędów ponumerowanych ciał, szukając jednego, którego nie dałoby się zidentyfikować. Batia wytłumaczyła im wcześniej, że znalezienie takiego nie będzie trudne. Wiele ofiar splonęło niemal doszczętnie. A kiedy znajdą już właściwe, zatrzymają się przy nim i wypatrzą jakiś szczegół, jakiś dowód na to, że to ciało bliskiej im osoby. Taki był plan. Batia zrobiła tak poprzedniego wieczoru, gdy szukała Sarah. Poproszą stojącego najbliżej policjanta, żeby poświecił. Zaczną szeptać i dyskutować, potem rozplączą się i w końcu potwierdzą, że tak to jest Matz Beekman.

Taki był plan. Eleana jednak nie była w stanie go wykonać. Po chwili spędzonej pośród trumien z ciałami przyjaciół zaczęła trząść się tak gwałtownie, że musiała wesprzeć się na ramieniu matki, aby nie upaść. Batia poklepała ją po plecach i próbowała uspokoić. Kobieta jednak zaczęła się dusić. Jej ciężki, świszczący oddech wyraźnie dało się słyszeć na tle szepotów i szmerów wypełniających pomieszczenie.

– Na miłość boską, Eleano, ściągniesz na nas uwagę... – wyszeptała Batia.

Eleana kiwała głową, ale nie mogła już się opanować. Uwiesiła się na ramieniu matki, wpijając w nie palce tak mocno, że Batia musiała je siłą odrywać. Zagryzła też wargi, żeby nie krzyknąć z bólu.

– Możesz chodzić? – zapytała Batia. – Myślę, że powinnaś wyjść. Idź do domu. Nie powinnaś tu być.

– Chcę tu być, mamo – wyszeptała Eleana.

– Nonsens, ty lko mnie spowalniasz. Idź.

Eleana nie ruszyła się z miejsca.

– Idź do domu, Eleano! Natychmiast. Nie chcę zostać w tym miejscu ani sekundy dłużej, niż jest to konieczne, a ty tylko nas opóźniasz. Odejdź. Możesz chodzić? Oczywiście, że możesz. Idź.

Batia lekko popchnęła córkę w kierunku wyjścia i odwróciła się. Wiele godzin później, gdy wróciła do mieszkania, zastała całą czwórkę, Ishę, Tzivię, Eleanę i Matza, siedzących przy małym stole przed miskami z nietkniętą kartoflanką. Nawet dzieci straciły apetyt. Batia się zawahała. Gdy spojrzała na swoją rodzinę, dotarła do niej ohyda tego, co zrobiła. Za późno. Podjęła decyzję, której nie dało się już cofnąć. Żal nie miał tu nic do rzeczy.

– Matz, Eleana, zostawcie dzieci przy stole i chodźcie ze mną do drugiego pokoju.

Sam fakt, że to dorośli, a nie dzieci mieli wyjść, był niezwykły. Matz i Eleana wykonali polecenie bez komentarza.

– Będziesz zła – powiedziała Batia do córki, gdy drzwi były już zamknięte – ale stało się. Podjęłam decyzję. Wcześniej źle to wymyśliłismy.

– Jaką decyzję? – spytał Matz.

Batia dalej patrzyła na córkę.

– Eleano, gdybyś zniknęła, ludzie zaczęliby pytać. To nie byłoby bezpieczne. Dla nikogo z nas. Nie byłoby to bezpieczne ani dla mnie, ani dla Ishy, ani nawet dla Tzivii. Chcieliby wiedzieć, co się z tobą stało. Dlaczego to ja sama zidentyfikowałam Matza w kostnicy. – Urwała. Zadrzała. – Ciebie też zarejestrowałam Eleano.

– Co zrobiłaś? – powiedziała Eleana. – Zarejestrowałaś mnie...?

– Jako martwą. Teraz oboje jesteście martwi.

Zapadła cisza.

– Oboje jesteście martwi? – powtórzyła w końcu Eleana. Po okropnościach ostatnich dni wydawało jej się to niemal bez znaczenia, jakby rozmawiali o pogodzie. – Ja też jestem martwa?

– Bardzo mi przykro – powiedział w końcu Matz. – Gdy bym tylko...

– Nieważne – przerwała mu Eleana. Nagle poczuła złość.

– Kochanie, wybacz mi. To była trudna decyzja, ale musiałam ją podjąć. Jestem przekonana, że... – mówiła Batia.

– Ale ja nie jestem martwa. W przeciwieństwie do wielu innych nie jestem martwa, mam! Bóg jeden wie dlaczego, ale wciąż żyję. Jakś mieszkasz mówić, że jestem martwa?!

Eleana wpadła w histerię. Matz chwycił ją za ramię.

– Nikt nie mówi, że jesteś martwa – przemawiał łagodnie.

– Przecież wiem. – Zerknęła na jego dłoń dotykającą jej ramienia... Będą musieli znaleźć nowy bandaż, oczyścić ranę. Wrócił do niej obraz tej dłoni na rozpalonym kablu i jej własnych, oplatających jego ramiona, tego, jak ją podtrzymał, gdy zdawało się, że to już koniec, że spada...

– Przepraszam...

– Nieważne – powiedział i uśmiechnął się. Oboje się uśmiechnęli. – Eleano, przysięgam, przysięgam. Od teraz wszystko będzie lepiej. W Kalifornii stanę się lepszym człowiekiem.

Wyjechali w dniu, gdy miasto wyprawilo pogrzeb ciałom, po które nikt się nie zgłosił. W sumie chowano siedem trumien. W ostatniej z nich znajdowały się szczątki nie jednej osoby, ale kilku – ręce, ramiona, nogi, niezidentyfikowane i nieznanne. Dla Eleany Kappelman i Matza Beekmana był to dobry moment na ucieczkę. Oboje tak uważali. Nie, żeby miało to jakieś symboliczne znaczenie. Był to zwyczajnie dobry dzień, aby się wymknąć. Pół miliona żałobników na mokrych ulicach – łatwo było przejść niezauważonym. Podczas całej procesji żałobnej strugi deszczu zalewały miasto. Deszcz padał również, gdy Matz i Eleana żegnali się z córką. Szare, zimne chmury zasnuwały niebo, wisząc nisko nad dachami budynków.

Matz i Eleana mieli pojechać pociągiem aż do Chicago. Tam, oddaleni o wiele mil od miejsca, w którym kogośkolwiek kiedykolwiek ich znał, mieli zacząć szukać pracy. Taki był plan. Zostawiając Batii wszystkie pieniądze, jakie tylko mógł, Matz zapewnił jednocześnie ich dwójce środki wystarczające na przeżycie dwóch tygodni. W Chicago też były kina i bary, a przede wszystkim były wodewile. Gdy tylko pozwolą mu na to poparzone dłonie, będzie znów grać na pianinie. A Eleana będzie śpiewać. Najlepiej byłoby, gdyby znaleźli pracę w trupie objazdowej. Wtedy mogliby odkładać każdy grosz i zmierzaliby dalej na zachód, ku pomarańczowym sadom, drzewom palmowym i Oceanowi Spokojnemu. Tam razem stworzyliby dom dla Ishy.

Co trzy ipóhletnie dziecko wie o śmierci?

Rodzice Ishy długo o tym rozmawiali. Gdy wyjechali, mieszkanie stało się boleśnie puste. Batia, nagle przerażona tym, co zrobiła, wyjaśniła Ishy i Tzivii zaistniałą sytuację w najprostszych i najbardziej szorstkich słowach. Jeśli komuś powiedzą, że Matz i Eleana przeżyli pożar, ich *bubbeh* pójdzie do więzienia. Nie będzie nikogo, kto mógłby się nimi zająć, i obie dziewczynki trafią do sierocińca

– A co z tatą Tzivii? – spytała Isha poważnie.

– Rzeczywiście! – odpowiedziała *bubbeh* poirytowana. Nikt go nie widział od dnia po pożarze.
– Co z nim?

– Nigdy nie zostawiłby nas w sierocińcu.

– No cóż, może by was nie zostawił. Jeśli bardzo chcesz się przekonać, to proszę. Wystarczy, że zrobisz dokładnie to, co ci odradzam, moja droga. Idź jutro na rynek i powiedz wszystkim, że widziałas, jak twoja matka i twój ojciec przeżyli pożar i pojechali do Chicago. I wtedy się przekonamy, zgoda? Po tym, jak wsadzą mnie do więzienia i wyrzucą klucz, przekonamy się, czy Samuel po was przyjdzie. Hm? Może przyjdzie... A może nie przyjdzie.

To uciszyło Ishę. Naturalnie nie była pewna. Była bardzo daleka od pewności.

– Nie powiem ani słowa, *bubbeh* – obiecała poważnie. – I ty też nie powiesz, prawda, Tzivia? Będziesz pamiętać, żeby wszystkim mówić, że moja mama i mój tata są martwi. Tak jak twoja mama. Oni wszyscy są martwi.

– Nie naprawdę – zauważyła Tzivia z uporem. – Nie są naprawdę martwi.

– No cóż, dla nas tak jakby byli – odpowiedziała Batia szorstko, ulegając własnemu strachowi.

zupełnie zdezorientowane dziewczynki wybuchnęły płaczem.

Wcześniej, w dniu pogrzebu niezidentyfikowanych ofiar, Eleana i Matz spędzili ostatnie chwile ze swoją córką. Batia z Tzivią poszła kupić coś na śniadanie, a ich trójka została w mieszkaniu sama i tuliła się do siebie w małym salonie.

– Będziesz grzeczna? – zapytał Matz, udając wesołość.

Isha odpowiedziała z przekąsem, nie patrząc na niego:

– Ja zawsze jestem grzeczna.

– Och, wiem, że jesteś. – Dał jej lekkiego kuksańca w ramię, jakby dla zabawy, chociaż żadne z nich nie było w wesołym nastroju.

– Oczywiście, że jesteś grzeczna – odezwała się Eleana, kucając przed córką i ocierając łzy – swoje i Ishy. Uśmiechnęła się do zielonych oczu dziecka. – Jesteś zawsze strasznie dobra.

Tym razem Isha nie odwzajemniła uśmiechu.

– Jak szybko wróćcie?

– Jak tylko będziemy mogli.

– Jak długo będziecie martwi?

– Nie jesteśmy martwi.

– Ale *bubbeh* mówiła...

– Wiesz bardzo dobrze, że nie jesteśmy naprawdę martwi – odezwał się Matz. – Nie bądź głupiutka.

– Wiem, że nie jesteście naprawdę martwi, ale jak długo mam udawać, że jesteście martwi?

– Dopóty, dopóki nie wrócimy po ciebie.

– A kiedy wróćcie?

– Och, Isha...

– Za tydzień, za dzień czy za sto lat?

– Raczej za tydzień niż za sto lat, kochanie. Za kilka miesięcy najwyżej. A wtedy...

Isha rozpromieniła się tym uśmiechem, od którego na Hester Street topniał śnieg. Uśmiechem, który rozganiał ciemne chmury nad Allen Street i który powodował, że serce matki

dziewczynki jednocześnie śpiewało i pękało na kawałki.

– A wtedy – recytowała Isha powoli, jakby to była bajka – będzie słońce i gaje pomarańczowe, i drzewa kokosowe. I winogrona będą wisieć na krzakach, a kwiaty będą słodko pachnieć na każdym rogu, a poza tym wszystkim będzie jeszcze wielka żółta plaża i wielkie niebieskie morze...

Tak właśnie wyglądał dzień, w którym Matz i Eleanor wyjeżdżali. Potem stan zdrowia Ishy bardzo się pogorszył. Choć dziewczynka zawsze była wątła, po odjeździe rodziców stała się jeszcze słabsza. Potem Eleana wielokrotnie przeglądała w myśli te ostatnie wspólne chwile, aż jej pamięć zużyła się i zmniejszała je tak, że w głowie naprawdę pozostał już tylko ten uśmiech – odważny i ciepły – i te zielone oczy, i jeszcze przebłysk zdrowia na białych policzkach dziecka, który oznaczał, że tamtego deszczowego dnia Isha mogła pojechać z nimi. I że wszyscy mogli nadal być razem.

Eleana i Matz wymknęli się z mieszkania krótko po tym, jak Batia i Tzivia wróciły. Ostatni uściski zniknęli, nie oglądając się za siebie.

SŁOŃCE W ZATOCE SAN SIMEON

Piątek, 25 października 1929

Ociekając wodą z dodatkiem naparu z konwalii w swojej marmurowej wannie w dalekim Reno w stanie Nevada, Eleanor nie miała pojęcia o zawierusze, jaką przeszła przez Wschodnie Wybrzeże, i choć jej fortuna została przez nią porwana, nie przejmowała się zupełnie niczym. Był poranek po czarnym czwartku. Katastrofa była zapisana wielką czcionką na pierwszej stronie wszystkich gazet. Eleanor jednak nie mogła tego wiedzieć, bo prasa, którą dostarczono jej do pokoju, leżała ciągle nietknięta na tacy ze śniadaniem.

Miała się pojawić w biurze Matthew Gregory'ego o dziesiątej, a cierpliwość, jaką miał dla niej Matthew Gregory, właśnie się kończyła. To jedno było jasne. Nie potrafiła nawet go za to winić. Sama już do siebie nie miała cierpliwości. Nie byli ani o krok bliżej znalezienia Ishy Kappelman niż w dniu, kiedy pani Beecham przyjechała do Reno. Nie posunęli się ani trochę od momentu, gdy wynajęła ojca Matthew siedem lat wcześniej.

Nic się nie zmieniło. Była w pułapce. Uwięziona bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Dopóki nie znajdzie się Matz Beekman, jak mogli właściwie szukać Ishy? To nie było możliwe. I o to właśnie chodziło. Eleanor wiedziała, że nic nie można zrobić. Wiedziała to od zawsze. Tego ranka w swojej pachnącej marmurowej wannie próbowała odepchnąć od siebie ten jeden widok, który gwarantował jej dyskrecję aż do dziś i który – była pewna – był gwarantem dyskrecji aż do jej śmierci. To był widok Maksa, jej niewiernego męża, który ocalił jej życie i zmienił je, przywiązane do krzesła elektrycznego za czyn popełniony blisko dwadzieścia lat wcześniej, Maksa, którego oczy szukają jej w pomieszczeniu dla obserwatorów – jej i tylko jej. Ten obraz, dźwięk, zapach, ich wspólny ból – wszystko to spadło na nią nagle i z taką siłą, że usłyszała własny płacz.

Potem pojawił się kolejny obraz, ten, który budził ją noc w noc: zielonooka Isha z woskową

od gorączki twarzą leżąca obok swej babki w zakażonej kamienicy, umierająca powoli obok swej umierającej powoli babki. Widziała też inną wersję: Batia już nieżywa i Isha wyczołgująca się na ulicę w poszukiwaniu jedzenia, sama, chora, przemarznięta, wzywająca matkę i ojca i zastanawiająca się, czemu nigdy po nią nie przyjechali.

Wszystko to było trudne do zniesienia. Eleanor poderwała się i wyszła z wanny, nie mogąc dłużej siedzieć bez ruchu. Usiadła na jej brzegu i z zamkniętymi oczami słuchała samochodów za oknem i głosów bogatych kobiet. Wyobrażała sobie innych gości hotelowych, jak z nimi gawędzi i śmieje się, jak głośno rozmawiają o zasądzonych alimentach. Co ona właściwie robiła w Reno? Z jakiego powodu ryzykowała tak wiele?

Isha nie żyje.

Usłyszała te słowa bardzo wyraźnie i zastanowiła się, czy sama je powiedziała na głos.

Isha nie żyje.

Eleanor wstała. Nagle zdała sobie sprawę, że dygocze. Wszystko było skończone. Koniec. Myślała, że jedzie do Reno odnaleźć córkę. Wierzyła w to, gdy pakowała walizki, czuwała całą noc, patrząc przez okno kuszетки w wagonie pierwszej klasy oraz kiedy siadała przed Matthew Gregorym z całą tą jego oprawą i przyciasnymi kamizelkami i wyrzucała wszystko z siebie. I wtedy właśnie rozumiała. Nie przyjechała, by znaleźć Ishę. Isha umarła wiele lat temu w zimnej czynszowej kamienicy na Allen Street. Eleanor przyjechała do Reno, by się z nią pożegnać. Nadszedł już czas, by wyjść z ciemności.

Ubrała się jak zwykle z elegancją i troską. Ułożyła włosy i wybrała biżuterię. Zadzwoniła do recepcji i poprosiła o samochód. Poszukała w torbie książeczki czekowej i spojrzała na zegarek. Wykonywała wszystkie czynności z zaangażowaniem, jakiego nie czuła od lat, jeśli w ogóle kiedykolwiek je czuła. To jednak nie przyniosło jej ulgi. Decyzja, którą podjęła, i odpowiedź, która przyszła do niej tak wyraźnie, nie uwalniały jej wcale i nie otwierały drogi do nowego życia. Raczej pozwalały jej pogodzić się z tym, że jej życie już się skończyło. Pojedzie do biura Gregory'ego, ureguluje rachunek i zakończy tę pogoń za cieniem. A potem wróci do Los Angeles i zakończy swoje małżeństwo.

Matthew Gregory nie mógłby wybrać lepszego czasu na opuszczenie giełdy, jeśli zależałoby mu na przekonaniu się o własnym bankructwie. Jego polecenie, by sprzedawać, sprzedawać wszystko, dotarło do pośrednika w samym szczyście szaleństwa, tak że Matthew skończył z pięcioma tysiącami dolarów długu u swojego maklera. Pan Gregory był zrujnowany, zrujnowane było zatem i jego biuro detektywistyczne. Eleanor jeszcze o tym nie wiedziała, ale zmieniło to zasady ich współpracy.

Clara Davison, sekretarka w biurze od dnia jego otwarcia, to jest od 22 maja 1913 roku, lubiła o sobie myśleć jak o konserwatystce. W związku jednak z wczorajszym krachem jej sytuacja wcale nie wyglądała lepiej niż sytuacja jej miejsca pracy. Przez wszystkie te miesiące, siedząc niedaleko dalekopisu, w końcu się przełamała i w tajemnicy przed mężem, również konserwatystą, trzy lata temu zaczęła grać na giełdzie. Nie dalej jak sześć tygodni temu, kiedy indesy były tak wysokie, że wszystkim wydawało się, że ceny mogą już tylko iść w górę, siedziała dumna ze swoich tajemnych oszczędności, które w zaledwie trzy lata z 650 dolarów urosły do pięciu tysięcy. Do tej pory kupowała tylko akcje, które mogła spłacić. Potem jednak wydawało się to głupie. Wszyscy wokół robili inaczej i bogacili się na tym. Zaczęła więc kupować na kredyt, z każdym dniem zwiększając ryzyko.

Wczoraj straciła całe oszczędności i połowę domu. W ten piątek, gdy przyszła otworzyć biuro, zaparzyć kawę dla Matthew Gregory'ego i wstawić świeże kwiaty w hallu, a potem powitać ich słynną klientkę, zamknęła za sobą drzwi domu, który nie należał już do niej i jej męża emeryta. Choć nie znalazła chwili, żeby mu to zakomunikować, zrobiła kawę i ułożyła kwiaty. Oba te zajęcia zabrały jej więcej czasu niż zazwyczaj, bo dłonie jej drżały i czuła się chora. Minęło pół godziny, zanim jej uwagę zwróciło biurko pana Gregory'ego.

Dziewięta trzydzieści rano. Szef powinien pojawić się za chwilę. Pani Davison rzuciła okiem na burko, nastawiła kawę, strzepnęła kilka pyłków ze skórzanej podkładki leżącej na blacie i w końcu dostrzegła dwie koperty. Jedną dla siebie, drugą dla Eleanor Beecham. Podniosła je i momentalnie rozdarła tę przeznaczoną dla niej.

Moja Droga Pani Davison,

bardzo mi przykro, że muszę Pani oznajmić, iż wczorajsze załamanie giełdy, o którym Pani już z pewnością czytała, mocno odbiło się na moich interesach. Jeśli mam być z Panią szczerzy, muszę powiedzieć, że nie zostało mi nic. Źródło wyschło, Pani Davison. Tak to trzeba ująć.

Pojawię się w biurze w odpowiednim czasie, żeby omówić z Panią to, co wymaga przedyskutowania w związku z upadkiem firmy. (Załączam czek z wypłatą za bieżący miesiąc. Radzę pani zrealizować go jak najszybciej, jeśli w ogóle jeszcze ma on jakąś wartość) Tymczasem przepraszam, ale nie wiem się najlepiej, a moja żona – którą poprosiłem o dostarczenie listów – nalega, bym pozostał w łóżku.

Jak Pani wie, pani Beecham jest ze mną umówiona na dziesiątą i z reguły przychodzi punktualnie. Proszę o przekazanie jej mojego listu, kiedy się pojawi. Wyjaśniam jej w nim, dlaczego nie mogę jej dłużej pomagać w poszukiwaniach. Załączam też rachunek. To bardzo ważne. Naciskam na to, by Pani dopilnowała, żeby pani Beecham uregulowała należność, zanim opuści lokal.

Proszę, by kwota została wpłacona w gotówce. Jeśli uda się Pani to wyegzekwować, będę bardzo zobowiązany.

Z najserdeczniejszymi podziękowaniami,

M. Gregory

Pani Davison skończyła właśnie czytać list, gdy Eleanor wpuściła do gabinetu obłoczek zapachu konwalii i połyskującego gwiazdnego pyłu.

– Och! – krzyknęła zaskoczona sekretarka, trzymająca ciągle list do Eleanor. – Dzień dobry, pani Beecham. Jest pani dziś wcześniej!

– Przepraszam – chrapliwy, wyćwiczony głos Eleanor brzmiał tak samo spokojnie jak wczoraj. – Mam nadzieję, że pani nie przeszkodziłam? – spytała, zdejmując ciemne okulary i siadając w swoim zwykłym miejscu, naprzeciwko pustego dziś biurka Gregory’ego. – Czy pana Gregory’ego jeszcze nie ma?

– Jeszcze... nie ma go. Czy napije się pani kawy?

– Nie, dziękuję. A o której pan Gregory normalnie przychodzi?

– Cóż... normalnie... – pani Davison na chwilę zapomniała o własnych kłopotach. Poczula, że się czerwieni, wstydząc się za szefa. – Normalnie przychodzi właśnie teraz i zazwyczaj jest bardzo punktualny. Tak już jest, rozumie pani. Taką ma cechę... – zamilkła na chwilę.

– Czy wszystko w porządku, pani Davison? – spytała Eleanor grzecznie. – Jest pani dziś błada.

– Och, naprawdę? Przepraszam. Czuję się świetnie.

– Kierowca opowiedział mi o tej apokalipsie na Wall Street.

– Ach tak?

– Mam nadzieję, że to pani nie dotknęło?

– O Boże. Bardzo miło z pani strony...

– Ani pana Gregory’ego. Zdaje mi się, że robił jakieś interesy, nieprawdaż? Mam nadzieję, że jego oszczędności nie ucierpiały.

Roześmiała się ciężko, czym rozdrażniła sekretarkę.

– Wie pani, sama się boję zadzwonić do domu. Wyobrażam sobie, że... – Teraz z kolei Eleanor zamilkła. W zasadzie nie przejmowała się niczym, nie zależało jej nawet, by skończyć zdanie. Zamiast tego spojrzała na panią Davison, która stała, ściskając dwa listy od pana Gregory’ego. Eleanor wskazała swoje nazwisko.

– Czy to do mnie? – spytała, wyciągając dłoń w rękawicze.

– O kurczę, co? A, to. Tak to do pani – powiedziała sekretarka. – Chciałam powiedzieć, że to oczywiście do pani. W rzeczy samej. Od pana Gregory’ego. Prosił mnie, żebym pani przekazała. Do mnie też napisał. I raczej nie sądzę, żeby przyjechał na spotkanie. Nie dziś...

Eleanor nie odpowiedziała. Powoli zdjęła rękawiczki, sięgnęła po nóż do kopert leżący na biurku Gregory’ego, posrebrzany, z wygrawerowanymi dwoma skrzyżowanymi rewolwerami na czubku.

– Pan Gregory nie czuje się dziś zbyt dobrze...

Droga Pani Beecham,

proszę przyjąć moje przeprosiny. Jako że złożyły mnie ból głowy i gorączka, mój zaufany lekarz nakazał mi dziś pod żadnym pozorem nie opuszczać łóżka. Ogromnie jednak żałuję, że nie jestem w stanie sam przekazać Pani bolesnej decyzji, którą podjąłem.

Przykro mi oznajmić Pani, że po głębokim przemyśleniu doszedłem do wniosku, że nie mogę dalej pracować nad Pani sprawą. Jak to pięknie ujęła pani Gregory, gdy omawiałem z nią Pani historię wczoraj wieczór (oczywiście bez nazwisk), Pani i ja gonimy cienie. Obawiam się, że moja żona dotknęła sedna.

Zgodnie z zapisami w dokumentach matka Pani, a babka i opiekunka Ishy, odeszła zimą 1913 roku podczas epidemii gruźlicy w kamienicy przeludnionej i prezentującej tak mierne warunki sanitarne, że została wyłączona z używania na potrzeby mieszkalne. Epidemia, która zabrała Pani matkę, pozbawiła też życia wiele innych osób, nawet te, które wcześniej nie chorowały. Z tym musi się Pani zgodzić.

Przez wszystkie lata energicznych poszukiwań mojego ojca i moich nie udało się nam natrafić na najmniejszy dowód tego, że Pani młoda córka przeżyła tamten okres. Zgodnie z tym, co przekazała nam Pani sama, dziecko było zawsze niezwykle słabe i chorowite.

W związku z powyższym oraz wzięwszy pod uwagę wszystkie materiały zebrane i przeanalizowane przeze mnie oraz mojego ojca, a także mając szansę pracować przez te kilka ostatnich dni z Panią, mogę dziś z absolutną pewnością oświadczyć, że zgodnie z moim przekonaniem Pani ukochana córka odeszła razem ze swoją babką zimą 1913 w tym właśnie przeludnionym budynku. Nie ma innej odpowiedzi na Pani pytanie.

Żywię nadzieję, że pewnego dnia przyjmie Pani tę okrutną prawdę i znajdzie sposób, by żyć dalej ze świadomością, że Pani córka przebywa już w chwale Pana, w której Pani – jej Kochająca Matka – pewnego dnia z pewnością ją spotka. Ubolewam głęboko nad Pani bólem, Pani Beecham, proszę mi wierzyć. Jest zawsze jakaś cena, którą trzeba zapłacić za sławę i pieniądze. Pani i Jej mąż już z nadstatkiem spłaciliście swój dług.

W poszanowaniu pracy, którą mój ojciec i ja przez tyle lat wykonaliśmy, oraz z dodatkowym procentem za dyskrecję, tak ważną w agencji detektywistycznej, zwłaszcza gdy klientem jest osoba taka jak Pani, pozwalam sobie załączyć do niniejszego listu rachunek, który powinien być uregulowany z panią Davison niezwłocznie, to jest jeszcze przed Pani wyjazdem z miasta. Stanowczo proszę o przekazanie należności w gotówce.

Pani szczególna sprawa, wymagająca ogromnej dyskrecji wcześniej, obecnie, ale też w przyszłości, była dla mnie przypadkiem niezwykle kłopotliwym. To ze zrozumiałych przyczyn przełożyło się na koszty widoczne w moim ostatecznym rozliczeniu.

Życzę Pani dużo szczęścia na przyszłość. Pani Gregory i ja będziemy z niecierpliwością wyczekiwać następnych Pani filmów.

Matthew Gregory

Eleanor przeczytała list od początku do końca. Pani Davison w tym czasie wpatrywała się w nią jakśroka w gnat, oczekując odpowiedzi. Twarz aktorki jednak nie wyrażała żadnych emocji. Odłożyła list pana Gregory'ego na biurko i sięgnęła po drugą kopertę. Następnie, nie patrząc na sekretarkę, spytała spokojnie:

– Wie pani, ile tu naliczono?

– Myślę, że tam jest rachunek...

Eleanor podniosła swoje starannie wypielęgnowane brwi, których kształt zaaprobowała wytwórnia:

– Oho, całkiem niezły – powiedziała.

– Napisał, że może pani zapłacić gotówką...

– Tak, mi też tak napisał, jednakowoż nie jestem pewna, za co mam mu właściwie zapłacić. Może pani to wie? Nie był bardzo pomocny.

– Cóż, może w takim razie za jego czas... Ale oczywiście ja nic nie wiem o sprawie – dodała pani Davison pospiesznie.

– Och. – Eleanor uśmiechnęła się do niej. – Ale przecież coś tam musiało do pani dotrzeć. Ja szukałam mojej córki.

– No tak, rzeczywiście. Jestem oczywiście świadoma... by tak rzec. Jeśli mogę coś powiedzieć w obronie pana Gregory'ego... Pan Gregory wspomniał mi, że może państwo szukali pani córki dlatego, że... może... może dlatego, że było pani trudno, jak każdej matce, zaakceptować fakt, iż...

Eleanor rzuciła pani Davison lodowate spojrzenie, zabraniając jej dokończyć zdania. Clara Davison przystała na to.

W końcu po krótkiej chwili odezwała się pani Beecham:

– Tutaj nie ma szczegółowego zestawienia kosztów. I nie bardzo widzę, w jaki sposób on wyliczył sobie ostateczną sumę. Co pani sądzi?

Pani Davison zastanawiała się, czy przyznać się, że nie zna ostatecznej wysokości rachunku, nie mówiąc już o sposobie, w jaki jej pracodawca ją wyliczył. Ale nic nie odpowiedziała.

– A na dodatek widzę tu przekreśloną poprzednią kwotę... – Eleanor podniosła kartkę bliżej twarzy – ...która była raczej niższa. Tak, niższa o pięć tysięcy dolarów, proszę spojrzeć. Obok

zapisano nową kwotę. On żąda dwudziestu tysięcy dolarów! Zgodzi się pani chyba...

Pani Davison z trudem złapała powietrze.

– ...że to wygórowana cena?

– Myślę... czy mogę spojrzeć?... że to musi być jakaś pomyłka.

– Najwyraźniej pomyłka – zgodziła się Eleanor.

Nie mogła pozbiierać myśli. Pan Gregory jej nie docenił. Ludzie często tak robili. W dość niezdatny sposób Matthew Gregory próbował ją zaszantażować. No tak Wczoraj stracił pieniądze, a dziś, dureń, próbował odbić sobie, co jeszcze mógł i gdzie mógł. Eleanor prawie... go pożałowała. Cóż to za głupiec! I jaka ona sama była głupia, skoro przez chwilę miała nadzieję, że człowiek ten przyniesie jej jakieś odpowiedzi, jakieś pocieszenie, cokolwiek.

Gregory nie miał o niczym pojęcia, ale wiedział wystarczająco dużo, by stanowić zagrożenie. Mimo nawet swojej niewielkiej inteligencji odrobiną starania (czego trudno było się po nim spodziewać, ale było to możliwe) mógł dowiedzieć się jeszcze więcej i spowodować niewyobrażalne szkody. To jednak prawda, że Eleanor zabrała mu sporo czasu. To była mu winna i za to miała zamiar mu szczerze zapłacić.

Poradzi sobie także z resztą.

– Proszę przekazać panu Gregory'emu – powiedziała, znów nie patrząc na sekretarkę – że zapłacę mu w gotówce, ale pod warunkiem, że spotka się ze mną osobiście i sam odbierze ode mnie pieniądze. Muszę wcześniej oczywiście iść do banku. Niechętnie noszę takie sumy ze sobą. Proszę mu przekazać, że będę u niego w domu mniej więcej za godzinę.

– Cóż, myślę, że wolałby spotkać się w biurze...

– U niego w domu. Za godzinę.

Eleanor wstała, włożyła ciemne okulary i spojrzała z góry na panią Davison.

– Poproszę o jego adres.

– Tak... tak, oczywiście.

– Zatem jest zrujnowany, tak? – spytała Eleanor, jakby to był wniosek wyciągnięty z całej sytuacji. – Wszystko stracił?

– Naprawdę nie wiem. Myślę, że pewnie tak..

– A zapłacił pani?

– Wypisał czek za ten miesiąc, ale pisał o tym tak, jakby miał wątpliwości, czy uda się go zrealizować.

Eleanor się zaśmiała.

– Zdaje się, że pani bardzo długo tu pracowała, prawda?

– Tak, pani Beecham. Od samego początku.

– W takim razie, jeśli pojedzie pani ze mną do banku, dostanie pani w gotówce pensję za trzy miesiące. Albo nie, za sześc. Odliczę to od sumy rachunku.

– To bardzo miło z pani strony, pani Beecham, bardzo miło.

– Proszę podziękować panu Gregory'emu.

– Czy pani naprawdę zapłaci mu tyle, ile on chce? Jeśli mogę coś powiedzieć, to jest zawrotna kwota.

Eleanor była już przy drzwiach. Mijała diabelską maszynę, która ciągle tikala.

– Oczywiście, że nie – odpowiedziała i odwróciła się. – Idzie pani?

Matthew Gregory stał w oknie salonu ubrany w piżamę i szlafrok. Pocił się raczej z powodu głębokiego zażenowania swoim zachowaniem niż z gorączki. Czekał z niecierpliwością, aż pojawi się jej samochód. Clara Davison zadzwoniła z wiadomością, że Eleanor Beecham jest już w drodze. Czy przyjedzie? – zastanawiał się. Z taką forszą? Sekretarka nie chciała rozmawiać. Przekazała wiadomość i rozłączyła się, zanim zdążył o cokolwiek spytać. Teraz mógł już tylko czekać.

W końcu taksówka podjechała pod dom. Za moment Gregory był już za drzwiami i drobnymi krokami zmierzał w jej kierunku. Za nic nie chciał, żeby Eleanor spotkała jego żonę i dziecko. Ani teraz, ani nigdy. Chciał już skończyć z tym wszystkim. Chciał, żeby Eleanor dała mu jego pieniądze, a potem zniknęła na zawsze z jego życia i z jego myśli.

Był już przy samochodzie i otworzył Eleanor drzwi tak, by ta nie mogła wysiąść.

– Pani Beecham – powiedział, a krople potu wystąpiły mu na czoło. – Jak to miło, że pani przyjechała...

Zauważyła, że był zdenerwowany. Był bardziej zdenerwowany niż ona.

– Dostałam pański list.

– No tak – Matthew rozejrzał się, nie wiedząc, co ma teraz zrobić. Chciał przeprosić.

– Może pan wsiądzie? – zaproponowała.

Twarz Gregory'ego i jego ramiona rozluźniły się w wyrazie ulgi.

– Jeśli mógłbym...

– Właśnie pana zaprosiłam – odparowała – to znaczy, że tak, może pan.

– Proszę mi wybaczyć ten strój. Jak pani wie – wymamrotał, wsiadając – nie czuję się najlepiej.

Co też ją napadło – pomyślała Eleanor, widząc, jak Matthew Gregory owija się pretensjonalnie połami szlafroka – żeby zaufać temu człowiekowi? Brak pomysłu? Desperacja? Samotność? To już jednak nie miało znaczenia. Czekała, aż mężczyzna się usadowi.

– Gorąco dzisiaj – zauważył. – Bardzo gorąco. A może to tylko temperatura?

Eleanor nie odpowiedziała.

– Cóż, po pierwsze, pani Beecham, chciałem pani podziękować. Dziękuję, że pani przyjechała. Zaprosiłbym panią do środka, ale do małej przyjechała kuzynka i pewnie byłoby dla pani za głośno.

– Pewnie ma pan rację – przerwała mu. – Gonię za cieniem, jak pan to ujął.

– To pani Gregory powiedziała...

– Dziwnym zbiegiem okoliczności, gdy zmierzałam dziś rano do pana biura, doszłam do identycznego wniosku. – Eleanor była zaskoczona, że udało jej się wypowiedzieć tak spokojnie swoją poranną konkluzję dowodzącą utraty nadziei. – Ścigałam cienie – powtórzyła.

Zapadła cisza. Rozdarty między desperacją finansową a zwykłym ludzkim współczuciem dla matki rozpaczającej po stracie dziecka (to współczucie tym było mocniejsze, że owa matka siedziała teraz obok) pan Gregory podniósł małą gorącą dłoń i położył ją na chłodnej w dotyku, delikatnej i szczupłej, co dało się wy czuć nawet przez rękawiczkę, dłoni Eleanor. Odepchnęła go.

– Przyniosłam panu gotówkę.

– Och!

– Wydaje się pan zaskoczony.

– Nie! To znaczy, oczywiście nie chodzi tylko o pieniądze. Chciałem powiedzieć, że ogromnie mi przykro z powodu...

– Żądał pan piętnastu tysięcy dolarów. Potem w tym samym liście dodał pan jeszcze pięć tysięcy.

– Tak, ja... Pojawiły się pewne okoliczności. Wydatki i tak dalej, o których zapomniałem wcześniej.

– Postanowiłam zapłacić panu sześć tysięcy. Myślę, że to z mojej strony duża hojność.

Gregory rzucił jej niepewne ukradkowe spojrzenie z nadzieją, że nie napotka jej wzroku. Ona jednak przyglądała mu się lodowato albo przy najmniej tak mu się wydawało. Trudno było orzec, miała przecież okulary.

– Nie widzę pani oczu – poskarżył się.

– Z tego – ciągnęła pani Beecham – tysiąc dolarów w gotówce przekazałam pańskiej sekretarce. Myślę, że choć tyle jej się od pana należało za te wszystkie lata pracy. Rozumiem, że agencja jest *kaput*.

– Obawiam się, że tak

– I co pan zrobi? Wróci pan do policji?

– Chyba tak. Jeśli mnie zechcą...

Wzruszyła ramionami, bo w istocie w ogóle jej to nie obchodziło. Podała mu wypchaną kopertę.

– Pięć tysięcy, gotówką. Chce pan przeliczyć?

– Nie. Jestem pewien, że się zgadza... Z tym, że prosiłem o...

– Prosił pan o zbyt wiele.

– No tak. Ma pani rację.

Eleanor zastanawiała się, co z niego za mężczyzna, skoro tak łatwo się poddaje. Pochyliła się... konwalie i gwiazdny pył... Matthew poczuł, że robi mu się słabo. Zniżyła głos do szeptu, zdjęła okulary i wbiła w niego spojrzenie z samej głębi jej zielonych oczu.

– Musi pan zrozumieć, panie Gregory, że powiedziałam panu rzeczy, o których nikt nie wie.

Nikt na świecie...

– Tak..

– Jeśli dojdzie do mnie choć słowo czy choćby urywka tego, co panu powiedziałam...

– Nie!

– ...to znajdę pana. Zrozumiano?

– Tak! Tak, oczywiście...

– Znajdę pana i pana małą córeczkę, i pana żonę, i pana drugie dziecko, to, które ma się dopiero urodzić.

– Oczywiście.

– I wyślę człowieka, żeby was zabił.

Matthew przez chwilę chciał się nawet roześmiać, ale kiedy spojrzął znów na Eleanor przez mgiełkę błyszczącą jak gwiazdny pył, gdy natrafił na jej zielone oczy, które tak wiele widziały, ochota do śmiechu całkiem go opuściła. Przytaknął bez słowa, chwycił kopertę, wymknął się z samochodu i potruczał przez swój zielony ogródek do ukochanej córki, żony i dziecka w drodze, a potem zatrzaskał za sobą drzwi. Nie obejrzał się za siebie ani razu i postanowił, że nigdy tego nie zrobi.

Siedząc przy świetnie dobranym biurku w najwytworniejszym ze wszystkich gabinetów w Lionsfiel i bawiąc się ciężkim wiecznym piórem w obsadce ze złota, zawsze miłego w dotyku, Butch Menken pomyślał o swoich osiągnięciach i poczuł się nieusatyfakcjonowany.

Tego typu rozważania nigdy nie przynosiły nic dobrego. Zazwyczaj Butch był na tyle mądry, by ich unikać. Ale teraz, kiedy był na szczycie i nic pilnego go nie rozpraszało, nie mógł się przed nimi powstrzymać. Czas mu się dłużył – informował o tym jego platynowy zegarek. Tęsknił za Eleanor. Tęsknił za Maksem.

Wszystko szło wyśmienicie, a jego życie przebiegało zgodnie z planem. Wydawało się, że na żadnym polu nie mógł już zrobić niewłaściwego kroku. Nawet teraz, kiedy cała Ameryka tonęła w chaosie i długach, Butch Menken zarabiał. Nie sprzedał swoich akcji na giełdzie. Dla człowieka, który lubił mierzyć się ze światem na inteligencję, byłoby to rozwiązanie zbyt proste. Ciągłe był na giełdzie, kupował i sprzedawał. Stawiał na upadające spółki, sprzedawał szybko i wychodził na swoje. Czarny czwartek był dla niego złoty. Butch zarobił ćwierć miliona dolarów w jeden dzień. Teraz, kiedy nie chodziło już o pieniądze, miał ich więcej, niż chciał.

Max za to był na dnie. W tej chwili przy najmniej. Butch to sprawdził.

I jeszcze ta praca, o której zawsze marzył. Miał stworzyć superwytwórnię według własnego pomysłu. Butch uśmiechnął się zaskoczony zachłannością swojej niewyżytej ambicji. To tylko kwestia czasu, pomyślał, może pięć lat, zanim zmieni nazwę na Silverman & Menken Pictures albo Menken & Silverman Pictures. Menken.

W każdym razie tego ranka Butch osiągnął wszystko, więcej nawet, niż było mu potrzebne, i czuł się samotny, wypalony i (co było u niego rzadsze) nawet lekko zdruzony.

Człowiek może zatem być zbyt bystry.

Menken chciał, żeby Eleanor wreszcie wróciła. Było południe. Dziś rano posłał jej kolejną depezę, powinna była już ją dostać. Dlaczego nie dzwoniła? Czy nie rozumiała, jak bardzo jej potrzebował? Do licha z nią!

Właśnie w momencie, gdy Butch przeklinał Eleanor za to, że nie potrzebowała go tak bardzo,

jakby chciał, zadzwonił telefon. Z Reno. Od Eleanor. Ze sposobu, w jaki wymówiła jego imię – jedną krótką sylabę – domyślił się, że zaszła w niej jakaś zmiana.

– Butch?

– Kochanie! Martwiłem się! Gdzie jesteś?

– Ciągłe w Reno. Wracam do domu.

– Wracasz! Bogu dzięki! Czy wszystko dobrze? Co się stało?

– Nic się nie stało. Pojechałam spotkać się z detektywem, to wszystko. Dałam mu dużo pieniędzy i to koniec. Jestem pewna, że to już skończone. Wracam do domu.

Butch poczuł ukłucie. Może to triumf. A może zawód? Czy to możliwe, zastanawiał się, czuąc obie te rzeczy naraz?

– Co jest skończone, kotku? O czym ty mówisz? Czy wszystko dobrze? Dziwnie brzisz...

– Mówię, że... – I powiedziała to. Tę rzecz, którą potrzebowała wypowiedzieć, tę, z którą zadzwoniła do Butcha. Chciała przećwiczyć wypowiedzianie jej głośno, zanim powie ją Maksowi. Mówiła ją już do lustra. Powiedziała ją panu Gregory'emu, a teraz znów ją powtórzyła: – Pogodziłam się z tym.

– Pogodziłaś się z czym?

– Że moja Isha odeszła. Że nie żyje, Butch. Umarła. Dawno temu.

Tym razem, gdy wypowiadała te słowa, łzy spłynęły jej po policzkach, choć jej głos się nie załamał, a dla Butcha brzmiała niemal gawędziarsko.

Butch nie to spodziewał się usłyszeć. Prawie... To oczywiście brzmi absurdalnie, ale prawie zapomniał już o dziecku. O Ishy. Isha... No jasne, przecież pojechała do Reno, żeby odnaleźć dziecko. Nie wiedział, co powiedzieć. Cóż było do powiedzenia? Co powinien czuć? Do wczoraj nie wiedział nawet, że jakaś Isha istniała.

– Bardzo mi przykro – wyznał i, słysząc swój głos, zrozumiał, jak bardzo to było nie na miejscu. – Trzymasz się, kochanie?

Chciał porozmawiać z nią o swoim nowym kontrakcie. Było tak wiele rzeczy, o których chciał rozmawiać, rzeczy istotnych. Rzeczy, które nie były związane ze śmiercią.

– Umarła w 1913 roku. Razem ze swoją babcią. Myślę, że musiały umrzeć razem, w tym samym czasie. Tak myślę.

– Ja myślę, że...

– Wszystko w porządku.

– Tak.. Naprawdę?

– W porządku.

Oczywiście nie było. Eleanor łkała.

– Ludzie umierają. Dzieci umierają. Każdego dnia, prawda, Butch? Ludzie umierają...

– Skarbie?

Nie odpowiedziała.

– Skarbie, myślę, że powinnaś wrócić do domu.

– Wracam. Przecież ci powiedziałam.

– Brzisz, jakbyś...

– Wszystko w porządku.

– Chcesz, żebym przyjechał do Reno? – spytał łagodnie. Eleanor z pewnością nie miała się dobrze. – Mogę przyjechać i cię stamtąd zabrać, kochanie. Jeśli chcesz. Mogę wynająć samolot

i przywieźć cię do domu. To żaden kłopot...

– Nie. Dziękuję ci, Butch. Zostawiam tu rzeczy i wracam pociągiem. Muszę porozmawiać z Makssem... Potem znów tu wrócę. To pewnie zajmie kilka tygodni, prawda?

Tym razem zrozumiał, o co jej chodziło. Poczł kolejny przyptływ uczuć: triumf zaprawiony smutkiem. I niepokój. Scena się zmieniała, nie wiedział jeszcze jak i nie wiedział, czy jest z tego zadowolony tak bardzo, jak mu się wydawało, że będzie.

– Kochanie, posłuchaj. Jest kilka rzeczy, które muszę ci powiedzieć. Od naszej ostatniej rozmowy trochę się wydarzyło. Miałem ci powiedzieć... powinienem był ci powiedzieć wcześniej. Musisz to wiedzieć, zanim będziesz rozmawiać z Makssem.

– Wiem o krachu – oświadczyła szybko. – Myślę, że Maks stracił dużo pieniędzy...

– Cóż, o tym nic mi nie wiadomo... Mówiłaś, że siedział w tym dość gęęboko.

– A ty?

– A ja co?

– Straciłeś pieniądze?

– Nie.

– Och. – Eleanor pozwoliła wybrzmieć tej informacji. – No to dobrze – powiedziała miło. – Mądry Butch.

– Wy walili Maksa.

– Co?

– Stracił pracę. Silverman musiał go wyrzucić... Wstawiłem się za nim. Zrobiłem, co mogłem...

Eleanor słuchała zdziwiona. Czemu Butch wstawiał się za Makssem? Dlaczego w ogóle miał z tym coś wspólnego? I dlaczego Butch jej to mówił? Teraz. Nie odzywała się, czekała, aż sam dokończy.

– Joelowi nie podobał się ostateczny kształt „Zaginione na morzu” – ciągnął Butch. – I miał rację, to się nie nadawało do kin. Kazał Maksowi zmontować film na nowo, ale on nie chciał. Zniszczył wszystkie odrzucone nagrania czy Bóg jeden wie, co z nimi zrobił. W każdym razie ich nie ma.

– Co zrobił? – Na przekór wszystkiemu, na przekór odrętwieniu, jakie czuła w sercu, Eleanor uśmiechnęła się na myśl o nieugiętym duchu Maksa. – On kochał ten film – powiedziała.

– To nie było najlepsze, co mógł zrobić.

– To dobry film, Butch.

– Cóż, tu się muszę nie zgodzić.

– Przecież go nie widziałeś.

Zapadła głucha cisza. W końcu odezwał się Menken:

– W zasadzie to widziałem. I to właśnie próbuję ci powiedzieć. Dziś jest mój ostatni dzień w Lionsfield, El. Od przyszłego tygodnia zacznę w Silvermanie. Gdybyś nie wyjechała, dowiedziałabyś się wcześniej. Ogłoszono to przedwczoraj... – Butch nie mógł powstrzymać dumy w głosie. – Główny producent, El...

Na linii zapadła cisza.

– Niech Irving Thalberg ma się na baczności, co nie?

Ciągle cisza.

– Dla ciebie to też jest dobra wiadomość, El – ciągnął Butch nieco ciszej.

– Na pewno – powiedziała bez przekonania. – Dobra robota, kochanie.

Dlaczego on mówił o Thalbergu? Przecież dzwoniła opowiedzieć mu o swojej córce.

– ...musisz wiedzieć, że Carrascosa nie przedłuży... – mówił. – Zdawałaś sobie z tego sprawę, prawda? Twój kontrakt z Lionsfiel kończy się za dwa miesiące i nie przedłuż ci go.

– Nie wiedziałam.

– Mówiłem! Ostrzegąłem... El, czy ty w ogóle przejrzałaś ten scenariusz, który ci przyśleli?

– Jaki scenariusz?

– „Poczcziarza”.

– „Poczcziarza”... – powtórzyła głośno. – Nie, nie widziałam go.

– No cóż... – westchnął Butch zły na nią. Nawet teraz wydawało się, że w ogóle jej nie zależy. – El, rozumiem, że to wszystko jest dla ciebie teraz bardzo trudne, naprawdę to rozumiem. Ale, kotku, twój kontrakt wygasa. Twoje wyniki są beznadziejne. Nie sądzisz, że ten scenariusz to może być wskazówka?

– Jaka znów wskazówka?

– Daj spokój, El. Wskazówka dotycząca twojej przyszłości tu, w Lionsfiel.

– Spieszyłam się...

– Powinnaś była go przeczytać, kochanie. Wtedy byłabyś gotowa.

Eleanor poczuła niewytłumaczalną potrzebę roześmiania się.

– Gotowa na co?

– Pojawiasz się dopiero w połowie trzeciej sceny. Grasz matkę bohaterki.

Nie chciała o tym myśleć, nie teraz. To była ostatnia rzecz, jaką chciała zaprzętać sobie głowę.

– Butch, czy moglibyśmy porozmawiać o tym, jak wrócę? Rozumiem, że to ważne. Oczywiście, że ważne. Wszystko jest takie bardzo ważne, prawda? Och, biedny Max. Muszę z nim pomówić. Rozmawiałeś z nim już, Butch? Wszystko z nim w porządku?

Menken wyobraził sobie Maksa tak jak go ostatnio widział – w koszuli poplamionej swoją krwią, błagającego go, by powiedział, gdzie jest Eleanor, i wywleczonego z pokoju, w którym Butch właśnie siedział.

– Ma się dobrze – odpowiedział zniecierpliwiony. – Max ma się świetnie. Kochanie, to o ciebie raczej się martwiłem. Jesteś tam? Bardzo słabo cię słychać.

– Jestem.

– Co mówisz?

– Mówiłam, że jestem.

– Kochanie, słyszysz mnie? Posłuchaj, El, zdobędę dla ciebie nowy kontrakt. Dobry, pewny kontrakt u Silvermana. To pierwsze, co zrobię. Rozumiesz? Wszystko będzie dobrze. Zaopiekuję się tobą i będziemy razem robić wspaniałe filmy! El? Słyszysz mnie?

Szумы na linii stawały się coraz głośniejsze, co zazwyczaj wróżyło przerwanie połączenia, Butch mówił więc z coraz większym pośpiechem. Chciał, żeby Eleanor wróciła do Los Angeles, chciał ją pocieszyć, obiecując, że mimo wszystko sprawy się poukładają. On się nią zajmie.

– A co z Maksem? – spytała.

– Z Maksem? – Butch starał się wyciszyć nerwy. – Mówiłem ci, Max sam się o siebie zatroszczy. Potrafi to zrobić lepiej niż ktokolwiek inny – dodał z goryczą.

– Poza tobą, Butch.

- Co? Co mówiłaś? Nie słyszę cię! Halo, kochanie, słyszysz mnie?
- Tak, słyszę cię, Butch. Muszę już kończyć, bo spóźnię się na pociąg.
- El?
- Tak?

Jego głos stracił ostrość.

- Uważaj na siebie - powiedział łagodnie. Przez głowę przepłynął mu nagle obraz jej gibkiego ciała, ciepłego i otwartego, z całą jego namiętnością, która uwalniała się w łóżku. Cholera, tęsknił za nią. - Chcę, żebyś już wróciła - dodał.

Eleanor westchnęła, a to długie westchnienie, które przebiło się przez trzaski na linii, mogło znaczyć cokolwiek. Sama nie wiedziała, co znaczyło dla niej. Też za nim tęskniła. Z wielu powodów. Może, pomyślała. Może...

Połączenie zostało przerwane.

Sobota, 26 października 1929

Przed wyjazdem z Reno Eleanor wysłała do Maksu telegram z informacją, że przyjeżdża. Nie czekał na stacji, żeby ją powitać. Wzięła taksówkę do Castillo, do domu, który razem wybudowali. Gdy tylko samochód skręcił na krótki podjazd, Eleanor w jakiś sposób wiedziała już, że Maks tam nie zostanie. Patrzyła na willę. To był jej dom. Całym swoim przepychem Castillo zdawało się kpić z niej i z nadziei, jaką niegdyś ten budynek utożsamiał, oraz ze wszystkiego, co oboje z Maksem w niego zainwestowali. W tej chwili to miejsce nie było ani trochę przytulne.

Teresa i Joseph wyszli z domu, żeby ją przywitać, jakby była zbłąkanym żołnierzem wracającym z frontu. Przez te kilka dni po wyjeździe Eleanor świat stanął na głowie. Pisano tak w każdej gazecie. Max całkiem zniknął, a oni martwili się o swoje posady.

– Gdzie jest pan Beecham? – spytała Eleanor, gdy wyciągali jej walizki z bagażnika. – Widzieliście go dziś?

Teresa pokręciła głową.

– Nie widzieliśmy go przynajmniej od dwóch dni. Było tu tak cicho. A potem nagle cała ta historia... – Zamilkła na chwilę. Nie była pewna, czy wypada jej o tym mówić, ale nie mogła się powstrzymać. – Giełda się załamała. Tylko o tym wszyscy gadają. Ten jest zrujnowany, tamten też wszystko stracił. Ludzie rzucają się z dachów budynków, pani Beecham! Mówimy sobie z Josephem: „Mamy nadzieję, że pani i pan Beechamowie nie są zrujnowani!” Nie jesteście zrujnowani, prawda, pani Beecham?

Eleanor się uśmiechnęła.

– Oczywiście, że nie – odpowiedziała niepewnie. – I cokolwiek się stanie, Tereso, ty i Joseph nie macie się czym martwić. Zadbamy o was.

Cała trójka weszła do domu i stanęła u stóp wielkich schodów, schodów, które Max sam

zaprojektował. Wrócił pewnego dnia do domku przy placu Poinsettia, gdzie mieszkali, kiedy budowano Castillo, i przyniósł szkice, które zrobił tuszem na odwróconej płóciennym serwetki z restauracji. Robił tak czasem, gdy pracował nad ustawieniem scen do swoich filmów.

– Podłogi będą z czarnego i białego marmuru – mówił – a schody będą się wily dwiema rozchodzącymi się spiralami. To będzie jak dekoracja, jak schody, po których mógł wbiegać w obrotach Kopciuszek ubrany w wy czarowaną suknię w drodze na bal u księcia. – Tak opowiadał o nich Max, gdy po raz pierwszy pokazał Eleanor swoje rysunki. – Będziesz mogła udawać, że jesteś Kopciuszką – dodał. – I to każdego ranka, kiedy będziesz schodzić na śniadanie!

Zaśmiała się.

– Kto będzie mógł udawać – ja czy ty? Oboje jesteśmy Kopciuszkami, nieprawdąż?

– Co to, to nie!

– W takim razie kim ty jesteś, skarbie? Czy nie wyrwałeś się z ry nsztoku i kurzu, czy nie byłeś kociuchem...?

– Ja, moja kochana – pocałował ją czule – jestem feniksem. Podniosłem się z popiołów bez niczyjej pomocy i bez żadnego przekłętego księcia. To tyle, dziękuję. Ty zrobiłaś taksamo.

To jednak nie była prawda, Eleanor dobrze to wiedziała. Gdyby nie Max, ciągle byłaby w Nowym Jorku i pewnie pochylałaby się właśnie nad maszyną do szycia, licząc godziny i każdego centa... To Max zrobił z niej gwiazdę.

Tego ranka nie czekał na nią w Castillo ani feniks, ani książę z bajki. Zastanawiała się, dlaczego tamto wspomnienie wróciło do niej właśnie dziś. W domu panowała dojmująca pustka. Może to dlatego? Castillo powstawało z nadzieją, a dziś Eleanor wróciła do niego zupełnie jej pozbawiona.

– Tereso, czy możesz mi przygotować kąpiel? I poprosz Josepha, żeby przyprawił samochód, dobrze? Chyba przebiore się i pojedę prosto do miasta.

– Joseph ma panią zawieźć?

– Nie, dziękuję. Sama poprowadzę.

Eleanor wiedziała, gdzie mieszkała Blanche Williams. Znała numer domu i mieszkania. Wiedziała zatem, gdzie był Max. Chciała pojechać prosto pod ten adres i czekać w samochodzie, aż uda jej się wślizgnąć do budynku. Nie miała wprawdzie jeszcze pojęcia, jak dostanie się do mieszkania, ale po tylu latach odwracania głowy była już pewna, że musi to zrobić. Wejdzie tam i złapie ich na gorącym uczynku.

Odwróciła się od Teresy i wyobraziła sobie ich: leżeli spleceni w uścisku, Max i Blanche. Eleanor i Butch. On z zamglonym spojrzeniem i ramionami połykającymi od potu. Mija chwila, Eleanor obserwuje ich zagubionych nawzajem w swoich ciałach... Może to Blanche dostrzeże ją pierwsza. Max odwraca się. Jego wzrok momentalnie odzyskuje ostrość, mgła rozmarzenia opada.

Czy było jej to potrzebne?

– Albo wiesz co? – zwróciła się do Teresy. – Nie kłopotz Josepha. – Uśmiechnęła się. – Przemysłałam to i lepiej po prostu poszukam pana Beechama telefonicznie.

Nie byli spleceni w uścisku, nic z tych rzeczy. Siedzieli pochyleni nad gazetą rozłożoną na dobrze oświetlonym stoliku Blanche i czytali o załamaniu giełdy. Była to druga noc z rzędu – z dwóch tylko nocy – którą spędzili razem. Dziś rano obudzili się w innym świecie.

Blanche zachęcona przez Maksa zatrudniła maklera, ale grała o wiele mniej ryzykownie niż on. Wzbraniała się przed zaciąganiem długów i tego ranka, patrząc na przystojną twarz Maksa, której szarość kontrastowała z blaskiem Kalifornii, była za to sobie wdzięczna bardziej, niż potrafiła wyrazić. Wolałaby umrzeć (takmówiła), niż poprosić rodziców o pieniądze. Teraz, dzięki Bogu, nie musiała tego robić. Jej oszczędności wprawdzie ucierpiały, ale nadal była wypłacalna.

W ten sobotni rano gazety wydawały się przekonane, że rynek się w końcu ustabilizuje. Namawiano czytelników, by korzystali ze spadku cen i kupowali akcje.

– Co sądzisz? – spytała Maksa, dolewając im obojgu kawy. – Myślisz, że to prawda?

Nie odpowiedział.

– Max? Co o tym sądzisz?

– Sądzę, że nie jestem najlepszą osobą, którą powinnaś o to pytać.

Blanche się zachmurzyła. To nie było w stylu Maksa.

Oboje rozmawiali ze swoimi maklerami tego ranka. Blanche bardzo krótko, Maksowi zajęło to więcej czasu. Ona takownie wycofała się do sypialni, żeby nie podsłuchiwać. A oni mówili i mówili... Kiedy Max w końcu do niej dołączył, wyglądał, jakby przeżył ciężki wstrząs psychiczny. Nie zapytała, jak poszła rozmowa, było jasne, że nie poszła dobrze – nietrudno było się tego domyślić.

Spojrzała na Maksa teraz, gdy siedział przy jej małym stoliku nie całkiem ubrany. Pod niedopiętą białą koszulą widziała jego mocny tors i szczupły odsłonięty brzuch. Przyjemnie było popatrzeć. Tylko że – i to ją zaskoczyło – Max wydawał się duży. Zbyt duży jak na jej mieszkanko z obitą czerwonym aksamitem kanapą, za małe nawet na to, by trzymać w nim kota. Nigdy wcześniej nie zwróciła uwagi, jak mały był jej duży pokój. Ale po dwóch dniach z butami Maksa opartymi o jej maluśki kominek i jego marynarką zwiniętą byle jak i rzuconą na regał

z książkami...

Kiedy pytała go o tę dziewczynę, tę o wyglądzie gwiazdy filmowej, która szła za nią ze sklepu dwa dni wcześniej i pytała o Maksę, używając jego nazwiska, a oczy miała tak szdiste, jakby zaraz miała wybuchnąć płaczem, pomyślała, że nie miało znaczenia, jak dobrym Max był kłamcą. Ona, Blanche, nigdy nie uwierzy w jego wykręty i cokolwiek usłyszy, będzie to jak cios nożem w serce... Kiedy jednak przyszło co do czego, temat się urwał. Max oczywiście zaprzeczył, że zna tę kobietę, i choć Blanche mu nie wierzyła ani przez chwilę, jej serce nigdy nie czuło większego przywiązania. Kto raz skłamie, będzie kłamał zawsze... Skoro Max okłamywał żonę, mógł też okłamywać kochankę... No i wydawał się taki strasznie wielki w jej małym domku.

– Co zrobisz, Max?

Nie odpowiadał.

– Max? – powtórzyła teraz już lekko zniecierpliwiona. – Kochany, chciałabym ci pomóc. Czy wszystko w porządku? Czy... To znaczy, co ty teraz zrobisz? Rozmawiałeś z tym maklerem strasznie długo. Jest bardzo źle? Max?

Mężczyzna ostentacyjnie przewrócił stronę gazety.

– Max, dajże już spokój. Mogę ci pomóc. Dlaczego nic nie mówisz?

Spojrzał na nią w końcu.

– Powiedzielibyśmy ci, kotku, gdybym tylko miał co. Na razie trudno to stwierdzić. Nie wszystko jeszcze sprzedałem, ale mój człowiek mówi, że powinienem. Myślę, że mógłbym ci mniej więcej wyjaśnić, jak bardzo jest źle, tylko po co? Po co chcesz to wiedzieć?

– Po co? – powtórzyła urażona. – Po to, że chcę wiedzieć, Max. Bo...

A właściwie dlaczego chciała wiedzieć? Może Max miał rację, może lepiej było nie wiedzieć? Może gdyby po prostu żyli dalej, jakby nigdy nic...

– Straciłem wszystko – rzucił opryskliwie, mnąc gazetę i patrząc Blanche prosto w twarz. – Jestem spłukany, skończony, goły, wyruchany. Jak jeszcze chcesz, żebym to nazwał? Niewiele mnie to obchodzi w sumie... – sam się zdziwił, słysząc, co mówi. – A teraz siedzę sobie u ciebie, piję twoją kawę... i, daję słowo, nie mam nawet nocnika, do którego mógłbym się potem wysikać! I co ty na to?

Blanche spojrzała na niego. Ich oczy się spotkały.

– Cóż – powiedziała w końcu. – No to kiepsko.

– Serio?

– Co my teraz zrobimy? Ja mogę...

Nie dokończyła, bo Max już kręcił głową.

– Kochanie – zaczął. – Masz własne kłopoty, zajmij się swoimi sprawami, a o mnie się nie martw. – Rzucił jej wymuszony uśmiech, który szybko ukrył, przechylając się nad jej wykwintnym małym stoliczkiem i całując ją w szyję. – Zdziwiłabyś się, gdybyś wiedziała, z jakich tarapatów się już wygrzebywałem.

– Och, przecież wiem!

Nie wiedziała jednak tego, więc z pewnością bardzo by się zdziwiła. W tej chwili zaś z powodu swojej niewiedzy straciła nieco wiary w niego. Po całej tej aferze z nagraniami do *Zagubionego na morzu* i po bójce z nowym producentem w Silverman Pictures, a na dodatek po spadku na Wall Street Max nie wydawał się jej już tym wszechwładnym królem

zjednoczonego królestwa Hollywood i jej własnych marzeń. Blanche widziała w nim teraz mężczyznę sporo starszego od niej i zdecydowanie za dużego, by siedzieć przy jej stoliczku.

– Kocham cię – powiedziała, bo w tej właśnie chwili po raz pierwszy przyszło jej na myśl, że może wcale go nie kocha.

Zauważył to. Znowu nachylił się ku niej i powoli, leniwie przejechał palcem po jej przedramieniu, obserwując z przyjemnością, jak jego dotyk odbił się w jej spojrzeniu. Zadygotała i spojrzała przed siebie.

– Nie musisz się o mnie martwić, Blanche – powiedział spokojnie pieścizliwym głosem, a jego spojrzenie zdjęło z niej zdenerwowanie, zmartwienie, uprzedzenia i sprawiło, że zaczęła się zastanawiać, czy oboje nie mogliby po prostu o wszystkim zapomnieć, o zaginionych żonach, o nocnikach, i wrócić do łóżka. Już miała to zaproponować, ale Max tak samo nagle, jak zaczęła ją uwodzić, odwrócił się od niej i zabrał rękę.

– Sam potrafię o siebie zadbać. Robiłem to, gdy ciebie jeszcze nie było na świecie – powiedział i wrócił do lektury.

Przez kilka minut oboje czytali w ciszy, a przynajmniej udawali, że czytają. Zza uchylonego okna dochodziły odgłosy ulicy. Dziś brzmiały bardziej groźnie – przypominały bardziej Nowy Jork niż Kalifornię. Klaksony wtórowały podniesionym głosem. Giełda była już zamknięta, był weekend, ale nastroje wcale się nie uspokoiły. Wszyscy byli u granic wytrzymałości.

Blanche żałowała, że zdenerwowała Maksa. W tej chwili nic jej nie obchodziły własne oszczędności, a tym bardziej jego. Skoro nie chciał rozmawiać o żonie, o pracy, o interesach, no to co. Póki ona mogła pracować, póki stać ją było na to małe mieszkanko, póki Max chciał z nią sypanać, do diabła z całą resztą.

– Max...? – wyszeptala.

Podniósł głowę. Pomyślał: Tak, oczywiście. Czemu nie?

Wysoki dźwięk telefonu Blanche wdarł się w ciszę i sprawił, że kobieta niemal podskoczyła.

– Nie odbieraj – powiedział łagodnie, nachylając się do niej.

Musiała odebrać. Po prostu musiała. Skąd miała wiedzieć, kto dzwoni? To mógł być ktokolwiek. Nie mogła czekać, aż dzwonek ucichnie.

Wstała, zgrabnie potruchtała wokół stołu, zalotnie wymykając mu się z rąk, i odebrała telefon. Odezwała się głupiutkim głosem, ponieważ wiedziała, że Max słucha, i dlatego że trochę wstydzila się, iż nie potrafiła zignorować dzwonka. To całkiem zepsuło nastrój, oczywiście. Teraz już nie pójdę do łóżka. Cholera.

– Dzieeeeeeeeeń dobry! – zaśpiewała idiotycznie do słuchawki. – Tu rezydencja Blanche Williams. Przy telefonie ona sama. W czym mogę pomóc w ten piękny, choć giełdowo niestabilny poranek?

– Dzień dobry, Blanche. Mówi Eleanor Beecham.

– Och – przerażona odwróciła się do Maksa, który mierzył ją leniwym, pełnym pożądania spojrzeniem. – Dziękuję... dziękuję, dobrze – odpowiedziała, chociaż pytanie nie padło. – Dziękuję pani, Eleanor... Miło panią słyszeć.

– Czy mogłaby pani poprosić Maksa do telefonu?

– M-Maksa? Chodzi pani o Maksa Beechama?

– Czy mogę z nim rozmawiać?

– Nie ma go... To znaczy, pani Beecham – Blanche odwróciła się znowu, żeby łatwiej jej było

kłamać. – Nie wiem, czemu pani sądzi... pani Beecham, nie ma go tu, naprawdę...

Zanim zdążyła dokończyć, Max przeskoczył przez pokój i wyrwał jej słuchawkę.

– El? El? To ty? Gdzie, u licha, jesteś?

Oszupienie, w jakie wprowadził Eleanor dźwięk jego głosu, trwało chwilę. Mimo że wiedziała doskonale, gdzie go szukać, mimo że przez cały czas wiedziała o jego romansie, to, że rzeczywiście go tam zastała... powinno wszystko zmienić, ale nie zmieniło nic. Max domyślił się, co czuła. Za wszelką cenę chciałby wszystko to cofnąć.

– Eleanor, wszystko w porządku?

– Oczywiście, że tak – wypaliła. – Czemu wszyscy mnie o to pytają. Tak mam się dobrze.

Żyję przecież, prawda? Słyszysz, że mówię.

– Gdzie jesteś? Gdzie byłaś cały ten czas?

– Jestem... – chciała powiedzieć „w domu”, ale to nie był dom. Nigdzie nie czuła się jak w domu. Zamiast tego powiedziała więc: – Jestem w Castillo. Czy ono ciągle należy do nas? – Nie czekała na odpowiedź, nie zależało jej na niej. – Może byłbyś tak miły i dołączył do mnie na śniadanie?

– Tak Tak! Tak, Eleano, już jadę.

Eleano.

– Matz – szepnęła nie całkiem do niego, a w jej głosie było tyle smutku, że nie potrafił odpowiedzieć. Pokiwał tylko głową. – Matz. Musimy porozmawiać o ty lu rzeczach...

Zanim Max dojechał do Castillo, Eleanor zdążyła się wykąpać i przebrać. Wysłała też Teresę do sklepu z listą zakupów i po raz pierwszy od wielu lat sama przygotowała posiłek.

Włożyła prostą sukienkę, którą nosiła, jeszcze zanim poślubiła Maksa, i która od tego czasu leżała w szafie. Była ze słonecznie żółtego kreponu, o nieco mniej dopasowanym fasonie niż te, które wybierała ostatnimi czasy. Max rozpoznał ją od razu – El miała ją na sobie w scenie śniadania w *Makowej dziewczynie*, pierwszym filmie, jaki razem zrobili. Podczas nagrania pomyślał, że wygląda w niej pięknie. Tego ranka, może dlatego, że się za nią stęsknił albo dlatego, że przeczuwał, że to pewnie ostatnie ich wspólne śniadanie, stwierdził, że wygląda w niej nawet piękniej niż wtedy.

Eleanor nie spojrzała na niego, kiedy wszedł. Podjadała właśnie łyżką bliny serowe. Siedziała sama u szczytu ich hebanowego stołu (zamówionego w innym życiu do kompletu z białą-czarną marmurową podłogą). Promienie słońca wpadające przez francuskie okna za jej plecami oświetlały to, co stało na blacie. A była to prawdziwa uczta, tradycyjne żydowskie śniadanie, jakiego Max nie jadł, a Eleanor nie przygotowywała od dnia ich ślubu dziesięć lat temu. *Latke*, placiki ziemniaczane, i miódownik, racuchy, morele, bajgle i ciepła jeszcze chałka... Było tego wystarczająco dużo, żeby najadło się dwudziestu ludzi. Oszałamiający zapach wszystkich tych potraw obudził w Maksie wspomnienia i tęsknotę, którą zazwyczaj udawało mu się opanować. Oczy napełniły mu się łzami, a usta śliną. Poczuł, jak żołądek ścisnął mu się z żalu.

– Eleanor? – powiedział, patrząc na nią i nie wiedząc, od czego zacząć. Dłonie go zapiekły. – O co chodzi z tą ucztą? Myślałem, że nie lubisz śniadań.

– *Es tsegeyt zikh in moyl*. – Nie patrząc na niego, podsunęła mu talerz z blinami. – Sama je zrobiłam, Matz. Całą resztę kupiłam... Zjedz! Są smaczne.

– Ładnie pachną – powiedział.

Rzeczywiście pachniały wspaniale. Pachniały młodością i szczęściem. Ostatni raz przygotowała je, jeśli dobrze pamiętała, na przyjazd Ishy i Batii. Zastawiła wtedy stół z samego rana, zanim poszli odebrać je ze stacji. Jedzenie czekało, kiedy wrócili, i stało tak przez kilka

następnych dni. Wyglądało to jak ucztę weselną panny Havisham w *Wielkich nadziejach*. Maksowi zrobiło się niedobrze.

– Czy jesteśmy zrujnowani, Max? – spytała Eleanor łagodnie. – Wydaje mi się, że tak. Teresa bardzo się martwi, ale obiecałam jej, że się nią zajmimy i że nie ma się czego obawiać.

– Teresa nie ma się czego obawiać.

– To dobrze. – Eleanor zamilkała i zjadła jeszcze kawałek. Potem znów się odezwała: – Co zrobisz, kochanie, z pieniędzmi?

W końcu spojrzała na męża, a on zawstydzony spuścił wzrok. Odsunął hebanowe krzesło pasujące do stołu pasującego do podłogi i ciężko usiadł.

– Tak jest łatwiej, prawda? Możemy porozmawiać o pieniądzach. – Włożyła do ust kolejną, tym razem za dużą porcję blinów. – A potem możemy porozmawiać o całej reszcie. Mamy dużo do przedyskutowania, nieprawdaż?

Max urwał sobie kawałek chałki i trzymając go między kciukiem i palcem wskazującym, przyglądał mu się, jakby szukając w nim odpowiedzi.

– Co zrobiłem z pieniędzmi? – powtórzył w końcu.

– O mój Boże! Zostaw już te pieniądze! – zniecierpliwiła się Eleanor. – Straciliśmy wszystko, jak sądzę, ale to nieważne, Matz. Zarobiliśmy je raz, zarobimy znów. Pieniądze nie mają najmniejszego znaczenia.

– Będziemy musieli sprzedać dom.

– I dobrze.

Max uśmiechnął się z oczami ciągle utkwionymi w kęsie chałki.

– Skąd to wszystko wzięłaś? – spytał w końcu. – Myślałem, że nie lubisz tego jedzenia.

– Nienawidzę – odpowiedziała, sięgając po miodownik. – Ale jest pyszne, prawda?

Pokiwał głową.

– Oczywiście, że tak.

Oczy Eleanor dziwnie błyszczały. Max pomyślał nawet przez chwilę, że zachowuje się, jakby majaczyła przez sen.

– Eleanor, kochanie, nic ci nie jest?

– Przestań o to pytać!

– Przepraszam, ale, skarbie... zachowujesz się dziwnie...

– Dziwnie?

– No cóż...

– Co to znaczy „dziwnie”?

– No nie wiem. Sam nie wiem, El. To bez znaczenia.

– A jak mam się zachowywać, Matz? No, powiedz. Co mam w tej sytuacji zrobić? Straciliśmy wszystkie pieniądze... Od tego chcesz zacząć?

– Dobrze cię znów zobaczyć...

– O, naprawdę?

– Oczywiście, że naprawdę, do cholery.

– Do cholery – wymamrotała Eleanor.

– Gdzieżeś ty, u licha, była przez cały zeszły tydzień. Zamartwiałem się.

– O tak, z pewnością. Właśnie takie miałam wrażenie, kiedy rozmawialiśmy przez telefon.

– Kochanie! Jeśli chodzi o Blanche...

Eleanor nagle zerwała się z krzesła i walnęła pięściami w stół tak, że miodownik podskoczył, a filiżanka z kawą się zatrzęsała.

– Oczywiście, że nie chodzi o Blanche!

– Bo jeśli o nią, to...

– Nie słyszysz, co do ciebie mówię? Powiedziałam, że nie chodzi o Blanche. My ślisz, że mnie w ogóle obchodzi jakaś tam żałosna Blanche?

Max wzruszył ramionami i spojrzał na żonę.

– Cóż... Ja... Ja chyba miałem nadzieję... że jednak obchodzi... – brzmiał teraz niepewnie.

Czuł, że traci grunt pod nogami. – Gdzie byłaś, kochanie? Powiedz...

Eleanor tak samo nagle, jak wcześniej wpadła w furję, teraz uspokoiła się i powiedziała znów oparta na swoim krześle:

– Butch powiedział mi, że cię zwolnili. Przykro mi. I to w takiej chwili, jakby jeszcze ci było mało. Butch powiedział, że walczył o ciebie, ale jakoś w to nie wierzę.

– Butch ci powiedział...

Eleanor próbowała zmienić temat:

– A co jeszcze Butch ci powiedział...?

– Matz... – wtrąciła się. – Matz... – Złapała go za rękę. W jej oczach był smutek.

Max się opanował. Przez głowę przebiegły mu ze świstem znajome myśli: dobre ujęcie i teraz do kamery...

– Matz – powtórzyła. – Jak często myślisz o Ishy? Jak często się zastanawiasz, gdzie ona jest, co robi, co się z nią stało? Nigdy o niej nie rozmawiamy. Nigdy! Czy ty w ogóle jeszcze o niej myślisz?

– Czy ja w ogóle myślę o Ishy? – powtórzył Max wolno.

– Myślisz? – Zbliżyła się do niego. – Powiedz mi...

– Czy ja w ogóle myślę o Ishy?

Nigdy wcześniej nie zadała mu tego pytania. Nie zapytała, bo była przekonana, że zna odpowiedź. I to właśnie dlatego go nienawdziła. To była przyczy na wszystko.

Spojrzał na nią, nachylającą się w jego kierunku. W głębokich zielonych oczach widział prośbę o pocieszenie. Eleanor sądziła, że cierpienie i poczucie winy, utrata i spowodowany nią ból oraz wszechogarniająca ciemność były tylko jej udziałem. Za to nienawdził jej Max. Jak śmiała pytać go o to po tych wszystkich latach? Jak śmiała sądzić, że tylko ona cierpi? Chciał rzucić się z pięściami... nie na nią, a właśnie, że tak, na nią, na te jej dzikie zielone oczy zalane smutkiem. To właśnie chciał zrobić, chciał jednym uderzeniem zniszczyć wszystkie wspomnienia i rozbić tę ciszę, która przez tyle lat oddzielała ich od siebie. Zamiast tego uśmiechnął się, chociaż jego myśli wciąż pełne były złości, i wydał z siebie dźwięk, który można było łatwo pomylić ze śmiechem.

– Pytasz o to? Po tylu latach?

– A co? – rzuciła, nie rozumiejąc go wcale i ciągle czerpiąc z pokładów goryczy, która przez tyle lat zdążyła już zabarwić wszystko, co między nimi było. – Myślisz, że nie powinnam przy tobie wymawiać jej imienia? O to chodzi? Nie mogę już wspominać o Ishy? No, mów! Myślisz czasem o naszej córce? O małej dziewczynce, którą porzuciliśmy, o dziewczynce, którą ty porzuciłeś? Ty ją porzuciłeś!

Max kręcił głową.

– Jesteś okrutna, Eleano...

– Taką właśnie mam nadzieję...

Zapadła cisza. Z daleka, aż z podjazdu, dobiegł ich dźwięk otwieranej bramy. Joseph powinien ją naoliwić, pomyślała Eleanor. Zazwyczaj o tym pamiętał. Żelazne wrota zamknęły się z trzaskiem. Dźwięk silnika się przybliżał.

– Gdzie byłaś cały tydzień? – zapytał odmienionym głosem. – Nie powiedziałaś jeszcze. Martwiłem się, tęskniłem za tobą.

– Nie wydaje mi się.

– Byłaś z Butchem?

– Nie.

– Nie wierzę ci.

Eleanor wzruszyła ramionami.

– Byłam w Reno. U detektywa.

– Detektywa?

Oderwała róg miodownika i ulepiła z niego kulkę.

– Wyleciało mi z głowy jego nazwisko. No, nieważne...

Samochód się zatrzymał. Usłyszeli stukot obcasów Teresy na marmurowej posadzce.

– Pojechałam do Reno zobaczyć się z detektywem. Myślałam, że on pomoże mi odnaleźć Ishę. Nie pomógł, i nikt nie pomoże. Nie można odnaleźć kogoś, kto nie żyje. Można? Nie można. A Isha nie żyje. Ty to wiedziałaś przez wszystkie te lata. I tylko ja nie chciałam tego przyjąć do wiadomości. Ona umarła. Teraz już to wiem.

Max pozwolił jej słowom wybrzmieć. Pochylił głowę. Wcale nie chciał tego usłyszeć. Dopóki Eleanor miała nadzieję, dopóty on też mógł ją mieć. Gdy Eleanor pogodziła się ze śmiercią Ishy, ktoś zdmuchnął maleńki płomyk, który jeszcze się w nim tlił, i zapadła ciemność. Zamknęło się wieko trumienki. Max wstał, przeszedł przez pokój i stanął za krzesłem, na którym siedziała Eleanor. Chwytał ją i podniósł tak, że musiała wstać. Potem odwrócił ją do siebie, objął ramionami i przytulił. Była zmęczona, bardzo zmęczona. Położyła głowę na jego ramieniu. Stali tak, podtrzymując się wzajemnie, kiedy rozległ się dźwięk dzwonka, a frontowe drzwi otworzyły się, a następnie zamknęły. Obcasy Teresy stuknęły teraz po marmurze, zbliżając się do nich.

– Max – powiedziała Eleanor, nie odrywając ust od jego ramienia. – Chcę się rozwieść.

– Oczywiście – zgodził się ze znużeniem. – Oczywiście, ja też tego chcę.

Teresa zapukała do drzwi jadalni.

– Pani Beecham? – w jej głosie słychać było podekscytowanie. – Panie Beecham? Przepraszam, że przeszkadzam, ale przynoszę list... Kierowca pana Randolpha Hearsta jest tutaj i czeka na państwa odpowiedź.

Eleanor przypomniała sobie. Westchnęła. Przez wszystkie lata czekała na tę durną rzecz, a teraz całkiem wypadła jej z głowy. Mieli przecież jechać do San Simeon w najbliższy poniedziałek Pojutrze. Nie poruszyła się.

– Pani Beecham? – Teresa zastukała znów. – Czy mam ten list gdzieś pani zostawić?

Eleanor odsunęła się od Makska, który ruszył w stronę drzwi. Wziął od Teresy list i wrócił do jadalni. Na odwrocie koperty wydrukowano inicjały Marion. Podał przesyłkę żonie.

– Czy to jest to, co myśle? – spytał.

Eleanor przytaknęła.

– Oczekuje nas w poniedziałek. Zapomniałam. Musimy to odwołać.

Max otworzył list. Poza biletami na kuszetkę pierwszej klasy w odjeżdżającym jutro wieczór pociągu była tam także odręcznie napisana wiadomość od Marion.

Kochanieńcy

Nawet słówka nie pisanieście od czasu Waszego wspaniałego przyjęcia. Wiem, że jest już bardzo mało czasu, a na dodatek wszyscy ostatnio kompletnie powariowali, ale byliście tak słodziutcy i zgodziliście się pojechać z nami na rancho w ten poniedziałek. Pamiętacie? Nie wiem, czy na pewno sobie przypominacie, bo jednak było już strasznie późno, kiedyśmy o tym rozmawiali, a teraz jeszcze wszystko stoi na głowie.

Wiem, że każdy z nas miał dziadowski tydzień, ale wierzę, że teraz właśnie najbardziej trzeba, żebyśmy przykleili do twarzy szerokie uśmiechy.

Macie tu bilety na pociąg, Kochaniecy – mam nadzieję, żeście jednak nie zapomnieli aniście się nie rozmyślili. A skoro oboje nie kręcicie teraz nic nowego, będę nalegać, żebyście zostali przynajmniej do czwartku. To tylko małe przyjęcie, ale stworzymy sobie wesołą gromadkę. Sami wiecie, jak nie lubię się rządzić, ale byłoby bardzo miło, gdybyście przekazali odpowiedź mojemu szoferowi, żebym wiedziała na pewno, że będziecie. Muszę to wiedzieć, bo jeśli nie, pewnie odwołam po prostu całą imprezkę.

Pociąg odjeżdża jutro po południu. Bilety macie w kopercie. Mam dla Was wspaniałą niespodziankę.

MUSICIE przyjechać!

Całusy, Marion

Max spojrział na pocztówkę od Marion – jej ton rozdrażnił go – i podał kartę bez słowa Eleanor.

– No to kiepsciutko, co nie? – powiedział, podchodząc do francuskiego okna. Odwrócił się i uśmiechnął do El.

Pani Beecham pokiwiała głową i upuściła kartkę, która wyśladowała na blinach serowych.

– No, kiepsciutko.

– Zastanawiam się, co to za niespodzianka – odezwał się Max.

– Serio?

– Nie... Serio to nie.

– Przyjęcie albo coś w tym stylu. Najpewniej. Albo może jakaś projekcja. – Eleanor się uśmiechnęła. – Może Marion znalazła nagrania „Zaginionego na morzu”? Może zmontowała wyrzucone sceny...

– Co?

Zapadła długa cisza. Niewiarygodne, jak inaczej wszystko wyglądało zaledwie kilka sekund wcześniej.

– No – zaczęła Eleanor, wpatrując się w plecy Maks z nadzieją, że się odwróci. – To co robimy? Czy ty...? – nie potrafiła dokończyć tego zdania.

Dlaczego nie przemyślała tego pytania w długiej drodze z Reno, kiedy miała pewność, co powinna zrobić? Dokąd on pójdzie? Czy wróci do Blanche? Czy zaplombują dom, sprzedadzą go, zapomną o sobie nawzajem i szybkim płynnym ruchem rzucą się w objęcia swoich kochanków?

– Boże, Max. Pomóż mi. Co teraz zrobimy?

Max powiedział to, co zawsze mówił, gdy widział tę zaniepokojoną twarz, słyszał lęk w jej głosie i widział smutek, który mącił jej spojrzenie:

– Będzie dobrze, El.

– Czy li jak?

– Co zamierzasz? – spytał unikająco. – Domyślam się, że... – zmusił się, by skończyć – ...że Butch wie o twojej decyzji?

– Nie.

Zastanawiał się, czy mówiła prawdę.

– Cóż, w takim razie chyba pójdę po swoje rzeczy. Tak właśnie zrobię – powiedział, ale nie

ruszył się z miejsca.

Jedna rzecz podjąć decyzję wynikającą z sytuacji, ale druga wprowadzić ją w życie. W tej chwili oboje z nich wprowadzanie decyzji w życie zdecydowanie przerosło.

– Wiesz – odezwała się Eleanor – nie odpowiedziałeś...

– Na co nie odpowiedziałem? – Max wiedział, o co jej chodzi. Westchnął. Jak mogła w ogóle pomyśleć, że mogło być inaczej. – Myślę o niej bez przerwy, Eleanor. Zawsze. I o tobie też...

Eleanor pokiwiała głową.

– Dla nas jest już za późno, prawda?

Zapadła długa cisza.

– Chyba tak – odezwał się w końcu Max.

I tak oto stali, nie potrafiąc iść do przodu i nie potrafiąc zawrócić.

– No dobrze – powiedział Max.

– A ty, jak rozumiem, zamieszkaż z Blanche.

Max pokręcił głową.

– Znajdę sobie jakiś hotel. A ty? Co zrobisz? Wprowadzisz się do Butcha?

Nagle oboje zdali sobie sprawę z absurdalności tej wymiany zdań i wszystkich rzeczy, które musieli sobie powiedzieć. Rzeczy, które powinny zostać niewypowiedziane. Może tak jeszcze mogliby sobie pomóc. Ale słowa padły.

Eleanor nic nie odpowiedziała. Nie wiedziała, co miałyby powiedzieć.

Znów rozległo się pukanie i znów usłyszeli głos Teresy wołającej w hallu:

– Panie Beecham?! Przepraszam, że przeszkadzam...

Max i Eleanor spojrzeli po sobie.

– Kierowca pana Hearsta ciągle czeka na państwa odpowiedź. Co mam mu przekazać? Czy mam mu powiedzieć, żeby przyjechał później? On czeka i nie jestem pewna, czy mam mu każeć czekać dalej, czy...

Przerwał jej dzwonek telefonu. Eleanor powiedziała przez drzwi:

– Tereso, daj mi, proszę, minutkę. Zaraz napiszę do niego. Przekaż mu, że to potrwa tylko chwilę.

Musiała to zrobić. Musiała odczynić czar. Odsunęła się od Maksa i przeszła przez drzwi prowadzące do salonu. Stał tam niewielki stolik przeznaczony raczej do dekoracji, Teresa jednak ułożyła na nim przybory do pisania. Eleanor napisze miły liścik i wytłumaczy Marion, dlaczego nie mogą przyjechać. Po prostu nie mogli.

Max stanął za nią. Eleanor poczuła jego obecność, wciągnęła jego zapach, usłyszała oddech. Widziała, że trzyma ręce w kieszeniach i robi niezadowoloną minę.

– El, myślę, że powinniśmy tam pojechać – powiedział nagle. – Powinniśmy przyjąć to zaproszenie.

– Tylko po co?

– Po to, żeby...

– Nie możemy...

– Nie możemy? Dlaczego nie?

Nie musiała odpowiadać. Pytanie Maksa ją rozwścieczyło. W końcu zdecydowała się podjąć jakieś działania, zrobić coś wreszcie. Dlaczego musiał to dodatkowo utrudniać?

– Myślę, że powinniśmy jechać – powtórzył. – Eleanor, to nie musi mieć nic do rzeczy

z tym, jak jest teraz między nami.

– Jak to nie? – spytała i zaśmiała się z niedowierzaniem.

Poczuła, że zalewa ją dobrze znajoma fala wściekłości. Wybujała ambicja Maksa była przyczyną tego, że wszystko się między nimi popsuło. Wiedziała to od zawsze. Nawet teraz nie potrafiła się opanować.

– Niech cię diabli, Max. Czy ciebie nic nie może powstrzymać?

– Wiesz, jacy tam będą ludzie? Same grube ryby. W naszej sytuacji, El, nie możemy sobie pozwolić, żeby stracić taką szansę.

– Jasne. I co to szkodzi, że nie potrafimy nawet wytrzymać razem w jednym pokoju? Niczym się nie przejmujemy. Będziemy po prostu udawać, tak jak udawaliśmy przez wszystkie te lata. To miałeś na myśli?

– Tak – odparował. – Biorąc pod uwagę naszą sytuację, to właśnie miałem na myśli. Bylibyśmy głupi, gdybyśmy przepuścili tę okazję.

– Tak. A ty sobie usiądziesz obok pana Hearsta, prawda? I będziesz mu opowiadał, jakim jesteś wspaniałym, ale nie rozumianym reżyserem. A może Blanche też pojedzie? Do licha, czemu nie? Myślisz, że powinniśmy ją zabrać? A ja zadzwonię po Butcha. Zgadzasz się, Max? Inaczej to by nie było w porządku. Wy będziecie się pieprzyć w jednym kącie zamku, a my w przeciwnym...

– Nie o to mi chodziło i sama dobrze o tym wiesz.

– A o co dokładnie ci nie chodziło?

Max patrzył na nią – na złość i gorycz malujące się na jej pięknej twarzy. Niczym nie różniła się od kobiety, którą pokochał.

– Do licha, Eleanor – wyszeptał, jakby zobaczył ją po raz pierwszy.

– Do licha – naśladowała go. – Do licha co?

– Do licha, kiedy stałaś się taka podła.

– Kiedy stałam się...? – Eleanor nie spodobało się to pytanie i sposób, w jaki zostało zadane. Brzmiało tak, jakby rzeczywiście uważał ją za podłą. Zaśmiała się ostro. – Naprawdę chcesz, żebym ci powiedziała?

– Według ciebie wszystko jest moją winą, prawda? Za wszystko, co poszło nie tak w całym naszym życiu, oskarżasz mnie. Tu leży twój problem!

– Nie, wcale nie – broniła się.

– To dlatego nie idziesz przez życie, tylko kuśtykasz przez nie. Wymagasz ode mnie, żebym wszystko naprawił. Chcesz, żebym spędził resztę życia, kając się i przeprasząc.

– To nieprawda.

– Tak, Eleanor, chcę, żebyś mi powiedziała. Chcę się dowiedzieć, kiedy postanowiłaś, że obsadzisz się w roli ofiary. I to ofiary w tym luksusowym domu, z mężem, kochankiem i z kontraktem z największą wytwórnią w Hollywood, opiewającym na pięć tysięcy dolarów tygodniowo.

Eleanor odwróciła się do stołu.

– napisała charakterem godnym gwiazdy filmowej. Literę stawiała zamasyście, a linia tłustego czarnego atramentu wiła się raz z jednej, raz z drugiej strony. Pismo Eleanor było tak zwodnicze jak wszystko w niej. Banał tego spostrzeżenia dotknął ją nagle – dotknął ich oboje.

– Drooooooga – naśmiewał się Max. – Drooooooga, drooooooga, droga!

Eleanor odłożyła pióro.

– Max...

– Myślę, że powinniśmy pojechać. Powinniśmy jechać do San Simeon. Zdecydowanie. Powinniśmy spróbować coś dla siebie ugrać. Powinniśmy się zgodzić.

– Nie.

– Możemy tam pojechać, a potem wrócić i już nigdy nie odezwać się do siebie słowem, jeśli tego chcesz. Ani słowem. Możemy nigdy na siebie nie spojrzeć. – Zmilkł na chwilę, a Eleanor odwróciła wzrok – Może tak właśnie powinniśmy zrobić – dodał cicho. – Jeśli będziemy razem, nigdy nie zapomnimy, nigdy nie zaczniemy od nowa... Ale, Eleano... – dotknął jej twarzy.

Odrzącała jego rękę.

Znów rozległo się pukanie:

– Pani Beecham? Telefon do pani. Dzwoni panna Marion Davies. Mówi, że to pilne i że jeśli pani Beecham nie może podejść, to porozmawia z panem Beechamem.

– Pomówię z nią. – Max ruszył od drzwi.

– Nie...

Zignorował ją. Domyśliła się, że tak właśnie zrobi.

– Max, powiedz jej, dobrze? – Eleanor odwróciła się w kierunku stołu. – Absolutnie nie damy rady przyjechać – wymamrotała bez przekonania. – Powiedz, że nam bardzo przykro z tego powodu.

W momencie gdy kończyła zdanie, wiedziała już dobrze, że Max go nie powtórzy. Nie odmawia się zamkowi Hearsta. Nie odmawia się Marion Davies. A w tej chwili Eleanor nie potrafiła też odmówić Maksowi.

Droga Panno Davies,

mam szczerą nadzieję, że wybaczy mi Pani, że zabieram jej cenny czas. Od dawna już jestem wielbicielką Pani filmów, uwielbiam zwłaszcza „Tillie the Toiler”, który widziałam już pięć razy, za każdym razem uwielbiając go bardziej. Jednakowoż nie dlatego pozwalałam sobie pisać.

Mam do Pani bardzo niezwykłą prośbę...

Charlie Chaplin był jednym z niewielu gości, którzy mieli dostęp do sąsiadującej z sypialnią Marion bawialni na najwyższym piętrze zamku. Marion wolała pokazać mu list właśnie tam, z dala od ciekawskich spojrzeń służby. Charlie Chaplin jednak, pomyślała, i to nie po raz pierwszy, potrafi być wyjątkowo męczący. W Santa Monica jakoś nie miał skrupułów, ale tu, w San Simeon, twierdząc, że nakazuje mu to wrodzona delikatność, odmawiał spotkania się z nią sam na sam w jej prywatnych pokojach pod nieobecność W. R.

W. R. (a dla wszystkich poza Marion „pan Hearst”) był właśnie nieobecny. Pojechał do Hollywood i miał wrócić na kolację, przywoząc przy okazji niańkę i sześćioletnią Patricję, ukochaną siostrzenicę swojej kochanki. Do tego czasu to Charlie i Marion mieli opiekować się zamkiem. Marion uważała, że byłoby o wiele dyskretniej, gdyby spotykała się z Chaplinem w swojej osobistej bawialni. Teraz jednak pili razem szampana u Charliego, w najlepszym z domków dla gości, oddalonym jakieś sto metrów od rezydencji. Widząc Marion w turkusowej piżamie i butkach przystrojonych kolorowymi piórami wyciągniętą w nogach łóżka, Charlie pomyślał, że nigdy nie wyglądała tak rozkosznie.

Siedział w fotelu zaledwie metr dalej, przy kominku. List trzymał ostrożnie w palcach, jakby był czymś zainfekowany. Charlie bowiem nie podzielał entuzjazmu Marion wobec korespondencji od fanów. Gorzej nawet, to on zawsze radził jej wyrzucać całą pocztę od razu do śmieci, a przy najmniej na biurko sekretarki. „W końcu trafisz na jakiegoś wariata”, powiedział.

„Nie czytaj nigdy listów od obcych, nawet jeśli wydają się całkiem niewinne. Artykułów o sobie też nie czytaj”. Nie słuchała go, rzecz jasna.

Chciała pokazać mu ten list, odłąd tylko go dostała, kilka tygodni temu. Spodziewała się, że nie będzie tego pochwałał, że zlekceważy całą sprawę albo jeszcze gorzej – że zabroni jej wprowadzić w życie jej doskonały plan, i dlatego nie podzieliła się z nim wcześniej swoją tajemnicą. Teraz, kiedy dekoracje już ustawiono, a aktorzy lada chwila mieli pojawić się na planie, Marion była zdenerwowana. Więcej nawet, była przerażona scenariuszem, który napisała i który zaraz miał zostać zrealizowany. Potrzebowała mądrych rad Charliego, żeby znów poczuć się dobrze.

– To jakiś głupi żart, mistyfikacja, a ty masz zamiar bawić się ludzkimi uczuciami, Marion. Potrafisz sobie wyobrazić, ile bólu możesz im zadać?

– Wiesz, że p-potrafię, Ch-Charlie. Dobrze wiesz, ile to d-dla mnie znaczy... I mówiłam ci, że nic jeszcze nie powiedziałam B-Beechamom, żeby nie robić im nadziei.

– No, to chociaż tyle – złagodniał nieco Chaplin. – Dziwi mnie tylko, że chcesz tak manipulować ich emocjami...

– Chcę pomóc.

– Chcesz się zabawić.

– Nieprawda! Do diabła, Charlie! Nawet nie przeczytałeś tego listu!

– Nie musiałem tego robić.

– A właśnie, że musiałeś. Skąd niby w-wszystko w-wiesz, skoro go nie przeczytałeś? P-pozatym, wyobraź sobie... tylko p-pomyśl. A jeśli mam rację?

Charlie przeczytał kilka pierwszych linijek i parsknął z obrzydzeniem.

– „Bardzo niezwykłą prośbę” – fuknął. – Mówię ci, Marion, jak tylko ona tutaj przyjedzie, odpytam ją z „Tillie the Toiler” i zobaczysz! Jeśli mam być z tobą szczerą, kochanie, muszę ci powiedzieć, że zaślepiła cię próżność. Nikt nie dałby rady obejrzeć tej strasznej ramoty nawet jeden raz bez chęci rzucenia się z najbliższego mostu. A pięć razy? To musi być kłamstwo. Zatem albo kłamie, albo jest bardzo prymitywna.

Marion przewróciła oczami.

– Jesteś n-nie do zniesienia, Charlie. I wcale nie jesteś t-taki sprytny, jak ci się wydaje. P-podobał ci się ten film czy nie?

– Wiesz, że uwielbiam wszystkie twoje filmy, słonko! Wiesz, jak wysoko cię cenię jako aktorkę. Ale „Tillie the Toiler” to straszny gniot. Masz przecież tego świadomość.

– Cicho już! – wyszczała Marion, rzucając w kierunku Charliego pestką brzoskwini. Chybiła o pół długości pokoju. – Zresztą tu wcale nie chodzi o film. P-przeczytaj po p-prostu ten list i powiedz, co sądzisz. Ja myślę, że to jest p-prawda... A jeśli prawda, to wiesz...

Marion przekręciła się na plecy i spojrzała na połączane sklepienie. Kiedyś była to część kaplicy czternastowiecznego sycylijskiego *palazzo* czy czegoś w tym guście. W. R. jej to tłumaczył, ale zapomniała. Marion pomyślała, nie pierwszy zresztą raz, że pewnie lepiej to sklepienie wyglądałoby tam, gdzie jego miejsce.

– Pomyśl tylko, Charlie. Jeśli mam rację, jakże oni się ucieszą!

– Nie powinnaś się w to mieszać.

– Och, przeczytaj po prostu ten list, dobrze?

– Czy Max i Eleanor wiedzą, co dla nich szykujesz?

– Mówiłam ci już, że nie!

– Co im powiedziałaś?

– Powiedziałam, że... – Marion spojrzała chytrze na Charliego. – Wiesz, że Maksa wywalili z Silvermana?

Chaplin zachichotał.

– Wdarł się do gabinetu Butcha Menkna i stłukł go na kwaśne jabłko, tak słyszałem. Podobno krew była na dywanie i w całym korytarzu. Pewnie są w tym mieście setki ludzi, którzy chcieliby zrobić to samo.

– Ale wiesz, czemu to zrobił?

– Mógłbym wymyślić milion powodów.

– No, ale czemu n-naprawdę?

Charlie się zawahał.

– Jeśli wierzyć plotkom, pewnie chodziło o Eleanor. Ja jakoś nigdy w to nie wierzyłem. Oczywiście póki Max nie pobił Menkna.

– Butch i Eleanor?! – wykrzyknęła Marion ze zdumieniem. – Żarty sobie stroisz!

Charlie zaśmiał się, rozbawiony jej reakcją.

– No widzisz, Marion, nie wiesz o wszystkim, co się dzieje w tym mieście.

– A tak w zasadzie to myślę, że się mylisz – odezwała się Marion, gdy doszła wreszcie do siebie. – Nie, to niemożliwe! Max, no m-może on. N-niech będzie. Ale Eleanor? Nie chce mi się w to wierzyć, Ch-Charlie! Przecież oni są najszczęśliwszą parą w Hollywood, wszyscy o tym wiedzą.

– Tak zawsze mówiłaś.

– Musiałeś coś źle zrozumieć, Charlie. No, a już z pewnością nie z Butchem!

Chaplin wzruszył ramionami.

– Skoro tak mówisz, to niech ci będzie, skarbie.

Marion zmieniła pozycję – leżała teraz na brzuchu, gotowa podzielić się własną plotką.

– Max pobił Butcha dlatego, że...

– Dlaczego?

– Ale Ch-Charlie, masz nikomu nie mówić. Obiecuję, że nie p-powiesz.

Odwrócił się do niej z kamienną twarzą i się przeżegnał.

– Ja mówię p-poważnie! – zełościła się Marion.

– Kochanie, obiecuję. Nie pisnę nawet słówka.

– Max pobił Butcha dlatego, że Butch, zanim przeszedł do Silvermana i pozbył się Maksa, kazał też wywalić Eleanor z Lionsfiel.

– Serio?

– Naprawdę to zrobił! – zapewniała Marion triumfalnie. – Dasz wiarę? Wywalił Eleanor z Lionsfiel. Straciła kontrakt! I teraz oboje są bez p-pracy.

– Straszna szkoda.

– Szkoda? Mnie to mówisz? To jest tragedia! Nigdy nie lubiłam Butcha Menkna. Wydawał mi się jakiś dziwny.

Charlie pomyślał o Beechamach. Pewnie do tego jeszcze stracili na giełdzie.

– Biedacy! Co oni teraz zrobią?

– Przyjadą do San Simeon, a ja sprawię, że spędzą tu piękne chwile! Posadzę ich obok W. R.

z jednej, a Josepha Kennedy 'ego z drugiej.

– Żałuję, że go zaprosiłaś. Joseph Kennedy to żmija! Może nawet najwredniejszy człowiek w całej Kalifornii.

– Nie zaprosiłam go. W. R. to zrobił.

– A on przyjdzie z żoną?

– O Boże, nie! Mówiłam ci już, że będzie Gloria.

– Bez markiza, jak się domyślałam.

– Rzuciła markiza. Mamę z powrotem naszą starą dobrą Głorię Swanson.

– Ha!

– W każdym razie, jeśli myślisz, że Joseph Kennedy to żmija...

– Jest żmiją!

– Jeśli nawet, to ta żmija zarządza dwiema n-największymi wytwórniami w Hollywood. Jeśli M-Max Beecham jest choć w połowie taki, jak mi się wydaje, to... Mówiłam mu zresztą przez telefon, że Joseph będzie u nas, ale chyba nie był sobą, bo nie zapytał nawet, jaki Joseph.

– Może się domyślił.

– Pomyślał, że mówię o kierowcy.

– Wielkie nieba!

– Mówię ci, Charlie, jakbym rozmawiała z kimś innym! – Marion pokiwała głową.

– Cóż, to był ciężki tydzień...

Charlie rzucił okiem na list, który ciągle z dezaprobatą trzymał w palcach. Był napisany na tanim żółtym papierze, drobnym i zaokrąglonym dziewczęcym pismem.

– Naprawdę chcesz, żebym to przeczytała?

– Chciałabym. Jeszcze jej nie spotkałam, Charlie. Rozmawialiśmy tylko przez telefon, ma przyjechać jutro. – Marion drgnęła. – Mieszka w Los Angeles, wyobraź sobie. I próbuje zostać aktorką...

– Co ty nie powiesz!

– Posłałam jej bilety na pierwszą klasę. Na wcześniejszy pociąg. Och, Ch-Charlie, co też ja narobiłam!

– Wolę sobie tego nawet nie wyobrazić – szepnął Charlie, spoglądając na cienki arkusik – Lepiej to przeczytam... – westchnął.

Droga Panno Davies,

mam szczerą nadzieję, że wybaczy mi Pani, że zabieram Jej cenny czas. Od dawna już jestem wielbicielką Pani filmów, uwielbiam zwłaszcza „Tillie the Toiler”, który widziałam już pięć razy, za każdym razem uwielbiając go bardziej. Jednakowoż nie dlatego pozwalam sobie pisać.

Mam do Pani bardzo niezwykłą prośbę. Rzecz jest skomplikowana, postaram się przedstawić ją w skrócie.

Widziałam Pani fotografię w setkach pism i zawsze wyglądała Pani na pogodną dziewczynę, wesołą i żartującą z otaczającymi Panią przyjaciółmi. Domyślałam się, że nie zawsze musi być Pani taka radosna, nawet będąc taką wspaniałą osobą...

– Na litość boską! – rzucił Charlie.

– Czytaj d-dalej – odezwała się Marion, ssąc pestkę kolejnej brzoskwini i patrząc przez okno na fale zatoki. – Trochę jej schodzi, zanim się rozkręci, ale musisz czytać dalej, Ch-Charlie. Udajesz, że sądzisz, że jestem szują, wiem to. Przecież nie robiłabym całego zamieszania, gdybym nie wierzyła, że coś jest na rzeczy, prawda?

Chaplin milczał.

Jestem młodą kobietą, według moich obliczeń (których nie mogę być pewna) mam około dwudziestu lat. Jak wiele dziewczyn w moim wieku jestem zakochana w kinie. Zwłaszcza lubię filmy dźwiękowe. Uważam, że są wspaniałe! To wielka frajda słyszeć głosy gwiazd!

Jak inne dziewczyny też mogłabym wymienić nazwiska setki aktorów i powiedzieć Pani wszystko na ich temat – imiona ich zwierząt, marki samochodów, wiem, skąd pochodzą i tak dalej. Wiem oczywiście, że nie wszystko, co się pisze i mówi o gwiazdach, to prawda. Czasem nawet

zastanawiam się, czy w ogóle jest w tym choć jej ziarnko. Tak czy owak, historie o aktorach są zawsze bardzo ciekawe i uwielbiam je czytać. Chyba boję się przejść do sedna tego listu.

W ostatnim numerze pisma „Photoplay” widziałam zdjęcie Pani i jednej z moich ulubionych aktorek. To zdjęcie mnie oczarowało. Musiałam przez ostatnie kilka lat widzieć setki zdjęć pani Eleanor Beecham i jej męża, Maksa Beechama, ale to było jedyne, na którym była ona uśmiechnięta. Ze zdjęcia wynikało, że jesteście, Panie, bliskimi przyjaciółkami.

– Bliskimi przyjaciółkami? – powtórzył Charlie głośno. – Nie jesteście, prawda?

– Też się nad t-tym zastanawiałam, Ch-Charlie. Eleanor tak n-naprawdę nie ma przyjaciół. Prawda? Obejrzałam to zdjęcie, o którym ona pisze, i rzeczywiście wyglądamy na nim, jakbyśmy dzieliły jakiś zabawny sekret.

– Hm.

– To chyba przez oświetlenie. Nie wydaje mi się, żebyśmy się dobrze wtedy bawiły. To było jakieś nudne przyjęcie. Pamiętasz wręczenie nagród Akademii w maju?

– Nie.

– W hotelu Roosevelt. Musisz to p-pamiętać! Wszystkie te ceregiele i Dougiego z jego okropną p-przemową. Dla mnie to było koszarne, cały ten wieczór. A potem ogłoszono, że to wielki sukces. Bóg wie czemu! I podobno chcą to zorganizować w przyszłym roku! Wiedziałeś o tym? To ma być coroczna impreza.

– Kochanie – westchnął Charlie – i tak już trudno mi się jest skupić na tych tu bredniach.

– To nie są brednie, Ch-Charlie. To nawet dość f-fascynujące. To jeszcze dziecko, wiesz? Daj jej spokój. To jest n-naprawdę świetna historia...

Dopóki nie zobaczyłam tego zdjęcia, myślałam, że Eleanor Beecham nie jest taka jak Pani, że nie jest wesoła i zabawna, ale że jest raczej samotna i podobna do postaci, które gra w swoich filmach, i to naprawdę bardzo mnie smuciło. Może się to Pani wydać dziwne, ale jeśli zechce Pani czytać dalej, wyjaśnię wszystko.

Z wywiadów z Panią dowiedziałam się, że dorastała Pani w Nowym Jorku. Natomiast (jak się domyślam) nie było to pewnie w najbiedniejszych okolicach Lower East Side. Ja tam właśnie się urodziłam i spędziłam kilka pierwszych lat życia. Prawie nic z tego jednak nie pamiętam. Wydaje mi się, że mieszkaliśmy na Allen Street, bo jak pani sama może zobaczyć, to jest nazwa zapisana na moim zdjęciu. Wydaje mi się, że mieszkaliśmy w wiele osób, z kuzynami, ciotkami i wujkami, i chyba też z każdym, kto mógł zapłacić za miejsce do spania. Wszyscy tłoczyliśmy się w jednym mieszkaniu. Wtedy oczywiście nie było jeszcze ograniczeń i całe masy ludzi każdego dnia przyływały do Ameryki. Byłam bardzo mała i prawie nic nie pamiętam. Długo próbowałam dowiedzieć się czegoś o sobie i czytałam dużo gazet, tak że czasami myli mi się to, co przeczytałam, z tym, co naprawdę przeżyłam. Pamiętam na pewno gorące letnie noce, kiedy spaliśmy stłoczeni jak sardynki na schodach przeciwpożarowych. Teraz oczywiście jest inaczej. Tamto działo się kilka lat wcześniej, mniej więcej wtedy, kiedy wybuchł pierwszy pożar w fabryce Triangle.

Pamiętam ten pożar. Byłam małeństwem, miałam dwa albo trzy lata. To znaczy pamiętam raczej, że mówiono o strasznym pożarze. Pamiętam zapach dymu w małym pokoju i biegających w tę i z powrotem dorosłych. Pamiętam płacz i ulice, na których tłoczyli się łkający ludzie. A potem już nic nie pamiętam. Wszystko się zmieniło. Wszędzie pojawiła się śmierć, a zmarła tylko moja babcia. Chciałabym umieć to opowiedzieć, bo na piśmie ta historia nie wygląda tak jak w rzeczywistości. A jednak, a jednak...

W moich wspomnieniach to wszystko stało się jednego dnia. Wiem, że oczywiście nie mogło tak być naprawdę. Ludzie umierali, ciała znoszono po schodach przykryte szarymi prześcieradłami. Pamiętam, że babcia leżała bez ruchu bardzo długo. Pamiętam, jak mnie wyrivano z jej objęć, a potem pamiętam podróż, jeszcze jedną podróż i znowu podróż. Wszystko to pamiętam tylko wyrwykowo. Może pewnego dnia opowiem Pani więcej, jeśli mi Pani odpisze na list. Zresztą i tak już za dużo napisałam. Mieszkałam krótko w sierocińcu na Brooklynie, a potem w New Jersey. Wiem to, bo zostały mi dokumenty. Potem było jeszcze kilka ochronek, aż do teraz. Miałam więcej szczęścia, niż mogłam sobie wymarzyć i niż wielu z tych, których spotkałam po drodze. Gdzieś jednak w międzyczasie straciłam nazwisko.

Do pierwszego sierocińca – tego na samym początku – przyjechałam z małą grupą dzieci. Kobieta, która przyjechała nas zabrać, chyba była miła, nie pamiętam dokładnie. Oprócz mnie było dwoje lub troje innych – zbierano wtedy zagubione dzieci. Ta kobieta spakowała kilka moich ubrań do małej walizki. Miałam też mały wisior z symbolem chamsy – ręki Miriam. Babcia zdjęła go kiedyś z szyi i włożyła na moją. Od tej pory noszę go ciągle i mam go na sobie też dzisiaj.

Zostawiłam w mieszkaniu wszystko poza wisiorkiem i jedną fotografią. To zdjęcie wisiało na ścianie obok drzwi. Pamiętam, jak tamta pani zdejmowała je dla mnie albo wydaje mi się, że pamiętam. Na ścianie został po nim ślad – mały jasny kwadrat, do którego nie dotarły sadze i miejski kurz.

To właśnie to zdjęcie jest moją jedyną wskazówką. To, które Pani wysyłam, to jest tylko odbitka oczywiście. Na odwrocie oryginału napisano atramentem: „Eleana i Matz Beekman, 2109 Allen Street, 1909 rok”. Nie znalazłam nigdzie dokumentów na temat ich ślubu ani urodzenia się dziecka, tak jakby ono nigdy nie istniało. Ale, jak sama Pani może zobaczyć, na zdjęciu jest ich troje – matka, ojciec i dziecko, żywe i realne jak każde dziecko, na które mogłaby Pani spojrzeć.

Podczas wszystkich moich poszukiwań znalazłam dwie albo trzy wzmianki o Matzu Beekmanie. Były one w kartotekach policyjnych, nie będę tu o nich wspominać. Najwyraźniej był on zaangażowany w działania związków zawodowych i postawiono mu z tego powodu zarzuty. Aresztowano go w dniu wybuchu pożaru na wiecu robotników. Tu trop się urywa. Nie mogę się dowiedzieć, co stało się później. Nigdzie nie mogę znaleźć żadnych informacji o Eleanie i Matzu Beekmanach z Allen Street. Według oficjalnych informacji oboje oni zginęli w pożarze tego samego dnia: 25 marca 1911 roku.

Ledwo mam śmiałość napisać to, z czym wiązę nadzieję, bo mnie samej wydaje się to absurdalne. Tamtego dnia jednak zginęło tyle osób, a wiele ciał zostało spalonych do tego stopnia, że trudno było je zidentyfikować. Niektórych nie rozpoznano nigdy. Rozumie Pani, co staram się powiedzieć? Może jakimś sposobem zdołali uciec? To przecież możliwe, prawda? Policja ścigała Matza, może chcieli uciec przed nią i zacząć gdzieś nowe życie. Może przyjechali po mnie, ale nigdy mnie nie znaleźli. Powtarzam sobie, że to niedorzeczne, ale potem spoglądam na fotografię i upewniam się, że to możliwe.

Proszę się przyrzeć temu zdjęciu, bardzo Panią proszę. I proszę też spojrzeć na moje zdjęcie, które też Pani posyłam. Zrobiono je trzy tygodnie temu.

Czy tylko ja widzę podobieństwo? Czy to może oni?

– Nic z tego nie rozumiem – zniecierpliwiał się Charlie i rzucił list na łóżko. – Co do tego mają Max i Eleanor? Po co ta osoba opowiada ci te wszystkie bzdury?

– Sama ją o to spytałam, kiedy rozmawiałyśmy przez telefon. Oczywiście nie użyłam słowa „bzdury”.

– I co?

Marion zawahała się przez chwilę.

– Ona twierdzi, że p-próbowała wiele razy... Pisała do nich, nie dostała nigdy odpowiedzi. Wystawała pod ich bramą, Ch-Charlie! Max o mały włos jej nawet nie p-przejechał, ale się nie zatrzymał. A w noc tamtego p-przyjęcia, wyobraź sobie, ta dziewczyna p-przebrała się za kelnerkę, ale wyrzucono ją, zanim zdążyła... A w zeszłym tygodniu udało jej się porozmawiać z dziennikarką, z którą Max się tak przyjaźni. Jak jej było?

– Blanche Williams.

– Tak, właśnie z nią. Rozmawiała z Blanche, a w zasadzie próbowała coś jej p-powiedzieć, ale...

– Ale?

– Zabrakło jej odwagi – powiedziała Marion z prostotą. – Zawsze, gdy była już o krok, brakowało jej odwagi.

– Ojej – rzucił Chaplin sarkastycznie. – Postanowiła zatem napisać do obcej kobiety, bo widziała ją uśmiechniętą na zdjęciu w czasopiśmie. – Charlie śmiał się i kręcił głową.

– Cóż, m-możesz to oczywiście ośmieszać, jeśli chcesz.

– Wcale tego nie ośmieszam!

– Ona jest sama na świecie, Ch-Charlie... Pomyśl o sobie. Nie zrobiłbyś tego? Jej życie wcale nie różni się bardzo od twojego, nieprawdaż?

– Ja nie pisałem do nieznanej gwiazdy filmowej i nie robiłem sobie z niej powiernicy.

– A kiedy cię rozdzielili z mamą? Kiedy zabrali twojego b-brata i ciebie do przytułku?

– Dziękuję ci bardzo, Marion, sam wiem, co się ze mną działo. Żałuję, że ci to opowiedziałem.

– Ależ, Charlie, bardzo dobrze zrobiłeś.

– Ale gdybyś była tak miła...

– No już dobrze. Po prostu wyobraź to sobie. Ten biedny dzieciak tuła się po B-Bóg wie ilu sierocińcach, a w końcu przychodzi mu do głowy, że może jednak nie jest sam na świecie. Rozumiesz? Wyobraź to sobie, Ch-Charlie! Wiem, że potrafisz! Wiesz, jakie to musi być uczucie. Ta nadzieja, że gdzieś tam na tym wielki okrutnym świecie jest ktoś, kto cię k-kocha... Matka i ojciec.

– Jakieś to wszystko naciągane...

– I to nie jakaś tam matka i jakiś tam ojciec, Ch-Charlie, ale właśnie oni! M-Matz i Eleana Beekmanowie: Max i Eleanor Beecham. Najszczęśliwsza p-para Hollywood! Bogaci, p-piękni,

znani i...

– ...martwi, według tego, co ta dziewczyna pisze.

Marion sięgnęła do kieszeni satynowej piżamy i wyjęła drugą kopertę. Rzuciła ją Charliemu i znów chybiła o pół długości pokoju.

– Obejrzyj te zdjęcia, Ch-Charlie.

Charlie Chaplin się zawahał. Nie lubił, gdy mu kazano schylać się po coś. Zostało mu to pewnie jeszcze z czasów przytułku. Marion знаła go na tyle dobrze, by wiedzieć, że się wścieknie. Podniosła się zatem, żeby pójść po kopertę. Ciekawość Charliego jednak ją wyprzedziła. Mężczyzna rzucił się na kolana i zgarnął kopertę.

W środku były dwie fotografie. Na pierwszej młoda kobieta. Ładna, pomyślał. Duże smutne oczy, jak u Eleanor. Grube ciemne włosy, szerokie usta. Podobna do Eleanor, ale co z tego? Spojrzał teraz na portret młodych ludzi z dzieckiem. Kobieta siedząca na pierwszym planie ubrana była w zniszczony i niemodny strój. Miała na sobie szmizjerkę, długą spódnicę, kapelusz z szerokim rondem, a na piersiach szarfę z wyszytym napisem: „PIKIETA”. Młody mężczyzna w niedopasowanej marynarce, kamizelce, która też wisiała na jego chudym torsie, oraz materiałowym kapeluszu zasłaniającym oczy stał za nią i trzymał dłoń na jej ramieniu. Na kolanach dziewczyny siedział berbecz okutany w złachmanione koce tak ściśle, że prawie nie było go widać.

Charlie Chaplin przyglądał się obdartej, wygłodzonej parze, aż wymknęło mu się westchnienie. Marion obserwowała go uważnie i roześmiała się, widząc jego reakcję. Wstała z łóżka i podeszła, by jeszcze raz spojrzeć na fotografię.

– No widzisz? I kto teraz jest szują?

Trudno znaleźć rzecz, której nie warto by spałkować, jadąc w takie miejsce, na spotkanie z takim wytwornym towarzystwem. Joseph, kierowca Beechamów, nie mógł zmieścić wszystkich ich walizek w samochodzie, więc zdecydował się dostarczyć je na dworzec, zanim zawiezie swoich państwa. Czekaając na jego powrót, Max i Eleanor próbowali rozmawiać z sobą normalnie, tak jak robili to przez lata.

Marion powiedziała, że będzie tam Joseph Kennedy – odezwał się Max, siedząc na kamiennej balustradzie włoskiego tarasu, na którym zaledwie mniej więcej tydzień wcześniej wraz z żoną bawili śmietankę Hollywood – po królewsku, jak oceniono. Teraz oczywiście dom trzeba będzie sprzedać. Niebawem będą bezdomni, bezrobotni i biedni, a na dodatek rozwiedzeni.

– Joseph Kennedy! – jęknęła Eleanor siedząca na kamiennej ławce nieopodal. – Joseph Kennedy to straszny człowiek Mam nadzieję, że nie posadzą mnie obok niego. Czy Rose przyjdzie?

– Wątpię. Rose nigdzie nigdy nie chodzi. Marion powiedziała natomiast, że będzie Gloria.

– Bez markiza?

– Odesłała go do Paryża.

Zamilkli. Zrobiło się zbyt cicho. Oboje wiedzieli, że podtrzymywanie tej rozmowy jest zupełnie irracjonalne, żadne jednak nie wiedziało, jak ją zakończyć. Zeszłego wieczoru byli zbyt zmęczeni, by się kłócić. Kolację zjedli osobno o różnych godzinach i w różnych pokojach. Max spał w gabinecie. A teraz, dzisiaj, była niedziela. Rano czytali gazety w różnych pomieszczeniach.

Eleanor spytała:

– Już dla nas za późno, prawda? W sensie finansowym. Nawet gdyby giełda się podźwignęła?

Gdyby tylko Max potrafił przekonać swojego maklera, żeby wstrzymał się z działaniami, zanim ceny akcji nie wrócą do normy – a wszyscy mówili, że wrócą – poradziliby sobie. W obecnej sytuacji jednak tak, było za późno. Zmuszono go, żeby sprzedał to, co kupił na kredyt, czyli w zasadzie wszystko. Byli spłukani.

– Nic nam nie będzie – powiedział mechanicznie.

Rozejrzał się wokół siebie: zielony trawnik, szemrzące fontanny i granitowa statua Neptuna tuż za nimi. Miejsce, które razem stworzyli, było piękne. Było jednak zbyt duże i zbyt puste. Nie będzie mu smutno go zostawić.

– Wiesz, że Lionsfiel kończy ze mną współpracę, prawda? – powiedziała nagle pani Beecham. – Założę się, że wiesz. – Uśmiechnęła się. – Pewnie wiedziałeś wcześniej niż ja... Przyśleli mi kiepski scenariusz, nawet do niego nie zajrzałam. – Wzruszyła ramionami. – Zatem do widzenia, Lionsfiel. Wiedziałeś?

– Nie – skłamał bez namysłu. – Nie wiedziałem. A skąd wiesz, że to kiepski scenariusz, skoro nawet nie zajrzałeś?

Popatrzyli sobie w oczy – dwoje wytrawnych kłamców – i odwrócili wzrok. Mogła przyznać, że powiedział jej to Butch, Max i tak się na pewno domyślił. Tylko dlaczego miałyby się przyznawać?

– Przejrzałam go. Chciałam powiedzieć, że to kiepski dla mnie scenariusz, bo pojawia się dopiero w trzeciej scenie.

– Mogę go zobaczyć?

– Och, mam go gdzieś na górze. Naprawdę, Max, wcale mnie to nie obeszło.

– I co masz zamiar teraz zrobić?

Eleanor pomyślała o Butchu – obiecał się nią zająć. Nagle zaczęła się zastanawiać, czy rzeczywiście może na niego liczyć. Kiedy rozwiodą się z Makssem, Butch odniesie zwycięstwo. I to będzie koniec. Nie zazna z jego strony okrucieństwa, ale pewnie jego spojrzenie się zmieni. I to ją zasmuci. Oczywiście, że zasmuci, i to bardzo głęboko, po wszystkich tych latach kochania go, wspierania się na nim i pławienia się w jego pożądaniu, trosce i uwielbieniu. Od dawna wiedziała, że jego miłość do niej i do wszystkich innych rzeczy była tak naprawdę tylko osobistą sprawą między nim a nim samym. Butch nie wiedział, jak kochać. Zresztą nie była w tym wcale lepsza od niego. Nie było wątpliwości co do tego, co ich ku sobie pociągnęło.

– Naprawdę nie mam pojęcia – odpowiedziała, wpatrując się niezmiennie w fontannę. – A co z tobą?

– Myślę, że Butch pomoże ci się przenieść do Silvermana – powiedział.

Nie odezwała się.

– Powinnaś pozwolić mi zerknąć na kontrakt, zanim go podpiszesz, El.

– Nikt nic nie mówił o kontrakcie.

– Uwierz mi, wyrolują cię, jeśli tylko będą mogli.

– Butch nie mówił nic o kontrakcie – skłamała znów.

Max znał Butcha. Uśmiechnął się.

– Owszem, mówił.

Eleanor wstała.

– Cóż, ja go w każdym razie nie widziałam. Z tego, co mi wiadomo, jesteśmy tak samo spłukani jak cała reszta.

– Nie jesteśmy spłukani – powiedział Max. – W żadnym razie – powtórzył, żeby odwrócić to na swoją korzyść.

– Tak czy owak, Bóg jeden wie, czemu zgodziłeś się na tę cholerną wycieczkę, Max – Eleanor postanowiła zmienić temat. – To jest ostatnia rzecz, na jaką mam ochotę. Dlaczego zmuszasz

mnie, żeby tam jechała?

– Nie zmuszam cię.

– To będzie piekło. Wszyscy wiedzą, jak stoją nasze sprawy. I nie mów, że nie, bo tak właśnie jest.

– Cóż, kochanie – wymamrotał Max. – Nie wiem, co jeszcze powiedziałaś Butchowi...

– Nic mu nie powiedziałam.

– Kiedy się powie a...

– Nic mu nie mówiłam!

– Naprawdę? No to w porządku. – Max uśmiechnął się sztucznie.

– Będą wiedzieć, że cię wylano – stwierdziła Eleanor, patrząc w dal – i że mnie wyrzucono z Lionsfiel...

– Pewnie tak.

– Będą wiedzieć też o twojej żalostnej bójce z Butchem. Co ci przyszło do głowy...

– Byłbym niepokieszony, gdyby o tym nie słyszeli.

– W każdym razie na myśl o Josephie Kennedy dostają gęsiej skórki. A Gloria Swanson to straszna nudziara. Pan Hearst jest tak nieśmiały, że nie da się z nim rozmawiać... Marion gdzieś się zaszyje z Charliem. Aż boję się pomyśleć, kto tam jeszcze może być... Boże, Max, po co nam to wszystko? Dlaczego to robimy? Nie potrafimy nawet ze sobą rozmawiać bez...

– ...bez kłamstw?

Eleanor odwróciła się bez słowa. Dalej czekali w oddalonych od siebie częściach posiadłości, która już niedługo miała przestać należeć do nich, na Josepha, który niebawem miał przestać być ich kierowcą, i samochód, który będą musieli sprzedać. Gdy w końcu przyjechał, wsiedli każde innymi drzwiami i wpatrywali się w przeciwległe okna. Mimo to nigdy nie byli bardziej świadomi swojej obecności. Przez całą drogę nie zamienili ani słowa. Gdy Joseph wysiadł, żeby otworzyć drzwi Eleanor, Max chwycił jej ubraną w rękawiczkę dłoń, leżącą bezwładnie na kolanach.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział. – Będzie z nami dobrze.

Eleanor wyszarpała rękę.

Gdy ramię w ramię przemierzali krótki odcinek dzielący ich od peronu, Eleanor chciała – jeśli w ogóle czegoś w tej chwili chciała – móc być znowu w swoim pokoju w hotelu Riverside, wolna i wystarczająco głupia, by mieć nadzieję na inną, lepszą przyszłość. Przypomniała sobie siebie na tej samej stacji zaledwie tydzień temu w drodze do Reno. Musiała być szalona, żeby przez tyle lat wierzyć w rzecz zupełnie niemożliwą. Teraz nie wierzyła już w nic. Ale to było jeszcze gorsze.

Pan Hearst zapewniał każdemu ze swoich gości kuzetkę pierwszej klasy, a wraz z nią osobną jadalnię oraz salonik Przyjęcia w San Simeon zaczęły się zatem wtedy, gdy tylko goście wsiedli do pociągu. Eleanor zobaczyła tuż przed sobą, tylko zaledwie pięćdziesiąt metrów dalej, Gretę Garbo, której właśnie pomagano wspiąć się na stopnie wagonu.

– Boże, Max – wyszeptała. – Ja nie dam rady.

– Oczywiście, że dasz.

Potem było już tylko gorzej. Zaraz za Gretą Max i El dostrzegli głośno wydającą polecenia tragarzom i witającą się krzykliwie z Garbo dziennikarkę plotkarskich gazet, Louellę Parsons. Jad, jaki sączyła w swoich tekstach Louella, świetnie sprzedawał się od Wschodniego do Zachodniego

Wybrzeża, dlatego była ona zienawidzona przez wszystkich, którzy kiedykolwiek mieli nieszczęście ją spotkać – oczywiście z wyjątkiem jej pracodawcy, Randolpha Hearsta. Louella również wsiadła do pociągu.

– Będzie dobrze – powiedział mniej już pewnie Max.

Kilkanaście metrów przed nimi rozsunęły się drzwi do wagonu pełniącego funkcję salonu. Na peronie tymczasem tłoczyły się i potraçały łokciami w walce o uwagę innych najsłynniejsze nazwiska Ameryki, gotowe wsiadać do pociągu. Louella piskliwym krzykiem witała się z Busterem Keatonem, Elinor Glyn ścisłała dłoń Charlesa Lindbergha, Gloria Swanson nadstawiała zimny i poperfumowany policzek ustom Willa Rogersa, a Joseph Kennedy łytał na Peggy Hopkins Joyce. Tragarze uwijali się między gwiazdami, biegając to tu, to tam. Max i Eleanor stali z boku.

– Matz? – odezwała się Eleanor swoim pięknym wyszkolonym głosem, przebijającym się czystą i delikatną barwą przez gwar stacji. – Dlaczego to robimy?

Dla Maksa odpowiedź była aż nazbyt oczywista. Wiedział też, że Eleanor nie musiała jej usłyszeć. Rozumiała go przecież. W przeciwnym razie nie stałaby z nim tutaj. Max wiedział, że mógłby wybrać jedną z setki świetnych wymówek i wrócić do domu, ale w tej chwili jeszcze jedno kłamstwo dodane do całego fałszu, jaki rozpanoszył się między nimi, wydawało się ponad jego siły.

– Bo by liśmy kiedyś biedni, Eleanor. Wiemy, jak to jest, i dlatego nie mamy wyboru.

Nie sprzeciwiła się. Odwrócili się oboje w stronę pociągu i ruszyli stawiać czoło całej tej zgrai.

Na przyjeżdżający o świcie pociąg czekały już zaparkowane na stacji limuzyny. Około dziesiątej rano w poniedziałek goście mogli już zaszyć się w wygodnych pokojach stojącego na szczycie wzgórza zamku. Po drodze przewieziono ich przez ogromne posiadłości Hearsta oraz jego prywatne zoo, potem pokazano im ich apartamenty, zapoznano z przydzieloną im służbą, rozpakowano ich bagaże i posadzono w jadalni przy długim stole, u którego szczytu zasiadły obok siebie Marion i jej sześćioletnia siostrzenica Patricia, pałaszująca właśnie śniadanie. Brakowało tylko pana Hearsta, nikt jednak go się nie spodziewał. Gospodarz zazwyczaj trzy mał się na uboczu – w swoim gabinecie, w towarzystwie gazet i telefonu – aż do popołudniowego koktajlu w głównym hallu.

Gdy na Zachodnim Wybrzeżu wybijała dziesiąta rano, na Wschodnim była już pora lunchu. Giełda na Wall Street pracowała już od kilku godzin, prognozy na dziś wcale nie były dobre. Wyczekiwana przez wszystkich poniedziałkowa poprawa nie nadeszła, maklerzy ciągle sprzedawali, a ceny coraz większej liczby akcji nieustannie szły w dół. Tam, gdzie prezes giełdy ulokował w czarny czwartek własne pieniądze, by pomóc ustabilizować sytuację, nie było dziś ani śladu poprawy. Giełda stała na skraju załamania. Wszystkiego tego goście dowiedzieli się po przybyciu. Rozwiązano także sprawę dalekopisu, który przynosił wieści z giełdy do oddalonego od jadalni gabinetu pana Hearsta. Gościom ogłoszono, że w związku z tą szczególną sytuacją będą oni mieli dostęp do gabinetu gospodarza o określonych porach dnia. Oddano im ich dyspozycji także telefony, na wypadek gdyby musieli dzwonić do swoich pośredników. Max zupełnie nie miał takich potrzeb. Nie miał już czego sprzedawać i cieszył się z tego. Gdyby pozwolono mu zostać na giełdzie dłużej, byłby w tej chwili nawet uboższy niż rano.

– P-pozza rozmowami z maklerami, jeśli już n-naprawdę musicie, p-panowie, o innych telefonach nie ma mowy – oświadczyła Marion Davies, olśniewająca w malinowym stroju i pasującej do niego nowej bransolecie z różowych diamentów.

Z głębi jadalni dało się słyszeć okrzyki niezadowolenia.

– I wiedzcie to, kochani – mówiła dalej Marion, podnosząc poły skłajającą rękę – że jeśli usłyszę

choćby słowo o tej g-głupiej g-gieldzie przy tym stole albo na k-korcie, albo gdziekolwiek, nałożę na sprawcę najokropniejszą karę. I nie p-pytajcie mnie jaką, bo jeszcze tego nie wymyśliłam. Może będzie to miało coś wspólnego z dz-dzwonnicą i parą zebr.

Nikomu nie było do śmiechu z wyjątkiem małej Patricii, która nie rozumiała, ale grzeczność wymagała, by goście do niej dołączyli. Joseph Kennedy śmiał się najgłośniej. Zarobił na kryzysie giełdowym tyle, że sprytnie zabiegi Butcha wydawały się przy jego posunięciach dziecinadą. Podczas gdy inni goście właśnie bankutowali, ten człowiek, a raczej ta żmija, ojciec przyszłego prezydenta Stanów Zjednoczonych, był jednym z garstki Amerykanów, którzy na spadku cen robili niewyobrażalne fortuny. Śmiał się więc teraz z zabawnego *dictum* Marion, gładząc jednocześnie pod stołem udo Glorii Swanson. Marion wiedziała dobrze, że Kennedy spędzi przy dalekopisie tyle czasu, ile sam uzna za stosowne, dlatego nie patrzyła na niego, wykładając zasady przyjęcia. Starła się w ogóle na niego nie spoglądać.

– A zatem – ciągnęła jak zwykle z werwą – co też będziemy robili tego ranka? Patricio, słonko! P-pójdziemy do domku dla szympansów, tylko ty i ja. Ale najpierw musisz mi jeszcze dać p-pół godzinki... – Uśmiechnęła się i pogłaskała małą po policzku. – A ty, Charlie, wiem, jak bardzo chciałbyś wygrać mistrzostwa w tenisa...

– Niespecjalnie – odpowiedział łagodnie, zajądając się kędgeree.

– Wiem, że pan Lindbergh świetnie sobie radzi nie tylko w chmurach, ale i na korcie. Nieprawda, panie Lindbergh? A pani, pani Lindbergh? Słyszałam, że ma pani niesamowity podkręcony *forehand*!

Charles i Anna Lindbergh spojrzeli w swoje talerze. Marion, wspaniała gospodyni, nie dała im szansy nawet przyznać się do nieśmiałości.

– Nie ma co zaprzeczać! – ciągnęła wesoło. – Wiem to doskonale. Zdradzę, kto mi to powiedział, za sto dolarów! A kto zostaje dla ciebie, Ch-Charlie? Peggy? Masz ochotę sobie p-pobiegać z dawną miłością? Załóż się, że d-dobrze byś uderzał.

– Oj, nie sądzę! – krzyknęła Peggy Hopkins Joyce, zanosząc się śmiechem, nie wiadomo czemu. – A może Greta?

Greta milczała. Wypiła za to łyk czarnej kawy i spojrzała beztrząsco gdzieś ponad głowę swojej gospodyni.

– Greta chce być sama – wtrącił się Buster. – Powiedziała mi to w pociągu.

– Nonsens! – skomentowała Marion. – Po co w takim razie tłukłaby się aż tutaj na przyjęcie? Greto, kochanie, wypowiedz się, proszę. Nie ma co p-przynosić tu swoich humorów. Nie pozwolimy ci na to!

A ponieważ Greta nadal milczała, Marion westchnęła i spojrzała na Eleanor.

– Pani Eleanor Beecham? – powiedziała łagodnie. – Zapłaciłabym tysiąc dolarów, żeby się dowiedzieć, o czym pani myśli.

Eleanor podskoczyła na krześle.

– O, k-kochana! Byłaś setki kilometrów stąd!

– Naprawdę? – odezwała się przepraszająco Eleanor. – Potrzebujecie kogoś do tenisa? Ja oczywiście mogę...

– Nie, kochana – wtrąciła się Marion. – Mówiłam już pani, a raczej mówiłam pani mężowi, że jest coś, co koniecznie chcę wam pokazać.

– Naprawdę? – Eleanor spojrzała na Maksa.

– Pani, Max i ja pójdziemy sobie na mały spacer. W. R. kazał zbudować aha za sadzawką Neptuna i założyć się, że nie wiecie, co to jest.

– Czy to...

– O, do licha – Marion machnęła ręką. – Nieważne. Założę się, że wiecie. Tak czy owak, na pewno chcielibyście to zobaczyć. Nie mogłam się już wczoraj doczekać, żeby wam to pokazać. Panno Glyn – Marion zwróciła się nagle do starzejącej się pisarki Elinor Glyn – co pani powie na mecz tenisa? Zagra pani z Charliem? On jest świetnym graczem.

– O, bynajmniej! – arystokratyczna angielszczyzna rozbrzmiała w całej jadalni, sprawiając, że wszyscy poprawili się na krzesłach i wyprostowali. – Jestem na to zdecydowanie za stara. Zamierzam spędzić rano oglądaniu żyraty. Czy ktoś ży czyłby sobie mi potowarzyć?

Panna Glyn spojrzała wymownie na pisarza Willa Rogersa. Za późno. Louella Parsons zdążyła zareagować:

– Och, ja z rozkoszą zobaczę ży rafę, Elinor, złociutka.

Elinor westchnęła tylko.

– Natalio? – Charlie Chaplin odwrócił się do żony Bustera – Chcesz pograć w tenisa?

– Nie, raczej nie – odpowiedziała, patrząc wilkiem na męża, jakby to pytanie padło z jego winy. – Ale jak mus, to mus.

– Doskonale! – Charlie zatarł ręce z zadowolenia. – No to gramy!

– W takim razie ja pójdę popływać – wymamrotał Buster.

Gościom zorganizowano zajęcia aż do lunchu. Jedni pojedą do zoo, inni będą się bawić na małym przyjęciu w basenie. Will Rogers chce spróbować gry na dzwonach w pobliskiej dzwonnicy. Max, Eleanor i Marion pójdą obejrzeć aha, Joseph Kennedy i Gloria Swanson będą odpoczywać w sąsiadujących z sobą pokojach, a Greta pospaceruje w samotności.

– Wszystko zatem ustalone! – powiedziała Marion z zadowoleniem. – Każdy ma coś do roboty. Po p-południu natomiast musimy nagrać jakiś mały film, nie sądzicie? Charlie i ja n-napisaliśmy scenariusz. Będziemy go mogli jutro p-pokazać W. R. w teatrze. Będzie mu się p-podobało... A jeszcze p-później dołączą do nas nowi goście. – Spojrzała nerwowo na Charliego. On jeden wiedział, jakie miała plany.

Charlie był ostrożny i nawet na nią nie spoglądał.

– Może dołączą nowi goście. To zależy...

Kiedy wszyscy wstawali od stołu, Charlie podszedł na chwilę do Maksa.

– Marion ma dla was niespodziankę.

– Mam nadzieję, że miłą. Wiesz, co to jest?

Charlie najwyraźniej chciał mu powiedzieć, ale zamyślił się i spojrzał na Beechama smutno. Pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia.

– Max, słonko, p-pospiesz się, dobrze? – Marion już prowadziła Eleanor w stronę drzwi. – Pospiesz się! Za mną! Za chwilę umrę z niecierpliwości.

– Umrzesz? – Max zaśmiał się, doganiając kobiety w hallu.

– No, wiesz, o co mi chodziło... – w głosie Marion Davies słychać było zdenerwowanie. – A t-teraz za mną!

W ogrodzie położonym na stromym wzgórzu wily się ścieżki i plątały rzędy małych schodków. Wszędzie pyszły się fontanny, statuy, małe altany, krzewy nasadzone tak, by tworzyły labirynt, oraz fantazyjne budowle – *follies*. Było też aha – niewidoczny z daleka rów znaczący kres ogrodu. Drzewa przywieziono tu, wykopane z korzeniami, z najdalszych zakątków Afryki, a niektóre nawet z Europy. Dźwięk dalekich fal rozbijających się o brzeg zatoki wypełniał powietrze. Ogród w San Simeon był magiczny, piękny, porażający. Dwieście akrów raj. Tak oto cała trójka szła przez sąsiadujące z zamkiem tereny. Marion, trzymając w jednej ręce kapelusz z szerokim rondem, dziarsko parła do przodu. W drugiej ręce miała niewielką teczkę.

– Jak my śłysz, o co jej chodzi? – wyszeptał Max do żony.

Eleanor wzruszyła ramionami.

– Coś w nią wstąpiło.

– Póki nie musimy oglądać żyrafy z Louellą Parsons, póty możemy wędrować za nią choćby do San Francisco i z powrotem. Nie będę mieć nic przeciw – powiedziała.

Nagle, i bynajmniej nie w pobliżu aha, Marion zatrzymała się i odwróciła w ich kierunku. Zdjęła ciemne okulary, przyjrzała się kolejno każdemu z nich, a potem jeszcze rozejrzała wokół, sprawdzając, czy nikt się nie zbliża.

– P-powinam was przeprosić – powiedziała, wpatrując się w roznówców. – Wiem, że powinam p-przeprosić. P-pozwoliłam sobie na bardzo wiele. Ch-Charlie twierdzi, że to za... Ale nieważne, co Ch-Charlie sądzi – poprawiła się. – On nie wie wszystkiego i o wszystkim.

Za plecami Marion znajdowała się teraz mała enklawa – niewielka równina wycięta w pochyłym wzgórzu, obsadzona gęstymi krzakami róż, pośrodku której stały dwie rzeźbione ławki z marmuru. Można z nich było obserwować morze. Panna Davies usiadła na jednej z nich i wskazała gościom drugą.

– Muszę wam coś p-pokazać – powiedziała. – To dlatego was tu przyprowadziłam.

– Dobrze, zatem – powiedział wolno Max, siadając obok żony. – Pokaż nam to.

Marion się zawahała.

– Chciałabym p-pokazać wam, Max, coś, co mi przysłano... Boję się, że jednak nie utrzymam nerwów na wodzy.

– Co to jest? – dziwne zmieszanie Marion rozbudziło ciekawość Eleanor.

– To coś, co ktoś mi p-przysłał – powtórzyła gospodyni. – Chciałam ci to pokazać już weszły m tygodniu, Eleanor. To taka przejmująca... rzecz...

– Cóż to może być? – prowokował ją Max. – Skoro tu jesteśmy, Marion, możesz już nam ją po prostu pokazać. Czy to jest ta rzecz? – spytał, wskazując teczkę.

Kobieta spojrzała na nią, jakby zupełnie zapomniała o jej istnieniu.

– No cóż, tak. To chyba to. Cz-część tego w każdym razie. Jest jeszcze coś...

Max wyciągnął dłoń, by wziąć od niej teczkę.

– Tylko że... – powiedziała Marion, przyciskając ją do piersi – ...musicie wiedzieć, że daję to wam w d-dobrej, najlepszej intencji. Eleanor, zawsze cię lubiłam, i ciebie, M-Max... Ten dzieciak mi to p-przysłał i nie mogłam tego wam nie p-pokazać. Czy mogłabym to teraz ukryć? Oczywiście, nie odpowiadajcie, bo p-przecież nie mogłabym. Nic mnie nie obchodzi, co inni sądzą. I nikomu tego nie p-pokazałam. Rozumiecie? No, dobrze, p-pokazałam Charliemu.

– Na litość boską! – zaśmiała się Eleanor. – Chyba nie zniosę dłużej tego napięcia!

Marion przy cisnęła teczkę jeszcze mocniej.

– I oczywiście p-pokazałam to W. R., ale wiecie, nikt na świecie nie wspiera was z takim współczuciem jak on. Nie ma p-przychylniejszej osoby. A poza wszystkim, co o nim wiecie, on wspierał pracowników Triangle...

Zanim Marion zdążyła zrobić unik, Eleanor podniosła się i wyszarpała jej kopertę.

– Ludzie mówią o nim różne rzeczy. O W. R. – paplała dalej Marion – ale możecie mu zaufać. On jeden na świecie ma złote serce...

Pani Beecham otworzyła teczkę. Marion w końcu zamknęła usta i przyglądała się jej. Eleanor szeptała pod nosem coś, czego nie mogła zrozumieć.

– *Wej tsu majn jorn...*

– El? O co chodzi? – zaniepokoił się Max.

Śniada zazwyczaj twarz Eleanor straciła nagle cały swój kolor.

– To niemożliwe, Max.

Max spojrzał jej przez ramię, zobaczył fotografię. Ich trójka razem. Nie widział tego zdjęcia od czasu ucieczki z Allen Street. Z jego twarzy też odpłynęła krew. Zamarł. Teraz oboje bez słowa wpatrywali się w fotografię.

Eleanor dotknęła widocznych na niej postaci. Max zrobił to samo. Potem ona westchnęła – było to smutne westchnie pełne rezygnacji, straty i bólu spowodowanego raną, która nigdy się nie zagoi. Max objął ją ramieniem i przytulił.

– To wy, prawda? – powiedziała Marion łagodnie. – Wiedziałam, wiedziałam, że to nikt inny. To musieliście być wy. To wy, tak? – panna Davies potrzebowała potwierdzenia.

– Czy to my? – Eleanor spojrzała w błękitne oczy Marion. Po tylu latach ukrywania się odpowiedź przyszła sama. Uśmiechnęła się i uspokoiła. – Wyglądają jak my, prawda? Jak młodszy my. To niesamowite... Ale to nie my. Nie, Marion.

– Jak to? – Marion opadły ręce.

– Co ty mówisz?! – wybuchnął nagle Max.

– Max, kochanie! – zaśmiała się El.

– Oczywiście, że to my!

– Max, mylisz się...

Nie słuchał jej.

– Oczywiście, że to my – powtórzył. – A to piękne dziecko, które widzisz tutaj, Marion, to nasza córka Isha. Nie widać tego tutaj dobrze, ale była bardzo piękna.

– Kochanie... coś ci się pomyliło...

– Miała najpiękniejsze oczy na świecie. Tak jak jej matka. Nie zobaczysz tego na zdjęciu. Była piękna.

– Macie córkę? – dopytywała się Marion.

– Nie – powiedziała Eleanor.

– Mamy córkę – potwierdził Max. – Ishę. Skończyła dwadzieścia dwa lata w zeszłym tygodniu, siedemnastego października.

– Isha... – powtórzyła panna Davies. – To piękne imię.

– Prawda? – uśmiechnął się Max.

– Wybaczcie, ale troszkę mi się wszystko pomieszało. Te osoby na zdjęciu to wy czy nie wy?

– My, oczywiście. Jak mógłby to być ktoś inny? Eleanor! Powiedz! To my! Skąd w ogóle wątpliwości.

W końcu odezwała się i Eleanor:

– To my... może. W innym życiu. To już nie my.

– To zdjęcie zrobiono, pamiętasz, El, w dniu wiecu w Union Hall. Masz tę szarfę...

Nie słuchała go.

– Było bardzo zimno. Przyplątała się choroba, która zabiła moją matkę. Zabiła też pół kamienicy. Wiesz, jak zimno bywa w Nowym Jorku. Zwłaszcza... cóż – Eleanor spojrzała na Marion, a w jej niskim, matowym głosie dała się słyszeć nuta wściekłości, nad którą pani Beecham zazwyczaj udawała się zapanować. – Skąd masz niby wiedzieć, jak zimno bywa w Nowym Jorku. W każdym razie Isha nie żyje, Marion. Skąd wzięłaś to zdjęcie?

– W kółko to powtarzasz, Eleanor – powiedział z rozpaczą w głosie Max. – „Isha nie żyje”. Jakby od tego miał zniknąć twój ból.

El znów nie słuchała.

– Powiedz – zwróciła się do Marion. – Gdzie znalazłaś to zdjęcie?

– Przecież nie mamy pewności, że nie żyje – powtarzał Max ze złością. – Nie wiemy tego na pewno...

Eleanor strąciła ze swoich ramion jego ręce i wstała.

– Marion, powiedz nam, bardzo cię proszę, skąd wzięłaś to zdjęcie. Kto ci je przysłał?

– Mówiłam wam, że...

– Kto je przysłał?

– Nie sądzę, żeby to...

– Sziksa! Gadaj!

– Pozwól jej mówić, Eleanor – wymamrotał Max.

– Czego od nas chcesz, Marion? Po co nas tu przyprowadziłaś i nam to pokazałaś? Myślisz, że to jakaś gra? Że to jakaś cholerna zabawa towarzyska?

Mąż chwycił żonę za rękę. Próbowwała się wyswobodzić, ale trzymał mocno.

– Eleanor! – krzyknął. – Pozwól jej powiedzieć.

Marion patrzyła to na nią, to na niego. Sama też zbladła. Nie spodziewała się takiej reakcji. Nie spodziewała się... niczego. Czy potraktowała to jak zabawę? Tak właśnie uważał Charlie. Nie miał jednak racji.

– Nie, to n-nie jest gra, Eleanor. Sama dobrze wiem, jak matka może tęsknić za dzieckiem.

– Ha! Nie sądzę – burknęła pani Beecham.

– Możesz wierzyć lub nie – obruszyła się Marion. – W każdym razie jest też list. Mam go z sobą. List od tej dziewczyny. W nim jest wyjaśnienie, jak sądzę. – Ręce trzęsły jej się, kiedy wyciągała z kieszeni kopertę. – Zostawię was. A kiedy skończycie, przyślę tu tę małą. Przyślę ją tu, dobrze?

– Co ty mówisz? – wyszeptał Max. – Jaką małą, Marion?

– Jest w domu. W swoim pokoju. Czeka, aż przeczytacie list.

– Ona?

– Czytajcie. A potem ją tu przyślę.

Marion miała już odejść, ale poczuła, że dzieje się rzecz bardzo istotna, że to będzie coś o wiele ważniejszego, niż sobie wyobrażała. Nie mogła się powstrzymać – odwróciła się i powiedziała do Eleanor:

– Kochana, nie sądzę, że ona nie żyje. Myślę, że twoja córka żyje... Myślę, że ją znaleźliśmy.

Marion poprosiła dziewczynę, żeby schowała się w swoim pokoju i czekała, aż ktoś po nią przyjdzie. W tej chwili panna Davies szybkim krokiem przemierzała przyległe do zamku tereny, idąc do mniejszego z dwóch domków dla gości. Na przyjęcie przyjechało w sumie szesnaścioro gości. Marion zostawiła domek wolny specjalnie dla niej. Gdy mijała korty tenisowe, jeszcze przyspieszyła. Udała też, że nie słyszy nawoływań Natalie i Lindberghów proszących ją, by podeszła i rozstrzygnęła ich spór. Charlie był strasznym oszustem, a Natalie była przekonana, że sędziowaniu Lindbergha nie można było zaufać. Marion pomachała do nich i uciekała. Gdy dobiegła do drzwi dziewczyny, była całkiem zdyszana. Zastała ją chodzącą w koło po dywanie jak dzikie zwierzę zamknięte w klatce. Na bawełnianej sukience widać było ślady potu, a obcięte na boba włosy poprzyklejały się jej do twarzy. Marion zastanowiła się, czy nie powinna pożywić gościowi jakiegoś bardziej korzystnego stroju... Była śliczna, pełna życia, ale jednak...

– Kochanie! – Panna Davies nie mogła złapać oddechu.

Dziewczyna odwróciła się nagle, tak że niewiele brakowało, a wpadłaby na Marion, a potem zarzuciła ją pytaniami:

– Co powiedzieli? Zareagowali jakoś na zdjęcie? Spotkają się ze mną? Czy to oni? Co się stało? Czy ja oszalałam? Czy wyobraziłam sobie to wszystko? Och, proszę mi powiedzieć, czy to oni?

Marion zaczęła, aż dziewczyna się uspokoi, a potem, ciągle z trudem łapiąc oddech, przytaknęła:

– To oni. Czytają teraz list. Słonko, musisz się p-pozbierać. Weź się w garść. Daj im jeszcze pięć minut, a potem idź tam. – Marion uśmiechnęła się szeroko. – Masz na imię Isha...

– Isha – powtórzyła głośno i zmarszczyła brwi. – Isha. – Zatliło się w niej jakieś niejasne wspomnienie. – Isha – wyszeptała znów. – Tak! Tak, oczywiście...

– Piękne imię – powiedziała Marion.

– Tak piękne. Czy coś jeszcze mówili?

– Myślałam, że nie żyjesz. Kobieta przyszła, żeby cię zabrać, pisałaś o tym w liście. Oni zaś myślałam, że umarłaś wtedy, kiedy twoja babka.

Dziewczy na się nie odezwała.

– Szukali cię cały czas.

– Ale mnie nie znaleźli – powiedziała w końcu. – Widać nie szukali wystarczająco dobrze.

– Kochanie, jak mogli cię znaleźć, skoro zniknęłaś?

– Nie zniknęłam, zawsze tu byłam.

– Zmieniłaś imię.

– Nie miałam imienia. Jak mogłam zmienić imię, kiedy nie miałam żadnego?

– Hej! – głos Marion nagle stał się ostry. – Jeśliś tu p-przyjechała tylko po to, żeby unieszczęśliwić moich p-przyjaciół, to nie zwracaj już sobie głowy. Żałuję, że cię zaprosiłam.

– Nie! – wrzasnęła dziewczyna. – Nie, nie! Oczywiście, że nie!

– Szukali cię. A teraz cię znaleźli. Tylko to się liczy.

– Nie chcę, żeby ktokolwiek był przeze mnie nieszczęśliwy...

– Już dobrze.

– Naprawdę! – Mała była przerażona. – To jest ostatnia rzecz, jakiej bym chciała po tym wszystkim, co się zdarzyło.

– To świetnie. A w co zamierzasz się ubrać? – przejęła dowodzenie Marion.

Dziewczy na nie odpowiedziała.

– Isha – powtarzała. – Isha Beekman... Isha Beekman. Lepiej już tam pójść, prawda? – Ruszyła w stronę drzwi. W ostatniej chwili odwróciła się do Marion. – A gdzie ja ich znajdę? Zaprowadzi mnie pani?

– Za chwilę – pokręciła głową panna Davies. – Daj im trochę czasu. Napisałaś kawał listu, a poza tym to będzie pierwszy raz, kiedy cię zobaczą.

– Ale chcą mnie zobaczyć, prawda?

– Trochę cię najpierw doprowadzimy do p-porządku, dobrze? Musisz zrobić dobre wrażenie... Trochę upociłaś tę sukienkę. Masz coś na przebranie? Jeśli nie masz, to ja z pewnością mam. Jesteś ode mnie szczuplejsza, ale coś się znajdzie. Chodź ze mną – powiedziała i pociągnęła ją za rękę.

– Czy nie mogłabyś po prostu już tam pójść? Cholernie się denerwuję.

– Nie p-przeklinaj, kochanie. To nieładnie. I nie, nie mogłabyś. Idziesz ze mną. Zaraz cię porządnie ubierzemy.

Marion zaprowadziła dziewczynę na górę do zamku i dalej do swojego apartamentu.

– Nic zbyt wymyślnego – powiedziała. – Jesteś jeszcze dzieckiem.

Podawała jej niebieską jedwabną sukienkę – była za luźna, jak wszystkie rzeczy z garderoby Marion. Dobrała do niej kłoszowy kapelusik i parę cielistych rękawiczek oraz ciemne okulary.

– Słońce świeci, nie chcesz chyba cały czas mrużyć oczu?

– Dobrze.

– Ale moim zdaniem – Marion zmierzyła dziewczynę wzrokiem – powinnaś chyba zrezygnować z rękawiczek.

– Tak oczywiście – przytaknęła tamta i zdjęła je niecierpliwym ruchem. – Chyba już teraz wyglądam dobrze, prawda?

– Wyglądasz ślicznie, dzieciaku. Zupełnie jak twoja mama.

Dziewczy na uśmiechnęła się niepewnie.

– Tak pani uważa? – Miała łzy w oczach. – Naprawdę tak pani sądzi?

– Wiem to po prostu – powiedziała panna Davies. – A teraz zmykaj! P-pokażę ci, gdzie iść. Chciałabym bardzo zobaczyć to spotkanie, ale zostawię was samych. P-pójdę z P-patricią p-pooglądać szympany. – Uśmiechnęła się. – Ta mała nie może się wprost napatrzeć na szympany, wiesz? Uwielbia je. – Marion spojrzała na dziewczynę raz jeszcze. – No dalej. Czekają na ciebie. Jesteś gotowa?

– Czy jestem gotowa? – zaśmiała się z radością w oczach. Był to najdźwięczniejszy, najładniejszy i najweselszy śmiech, jaki Marion słyszała. Przypomniał jej o Patricii. – Do licha, panno Davies – powiedziała dziewczyna. – Czekalam na to całe życie!

Max i Eleanor przeczytali list wspólnie, siedząc obok siebie w ciszy. Kiedy skończyli, odłożyli go i spojrzeli na drugą fotografię – tę przedstawiającą dziewczynę teraz.

– Trochę to wygląda jak zdjęcie z castingu, nie sądzisz – odezwał się Max. – Może jest aktorką, jest bardzo ładna...

Eleanor się uśmiechnęła.

– Jest śliczna.

– Wygląda jak ty.

– Tak myślisz? Naprawdę tak myślisz?

El poderwała się z ławki. Nie mogła dłużej usiedzieć w miejscu.

– To musi być ona, nieprawdaż? Skoro wygląda jak ja? No i miała zdjęcie. Och, Max, jak długo jeszcze mamy na nią czekać? Czemu nie przychodzi?

– Przyjdzie... tak sądzę. Zaraz tu przyjdzie.

Max starał się zachować spokój, ale było to niemożliwe. Wstał i zaczął przechadzać się w tę i z powrotem.

– Mam iść jej poszukać?

– Co my jej powiemy, Max? Czekałiśmy tak długo, a teraz najchętniej bym stąd uciekła. A co, jeśli... co, jeśli...

– Jeśli to nie ona?

– Myślę, że to ona, Max.

– Eleanor, ale pomyśl – odezwał się w końcu Max. – Kimkolwiek jest, szukała nas. Przyjechała tutaj, żeby nas znaleźć... aż z Allen Street.

To była ta sama droga, którą oni przebyli. Próbowali to sobie wyobrazić, ale nie potrafili. Eleanor zorientowała się, że Max złapał ją za rękę. Chwyliła jego dłoń, odwróciła ją i pogładziła blizny na jej wewnętrznej stronie.

– Jeśli to ona, to może być na nas bardzo zła.

– W takim razie dlaczego nas szukała? Dlaczego?! – krzyknął Max, który również bardzo się

tego obawiał. – Czeka na nią mała fortuna, wiesz? Wysyłałem jej pieniądze co miesiąc na adres skrytki Batii w Nowym Jorku. Pamiętasz? Nigdy nie przestałem tego robić. Wysyłałem co miesiąc, bez względu na wszystko. Kiedy zobaczy te wszystkie koperty, zrozumie, że o niej nie zapomnieliśmy. – Uśmiechnął się. – Myślałem o tym w pociągu. Wszystkie te pieniądze po prostu tam leżą... Może moglibyśmy żyć tak, jak żyliśmy kiedyś, ty i ja. Wynajęlibyśmy mały domek. Moglibyśmy robić własne filmy. Nie chciałabyś? Ty i ja... i może nawet nasza córka. Tak to powinno wyglądać...

Eleanor wyobraziła to sobie. Była to wizja magiczna, nie mogła się jej oprzeć. Ale pokręciła głową.

– Już za późno.

– Wcale nie. To nowy początek, kolejna szansa...

– A co, jeśli to jest Isha...

– Nie wiem.

El spojrzała po raz kolejny na list, który trzymała w ręku, na zdjęcie dziecka i na zdjęcie młodej kobiety.

– Musiała długo nas szukać – wyszeptwała.

– Tak długo, jak my szukaliśmy jej.

– A może nie.

Zapadła długa cisza. Max przerwał ją nagle:

– El, kiedy skończy się ten tydzień...

Eleanor się zaśmiała. Dobrze wiedziała, co chciał powiedzieć. Wiedziała też, że nieważne, co się stanie, nieważne, jak ta historia się zakończy, to nie będzie koniec ich małżeństwa.

– Tak, Max? Co będzie, kiedy skończy się ten tydzień?

– Mam scenariusz. Chciałbym, żebyś go przeczytała...

Eleanor roześmiała się w głos.

– Nie! Naprawdę. Nie chcę rozmawiać o scenariuszach, Max. Nie teraz.

– To jest historia o pożarze. O Triangle. Nie wiedziałas, że nad tym pracowałem, prawda?

– Skąd miałam wiedzieć, skoro mi nie powiedziałeś?

– Pracowałem nad tym dziesięć lat.

– Max...

– Jest o pożarze, o tobie i o mnie. To znaczy... – Max zaśmiał się oschle. – To jest wersja naszej historii. W moim scenariuszu oni wracają po dziecko i znajdują je, czeka na nich. Jest zatem szczęśliwe zakończenie. Mój film ma *happy end*.

– Każdy film powinien mieć szczęśliwe zakończenie... Ciiiiii. Słyszałeś to? Nadchodzi.

Czekali oboje, ale nie usłyszeli nic więcej niż dobiegające z oddali dźwięki odbijanej piłki tenisowej, okrzyki „oszust!” i szum wiatru w krzakach róz za ich plecami.

– Zastanawiam się – powiedział Max, wpatrując się w zdjęcie dziewczyny – czy ona może być dobra aktorsko...

– Czemu nie?

– Założę się, że jest dobra. Jeśli jest choć trochę podobna do swojej matki, musi być dobra.

– Jej matka – uśmiechnęła się El – nigdy nie była tak dobra, jak uważano, że jest.

– Jej matka – poprawił ją Max – była, a nawet nadal jest o wiele, wiele lepsza, niż sama sądzi. Tylko za mało jej na tym zależy... – Spojrzał na żonę, a potem znów na zdjęcie, które

trzymała. – Wygląda tak samo jak ty, El. Pamiętasz te zielone oczy? Te wielkie, ciepłe zielone oczy, które na nas patrzyły i od których, jak mówiłaś czasem, na Hester Street topniał śnieg. Nieważne, jak bardzo była chora, te oczy zawsze...

– Widzę je każdego dnia.

– Są takie same jak twoje, El.

Eleanor stanęła za Maksem i spojrzała na zdjęcie.

– Może – zgodziła się. – Trudno powiedzieć, ale może rzeczywiście jest do mnie podobna... trochę.

Pan Beecham podniósł dłoń i położył ją na biodrze Eleanor. Nie odrzuciła go, nie odsunęła się. Po chwili zaś położyła mu ręce na ramionach.

Znowu usłyszeli szelest, a potem kroki. Tak, tym razem to na pewno były kroki. Dochodziły ze ścieżki za nimi. Lekkie, dziewczęce kroki...

– Brzmia jak twoje – wyszeptał Max. Rzeczywiście tak było. – Halo?! – zawołał. – Czy to ty?

Kroki się zatrzymały.

– Hej!

Eleanor ruszyła w stronę ścieżki, ale mąż ją zatrzymał i odciągnął do tyłu.

Kroki znów się rozległy – ciągle były lekkie i dziewczęce, schodziły po schodach *raz-dwa-trzy*...

Eleanor wyrwała się Maksowi i pobiegła w ich kierunku. Obie kobiety wpadły na siebie na najniższym stopniu, gdzie krzyżowały się ścieżki. Odsunęły się od siebie i przyjrzały sobie nawzajem uważnie. Ta sama gibka figura i smukła budowa ciała. Te same krótkie, grube, ciemne włosy. Ten sam lekki chód.

– Pani Beecham? – Ten sam łagodny, niski głos.

– Eleana Beekman. Kappelman. Mów mi Eleana... – El się zaśmiała. – Mów mi, jak ci się tylko podoba! A ty musisz być... Podpisałaś się jako Hanna. Hanna!

Eleanor nachyliła się i delikatnym ruchem chwyciła w palce srebrną chamsę, którą dziewczyna na zawiesiła na szyi.

– Och, Hanno. To amulet przeciw złemu spojrzeniu...

Dziewczyna odwróciła się do Maksa.

– A pan to pan...

– Matz Beekman – dopowiedział. – Wyglądasz... Cóż mogę powiedzieć? Wyglądasz zupełnie jak twoja matka.

– No cóż... – Dziewczyna zrobiła krok do tyłu. – Panie Beecham. Beekman. Nie trzeba się tak spieszyć...

– Patrz, Max. To chamsa mamy – odezwała się Eleanor. – Pamiętasz ją?

Max skinął głową, mimo że nie pamiętał, w ogóle nie pamiętał.

– Czy to naprawdę ty? Max, Max! Czy nasza Isha naprawdę do nas wróciła?

– Jak możemy się upewnić? – zapytała dziewczyna. – Ja nie pamiętam nic. Naprawdę nic poza tym, co napisałam w liście...

– To chamsa mamy! – krzyknęła Eleanor. – Wiem, że to ona!

To był ten sam wisiołek a jeśli nie, był bardzo podobny. To musiało coś znaczyć.

– I chodzisz w ten sam sposób – stwierdził Max.

Dziewczyna zdjęła okulary i spojrzała na nich: na swojego ojca i swoją matkę. Oni spojrzeli

na nią i od razu ją rozpoznali.

– To byłaś ty! Tej nocy na przyjęciu... – powiedziała Eleanor cicho.

Max chwycił jej rękę i ścisnął tak mocno, że z pewnością krzyknęłaby z bólu, gdyby go poczuła. Wszystko odtąd miało być dobrze, wiedzieli to. Oto nadszedł kres ich długich poszukiwań... I zaczynało się nowe życie. To wszystko. Potrzebowali się, a teraz się odnaleźli.

– Muszę wam tyle opowiedzieć – oświadczyła dziewczyna. – Od czego mam zacząć?

– Zacznijmy – Max zaśmiał się lekko i łagodnie jak młody człowiek – od tej części, którą pamiętasz... Resztę uzupełnimy w trakcie.

– Witaj w domu – wyszeptała Eleanor.

Dziewczyna uśmiechnęła się. Jej uśmiech był jaśniejszy niż słońce nad zatoką San Simeon, a jej ciemne brązowe oczy płonęły nadzieją, miłością, pięknem i radością życia.

OD AUTORKI

Pożar w fabryce Triangle Shirtwaist Company, który wybuchł w 1911 roku, jest najdramatyczniejszym wypadkiem tego typu w historii Manhattanu. Mój opis tego zdarzenia – płonących dachów, zepsutych wind uginających się pod ciężarem ciał, zamkniętego wyjścia, zawalonych schodów przeciwpożarowych oraz płonących ciał rzucających się z okien budynku na pewną śmierć – oparłam na wielu artykułach, fotografiach i książkach dokumentujących tę tragedię.

Stu czterdziestu sześciu robotników zginęło. Sześć ciał nie doczekało się identyfikacji. Zostały one pochowane podczas ceremonii, w której, mimo ulewnego deszczu, tysiące mieszkańców Nowego Jorku wyszły na ulice, by oddać hołd ofiarom. Tragedia w fabryce Triangle stała się istotnym bodźcem do zmian w regulacjach dotyczących bezpieczeństwa pracy, a udział w tym miała między innymi kampania prasowa prowadzona przez wydawców związanych z Williamem Randolphem Hearstem.

Max Blanck i Isaac Harris – właściciele fabryki, którzy przed pożarem uciekli na dach – zostali najpierw oskarżeni o spowodowanie śmierci pracowników zamkniętych na dwóch piętrach budynku, a w końcu uniewinnieni.

„Siostrzenica” Marion Davies, Patricia, była częstym gościem San Simeon oraz plażowego domku w Santa Monica. Po jej śmierci w 1993 roku rodzina odniosła się do krążących na jej temat plotek potwierdzając, że była w istocie córką Marion Davies i Randolpha Hearsta. W 1924 roku przybrany ojciec dziewczynki wraz z nią samą zaginęli na terenie Francji. Randolph Hearst wynajął detektywów, którzy mieli odnaleźć ich i sprowadzić do domu.

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję Sarah Ritherdon, Louise Swannell, Kimberley Young, Clare Alexander oraz Alonie Mingueto.

Dziękuję, Pando, Zebedee i Bashie, że cierpliwie znosiliście moją obsesję i zechcieliście mi towarzyszyć w wycieczce do zamku Hearsta.

Dziękuję, Pando, za twoją wnikiwość (w łagodnej formie).

Szczególne wyrazy wdzięczności kieruję do Sharon Coussins i Khayke Beruriah Wiegand za korektę moich prób pisania w jidysz.

I w końcu, jak zwykle, dziękuję Ci, Peterze.

Spis treści

PAŹDZIERNIKOWE PRZYJĘCIE U MAKSA I ELEANOR BEECHAMÓW

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

KINEMATOGRAF NA HESTER STREET

12

13

14

15

16

ŚWIATOWA STOLICA ROZWODÓW

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

[30](#)

[31](#)

[32](#)

[33](#)

[34](#)

[35](#)

[36](#)

[37](#)

[38](#)

[39](#)

[40](#)

[ÓSMY PIETRO](#)

[41](#)

[42](#)

[43](#)

[44](#)

[45](#)

[46](#)

[47](#)

[48](#)

[49](#)

[50](#)

[51](#)

[52](#)

[53](#)

[54](#)

[55](#)

[SŁOŃCE W ZATOCE SAN SIMEON](#)

[56](#)

[57](#)

[58](#)

[59](#)

[60](#)

[61](#)

[62](#)

63

64

65

66

67

68

69

70

71

OD AUTORKI

PODZIĘKOWANIA